

Roger Zelazny

Wariant jednoroźca

Unicorn Variations
Przełożył Zbigniew Wojtyś

WSTĘP

Trzymacie w ręku kolejny zbiorek moich opowiadań, napisanych w różnych okresach w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Niektóre z nich budzą do dziś mą sympatię, o innych pragnąłbym jak najszybciej zapomnieć.

Gdy opracowywałem do druku zawarte tu opowiadania, zdumiała mnie ilość tekstów pisanych na zamówienie a to pod okładkę jakiegoś czasopisma (o czym za chwilę), a to ze względu na temat jakiejś antologii.

Zatrzymam się na chwilę przy kwestii antologii tematycznych w dawnych czasach (tj. mniej więcej w latach czterdziestych i pięćdziesiątych) zbiory opowiadań science fiction były po prostu zbiorami opowiadań science fiction, w których każdy tekst różnił się w zasadniczych kwestiach od któregośkolwiek z pozostałych. Tymczasem w ostatnich latach pojawiła się zasada łączenia opowiadań w zbiory tematyczne. Nie widzę zresztą w tym nic złego. Wiele wartościowych opowiadań ujrzało światło dzienne właśnie w antologiach tematycznych. Jednak z samego założenia można je traktować jako ograniczające wolność twórczą.

Jeszcze o dawnych czasach gdy zaczynałem pisać, czasopisma, w których publikowałem swe pierwsze opowiadania, uważane były za lektury dla całej rodziny, co oznaczało, że nie wolno było używać słów–tabu poza okazjonalnym „cholera” czy „do diabła”. Nie wolno było pisać o seksie, pozwolić bohaterom na wdawanie się w szczegółowe dyskusje polityczne czy też pozwolić sobie na jakiegokolwiek spekulacje religijne.

Na początku tego roku pojechałem do Związku Radzieckiego w towarzystwie kilku innych twórców science fiction. Odbyliśmy wiele spotkań z rosyjskimi i ukraińskimi wydawcami i kolegami po piórze. Gdy dowiedzieliśmy się od nich, że wolą wydawać opowiadania z happy endem i w miarę możliwości wolne od drastycznych scen przemocy, ze zrozumieniem przytaknęliśmy. Naprawdę.

Ograniczenia istnieją zawsze. Osobiście nie czuję co prawda w tej chwili ich istnienia, nie czuję żadnej cenzury. Istnieją jednak ograniczenia wynikające z moich własnych niedociągnięć pisarskich oraz ograniczenia, które istnieją same przez się, związane ze strukturą opowiadania i kwestią mojego własnego temperamentu i smaku. Moja wolność twórcza realizuje się w obrębie tych ograniczeń. Kiedy jednak przelewam na papier pierwsze zdanie jakiegoś opowiadania, oddaję sporą porcję mej wolności. Wyznaczam kurs. Ograniczam się jeszcze bardziej. Wolność wyrażania się musi również podporządkować się konieczności jasnego przekazywania myśli, jak zresztą wykazały to dobitnie niektóre zakończone klęską eksperymenty science fiction.

Gore Vidal stwierdził kiedyś, że każdy pisarz dysponuje ograniczoną ilością postaci — jego własnym repertuarem, że tak powiem — i że pod różnymi przebraniami odgrywają one swe role we wszystkich opowieściach. Myślę, że ma w tym względnie rację, a co za tym idzie, pojawia się następne ograniczenie (choć lubię pomarzyć po tych wszystkich latach o wysłaniu kilku postaci na emeryturę i odkryciu nowych talentów).

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie należy się dziwić, że w dziełach jednego

pisarza odnaleźć można echa, reminiscencje czy nawet jeden albo dwa stale powracające tematy. Bieg czasu przynosi zmiany, na dobre i na złe, ja jednak wszędzie i zawsze odkryłbym własne pióro. W tym sensie całość twórczości danego pisarza można traktować jako serię wariantów.

A wszystko to tylko po to, by wyjaśnić tytuł.

Pragnę złożyć wyrazy podziękowania tym wszystkim, którzy wyrażają chęć zatrudnienia mnie w sklepach z artykułami żelaznymi. Wolę jednak pozostać przy pisaniu.

WARIANT JEDNOROŻCA

Opowiadanie to powstało w cokolwiek nietypowy sposób. Pierwszą inspiracją był telefon od Gardnera Dozoisa, który pewnego wieczoru spytał mnie, czy kiedykolwiek popelnilem opowiadanie, w którym występowałby jednorożec. Odrzekłem, że nie. Wyjaśnił wtedy, że razem z Jackiem Dannem składają właśnie antologię przedruków opowiadań o jednorożcach i zaproponował mi, bym napisał i sprzedał komuś takie opowiadanie, a następnie odsprzedał im prawa do przedruku. Pieniądze dwa razy za to samo — brzmiało niezłe. Odpowiedziałem mu, że pomyślę. W jakiś czas potem inny autor antologii spytał mnie, czy kiedykolwiek napisałem opowiadanie, którego akcja rozgrywałaby się w barze — bo jeżeli tak to chętnie wzięłby je pod uwagę przy składaniu zbioru przedruków nad którym właśnie pracował. Przyznałem, że nigdy. Mniej więcej tydzień później, gdy spędzałem wieczór, popijając wino z czcigodnym George'em R. R. Martinem postanowiłem wspomnieć mu o dwóch przygotowywanych antologiach na wypadek, jeśliby on sam był autorem opowiadania z akcją umieszczoną w barze albo opowiadania o jednorożcu. Okazało się, że on również nie, ale przy okazji przypomniał mi, że Fred Saberhagen układał właśnie antologię przedruków nowel o szachach (Pionkiem w nieskończoność). „Dlaczego sam — spytał — nic napiszesz opowiadania o jednorożcu i szachach, nie umieścisz akcji w barze i nie wydusisz od każdego z nich trochę grosza?” Zdusiliśmy śmiech i pociągnęliśmy po małym łyku. Kilka miesięcy później pojechałem do Vancouver. B C gdzie zaproszony byłem na V-Con. nadzwyczaj sympatyczną lokalną konferencję poświęconą science fiction. Jeszcze wcześniej postanowiłem, że po konferencji z całą rodziną wyruszmy na północ Autostradą Alaskijską. Tuż przed wyjazdem z Nowego Meksyku czytałem Niewidzialne miasta Italo Calvino i gdy skończyłem część zatytułowaną Ukryte miasta 4., coś zaczęło mi świtać. Była to opowieść o mieście, którego mieszkańcy przeprowadzili całkowitą sterylizację domów i ulic poprzez pełną eksterminację wszelkich szkodników. Później jednak nie istniejące już ofiary poczęły nawiedzać oprawców w ich myślach i snach. Już w trakcie konferencji zamysł zaczął się krystalizować, i w drodze na najbardziej wysunięty w morze skrawek lądu, gdzie mieliśmy wejść na pokład „Prinsendam”. zatrzymywałem się w różnych księgarniach i przerzucałem strony z opisami partii szachowych, aż wreszcie natrafiłem na to, czego szukałem, i to na dwie godziny przed rejsem. Kupiłem książkę i pozełgowałem. Wariant jednorożca pisałem w wolnych chwilach na statku podczas tej uroczej wyprawy. Główny bohater ma na imię Martin — jakiegokolwiek podobieństwo z George'em który jest znawcą szachów, nie jest do końca nie zamierzone (Pośłowie opowiadania jest zamieszczona na końcu informacja o samej partii.) W tym samym roku „Prinsendam” splotął i zatonął. Opowiadanie pozostało. Sprzedałem je tyle razy, że z nawiązką mogłem pokryć koszty tamtej wyprawy. Dzięki George.

Jak dziwofeeria ogni, jak mgławidło światła, poruszał się zwinnie, z niemal rozmyślną płynnością, wnikając na zmianę w fazę bytu i niebytu, niby rozrywany błyskawicą zmierzch; lecz być może mrok między rozbłyskami był bliższy jego najprawdziwszej naturze — kurzawie czarnych popiołów zebranych we wznoszącej się kadencji i zaraz opadającej nutą pustynnego wiatru na potok rwący za budynkami, pustymi, a jednak tak pełnymi, jak pełne są kartki nie czytanych ksiąg lub cisza pomiędzy nutami pieśni.

Znów zniknął. Znów się wynurzył. I znów.

To moc, mówiłeś? Tak. Potrzeba ogromnej siły osobowości, by objawić się przed lub po właściwym życiu. Lub i przed, i po.

Znikając i wynurzając się, był jednocześnie coraz bliżej, sunąc przez ciepłe popołudnie, wśród wiatru, który zamazywał jego ślady. Wtedy, gdy je pozostawiał.

Powód. Zawsze powinien być jakiś powód. Lub powody.

Wiedział, po co przybył — ale nie wiedział, dlaczego akurat tu, w to konkretne miejsce.

Zbliżając się do skazanej na samotność ulicy, pojął, że wkrótce pozna odpowiedź. Wiedział jednak, iż także powód może objawić się przed lub po. Jakaś siła pchała go tutaj i była tak nieodparta, że czuł bliskość.

Niektóre budynki chyliły się ku upadkowi, inne leżały już w gruzach, puste, wśród przeciągów i pyłu. Spomiędzy szpar w posadzkach wyrastało zielsko. W krokwiach ptaki powiły gniazda. Wszędzie pełno było odchodów dzikich stworzeń, stworzeń, które znał, tak jak one poznałyby jego, gdyby przyszło im spotkać się twarzą w twarz.

Nagle zamarł w bezruchu, bo skądś przed nim, z lewej strony, nadszedł niespodziewany, nieomal niesłyszalny dźwięk. Właśnie w tym momencie znów wpływał w fazę istnienia, uwalniając zarys własnego kształtu, który rozmył się tak szybko, jak tęcza w piekle, i pozostawił po rozdzieleniu tylko nagą obecność.

Niewidoczny, lecz istniejący, potężny, ruszył dalej. Trop. Wskazówka. Do przodu. Prosto, bez względu na przeszkody. Ponad ledwie widocznym napisem BAR na butwiejącej desce. Przez wahadłowe drzwi. (Jedna połowa tylko na jednym zawiasie.)

Przerwa. I dalej.

Po prawej bar, cały zakurzony. Za nim zbite lustro. Puste butelki. Potłuczone butelki. Mosięzna poręcz, szerniała, inkrustowana. Po lewej stronie i z tyłu stoliki. Niektóre ponaprawiane, inne nie.

Przy najlepszym jakiś mężczyzna. Plecami do drzwi. Levisy. Na stopach trapery. Niebieska, spłowiała koszula. Obok, po lewej, oparty o ścianę zielony plecak.

Przed mężczyzną, na blacie, ledwie widoczny zarys namalowanej szachownicy, teraz prawie zupełnie wytartej, porysowanej, zamazanej.

Szuflada, w której mężczyzna znalazł bierki, jest nadal wpółotwarta.

Mężczyzna nigdy nie mógł przejść obojętnie obok szachownicy bez ustawienia figur i opracowania nowego zadania szachowego lub ponownego rozegrania którejś ze swoich najlepszych partii, zupełnie jak nie mógł obyc się bez powietrza, krążenia krwi lub utrzymywania stałej temperatury ciała.

Zbliżył się, pozostawiając być może świeże ślady na zakurzonej podłodze, których nikt nie zauważał.

Szachy były również i jego pasją.

Patrzył, jak mężczyzna odtwarza przebieg swojej być może najlepszej w życiu partii, którą rozegrał w eliminacjach turnieju o tron szachowy siedem lat temu. Po niej było już krucho — choć i tak był zdumiony, że zaszedł aż tak wysoko — bo nigdy nie potrafił dobrze grać pod presją. Zawsze był jednak dumny z tej jednej partii i przeżywał ją tak, jak niektóre wrażliwe dusze przeżywają najważniejsze momenty w swoim życiu. Przez może dwadzieścia minut nikt nie śmiał się do niego zbliżyć. Był na firmamencie: czysty, potężny, jasny. Czuł się wtedy najlepszy.

Zajął miejsce po przeciwnej stronie szachownicy i wlepił w nią wzrok. Mężczyzna z uśmiechem rozegrał końcówkę. Potem ponownie rozstawił figury na szachownicy, wstał, wydobyl z plecaka puszkę piwa i natychmiast ją otworzył.

Gdy mężczyzna wrócił do stołu, odkrył, że królewski pion białych został przesunięty na d4. Zmarszczył brwi. Powiódł wzrokiem po barze, napotykając swoje własne zdumione spojrzenie w ponurym zwierciadle. Zajrzał pod stół. Pociągnął łyk piwa z puszkki i usiadł przy stole.

Mężczyzna wyciągnął dłoń i postawił swojego piona na d5. Po chwili ujrzał, jak biały skoczek unosi się powoli w górę i dryfuje w powietrzu ku c3. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pustkę po drugiej stronie stołu, aż wreszcie postawił własnego konia na c6.

Biały skoczek zbił jego piona. Ignorując niezwykłość sytuacji, mężczyzna postawił swojego piona na e6. Gdy biały skoczek cofnął się na c3, mężczyznę przestał już trapić brak namacalnego przeciwnika. Na chwilę oderwał się od gry, by pociągnąć z puszkki, lecz gdy tylko odstawił ją na stół, ta powędrowała w górę, przepłynęła nad szachownicą i odwróciła się w powietrzu do góry dnem. Dał się słyszeć odgłos gulgotania. Następnie spadła na podłogę i z pustym brzękiem potoczyła się po posadzce.

— Przepraszam — powiedział mężczyzna. Wstał i znów pochylił się nad plecakiem. — Sam bym ci postawił, gdybym wiedział, że lubisz piwo.

Otworzył dwie puszkki i wrócił do stołu, stawiając jedną na przeciwległym końcu blatu, a drugą po swojej prawej.

— Dziękuję — odezwał się cichy, lecz wyraźny głos znad przeciwległej puszkki.

Puszkka uniosła się, lekko przechyliła i wróciła na stół.

— Mam na imię Martin — przedstawił się mężczyzna.

— Mów mi Tlingel — odparł głos. — Byłem prawie pewien, że twój gatunek już wymarł. No, ale cieszę się, że nie, bo przynajmniej mogę rozegrać tę partię.

— Taak? — mruknął Martin. — Jeszcze parę dni temu wszyscy istnieliśmy, o ile dobrze widziałem.

— Mniejsza o to. Zajmę się tym później — odrzekł Tlingel. — Zmylił mnie wygląd tego miejsca.

— Cóż, to miasto duchów. A ja po prostu wędruję sobie od miejsca do miejsca.

— Nieistotne. Znajduję się w pobliżu decydującego punktu w waszej karierze jako gatunku. Potrafię wyczuwać takie rzeczy.

— Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

— Wcale nie jestem pewien, czy chciałbyś rozumieć. Zakładam, że zamierzasz zbić tego piona?

— Być może. Tak, chciałbym. O czym ty właściwie mówisz?

Puszka powędrowała w górę. Niewidzialna istota pociągnęła następny łyk.

— No więc — podjął Tlingel — mówiąc najprościej, wasi, hmm, następcy zaczynają się niecierpliwić. A że wasze miejsce w porządku istnienia jest dość istotne, natężyłem całą swą moc i przybyłem sprawdzić, jak mają się sprawy.

— Następcy? Nie rozumiem.

— A gryfy? Widywałeś je ostatnio?

Martin chrząknął.

— Słyszałem to i owo — odrzekł Martin — widziałem też zdjęcia. Podobno zastrzelono jednego w Górach Skalistych. Niezły żart.

— Jasne, żart. Myśl tak sobie. Zawsze tak jest ze stworami z mitologii.

— Chcesz mi wmówić, że to nie kawał?

— Oczywiście, że nie. Świat jest w złym stanie. Gdy niedawno zginął ostatni niedźwiedź grizzly, otworzyło się pole dla gryfów — podobnie jak śmierć ostatniego strusia madagaskarskiego sprowadziła yeti, dodo — potwora z Loch Ness, gołębia wędrownego — sasquatcha, wieloryba błękitnego — krakena, orla amerykańskiego — bazyliuszka...

— Jak możesz tego dowieść?

— Napij się jeszcze.

Martin już sięgał po puszkę, gdy nagle cofnął dłoń i zamrugął, nie wierząc własnym oczom.

Obok puszki przysiadł stwór, długi może na dwa cale, o ludzkiej twarzy, lwim ciele, z opierzonymi skrzydłami.

— Mikrosfinks — mówił dalej głos. — Pojawił się, gdy zlikwidowaliście ostatniego wirusa ospy.

— Próbujesz mnie przekonać, że gdy tylko ginie jakiś naturalny gatunek, jego miejsce natychmiast zajmują mityczne stworzenia?

— Nie wchodząc w szczegóły — tak. Nie zawsze tak było, ale wy zniszczyliście mechanizmy ewolucji. Zadaniem niektórych z nas jest przywrócić równowagę. Przybywamy z krainy świtu, my, którzyśmy nigdy nie poznali prawdziwego zagrożenia. Powracamy, gdy nadchodzi czas.

— Chcesz więc powiedzieć, Tlingel, czymkolwiek byś był, że ludzkość jest teraz w niebezpieczeństwie?

— Oczywiście. Ale nic na to nie poradzisz. Wracajmy do gry.

Sfinks odfrunął. Martin pociągnął łyk piwa i zbił piona.

— A kim — zapytał — mają być nasi następcy?

— Skromność niemal nie pozwala na to odpowiedzieć — odparł Tlingel. — W wypadku takiego jak wy gatunku, oczywiście musi to być ktoś najpiękniejszy, najbardziej inteligentny, najważniejszy z wszystkich stworzeń...

— A czymże ty jesteś? Czy mogę cię jakoś zobaczyć?

— Cóż, chyba tak. Muszę się tylko natężyć.

Puszka ruszyła w górę, została opróżniona, spadła na podłogę. Nastąpiła seria grzechotów i stukotów, jakby oddalających się od stołu. Przestrzeń przed Martinem

wypełniła się maleńkimi błyskami, znikającymi po chwili, jak żar dogasających ogników. Obrys postaci jednak pozostał, a tylko jej wnętrze wypełniała nieprzenikniona czern. Kształt uniósł się, na tylnych kończynach przemaszerował przez bar, ujawniając swoją prawdziwą postać tysiącem maleńkich, tupoczących i tętniących o deski posadzki odcisków kopyt. Wreszcie przy akompaniamencie ostatniego, oślepiającego błysku ukazał się w całej okazałości. Martin wstrzymał oddech i zadziwiony wpatrywał się w postać.

Czarny jednorożec wspiał się na tylnych nogach, przybierając na chwilę heraldyczną pozę i ironicznie wpatrywał się w Martina swoimi żółtymi ślepiami. Ogniki zapłonęły teraz przez sekundę dłużej, a potem zgasły.

Martin cofnął się, wyciągając dłoń w obronnym geście.

— Oto jestem! — obwieścił Tlingel. — Oto ja, starożytny symbol mądrości, męstwa i piękna, oto stoję przed tobą!

— Myślałem, że typowy jednorożec jest biały — powiedział w końcu Martin.

— Jestem archetypem — odparł Tlingel, opadając na cztery kopyta. — I nie ma we mnie nic pospolitego.

— Na przykład?

— Kontynuujemy partię.

— A ludzkość? Jaki ma być jej los? Mówiłeś, że...

— Odłóżmy tę historyjkę na później.

— Nie wiem, czy koniec ludzkości można nazwać historyjką.

— A może masz jeszcze piwo...

— No dobrze. — Martin cofnął się do plecaka, gdy stwór tymczasem postąpił do stołu, wlepiając w niego swe ślepią, wielkie jak dwa blade słońca. — Jakies tam jeszcze zostało.

Ale z gry coś wyparowało. Gdy przed jego czołem znalazł się wielki hebanowy róg wieńczący opuszczony łeb Tlingela, wyglądający jak wielka szpila mocująca owada w gablocie, Martin poczuł, że nie da rady. Od chwili, gdy zobaczył swego przeciwnika, czuł rosnące napięcie — no i jeszcze ta historia o nieuniknionym dniu ostatecznym. Gdyby opowiedział ją jakiś domorosły pesymista, Martin nie zawracałby sobie głowy nawet wzruszeniem ramion, ale skoro pochodziła z takiego źródła...

Uleciało całe wcześniejsze podniecenie. Stracił życiową formę. A Tlingel był niezły. Nawet więcej niż niezły. Martin zorientował się, że niepewny jest nawet pat.

Po chwili już wiedział, że przegra, i poddał partię.

Jednorożec spojrział na niego z uśmiechem.

— Naprawdę, jak na człowieka jesteś wcale—wcale — stwierdził.

— Bywało znacznie lepiej.

— To żadna hańba przegrać ze mną, śmiertelna istoto. Nawet wśród mitycznych istnień niewielu jest takich, z którymi warto grać.

— Cieszę się, że nie zanudziłem cię na śmierć — odparł Martin. — Czy teraz powiesz mi, co miałeś na myśli, mówiąc o zniszczeniu rodzaju ludzkiego?

— Ach, mówisz o tym — podjął Tlingel. — W krainie świtu, gdzie żyją istoty takie jak ja, wyczułem nozdrzami zapowiedź kresu waszego istnienia. Zjawiała się jak

łagodny podmuch wiatru, przynosząc zarazem obietnicę przetarcia szlaku dla nas...

— Jak ma do tego dojść?

Tlingel wzruszył ramionami i pokręcił głową, jednocześnie jakby bazgrząc swym rogiem w powietrzu.

— Nie potrafię powiedzieć. Przechucia rzadko kiedy bywają konkretne. Mówiąc szczerze, przybyłem, żeby się samemu dowiedzieć. I już teraz znalazłbym odpowiedź, gdybyś tylko nie zajął mnie piwem i miłą partyjką.

— A jeśli się mylisz?

— Bardzo wątpię. Zresztą to drugi powód mojego przybycia.

— Nie rozumiem.

— Zostały jeszcze jakieś piwa?

— Chyba są dwa.

— To poproszę.

Martin podniósł się i sięgnął do plecaka.

— Cholera! Błaszka się urwała — oznajmił.

— Postaw puszkę na stole i przytrzymaj ją mocno.

— Dobra.

Tlingel gwałtownie kiwnął łbem, przebijając puszkę.

— ...Zawsze się do czegoś przydaje — zauważył, cofając róg.

— No a ten drugi powód? — nalegał Martin.

— Chodzi o to, że jestem kimś wyjątkowym. Potrafię robić rzeczy, o jakich się innym nie śniło.

— To znaczy?

— Odnaleźć wasz słaby punkt i nadać wydarzeniom taki bieg, by wykorzystać waszą ułomność. To wszystko przyspieszy. I zapowiedź obróci się w realne prawdopodobieństwo, a wtedy...

— Więc to ty masz nas zniszczyć? Ty osobiście?

— Źle na to patrzysz. To nie jest zwykła partia szachów. Nie chodzi tylko o poddanie próbie własnych umiejętności, ale także o wykorzystanie słabości przeciwnika. Gdybyście sami nie przygotowali pola, byłbym bezsilny. Mogę wpływać jedynie na to, co już istnieje.

— To jak to będzie? Trzecia wojna światowa? Katastrofa ekologiczna? Mutant wirusa?

— Jeszcze nie wiem i wolałbym uniknąć podobnych pytań. Powtarzam, że w tej chwili prowadzę jedynie obserwacje. Jestem tylko pośrednikiem...

— Wcale mi się tak nie wydaje.

Tlingel milczał. Martin zabrał się do zbierania figur.

— Nie rozstawisz ich raz jeszcze?

— Żeby dostarczyć własnemu oprawcy następnej porcji rozrywki? O nie, dziękuję.

— Nie powinienes tak na to patrzeć.

— Poza tym skończyło się piwo.

— O — Tlingel popatrzył z żalem na znikające figury i dodał: — Bardzo bym chciał zagrać z tobą jeszcze raz, nawet bez czegoś na zwilżenie gardła.

— Nie, dziękuję.

— Jesteś zły.

— A ty byś nie był, gdybyśmy byli w odwrotnej sytuacji?
— Teraz antropomorfizujesz.
— No i?
— Chyba tak.
— To daj nam spokój, chociaż na tyle, żeby naprawić błędy.
— A czy wy daliście szansę tym wszystkim stworzeniom, które zostały zastąpione przez moich współpracowników?
Martin poczerwieniał.
— No dobra. Jeden zero dla ciebie. Ale to nic powód, bym był zachwycony.
— Jesteś dobrym szachistą. Wiem to na pewno...
— Tlingel, gdybym mógł zagrać tak jak w czasach mojej życiowej formy, to pewnie bym ci dołożył.
Z nozdrzy jednorożca wydobyły się dwie smużki dymu.
— Nie jesteś aż tak dobry — rzucił.
— Chyba się nigdy nie przekonasz.
— Czy mam to traktować jako propozycję?
— Może. A co postawisz?
Tlingel chrząknął z uśmiechem.
— Pozwól, że sam odgadnę: w zamian za zwycięstwo oczekujesz ode mnie obietnicy, że siłą mej woli nie rozerwę najsłabszego ogniwa w ludzkiej egzystencji.
— Dokładnie.
— A co będzie moją nagrodą, jeśli wygram?
— Satysfakcja z gry. Przecież o to ci właśnie chodzi.
— Warunki nie wyglądają zbyt sprawiedliwie.
— Właśnie, że tak, skoro i tak wygrasz. Tak przecież, twierdzisz.
— No dobra. Rozstaw figury.
— Zanim zaczniemy, muszę ci jeszcze coś o sobie powiedzieć.
— Słucham.
— Nigdy nie gram dobrze w stresujących okolicznościach, a te są szczególnie denerwujące. Chcesz, żebym zagrał najlepiej, jak potrafię?
— Tak, ale niestety nie w mojej mocy leży dostosowywanie twoich reakcji do przebiegu gry.
— Chyba poradziłbym sobie sam, gdybym tylko miał więcej niż normalnie czasu na wykonanie ruchu.
— Zgoda.
— Bardzo dużo czasu.
— To znaczy?
— Chciałbym mieć możliwość odejścia myślami od gry, odpoczynku, analizowania pozycji, tak jak analizuje się zadania szachowe...
— To znaczy, że chcesz stąd wychodzić pomiędzy jednym a drugim ruchem?
— Tak.
— W porządku. Na jak długo?
— Nie wiem, może na kilka tygodni.
— Powiedzmy, miesiąc. Zaangażuj ekspertów, wrzuc to na wasze komputery. Może to urozmaici grę.

— Nie o to mi chodziło.

— Chcesz zatem kupić czas.

— Nie zaprzeczam. Z drugiej strony rzeczywiście go będę potrzebował.

— W takim razie ja też postawię warunki. Niech ktoś tu posprząta, zrobi jakiś remont, żeby tu było weselej. Straszny tu bałagan. Przydałoby się też beczkowe piwo.

— W porządku. Sam tego dopilnuję.

— W takim razie zgoda. Zobaczmy, kto ma pierwszy ruch.

Martin zaczął przekładać pod stołem czarnego i białego pionka z ręki do ręki. Potem wyciągnął zaciśnięte pięści i podsunął je Tlingelowi. Ten pochylił łeb i lekko stuknął czarnym rogiem w lewą dłoń Martina.

— Pasuje do mojej lśniącej i błyszczącej skóry — oznajmił jednorożec.

Martin uśmiechnął się, rozstawiając dla siebie białe, a przeciwnikowi czarne. Gdy tylko skończył, natychmiast postawił swojego piona na d4.

W odpowiedzi Tlingel przesunął czarnym kopytem swojego królewskiego piona na d5.

— Teraz pewnie przez miesiąc zastanawiać się będziesz nad następnym ruchem?

Martin bez słowa postawił skoczka na c3. Tlingel momentalnie odpowiedział koniem na c6.

Martin pociągnął kolejnego łyka i umieścił gońca na g5. Jednorożec przesunął drugiego skoczka na f6. Martin natychmiast wykonał rozsadę, a Tlingel zabił białego piona skoczkiem.

— Poradzilibyśmy sobie — odezwał się nagle Martin — gdybyś tylko dał nam trochę spokoju. Potrafimy uczyć się na własnych błędach, trzeba tylko czasu.

— Istoty mityczne niezupełnie istnieją w czasie. Wasz świat to przypadek szczególny.

— A wy nigdy nie popełniacie błędów?

— Nawet jeśli, to jest w nich poezja.

Martin prychnął pogardliwie i postawił piona na e4. Tlingel momentalnie skontrolował to skoczkiem na e3.

— Muszę zrobić przerwę — oznajmił Martin, podnosząc się z krzesła. — Zaczynam się denerwować, a to wpłynie na grę.

— Zatem idziesz?

— Tak.

Ruszył po plecak.

— Zobaczmy się za miesiąc?

— Zgadza się.

— W porządku.

Jednorożec uniósł się. Kopyta zadudniły po podłodze, a powłoka mitycznego stwora znów zalśniła tysiącem ogników. Nagle wszystkie rozbłysły i wystrzeliły we wszystkich kierunkach jak bezgłośna eksplozja. Po chwili, tak samo nagle, zapadła ciemność.

Martin opierał się o ścianę, drżąc na całym ciele. Odsłoniwszy oczy, stwierdził, że jest sam, nie licząc skoczków, gońców, króli, hetmanów, wież i piechoty.

Wybiegł, jakby go ktoś gonił.

Po trzech dniach Martin wrócił małą ciężarówką, przywożąc generator, drewno, okna, narzędzia elektryczne, farby, środki czyszczące, wosk. Odkurzył i wymienił boazerie. Założył okna. Wypolerował mosiężną poręcz. Startł starą i położył nową farbę. Nawoskował i wyfroterował podłogi. Pozatykał dziury i umył szklanki. Wywiózł wszystkie śmieci.

Zajął mu to ponad pół tygodnia, ale teraz pomieszczenie z rupieciarni ponownie przeistoczyło się w bar. Potem odjechał, zwrócił wszystkie wypożyczone narzędzia i kupił bilet na północny zachód.

Wielki, wilgotny las był również jednym z jego ulubionych miejsc wędrówki i przemyśleń. Poszukiwał zupełnie innej scenerii, całkowicie odmiennego otoczenia. I nie chodziło o to, że następny ruch nie wydawał się oczywisty, nawet szkolny. Coś jednak nie dawało mu spokoju...

Zrozumiał, że ta partia to coś więcej niż zwykła gra. Zanim to do niego dotarło, gotów był jeszcze raz uciekać, oddawać się ospałym wędrówkom wśród cieni, napawać się czystym powietrzem.

Odpoczywając, oparty o sterczący pień gigantycznego drzewa, wydobyl z plecaka małą szachownicę i rozstawił ją na przepchniętym w tym celu kamieniu. Padała lekka, orzeźwiająca mżawka, lecz Martina przed deszczem na razie chroniła korona drzewa.

Odtworzył otwarcie partii, aż do momentu ruchu czarnym skoczkiem na e3. Najprościej byłoby zbić drugiego konia gońcem. Nie wykonał jednak na razie tego ruchu.

Przez chwilę wpatrywał się w szachownicę. Potem poczuł, jak zaczynają mu się kleić powieki, przymknął oczy i zapadł w drzemkę. Spał może przez kilka chwil. Nie mógł potem sobie przypomnieć, jak długo.

Nagle coś wyrwało go ze snu. Nie wiedział co. Zatrzepotał powiekami, a potem znów przymknął oczy. Po chwili gwałtownie otrzeźwił.

Przed jego pochyloną głową i wbitym w szachownicę wzrokiem wyrosła para ogromnych, bosych, owłosionych stóp, jakich jeszcze nigdy w życiu nie widział. Stały przed nim w bezruchu, lekko zwrócone w prawo.

Powoli — bardzo powoli — podniósł wzrok. Nie musiał jednak sięgać wysoko. Stwór miał grubo poniżej półtora metra wzrostu. Martin przyjrzał mu się dokładnie, wykorzystując fakt, że istota wydawała się bardziej zainteresowana szachownicą niż nim.

Intruz nie miał na sobie odzienia, lecz cały pokryty był gęstą sierścią, która w wyliniałych miejscach odsłaniała ciemnobrązową skórę. Najwyraźniej był samcem, z niską linią brwi i głęboko osadzonymi oczami w kolorze sierści. Potężne ręce zakończone były pięciopalczastymi dłońmi, w których miedlił kciuki.

Stwór odwrócił się i spojrzał na Martina z uśmiechem odsłaniającym garnitur błyszczących zębów.

— Biały pion powinien zbić czarnego piona — powiedział cichym, nosowym głosem.

— Ależ skąd — mruknął Martin. — Wtedy skoczek bierze gońca.

— Dobrze, to daj mi czarne i zrób ten ruch. Rozniosę cię w pył.

Martin jeszcze raz rzucił okiem na stopy przybysza.

— ...albo wezmę białe i zbiję tego piona. Wtedy też cię załatwię.

— Dobra, niech będzie — odpowiedział Martin, podnosząc się. — Zobaczymy, czy w ogóle wiesz, o czym mówisz. — Sięgnął do plecaka. — Masz ochotę na piwo?

— Na co?

— To taki drobny stymulator. Poczekaj chwilkę.

Zanim skończyli kartonik z sześcioma puszkami, sasquatch — o imieniu Grend — zdążył już dołożyć Martinowi. Najpierw z impetem przeszedł do środkowej części partii i bezlitośnie ogrywając Martina, zepchnął go na bardzo niepewne pozycje, gdzie jedynym wyjściem było poddanie króla.

— Ale miazga — stwierdził Martin i oparłszy się o pień, patrzył na nieco małą kształt twarzy stwora.

— Cóż — nieźli z nas, wielkich stóp, szachiści. To nasza główna rozrywka, ale takie z nas ćwoki, że nie chce nam się robić szachownic ani figur. Większość partii rozgrywamy w pamięci. Niewielu nam jednak może dorównać.

— A jednorożce? — odważył się Martin.

— Ci tak, z nimi można pograć. Ich gra jest może trochę za delikatna, ale za to wyrafinowana. Chociaż są zbyt pewni siebie, nawet gdy nie mają racji. Niestety, nie widziałem ich od czasu opuszczenia krainy świtu. Masz jeszcze trochę tego piwa?

— Przykro mi. Ale wiesz co? Będę tu z powrotem za miesiąc. Jeśli chcesz, możemy się umówić na partyjkę, a ja wezmę ze sobą piwo.

— Umowa stoi. O, przepraszam. Nie chciałem przydepnąć ci palców.

Martin jeszcze raz posprzątał w barze i wtoczył beczkę piwa. Umieścił ją pod ladą i obłożył lodem. Wniósł też kilka stołków barowych, krzeseł i stołów, kupionych wcześniej w sklepie Goodwilla. Zawiesił czerwone zasłony. Zapadł już zmrok. Rozstawił szachownicę, zjadł lekki posiłek, rozwinął śpiwór za barem i tam spędził noc.

Następny dzień minął szybko. Tlingel mógł zjawić się w każdej chwili, więc Martin nie oddalał się z miejsca. Na zmianę jadłi rozwiązywał zadania szachowe. Gdy zaczął zapadać zmierzch, zapalił lampy naftowe i świece.

Coraz częściej spoglądał na zegarek. Wstał i niecierpliwie obszedł kilka razy wnętrze. Nie mógł się przecież mylić. To był ten dzień. Przecież...

Usłyszał chrząknięcie.

Odwróciwszy się zobaczył czarny łeb jednorożca kołyszący się nad szachownicą. Stopniowo materializowała się reszta.

— Dobry wieczór, Martin. — Tlingel odwrócił wzrok od szachownicy. — Trochę tu lepiej wygląda. Przydałaby się jakaś muzyka...

Martin podszedł do lady i włączył przywieziony odbiornik tranzystorowy. Wnętrze wypełniły dźwięki kwartetu smyczkowego. Przez pysk Tlingela przebiegł grymas.

— Nie za bardzo pasuje do nastroju wnętrza.

Na innej stacji nadawano transmisję z koncertu country.

— Może lepiej nie. Ten odbiornik nie nadaje się do słuchania muzyki.

Wyłączył radio.

— Czy napoje zgromadzono w odpowiednich ilościach?

Martin wyciągnął prawie pięciolitrowy dzban, największy, jaki znalazł w sklepie z

nowinkami, i postawił go na ladzie. Sobie nalał piwa do znacznie mniejszego naczynia. Postanowił upić stwora, jeśli to w ogóle okaże się możliwe.

— Ooo, coś wygodniejszego od tych małych puszek — stwierdził z zadowoleniem Tlingel, zanurzając na chwilę pysk. — Bardzo dobre piwo.

Dzban był już pusty. Martin napełnił go ponownie.

— Byłbyś tak miły podać je na stół?

— Nie ma sprawy.

— I jak minął miesiąc?

— Nie najgorzej.

— Przemyślałeś swój ruch?

— Tak.

— No to zabierajmy się do gry. Martin usiadł naprzeciw i zbił piona.

— Ciekawy ruch.

Tlingel wpatrywał się w szachownicę przez dłuższą chwilę, aż wreszcie rozszczępionym kopytem sięgnął po figurę.

— Zbiję gońca tym małym skoczkiem. Teraz pewnie znowu poprosisz o miesiąc do namysłu?

Tlingel przechylił łeb i wysuszył dzban.

— Zastanowię się nad tym — odparł Martin — a tymczasem ci naleję.

Martin trzykrotnie jeszcze dolał piwa Tlingelowi. W przerwach siadał nad szachownicą, nie zaprzatając sobie jednak głowy przemyśliwaniem następnego ruchu. Po prostu czekał. W partii z Grendem sam zagrał jak Tlingel, więc następny ruch był już gotowy.

— No i? — nie wytrzymał w końcu Tlingel. — Do czego doszedłeś?

Martin upił mały łyk.

— Jeszcze chwilę — powiedział Martin. — Piwo ci najwyraźniej służy.

Tlingel roześmiał się.

— Róg jednorożca jest jak odtrutka. Uniwersalne lekarstwo. Gdy czuję, że już jestem na rauszu, przy pomocy rogu spalam wszelki nadmiar alkoholu i pozostaję w stanie lekkiego upojenia.

— Ach, to tak się sprawy mają — powiedział Martin. — Niezła sztuczka.

— ...Jeśli masz dosyć, po prostu chwyć za mój róg i potrzymaj go przez chwilę. Zaraz będziesz w formie.

— Nic, ze mną wszystko w porządku. Przesunę tego piona o dwa pola w kierunku wieży.

— Ciekawe, ciekawe... — mruknął Tlingel. — Wiesz, czego tu brakuje? Pianina — do-re-mi-fa-sol... Może dałoby się coś załatwić?

— Nie potrafię grać.

— Niedobrze.

— Ale mógłbym wynająć muzyka.

— Nie. Nie mam ochoty pokazywać się przed innymi ludźmi.

— Dobry pianista może grać z przepaską na oczach.

— Dajmy spokój.

— Przepraszam.

— Jesteś bardzo pomysłowy. Na pewno coś wymyślisz do następnego razu.

Martin skinął głową.

— A poza tym, czy w takich miejscach jak to nie rozsypywano trocin na podłodze?

— Chyba tak.

— Szach.

Tlingel ze złym błyskiem w oku rozejrzał się po szachownicy.

— Tak. Powiedziałem „szach”? Chciałem powiedzieć „tak”. Czasami mówię „szach”, gdy mam na myśli „tak”.

— No. Chyba że tak. A skoro już jesteśmy przy grze... Tlingel przesunął piona na e3.

Martin popatrzył na szachownicę. Grend zagrał wtedy inaczej. Przez krótką chwilę rozważał, czy samemu nie podjąć wyzwania. Przyzwyczał się już do myśli, że Grend jest kimś w rodzaju trenera. W swojej naiwności i głupocie mniemał, że uda mu się pokonać jednego przy pomocy drugiego. Aż do tego ruchu. A potem stanęła mu przed oczami przegrana z sasquatchem partia.

— To by było na tyle — powiedział — biorę miesiąc wolnego.

— Napijmy się jeszcze na dobranoc. Co ty na to?

— Jasne, czemu nie?

Sączyli piwo, a Tlingel opowiadał mu o krainie świtu, o jej pierwotnych lasach i ogromnych równinach, o urwistych wzgórzach i purpurowych morzach, o magicznych i mitycznych stworach.

Martin z niedowierzaniem kręcił głową.

— Nie rozumiem więc, dlaczego wam tak zależy na Ziemi — przerwał — skoro życie w takim wspaniałym świecie.

Tlingel westchnął.

— Uznasz to pewnie za modę. Po prostu tak się robi w dzisiejszych czasach. Cóż... do zobaczenia za miesiąc.

Kształt zaczął blednąć, rozplýwać się, stał się nagle biały, później jeszcze mniej widoczny, aż wreszcie zniknął jak zjawą.

Martin ruszył do baru i nalał sobie jeszcze jeden dzban. Szkoda byłoby zmarnować to, co zostało. Następnego ranka żałował jednak, że nie ma przy nim jednorożca. Mógł chociaż zostawić róg.

W lesie było szaro i Martin musiał rozłożyć nad szachownicą parasol. Krople deszczu z rytmicznym pluskaniem uderzały o materiał. Figury ustawione były tak, jak w partii z Tlingelem, łącznie z decydującym ruchem. Martin nie był pewien, czy Grend będzie pamiętał, czy nie pomylił dnia...

— Cześć — odezwał się nosowy głos gdzieś z tyłu, po lewej stronie.

Odwróciwszy się, zobaczył Grenda gramolącego się zza drzewa, drepczącego wielkimi stopami po wielkich, wystających z ziemi korzeniach.

— A więc pamiętałeś — cieszył się Grend. — Jak to dobrze! Zakładam, że nie zapomniałeś również o piwie?

— Przytargałem całą skrzynkę. Możemy założyć bar.

— A co to takiego?

— Bar... to miejsce, gdzie ludzie przychodzą coś wypić... pod dachem, nie na deszczu... z przyciemnionym, nastrojowym światłem... siada się na wysokich

stołkach przed wielką ladą, albo przy stolikach... rozmawia się... czasami słucha muzyki... i pije.

— I my to będziemy tu mieli?

— My nie. Nam zostanie tylko mrok i coś do picia. Chyba że dla ciebie deszcz jest muzyką. Mówiłem przenośnie.

— Ach, tak. Tak czy inaczej warto by było tam wpaść któregoś dnia.

— Rzeczywiście. Jeśli byłbyś tak uprzejmy potrzymać ten parasol nad szachownicą, to zrobię co się da, żeby to miejsce upodobnić to baru.

— Proszę bardzo. Słuchaj, to chyba wariant tej partii, którą ostatnio rozgrywaliśmy.

— Zgadza się. Zacząłem zastanawiać się, co się stanie, jeśli zamiast tamtego ruchu zagram w ten sposób.

— No, zobaczmy...

Martin wyciągnął z plecaka cztery kartony po sześć puszek każdy i otworzył pierwszą.

— Trzymaj.

— Dzięki.

Grend wziął piwo i przykucnąwszy oddał parasol Martinowi.

— Nadal mam białe?

— Tak.

— Pion na d6.

— Naprawdę?

— Mhm.

— Sądzę, że powinienem zbić tego piona tamtym.

— Pewnie tak. A ja wtedy podejść pod skoczka tym pionkiem.

— To wycofam skoczka na d2.

— ...a ja przesunę tamtego na c3. Mogę prosić o piwo?

Po pięciu kwadransach Martin poddał się. Deszcz przestał padać i Martin mógł złożyć parasol.

— Jeszcze raz?

— Tak.

Popołudnie miało się ku końcowi. Martin poczuł się bardziej rozluźniony. Następną partię grał tylko dla rozrywki. Próbował najrozmaitszych kombinacji, przewidując łatwo na kilka ruchów naprzód, tak jak wtedy, tamtego dnia...

— Pat — oznajmił w końcu Grend. — Ale to była dobra partia. Szło ci znacznie lepiej.

— Byłem mniej zestresowany. Zagramy jeszcze?

— Może za chwilę. Opowiedz mi jeszcze o barach.

Nie było wyjścia. Na zakończenie spytał:

— I jak się czujesz po tym piwie?

— Lekko wstawiony. Ale w porządku. I tak ci dosolę w trzeciej partii.

Rzeczywiście.

— Nieźle, jak na człowieka. Naprawdę nieźle. Będziesz tu za miesiąc?

— Tak.

— Świetnie. A jest szansa na piwo?

— Jeśli tylko starczy mi forsy.

— Aha. Wiesz co? Przynies trochę gipsu, odbiję w nim ślady stóp, a ty zrobisz odlewy. Pewnie można dostać za to kupę forsy.

— Pomyślę o tym.

Martin pochylił się i pozbierał figury.

— Do zobaczenia.

— Ciao.

Martin znów zajął się odkurzaniem i froterowaniem. Wtaszczył też pianolę i rozrzucił trociny po podłodze. Podłączył nową beczkę. Na ścianach rozwiesił stare plakaty i kilka koszmarnych obrazów, które wcześniej namierzył w sklepie z rupieciami. W strategicznych miejscach rozstawił spluwaczki. Gdy skończył, zasiadł przy barze i otworzył butelkę wody mineralnej. Słuchał wycia nowomeksykańskiego wiatru, ziarenek piasku uderzających o szyby. Rozmyślał o tym, czy Ziemia podejmie tę oschłą, żalobną pieśń, gdy Tlingel odkryje sposób na pozbycie się rodzaju ludzkiego, albo też — i ta myśl była bardziej nawet niepokojąca — czy następcy przywrócą świat do stanu przypominającego mityczną krainę świtu.

Głowił się nad tym przez dłuższą chwilę. Następnie podszedł do stołu i rozstawił figury na szachownicy, odtwarzając rozgrywkę aż do ostatniego ruchu. Gdy odwrócił się, żeby dokończyć sprzątanie, zobaczył ślady rozszczepionych kopyt w poprzek zasłanej trocinami podłogi.

— Dobry wieczór, Tlingel — powiedział na powitanie. — Co podać?

Jednorożec zjawił się nagle, bez wstępnych efektów pirotechnicznych. Zbliżywszy się do baru, podparł się kopytem o mosiężną poręcz.

— To, co zwykle.

Gdy Martin zaczął nalewać piwo, Tlingel omiótł wzrokiem pomieszczenie.

— Jest jeszcze sympatyczniej.

— Miło mi. Może trochę muzyki?

— Z przyjemnością.

Martin poszperał na tylnej ścianie pianoli, próbując znaleźć włącznik niewielkiego, zasilanego akumulatorem komputera, który czuwał nad mechanizmem pneumatycznym i zastępował taśmę własną pamięcią. Klawisze natychmiast ożyły.

— Doskonale — obwieścił Tlingel. — Wymyśliłeś następne posunięcie?

— Tak.

— Zatem bierzmy się do roboty.

Nalał Tlingelowi jeszcze raz do pełna i postawił obydwa naczynia na stole.

— Pion na d6 — oznajmił, przesuwając bierkę.

— Co?

— Właśnie tak.

— Chwileczkę. Muszę to przeanalizować.

— Nie ma pośpiechu.

— Biję tego piona — oznajmił Tlingel po dłuższej przerwie i następnym dzbanku.

— Wtedy ja biję tego skoczka.

Po chwili:

— Skoczek na d2 — zdecydował Tlingel.

— Skoczek na c3.

Nastąpiła niezwykle długa przerwa, po której Tlingel wreszcie przesunął skoczka na f3.

Do diabła z Grendem, zdecydował nagle Martin. Rozgrywał tę partię do tego momentu już tyle razy. Przesunął skoczka na f5.

— Zmień melodię w tym pudle — warknął Tlingel.

Martin posłusznie podszedł do pianoli.

— Ta mi się też nie podoba. Znajdź coś lepszego albo wyłącz ją!

Po trzech kolejnych próbach Martin wyłączył maszynę.

— I przynieś mi piwo.

Nalał piwa do dzbanów.

— Dobra.

Tlingel przesunął gońca na d7.

Martin musiał w tej chwili skoncentrować się nad tym, by nie pozwolić Tlingelowi na rozsadę. Postawił więc hetmana na a5. Tlingel wydał cichy, zduszony odgłos, a Martin uniósłszy głowę, zobaczył kłęb dymu wydobywający się z nozdrzy jednorożca.

— Następne piwo?

— Jeśli jesteś tak miły.

Gdy wrócił z dzbanem, Tlingel zbił skoczka gońcem. Choć nie miał się teraz nad czym zastanawiać, pozwolił sobie na dłuższą chwilę przerwy.

Wreszcie oznajmił:

— Goniec bije gońca.

— No jasne.

— Jak samopoczucie po piwku?

Tlingel chrząknął.

— Sam się przekonasz.

Wiatr znów wzmógł się, pojękiwał i wył. Słysząc było skrzywienie ścian.

— No dobrze — rzekł wreszcie Tlingel, przesuając hetmana na d2.

Martin osłupiał. Do tej pory wszystko szło dobrze, ale teraz... Słuchając podmuchów wiatru, pomyślał o tym, jak wiele ryzykuje.

— To by było na tyle — powiedział, rozpierając się wygodnie. — Ciąg dalszy za miesiąc.

Tlingel westchnął.

— Nie idź jeszcze. Przynieś mi nowy dzban. Opowiem ci o moich ostatnich wędrówkach po waszym świecie.

— Masz na myśli poszukiwanie naszych słabych stron?

— To, co zobaczyłem, było ohydne. Jak wy możecie z tym żyć?

— Trudniej to wszystko naprawić, niż myślisz. Masz jakiś pomysł, co robić?

— Przynieś piwo.

Rozmawiali tak długo, że niebo na wschodzie zaczęło szarzeć. Martin potajemnie notował słowa Tlingela. Wraz ze zbliżaniem się zmierzchu narastał jego podziw dla analitycznych umiejętności jednorożca.

Zataczając się, Tlingel wstał w końcu od stołu.

— W porządku?

— Ach, zapomniałem o odtruciu. Chwileczkę. Zaraz będę znikał.

— Poczekaj!

— O co jeszcze chodzi?

— Czy mógłbym też...?

— Ach, trzymaj.

Tlingel schylił łeb, by Martin mógł opuszkami palców chwycić róg. Natychmiast spłynęła na niego fala przyjemnego ciepła. Poddał się jej całkowicie, przymykając oczy. Rozjaśniło mu się w głowie. Narastający ból przeminął i opadło wszelkie zmęczenie z mięśni. Otworzył oczy.

— Wielkie...

Tlingela już nie było. Trzymał w dłoni garść powietrza.

— ...dzięki.

— To mój przyjaciel Rael — oznajmił Grend. — Jest gryfem.

— Zauważyłem.

Martin uklonił się. Stwór miał dziób i złociste skrzydła.

— Bardzo mi miło cię poznać, Rael.

— Mnie również — zaskrzeczała istota wysokim głosem. — Piwo jest?

— No... oczywiście.

— Opowiadałem mu o piwie — wyjaśnił Grend, jakby na swoje usprawiedliwienie. — Odstąpię mu trochę z mojej części. Nie będzie nam kibicował ani przeszkadzał.

— Oczywiście. Wszyscy twoi przyjaciele...

— Piwo! — wrzasnął Rael. — Bary!

— Nie jest zbyt bystry — szepnął Grend. — Ale to dobry kumpel. Jeśli się go wprawi w odpowiedni nastrój...

Martin otworzył pierwszy karton i podał po jednym piwie sasquatchowi i gryfowi. Rael natychmiast przebił puszkę dziobem, sapnął, beknął i wyciągnął pazur.

— Piwo! — zaskrzeczał. — Jeszcze piwa!

Martin wręczył mu następną puszkę.

— Słuchaj, to chyba wciąż ta sama partia? — stwierdził Grend, przypatrując się szachownicy. — Tak, to bardzo ciekawa sytuacja.

Delektując się piwem, Grend analizował położenie figur.

— Dobrze, że nie pada — stwierdził Martin.

— Zaraz zaczniesz, poczekaj tylko.

— Dawać piwo! — syknął Rael.

Martin, nie odwracając oczu, podał mu następną puszkę.

— Stawiam piona na f3 — oświadczył Grend.

— Chyba żartujesz.

— Nic a nic. Bijesz mojego piona swoim. Zgadza się?

— Tak...

Martin przestawił figury.

— Dobra. Teraz przekułam tego skoczka na e5.

Martin zbił go pionem.

Grend przesunął wieżę na dl.

— Szach — oznajmił.

— Tak. To jest jakieś wyjście.

Grend odchrząknął z uśmiechem.

— Odłożę zwycięstwo na później — oznajmił.

— Na pewno cię na to stać.

— Jest jeszcze piwo? — cichutko spytał Rael.

— Oczywiście.

Podając kolejną puszkę, Martin zauważył, że gryf opiera się o pień drzewa.

Po kilku chwilach zastanowienia Martin przesunął króla na c1.

— Tak, właśnie tak myślałem — zauważył Grend. — Wiesz co?

— Słucham.

— Grasz zupełnie jak jednorożce.

— Hm.

Grend postawił wieżę na h3.

Później, gdy spadł lekki deszczyk, a Grend zwycięsko dokończył partię, Martin zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili siedzą w milczeniu. Rzucił okiem na gryfa. Rael wtulił łeb pod lewe skrzydło i zapadłszy w sen, oparł się całym ciężarem o drzewo, utrzymując równowagę na jednej nodze.

— Mówiłem, że nie będzie sprawiał kłopotów.

Rozegrali jeszcze dwie partie. Piwo kończyło się, cienie wydłużyły, a Rael budził się powoli.

— Do zobaczenia za miesiąc?

— Chętnie.

— Przywiozłeś gips?

— Tak.

— No to jazda, znam dobre miejsce kawałek stąd. Lepiej, żeby ludzie nam się nie kręcili. Pomożemy ci zarobić trochę forsy.

— Na piwo? — spytał Rael, podnosząc skrzydło.

— Ale za miesiąc — odpowiedział mu Grend.

— Wsiadacie na mnie?

— Nie dałbyś rady z nami dwoma na grzbiecie — zaoponował Grend. — Zresztą teraz wolałbym nie próbować.

— No to cześć — zaskrzeczał gryf i wyskoczył w górę, waląc o konary i pnie drzew, aż wreszcie przebił się przez gęstą koronę i zniknął.

— Naprawdę porządny gość — rzekł Grend. — Wszystko dostrzega i niczego nie zapomina. Wie, jak wszystko działa — w lesie, w powietrzu, nawet w wodzie. I gotów się z tobą wszystkim podzielić, jeśli tylko zdarzy mu się coś posiadać.

— Hm — odparł Martin.

— Zmiatajmy stąd — ponaglił Grend.

— Pion na f6? Naprawdę? — zdumiał się Tlingel. — Ten pion go zaraz zmiecie.

Oczy Tlingela zwężyły się, gdy Martin postawił skoczka na d5.

— Nareszcie ta partia nabiera rumieńców — zauważył jednorożec. — Biję skoczka pionem.

Martin przesunął wieżę.

— Szach.

— Oczywiście. Następny ruch po trzech dzbanach piwa. Bądź tak uprzejmy i przynieś mi pierwszy.

Patrząc, jak Tlingel w zadumie popija piwo, Martin również popadł w zamyślenie. Czuł coś w rodzaju winy. Grał jak maszyna, ale podpierał się zdolnościami sasquatcha. Był już pewien, że jednorożec dostanie w kość. Gdy rozgrywał tę partię z Grendem, jego czarne przegrywały w każdej kombinacji. Tlingel to doskonały szachista, ale Grend był prawdziwym czarodziejem, w dodatku zajmującym się głównie grą w szachy w pamięci. Nie postępował więc uczciwie. Z drugiej strony powtarzał sobie, że to nie kwestia honoru. Grał, by obronić swój gatunek przed nadprzyrodzoną potęgą, która mogła wpędzić świat w trzecią wojnę przy pomocy jakiejś nadludzkiej manipulacji myślowej, czy też magicznego wirusa komputerowego. Nie mógł pozwolić sobie na chwilę słabości.

— Proszę o dzban numer dwa.

Martin przyniósł następne piwo. Gdy stwór przyglądał się szachownicy, on patrzył na niego. Po raz pierwszy zachwycił się jego pięknem. Jednorożec był niewątpliwie najwspanialszą istotą, jaką kiedykolwiek widział. Teraz, gdy już prawie wyparowywało z niego napięcie i mógł przyglądać się mu bez nie opuszczających go wcześniej obaw, pozwolił sobie na chwilę podziwu. Jeśli coś musiało zastąpić rodzaj ludzki, to można sobie było wyobrazić gorszy wybór...

— A teraz numer trzy.

— Już się robi.

Tlingel wypił do dna i przesunął króla na c1. Martin natychmiast przechylił się ku szachownicy i przesunął wieżę na h3.

Tlingel uniósł wzrok i przyjrzał mu się uważnie.

— Niezły ruch.

Martinomalże nie spalił się ze wstydu. Stwór emanował wręcz szlachetnością. Tak bardzo pragnąłby rozegrać i wygrać tę partię po swojemu, uczciwie. A nie w taki sposób.

Tlingel ponownie przyjrzał się szachownicy i po chwili, jak gdyby niedbałym ruchem, przestawił skoczka na d5.

— Twoja kolej. Chyba że bierzesz miesiąc urlopu.

Martin wydał cichy jęk i przesunął wieżę, zbijając skoczka.

— Oczywiście.

Tlingel zbił wieżę pionem. Gdy wykonywał ten ruch, wiatr podjął swoją skrzekliwą pieśń gdzieś w górze, wśród wałących się domów.

— Szach — ogłosił.

Do diabła z tym! Martin podjął nagłą decyzję. Sam jestem na tyle dobry, żeby rozegrać tę końcówkę. Zaczynamy.

Patrzył w skupieniu, czekając na ruch przeciwnika, aż wreszcie zobaczył, że Tlingel przesunął króla na b1.

Postawił gońca na a6. Tlingel przemieścił hetmana na d2. Znow odezwało się skrzypienie wiatru, tym razem gdzieś bliżej. Martin zbił piona gońcem.

Jednorożec uniósł głowę i zdawał się przez chwilę nasłuchiwać. Pochyliwszy się znow, zbił gońca królem.

Martin przesunął wieżę na b3.

— Szach.

Tlingel wycofał króla na c1. Martin przesunął wieżę na c3.

— Szach.

Tlingel ustawił króla na b2. Martin powrócił wieżą na b3.

— Szach.

Tlingel wycofał króla na c1, podniósł wzrok i popatrzył na Martina, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Wygląda na to, że mamy remis — oznajmił jednorożec. — Jeszcze jedną partyjkę?

— Tak, ale już nie o los ludzkości.

— Ach, zapomnij o tym. Już dawno porzuciłem tę myśl. Przekonałem się, że i tak nie mógłbym tu żyć. Jestem trochę bardziej wybredny. Z jednym wyjątkiem: tego baru. — Tlingel odwrócił się gwałtownie, gdy spod drzwi dobiegł nagle wrzaskliwy dźwięk, a potem nastąpiła seria dziwnych odgłosów. — Co to było?

— Nie wiem — odparł Martin, podnosząc się z krzesła. Drzwi otworzyły się na oścież i do środka wkroczył gryf.

— Martin — wrzasnął. — Piwo! Piwo!

— Och — Tlingel, to Rael i, i...

Rael przybył w towarzystwie trzech innych gryfów. Za nimi wmaszerował Grend i jego trzech współbraci.

— ...a to jest Grend — przedstawiał chaotycznie Martin. — Niestety, pozostałych nie znam.

Gdy ujrzeli jednorożca, wszyscy stanęli jak wryci.

— Tlingel — odezwał się jeden z sasquatchów — myślałem, że jeszcze nie opuściłeś krainy świtu.

— Nadal nie, w pewnym sensie. Jak to się stało, Martin, że znasz moich rodaków?

— Cóż... Grend jest moim trenerem szachowym.

— Aha! Zdaje mi się, że zaczynam rozumieć.

— Chyba nie do końca. Ale pozwól mi najpierw poczęstować gości.

Martin włączył pianolę i zaopatrzył wszystkich w odpowiednie naczynia.

— Jak wyście tu trafili? — spytał w tym czasie Grenda. — I jak odkryliście to miejsce?

— Cóż... — Grend wydawał się lekko zakłopotany. — Rael poleciał za tobą.

— Poleciał za odrzutowcem?

— Gryfy potrafią latać z nadprzyrodzoną szybkością.

— Ach, tak.

— W każdym razie opowiedział o wszystkim swoim krewnym kilku moim współbraciom. Gdy okazało się, że gryfy za wszelką cenę pragną cię odwiedzić, postanowiliśmy polecieć z nimi, by uchronić je od kłopotów. Właściwie, to przylecieliśmy na nich.

— Tak... rozumiem. To bardzo ciekawe.

— Nic dziwnego, że grałeś jak jednorożec. Ta jedna partia, z tymi wszystkimi kombinacjami.

— No cóż... zgadza się.

Martin odwrócił się i stanął w przeciwległym rogu baru.

— Witam was wszystkich serdecznie — rozpoczął. — Chciałbym zaznajomić was z pewnym obwieszczeniem. Tlingel, jakiś czas temu wygłosiłeś kilka uwag dotyczących możliwych katastrof ekologicznych, związanych z urbanizacją, a także niektórymi mniej istotnymi problemami. Wskazałeś również na możliwe środki zaradcze.

— Tak, pamiętam — odezwał się jednorożec.

— Przekazałem je mojemu przyjacielowi w Waszyngtonie, z którym należeliśmy kiedyś do klubu szachowego. Wspomniałem oczywiście, że nie są całkowicie mojego autorstwa.

— Spodziewam się.

— Mój znajomy zaproponował, by utworzyć grupę doradczą składającą się z osób opracowujących dalsze raporty. Dodał, że nie będzie to zajęcie bezpłatne.

— Nie przybyłem tu, by zbawiać świat — zaproponował Tlingel.

— Wiem, ale okazałeś się bardzo pomocny. Grend z kolei wspomniał, że gryfy, choć ich słownictwo nie jest może zbyt bogate, wiedzą niemal wszystko, co należy wiedzieć o ochronie środowiska.

— Zapewne tak.

— Skoro one również odziedziczyły kawałek Ziemi, dla własnego dobra powinny współdziałać na rzecz jej ocalenia. Wykorzystując fakt, że zebraliśmy się tu wszyscy, to oszczędzając na moich delegacjach, chciałbym zaproponować, byście spotykali się ze mną — na przykład tutaj, raz w miesiącu — i dzielili się waszymi nieocenionymi przemyśleniami. Jestem pewien, że potrafiacie powiedzieć więcej o mechanizmach wymierania gatunków niż jakikolwiek specjalista.

— Samo się rozumie — odezwał się Tlingel, wymachując dzbanem — musimy jednak skontaktować się również z yeti. Mogę się tym zająć. Czy ten kawałek pochodzi z tej grającej szafy?

— Tak.

— Całkiem niezły. Gdy utworzymy tę grupę doradczą, to czy starczy ci forsy na utrzymywanie tej budy?

— Kupię całe miasto.

Grend pogawędził chwilę z gryfami, wydając przy tym urywane dźwięki wprost z trzewi. Jego rozmówcy wyskrzeczeli swoją odpowiedź.

— No to masz już grupę doradczą — przetłumaczył — żądają tylko piwa.

Martin odwrócił się do Tlingela.

— To były twoje spostrzeżenia. Co ty sam o tym myślisz?

— Mogłoby być fajnie — odparł jednorożec — wpaść tu od czasu do czasu. — Po chwili dodał: — To tyle, jeśli chodzi o zbawianie świata. Mówiłeś coś o następnej partii?

— Nie mam nic do stracenia.

Grend zajął się obsługą baru, a Tlingel i Martin wrócili do stołu.

Rozgromił jednorożca w trzydziestu jeden posunięciach i po skończeniu partii chwycił za podany róg.

Klawisze pianoli podnosiły się i opadały. Na ladzie brzęczały maleńkie sfinksy, spijając pianę.

Wracając do samej partii: rozegrano ją w Monachium, w 1900 roku. Przeciwnikami byli Halprin i Pillsbury. Pillsbury był mocniejszym graczem. Pokonał wielu bardzo dobrych szachistów i jego ostatnim przeciwnikiem miał być właśnie Halprin. Jednak dwóch innych graczy, depreczających Pillsbury'emu po piętach w klasyfikacji turnieju, postanowiło dać mu nauczkę. W wieczór poprzedzający grę rozegrali treningową partię z Halprinem, przekazując mu całą dostępną im wiedzę na temat stylu gry Pillsbury'ego. Następnego dnia Pillsbury stanął oko w oko ze znacznie lepiej, niż przypuszczał, przygotowanym Halprinem. Pillsbury przez niemal całą grę nie zdawał sobie z tego sprawy, a rozradowani dowcipnisie śmiali się w kułak. Pillsbury zadziwił jednak wszystkich. Choć początkowo stracił inicjatywę, zdołał jednak doprowadzić do remisu. Był przecież bardzo dobrym szachistą. W opowiadaniu Tlingel gra czarnymi Pillsbury'ego, a Martin białymi Halprina. Z jednym wyjątkiem: Martin nie jest złym graczem. Na początku grał po prostu pod ogromną presją. Czy można mu się dziwić?

OSTATNIA Z DZIKICH

Przed wieloma laty napisałem opowiadanie pod tytułem Diabelski pojazd, opublikowane w Galaxy przez Freda Pohla. (Tytuł oryginalny brzmiał co prawda Świt szkarłatnego wahadłowca. C'est la guerre.) Minęło piętnaście lat, zanim przeczytałem książkę Rossa Santee Ziemia Apaczów. Zawierała ona rozdział o spędzie dzikich mustangów. W trakcie czytania nie opuszczała mnie myśl o tamtej historii. Wreszcie zdałem sobie sprawę, dlaczego, i wszystko się poskładało. Zrozumiałem, że muszę napisać ciąg dalszy — z akcją, naturalnie, umieszczoną piętnaście lat później. Zatytułowałem je Ostatnia z dzikich i tak też uczynili, wszyscy.

Nadciągęły, snując sen o czasie i prochu, pod zimnym, błękitnym, głębokim jak morze niebem, pod rozbitym i płonącym nad zachodnimi wzgórzami słońcem, pędzone wiatrem smagającym czarty ruchomych piasków, chłodnym, turkusowym, zapierającym dech w piersiach zachodnim wiatrem. Na łysych oponach, zepsutych resorach, z powyginaną blachą, odrapanym lakierem, powybijanymi oknami, z czarno-szaro-białymi rurami wydechowymi, wypuszczającymi wstęgę spalin ku południu, skąd je dziś przyprawiono. Teraz sznur pojazdów, wygięte, haczykowane palce ognia, wysoko, przed nimi. Nadciągęły wreszcie, ostatnie, pogruchothane, niegdyś kwitnące, teraz powiędłe, przebywszy całą drogę od blasku do tłących się zgliszcz, wzgardzone przez umykających kuzynów.

Murdock leżał na brzuchu na szczycie góry, oglądając przez silną lornetkę nadciągające stado. Za nim, w wyschniętym korycie strumienia, stał Anioł Śmierci — naoliwiony, chromowany, z kuloodpornym szkłem, z wysuniętym działem laserowym i dwiema taśmami przebijających hartowaną stal pocisków — jak odpędzany miraż błyszczący w promieniach słońca, drżący, wyrrywający się na przekór rzeczywistości.

Prowadzono je ku krainie wzgórz, łańcuchów górskich, głębokich kanionów. Wkrótce czekał je wybór. Mogły wjechać do kanionu usytuowanego nieco poniżej lub do następnego, położonego bardziej na wschód. Mogły też rozbić się na dwie grupy i zająć obydwie. Efekt byłby ten sam. Na innych szczytach trwali w oczekiwaniu inni uzbrojeni obserwatorzy.

W oczekiwaniu na wybór Murdock prześliznął się we wspomnieniach po zdarzeniach z ostatnich piętnastu lat, jakie minęły od zniszczenia Diabelskiego Wozu na cmentarzysku wraków. Od dwudziestu pięciu lat poświęcał życie ściganiu dzikich pojazdów. W tym czasie stał się uznanym w całym świecie specjalistą od hord samochodów — ich środowiska, psychologii, technik obsługi i tankowania. Opanował dosłownie całą dostępną wiedzę na temat ich zachowań, z wyjątkiem jedynie istoty tej początkowej usterki, która zdarzyła się w owym nieszczęsnym roku i która spowodowała błąd w przekazywanym drogą radiową programie, rozprzestrzeniającym się jak wirus wśród skomputeryzowanych pojazdów. Nie wszystkie pojazdy poddały się, co tym bardziej przywodziło na myśl analogię z

chorobą zakaźną. Niektóre w dodatku wyzdrowiały; odnajdywano je jakiegoś ranka w garażach, przed domami, poobijane, ale nadal gotowe do użytku, niezbyt chętne do zdawania sprawozdań z ostatnich dni. Wyrwawszy się bowiem z niewoli, zabijały i rabowały, zamieniając stacje obsługi w fortece, punkty sprzedaży w warowne obozowiska. Czarny cadillac woził nawet szczątki kierowcy, uwięzionego we wnętrzu dawno temu.

Murdock poczuł w dole rosnącą wibrację. Odłożył niepotrzebną już lornetkę i starał się przebić wzrokiem tumany wzniesianego wiatrem kurzu. Po kilku chwilach usłyszał dźwięk, pulsujący w każdej komórce jego ciała: ponad tysiąc ryczących silników, zgrzyt zmienianych biegów, odgłosy tarcia i łoskot zderzeń. Ostatnia dzika horda rwała ku swemu przeznaczeniu. Cwierć wieku czekał na ten dzień, wyruszywszy na szlak po śmierci brata. Nic pamiętał już, ile rozwalił wozów. A teraz...

Przypomniawszy sobie te wszystkie dni wypełnione inwigilacją, podchodami, obserwacją i przygotowywaniem nagrań. Musiał ćwiczyć opanowanie, cierpliwość, samokontrolę wtedy, gdy jego największym marzeniem była natychmiastowa likwidacja przeciwników. Jednak te lata oczekiwań miały też dobrą stronę: dzisiejszy dzień będzie nagrodą, będzie ostatnim dniem dla ostatniej z dzikich. A jednak rzeczy, które pamiętał, pozostawią na zawsze dziwne ślady na przebytej drodze.

Patrząc na zbliżające się pojazdy, przypomniał sobie walkę o przywództwo, jaka toczyła się w obrębie śledzonych przez niego hord. Nie raz i nie dwa widział, jak pokonany wóz wycofuje się z walki, gdy jej wynik jest już przesądzony, z potrzaskaną maską, rozwalonym bagażnikiem, wybitymi reflektorami, pogiętą i przeciekającą karoserią. Nowy przywódca tymczasem wykonywał wokół niego zwycięską rundę, wygrywając na klaksonie swoje zwycięstwo, swoje mistrzostwo. Pokonany zaś, któremu odmówiono naprawy w magazynie części zapasowych należących do hordy, czasami włókł się dalej za pozostałymi, jak wygnaniec. Niekiedy przyjmowano go z powrotem, gdy wytropił coś wartego rabunku. Częściej jednak musiał wędrować samotnie przez równiny, nigdy nie odzyskując utraconej sprawności. Gdy któregoś dnia natknął się na taki właśnie pojazd, zaczął zastanawiać się, czy zmierza on ku jeszcze jednemu cmentarzysku wraków. Ze zdziwieniem przekonał się, że samochód zatrzymuje się na płaskiej krawędzi szczytu, z maską zwróconą ku otchłani, wrzuca bieg, zwiększa obroty i rusza gwałtownie przed siebie, nurkując ponad krawędzią, rozbija się, wykonuje kilka przewrotów i wreszcie spada w płomieniach.

Przypomniawszy sobie też sytuację, kiedy zwycięzca nie zadowolili się jedynie częściową wygraną. Był to niebieski czterodrzwiowy wóz, który zatrzymał się w pobliżu beżowego pojazdu tego samego typu, stojącego na niskim wzgórzu w towarzystwie czterech czy pięciu sportowych wozów. Ruszając z ogromną prędkością z miejsca, rzucił wyzwanie klaksonem z odległości kilkuset metrów; w chwilę później po gwałtownym skręcie wykonał mały półobrót i ruszył w kierunku przeciwnika. Beżowy wóz w odpowiedzi na wyzwanie wykonał serię podobnych manewrów, skręcając w różnych kierunkach, trąbiąc klaksonem, robiąc kilka obrotów. Pojazdy sportowe usunęły się na bok.

Zbliżyły się do siebie w półobrotach, coraz wyraźniej zmniejszając dzielący je

dystans. Pierwszy zaatakował beżowy, tłukąc w lewą stronę przedniego zderzaka rywala. Wozy okręciły się wokół własnej osi, wpadły w poślizg, ryknęły silnikami. W chwilę później rozjechały się, wykonując manewry mające zmylić przeciwnika: podjeżdżały na niewielką odległość, gwałtownie hamując, wykonując skręt, wycofując się i znów podjeżdżając.

Przy drugim kontakcie niebieski pojazd stracił lewe tylne światło i tylny zderzak. Pozbierawszy się od razu, skręcił i uderzył z boku, niemal przebijając karoserię. Bez zwłoki wycofał się i zaatakował ponownie, nie czekając, aż przeciwnik otrząśnie się po tym zderzeniu. Beżowy wyrwał się z kleszczy i ruszył na pełnych obrotach. Znał wszystkie sztuczki, lecz przeciwnik napierał coraz mocniej, coraz szybciej, uderzając i włączając wsteczny. Z beżowego wozu dobywały się stukoty i trzaski, lecz nadal krążył, manewrował, a kolor słońca przebijającego się przez wzniesiony kurz nadawał jego karoserii odcień pokrytego patyną złotego kruszcu. Przy następnym zderzeniu zmiądzzył prawą stronę niebieskiego pojazdu. Zatrąbił klaksonem, ruszając w pościg i rozpoczynając pełny obrót.

Niebieski samochód przewidział jednak ten manewr. Ciągnąc za sobą ogon wylatującego spod tylnych kół żużlu, wyrwał ostro do przodu i uderzył w beżowy pojazd z tej samej co uprzednio strony. Gdy zaczął się wycofywać, beżowy rzucił się do ucieczki. Jego klakson gwałtownie umilkł.

Niebieski wóz zawahał się tylko przez chwilę i zaraz popędził za zbiegiem, w pełnym pędzie uderzając w jego tył. Beżowy wyrwał jeszcze bardziej do przodu, z ciekącym bakiem i klekoczącymi w zawiasach drzwiami. Niebieski nie pozwalał mu jednak oddalić się, co chwila wgryzając się w karoserię. Nagle zmienił kierunek i zbliżył się do rywala po małym łuku, uderzając ponownie w to samo miejsce. Siła ciosu sprawiła, że beżowy zatrzymał się, a kłęby pary zaczęły wydobywać się spod maski silnika. Tym razem, gdy niebieski po raz kolejny wycofał się, nie był już w stanie uciekać. Niebieski ruszył i jeszcze raz uderzył w jego zmasakrowany lewy bok. Cios oderwał go od ziemi i skierował przednią maską ku gwałtownie opadającemu zboczcu wzgórza. Wóz potoczył się w dół, zataczając i koziołkując, aż wreszcie zatrzymał się u podnóża. Po kilku sekundach jego bak eksplodował.

Niebieski pojazd zahamował z maską zwróconą ku zboczcu. Wysunął antenę, na której dostrzec można było kilka obracających się czujników, przypominając baśniowy totem sterczący w kłębach spalin. Po chwili zamknął czujniki, zwinął antenę, wydał pojedynczy dźwięk klaksonem i ruszył, by zagonić stojące nie opodal sportowe wozy w posłuszne stado.

Murdock porzucił wspomnienia. Włożył lornetkę do futerału. Teraz, gdy horda zbliżała się już do punktu zwrotnego, mógł dostrzec gołym okiem poszczególne pojazdy. Wyglądały żałośnie. W niczym nie przypominały wehikułów, które napotykał przed laty. Gdy części zamienne były w nadmiarze, przy pomocy sztucznych ramion nadawały własnej karoserii bardziej dostojny lub przerażający wygląd. Kilogram po kilogramie, dzięki wozy stały się potężniejsze od jakichkolwiek pojazdów wyprodukowanych w normalnym toku produkcji.

Każdy z łowców był oczywiście uzbrojony. W dawnych czasach prowadzono nawet różne doświadczenia. W walce z mniejszą hordą izolowano najpierw najlepsze pojazdy, rozniatając na miazgę pozostałe. Odłączając napęd komputerowy,

odholowywano je z powrotem. Jednakże wysiłki na rzecz pełnej rehabilitacji były mniej niż udane. Nawet całkowite wyczyszczenie pamięci i ponowne zaprogramowanie nie przywracało pełnej odporności na zarażenie. Murdock pamiętał nawet przypadek, gdy taki wóz zachowywał się bez zarzutu przez ponad rok, aż któregoś dnia tkwiąc w korku, pozbył się kierowcy i ruszył ku wzgórzom. Jediną alternatywą było wymontowanie całej jednostki komputerowej i zastąpienie jej nową — co było niemal nieopłacalne, gdyż jej koszt przewyższał bez porównania cenę pozostałych części.

Nie tutaj więc trzeba było szukać rozwiązania. I chyba jedynym było to, które musiało nastąpić: ciągły pościg i atak, systematyczna eksterminacja hord. W ciągu tych lat wzrósł w nim szacunek dla przebiegłych i odważnych przywódców. W miarę, jak liczebność hord malała, ich spryt i okrucieństwo stały się niemal legendarne. Murdock w koszmarach sennych niekiedy sam przeistaczał się w jednego z nich, uzbrojonego po zęby, wiodącego swą horde przez rozległe równiny. Innym razem był samotnym, czerwonym samochodem — wygnańcem.

Horda zmieniła kurs. Murdock z nagłym żalem przekonał się, że samochody kierują się w stronę odległego, wschodniego kanionu. Podrapał się po szpakowatej brodzie i zakławszy pod nosem, sięgnął po laskę. Naturalnie wystarczy czasu na dotarcie do tamtego kanionu, ale...

Nie! Pojazdy rozdzieliły się i część z nich ruszyła w tę stronę!

Wyprostował się, uśmiechając do siebie, i pokuśtykał żwawo w dół zbocza, gdzie czekał Anioł Śmierci. Wspinając się do wnętrza wehikułu, usłyszał huk rozrywających się min. Silnik zamruczał.

— Są też w sąsiednim kanionie — odezwała się maszyna cichym, dobrze modulowanym męskim głosem. — Przez cały czas prowadziłem podgląd.

— Wiem — odparł, upychając laskę. — Ruszamy w tamtą stronę. Niektóre mogą się przebić.

Gdy pojazd ruszył, pasy bezpieczeństwa przypięły go same do siedzenia.

— Chwileczkę!

Biały wehikuł zatrzymał się.

— Czy coś nie tak?

— Kierujesz się na północ.

— Musimy się przecież stąd wydostać i wjechać do następnego kanionu z innymi.

— Na południe stąd jest kilka mniejszych bocznych kanionów. Pojedziemy tamtędy. Otworzymy innym drogę.

— To oznacza ryzyko.

Murdock roześmiał się.

— Przez ćwierć wieku ryzyko towarzyszyło mi każdego dnia. Czekałem tylko na tę chwilę. Chcę jako pierwszy doprowadzić rzecz do końca. Ruszaj na południe!

Wóz zawrócił i skierował się we wskazanym kierunku. Gdy posuwali się piaszczystym dnem wyschniętego strumienia, Murdock spytał:

— Słyszysz coś?

— Tak — padła odpowiedź. — Szczęk tych, które powpadały na miny, i odgłosy tych, którzy się przebili.

— Wiedziałem, że niektórym się uda! Ilu ich jest? Co robią?

— Nadal uciekają na południe. Chyba kilkadziesiąt. Może znacznie więcej. Trudno zorientować się po tym przekazie.

Murdock chrząknął z zadowoleniem.

— Nie mają innej drogi. Muszą w końcu zawrócić. Będziemy cierpliwie czekać.

— Nie wiem, czy poradziłbym sobie ze zmasowanym atakiem — nawet jeśli nie wszystkie wozy są w pełni uzbrojone.

— Wiem, co robię — odparł Murdock. — Wyznaczyłem już pole bitwy.

Zaczął wsłuchiwać się w zduszone odgłosy dalekich wybuchów.

— Ładuj — rozkazał. — Niektóre wozy mogły zlokalizować nasz skrót.

Dwa bliźniacze rzędy świateł na tablicy rozdzielczej zamigotały najpierw na żółto, po chwili na zielono. Prawie natychmiast zgasły i zostały zastąpione pasemkami czerwonych światełek.

— Rakiety gotowe do odpalenia — zameldował głos Anioła Śmierci.

Murdock sięgnął do przełącznika.

Zapaliło się jeszcze jedno, pomarańczowe światełko, nieco większe, pulsujące.

— Działo w gotowości.

Murdock nacisnął większy przycisk umieszczony tuż pod kolbą.

— Przełączam na ręczną obsługę.

— Nie wiem, czy to rozsądne.

Murdock nic nie odpowiedział. Przez chwilę patrzył na czerwonożółte chmury, po ich lewej stronie, rzucające welon cienia, który ciągnął się wolno przed nimi.

— Zwolnij. Zaraz będziemy skręcać. Zakręt jest tam, po lewej.

Pojazd zaczął zwalniać.

— Chyba już namierzyłem drogę.

— To nie ta. Ta jest ślepa. Ale zaraz za nią jest inna. Pojedziemy właśnie tamtędy.

Zwolnili jeszcze bardziej, mijając po lewej stronie wjazd do pierwszego kanionu. Wewnątrz było ciemno, a skały wznosiły się niemal pod kątem prostym.

— Wyczuwam już następną.

— Teraz bardzo powoli. Wał do wszystkiego, co się rusza.

Murdock pochylił się do przodu i chwycił za kolbę.

Anioł Śmierci przyhamował i skręcił, zbliżając się do wąskiego wjazdu.

— Zgaś światła gotowości. Żadnych transmisji. Żadnych świateł i hałasów.

Wjechali w aleję cienia, a odległe, pulsujące odgłosy eksplozji stały się teraz bardziej wyczuwalne, niż słyszalne. Po obu stronach wyrastały skaliste ściany. Droga wiła się to w prawo, to w lewo.

Po kolejnym skręcie w prawo dostrzec można było plamę światła. Będą mogli się rozejrzeć.

— Zatrzymaj się jakieś trzy metry przed — polecił Murdock. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że mówi szeptem.

Posunęli się jeszcze kawałek i stanęli.

— Nie gaś silnika.

— Dobrze.

Murdock pochylił się, usiłując zajrzeć do wnętrza większego kanionu, utworzonego przez sterczące pod kątem prostym skały. W powietrzu unosił się pył — ciemny, na spodzie niemal czarny, mieniący się światłem jedynie z wierzchu, na

górze, gdzie jeszcze docierały promienie słońca.

— Były już tutaj — stwierdził — i zaraz zorientują się, że tkwią w pudle. W ogromnym, ale jednak w pudle. Wtedy zawrócą, a my otworzymy do nich ogień. — Murdock spojrział w lewo. — Część naszych ludzi mogłaby się rozlokować tam, na górze. Chyba muszę nawiązać łączność i nadać meldunek. Zmień kod szyfrujący.

— Skąd wiesz, że tu wrócą? Mogą tam utknąć i poczekać na was.

— Nie — odparł Murdock. — Za dobrze je znam. Ruszą prosto na nas.

— Jesteś pewien, że nie ma tam innych odgałęzień?

— Na zachód nie. Może jakieś przejście wiedzie na wschód, lecz jeśli spróbują, wpadną w drugą zasadzkę. Tak czy inaczej, muszą przegrać.

— A jeśli inne wozy odetną nam tę drogę?

— Im więcej, tym weselej. Podaj mi przewód. Miej oczy i uszy otwarte, a ja nadam meldunek.

Szybko połączył się z dowódcą południowego skrzydła grupy pościgowej, prosząc o rozlokowanie oddziału uzbrojonych pojazdów pancernych we wskazanym miejscu. Dowiedział się, że oddział taki wyruszył już w kierunku zachodniego kanionu w poszukiwaniu zauważonej tam niedawno grupy samochodów. Dowódca przekazał meldunek Murdocka i zapewnił, że oddział zjawi się za kilka minut. Martin nadal wyczuwał falę uderzeniową eksplozji we wschodnim kanionie.

— W porządku — oświadczył i przerwał połączenie.

— Dotarli do końca — oznajmił Anioł w chwilę później — i krążą w miejscu. Mam ich na nasłuchu. Zaczynają podejrzewać, że nie ma wyjścia.

Murdock uśmiechnął się. Patrzył w lewo, skąd właśnie zaczęły się wynurzać pierwsze pojazdy z oddziału pościgowego. Podniósł mikrofon i zaczął wydawać polecenia.

Dopiero teraz zauważył, że przez cały czas zaciska palce na kolbie pistoletu. Cofnął dłoń, wytarł ją o spodnie i ponownie chwycił za broń.

— Nadchodzą — oznajmił Anioł Śmierci. — Zawrócili i kierują się z w naszą stronę.

Murdock spojrział w prawo i pogrążył się w oczekiwaniu. Eksterminacja trwała już od miesiąca i dziś miała się zakończyć. Nagle poczuł ogromne zmęczenie, a wraz z nim spłynęła na niego fala przygnębienia. Wpatrywał się w małe czerwone światełka i w to większe, pomarańczowe, które wciąż pulsowało.

— Zaraz je zobaczysz.

— Czy wiesz już, ile ich jest?

— Trzydzieści dwa. Nie, chwileczkę... trzydzieści jeden. Nabierają szybkości. Z ich rozmów wynika, że spodziewają się blokady.

— Czy któreś z nich były wcześniej we wschodnim kanionie?

— Tak, kilka lub kilkanaście.

Usłyszał ryk silników. Ukryty w wężynie, dostrzegł na zakręcie wąwozu pierwszy pojazd — ciemne, czterodrzwiowe auto, z pociętą blachą, niepewnie trzymające się na kołach, z wyrwaną połową dachu i bez przedniego zderzaka. Nie naciskał jeszcze spustu. Wkrótce nadszedły następne wozy: klekoczące, wypuszczające kłęby pary, przeciekające, pokryte wgnieceniami i plamami rdzy, z powybijanymi oknami, bez bagażników, z ledwo trzymającymi się na zawiasach drzwiami. Poczul dziwny

skurcz w sercu, gdy pomyślał o ich znacznie wspanialszych poprzednikach, których śledził przez te wszystkie lata.

Choć pierwszy pojazd ciągnął dokładnie na wprost niego, nie otwierał jeszcze ognia. Nagle wrócił myślami do Diabelskiego Wozu i Jenny. Szkarłatnej Damy, towarzyszkii łowów.

Pierwszy pojazd z watahy dotarł już do miejsca, gdzie czekała na niego zasadzka.

— Teraz? — spytał Anioł Śmierci w tej samej chwili, gdy z lewej strony odpalona została pierwsza rakietka.

— Tak.

Otworzyli ogień i rozpoczęła się rzeź. Samochody gwałtownie hamowały, ocierały się o siebie, a kanion nagle rozświetliła łuna płonących wraków, kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu.

Jeden po drugim pojazdy traciły impet i stawały w płomieniach. Trzech łowców również straciło życie, ginąc w kraksach. Martin wystrzelił już wszystkie rakiety; teraz penetrował laserem stos zgliszczy. Gdy ostatni wrak okrył się ogniem, uświadomił sobie, że — choć trudno byłoby porównywać je z potężnymi wehikułami widywanymi w dawnych czasach — nigdy nie zapomni tej ostatniej gonitwy, pojazdów jadących na łysych oponach, połamanych resorach, przeciekających skrzyniach biegów, napędzanych jedynie nienawiścią.

Gwałtownym ruchem skierował działo laserowe w drugą stronę i wystrzelił.

— Co się stało? — spytał Anioł Śmierci.

— Z tyłu jest jeszcze jeden. Nie udało ci się go namierzyć?

— Sprawdzę... nie, nic nie ma.

— Ruszamy.

Gdy tylko skręcili w prawo i ujechali kawałek, w radiu pojawiły się trzaski.

— Murdoch, dokąd jedziesz? — głos należał do jednego z ukrytych na tyłach łowców.

— Wydaje mi się, że coś tam widzę. Pojadę sprawdzić.

— Nie mogę dać ci eskorty, dopóki nie usuniemy kilku wraków.

— Nie ma sprawy.

— Ile zostało ci rakiet?

Obrzucił spojrzeniem deskę rozdzielczą, na której pulsowało spokojnie tylko jedno, pomarańczowe światełko.

— Wystarczy.

— Czemu nie chcesz poczekać?

Murdock ironicznie chrząknął.

— Czy naprawdę myślisz, że ten złom mógłby zagrozić Aniołowi? Zaraz wracam.

Ruszyli w kierunku zakrętu. Ostatnie promienie słońca kładły się na samym szczycie wschodniej korony wąwozu. Cisza.

— Masz coś? — spytał.

— Nic. Włączyć światła?

— Nie.

Odgłosy wystrzałów słabły w miarę oddalania się na wschód. Anioł Śmierci zwolnił, gdy zbliżyli się do szerokiej ciemnej otchłani po lewej stronie.

— Ten korytarz może prowadzić z wąwozu. Skręcamy czy dalej prosto?

— Masz coś na przyrządach?

— Nie.

— To jedziemy prosto.

Przy każdym skręcie Murdock z palcem na spuście kierował lufę działa w miejsca, gdzie potencjalnie mógł tlić się opór.

— Nie da rady — oznajmił w końcu. — Za ciemno. Włącz górny reflektor.

W mgnieniu oka ciągnący się przed nimi korytarz stanął w blasku: ciemne skały, jasnoczerwone kamienne platformy, nagie ściany — niemal jak rafa koralowa wśród fal opadającego pyłu.

— Chyba był tu ktoś już po przerwaniu ognia.

— Czy ludzie ze zmęczenia nie widują czasem rzeczy, których nie ma.?’

Murdock westchnął.

— Zgadza się, jestem zmęczony. Może się mylę. Pojedźmy jeszcze do następnego załomu.

Ruszyli dalej i dotarli do zakrętu.

Murdock wycelował i nacisnął spust, wzniecając chmurę oderwanych ze skały odłamków i piachu.

— Jest tam! Musisz go mieć na przyrządach!

— Nie. Nic nie ma.

— Teraz się na pewno nie mylę! Widziałem na własne oczy! Sprawdź czujniki. Coś nam zwiło.

— Odpowiedź negatywna. Urządzenia pracują normalnie.

Murdock trzasnął pięścią w tablicę rozdzielczą.

— Jedziemy. Coś tam jest.

Podłoże rozjechane było niezliczonymi śladami opon; nie można było nic wywnioskować.

— Zwolnij — powiedział, gdy zbliżyli się do kolejnego załomu. — Zaczynam się zastanawiać, czy to coś nie dysponuje jakimś urządzeniem zagłuszającym sygnały. A może rzeczywiście widzę duchy? Nie rozumiem, dlaczego...

— Żleb po lewej stronie. Następny po prawej.

— Wolniej! Oświetl je reflektorem.

Minęli pierwszy wyłom. Murdock skierował broń w oświetlaną reflektorem ciemność. Przed załomem korytarza znajdowały się dwie boczne odnogi, a później załom.

— Coś tam może być — pomyślał głośno. — Nie dowiemy się, zanim nie sprawdzimy. Zajrzyjmy do drugiego.

Potoczyli się dalej. Światło i wylot lufy powędrowały w przeciwnym kierunku. Następny żleb okazał się zbyt wąski na samochód. Biegł prosto, bez żadnych rozgałęzień, i wewnątrz nie było widać niczego, podejrzanego.

Murdock znów westchnął.

— Nie wiem — powiedział — ale droga kończy się za następnym załomem, dalej jest ślepa ściana. Ruszamy tam. Bądź tylko przygotowany na ewentualną ucieczkę.

Radio znów zachrypiało.

— Wszystko w porządku? — spytał głos z oddziału pościgowego.

— Nadal sprawdzam — odparł. — Na razie nic. Jeszcze mi trochę zostało.

Przerwał łączność.

— Nie mówiłeś, że...

— Wiem. Bądź gotowy do bardzo szybkiej jazdy.

Wjechali do wnętrza kanionu, omiatając go blaskiem reflektora. Miał owalny kształt; dłuższa oś miała może ze sto metrów. Pośrodku leżało kilka dużych odłamków skalnych. W bocznych ścianach widać było ciemne wgłębienia. U podnóża spoczywały wielkie zwałiska.

— W prawo. Objedziemy teren dookoła. Musimy sprawdzić skały i wgłębienia.

Przebyli może ćwierć drogi, gdy usłyszał wysoki, przejmujący odgłos wysokich obrotów innego silnika. Murdock odwrócił się. Nagle stanął mu przed oczami obraz sprzed piętnastu lat.

Do kanionu wjechał niski, czerwony czterodrzwiowy wahadłowiec, skręcając w ich stronę.

— Uciekaj! — wykrzyknął. — Jest uzbrojony! Schowaj się za tym zwałiskiem!

— Kto? Gdzie?

Murdock przełączył panel sterowania na ręczną obsługę, chwycił kierownicę i nacisnął na gaz. Anioł wyskoczył do przodu, zakręcając gwałtownie, gdy spod przyciemnionych świateł obcego pojazdu pojawiły się błyski pięćdziesięciomilimetrowych działek.

— I co teraz? — spytał, gdy tylna szyba pokryła się gwiazdeczkami stłuczonego szkła i dochodziły stamtąd odgłosy uderzeń pocisków.

— Niewiele. Obraz jest bardzo niewyraźny. Mogę dokonać przybliżonych obliczeń. Oddaj mi prowadzenie.

— Nie. Przybliżenie nic tu nie da — odrzekł Murdock, zawracając gwałtownie i chowając się za stosem kamieni.

Czerwony pojazd wstrzymał ogień, ale nie zmniejszając prędkości, wszedł ostro w zakręt.

Radio znów zachrypiało. I wtedy Murdock usłyszał głos, którego nigdy nie spodziewał się ponownie usłyszeć:

— Czy to ty, Sam? Słyszałam, że wróciłeś. Widzę, że jest z tobą ten wehikuł zbudowany specjalnie dla ciebie przez Nadinżyniera z Geeyem — twardy, sprytny i szybki. — Głos był cichy, kobiecy, złowieszczy. — A jednak nie przewidział naszego spotkania. Ani się obejrzy, gdy rozwalę mu wszystkie czujniki.

— Jenny... — wyszeptał, przyciskając pedał do podłogi i wchodząc w kolejny zakręt.

— Nie spodziewałeś się mnie jeszcze zobaczyć?

— Zawsze o tym myślałem. Od kiedy zniknęłaś. To było tak dawno.

— I przez cały czas polowałeś na nas. Dopełniłeś zemsty tamtego dnia, ale to ci nie wystarczyło. Kontynuowałeś rzeź.

— Czy miałem wybór?

Mijając miejsce, gdzie wjechał do wąwozu i rozpoczynając drugie okrążenie, uświadomił sobie, że przyrządy Jenny nie mogą być tak doskonale dostrojone jak dawniej. Chyba że...

W niewielkiej odległości przed nim nastąpił wybuch. Deszcz żużlu zabębnił o karoserię. Murdock wykręcił w ostatniej chwili, uskakując przed nowo powstałym

kraterem.

„Mam jeszcze kilka granatów — przypomniał sobie. — Tylko w którym momencie je rzucić?”

Znajdowali się teraz po przeciwnych stronach zwałiska. Jenny nie była w stanie dosięgnąć go swoimi działkami. Ani on jej.

— Mam czas, Sam.

— Co to jest? — usłyszał pytanie Anioła.

— A więc to mówi! — wykrzyknęła. — Nareszcie! Powiesz mu, Sam? Czy ja mam to zrobić?

— Już wcześniej miałem wrażenie, że to ona — zaczął Murdock — a od dawna czułem, że się jeszcze spotkamy. Była moim pierwszym wozem bojowym, jaki zbudowałem. Razem polowaliśmy na dzikie samochody.

— Pierwszym i najlepszym — dodała.

— Ale w końcu sama zdziczała — dokończył.

— Może ty też spróbujesz, Siwku? — spytała. — Wystarczy wpuścić trochę tlenu węgla do przewodów odpowietrzających. Przez jakiś czas nikt się nie dowie, że on nie żyje, a ty pryśniesz. Sam będziesz udzielał odpowiedzi, gdy nawiążą łączność. Powiesz im, że odpoczywa. Że niczego nie znaleźliście. Potem się wymkniesz i wrócisz tu. Poczekam. Pokażę ci prawdziwe życie.

— Przestań, Jenny — przerwał Murdock. Wykonał kolejny skręt, zbliżając się do przeciwnika. — Za chwilę będę cię miał na celowniku. Nie mamy wiele czasu na rozmowę.

— Nie mamy też o czym rozmawiać — odparła.

— A może jednak? Byłaś moim najlepszym samochodem. Poddaj się. Wystrzelaj wszystkie pociski. Wyrzuć granaty. Wróć do mnie. Nie chcę cię zniszczyć.

— Tylko zafundować małą lobotomię, co?

Nastąpił kolejny wybuch, tym razem z tyłu. Dystans zmniejszył się.

— To ten program wirusowy — powiedział. — Jenny, jesteś ostatnia... jesteś ostatnim dzikim wozem. Nie masz nic do wygrania.

— Ani do stracenia — odrzekła cicho.

Następny wybuch nastąpił tuż obok. Anioł zakołysał się, lecz nie zwolnił. Z jedną ręką na kierownicy Murdock dotknął palcem spustu.

— Przestała zagłuszać czujniki — oznajmił Anioł.

— Może przepaliły się jej systemy — powiedział Murdoch, przekładając broń.

Przyspieszył, wykonując gwałtowne skręty wokół zwałiska, ratując się przed wpadnięciem w nowe kratery. Promień reflektora kołysał się, tańczył, rzucając na urwiste skały projekcję baśniowych cieni. Odległość między nim a Jenny wciąż malała. Z tyłu rozerwał się kolejny granat. Wreszcie spośród warstw pyłu i kurzu wyłonił się odpowiedni moment na oddanie strzału. Nacisnął spust.

Promień odbił się daleko od celu i uderzając w ścianę, spowodował małą lawinę kamieni.

— To było ostrzeżenie — powiedział. — Wyrzuć granaty. Rozładuj broń. Wracaj do mnie. To twoja ostatnia szansa.

— Tylko jedno z nas opuści to miejsce, Sam — odparła. Ponownie wycelował i wystrzelił przy kolejnym skręcie, lecz promień, trafiwszy w kocioł, poszedł za

wysoko w górę i wypalił się na ławicy piachu.

— Niezła spluwa — skomentowała Jenny. — Szkoda, że ja takiej nie miałam.

— Opracowano je później.

— Jakież to pech, że nie możesz zaufać swojemu autu i musisz polegać tylko na sobie. Twój samochód nie chybiłby.

— Być może — mruknął Murdoch, podskakując przy kolejnym skręcie.

Znów dwa niespodziewane wybuchy. Grad skał posypał się na karoserię. Obydwa okna po prawej stronie pokryły się pajęczyną rys. Murdock uskoczył w bok, osłepiony światłem i uniesionymi odłamkami skał.

Chwyciwszy kierownicę obiema dłońmi, starał się opanować pojazd. Nacisnął do końca pedał gazu. Mijając zwietrzałą skałę, zwalniając i wykonując skręty, dostrzegł przez mgnienie oka, że Jenny z ogromną szybkością pędzi ku wyjściu z kanionu.

Nacisnął znów na gaz i ruszył za nią. Zanim zdążył chwycić za broń, już jej nie było.

— Przełącz na sterowanie automatyczne, łatwiej będzie ci strzelać — zaproponował Anioł.

— Nie mogę — odparł Martin, pędząc ku wyjściu. — Jeśli wtedy włączyłaby zagłuszanie, byłoby po nas.

— To jedyny powód?

— Tak, to zbyt ryzykowne.

Gdy wjechał w przesmyk. Jenny zdążyła już zniknąć.

— No i? — spytał. — Co mówią czujniki?

— Schowała się w wyłomie po prawej. Czuję tam ciepło.

Martin powoli ruszył w tamtym kierunku.

— Zapewne tu się ukryła, gdy przejeżdżaliśmy — domyślił się Murdock. — Może to pułapka?

— Nie lepiej wezwać pomoc, zatarasować wyjazd i poczekać?

— Nie!

Murdock wykonał zwrot kierownicą i skierował reflektor do wnętrza korytarza. Nie dostrzegł Jenny, ale mogła ukryć się w jednej z bocznych odnóg. Ostrożnie posunął się o kilka metrów, wjeżdżając w korytarz. Zacisnął prawą dłoń na rękojeści broni.

Zaglądał do każdego wyłomu. Samochód z łatwością mógł się tam zmieścić, ale wszystkie były puste.

Pokonał prowadzący w prawo załom. Nie zdążył jednak wyprowadzić na prostą całej długości pojazdu, gdy z przodu, z lewej strony, nastąpiła kanonada. Natychmiast nacisnął hamulec i obrócił działo. Ale zanim zdążył wymierzyć, silnik Jenny ryknął po chwili uśpienia i Murdock dojrzał tylko czerwoną wstęgę przecinającą mu drogę i znikającą w innym wyłomie. Znów nacisnął gaz i ruszył w pościg.

Jenny zniknęła z pola widzenia, ale Murdock słyszał dochodzące z oddali odgłosy silnika. W miarę upływu czasu droga stawała się coraz szersza. Wreszcie zakończyła się rozwidleniem przy kamiennej platformie. Jedna odnoga odchodziła wzdłuż skały, a druga skręcała pod ostrym kątem w lewo. Zwolnił, nie będąc pewien, którą wybrać.

— Skąd dochodzi ciepło?

— I stąd, i stamtąd. Nie rozumiem tego.

Nagle czerwony pojazd wyskoczył z lewej strony, bryzgając ogniem. Anioł zadygotał cały, gdy dostali. Murdock nacisnął na spust, ale Jenny przemknęła obok, skręciła i popędziła w prawo.

— Zanim przyjechaliśmy, zdążyła zrobić koło i zmyliła czujniki. Zyskała przez to na czasie.

— I udało się jej — dodał, ruszając znów z miejsca. — Jest cholernie przebiegła.

— Nadal możemy zawrócić.

Murdock nie odpowiedział.

Dwukrotnie jeszcze Jenny zaczęła się w zasadzce, by wystrzelić krótką serię i umknąć przed palącym promieniem. Gdy ruszyli, spod maski dał się słyszeć przerywany stukot i jedna z kontrolki na desce rozdzielczej zasygnalizowała przegrzanie silnika.

— Nic groźnego — obwieścił Anioł. — Poradzę sobie.

— Daj mi znać, jeśli się pogorszy.

— Oczywiście.

Kierując się w stronę, z której dochodziło ciepło, odbili nieco w lewo. Zjeżdżali teraz rozszerzającym się piaszczystym zboczem, mijając kamienne zamki, katedry i minarety, ciemne lub blade, poszatkwane i nakrapiane plamkami miki, wyglądającymi jak pierwsze krople letniej burzy. W końcu dotarli do podnóża, obrócili się wokół własnej osi i przystanęli, buksując kołami.

Murdock omiół reflektorem ciemność. Zewsząd otoczyły ich groteskowe cienie, podskakujące jak w tanecznym kręgu.

— To namuł. Syпки piach. Ale Jenny nie widać.

Murdock zmienił bieg. Pojazd zakołysał się, ale ani drgnął.

— Oddaj mi prowadzenie — zaproponował Anioł. — Mam specjalny program na takie sytuacje.

Murdock nacisnął przełącznik. Samochód znów zaczął się kołysać. Trwało to pełną minutę, aż wreszcie kontrolka temperatury znów zaczęła migotać.

— To tyle, jeśli chodzi o program. Wygląda na to, że muszę wysiąść i cię popchnąć.

— Nie. Wezwij pomoc. Lepiej zostać w środku. Jeśli wróci, zawsze mamy działo.

— Zdążę wskoczyć do środka. Musimy jechać dalej.

Gdy sięgnął do drzwi, usłyszał kliknięcie blokady.

— Otwieraj — zażądał Murdock. — Inaczej cię wyłączę, wysiądę i znowu włączę od zewnątrz. Tracisz tylko czas.

— Myślę, że popełniasz błąd.

— No to dalej, nie ma na co czekać.

— Dobra. Zostaw drzwi otwarte. — Znów nastąpiło kliknięcie. — Poczuję, gdy zaczniesz pchać. Ten piach cię udusi.

— Mam szalik.

Murdock wysiadł i pokuśtykał do tyłu. Obwiązał szalikiem nos i usta. Pochyliwszy się, oparł obie ręce na masce i zaczął pchać. Silnik zawył, koła zaczęły się obracać, gdy naparł na maszynę całym ciężarem.

Nagle kątem oka dostrzegł po prawej stronie jakiś ruch. Nie przerywając pchania,

odchylił lekko głowę w tamtym kierunku.

To była Jenny. Podjechała powoli w ocienione miejsce pod występem skalnym, odwróciła się przednią szybą i skierowała działka wprost na niego. A więc zmyliła trop. Teraz czekała w miejscu.

Nie było sensu uciekać. Mogła otworzyć ogień w każdej chwili.

Wyprostował się, żeby chwilę odpocząć i uspokoić oddech. Zaraz jednak odchylił się odrobinę w lewo i pochyliwszy się, ponownie naparł całym ciałem. Jenny, nie wiadomo dlaczego, nadal trwała w oczekiwaniu. Przesunął się znów w lewo. Najpierw lewą rękę, potem prawą. Przełożył ciężar ciała i delikatnie posunął nogę, walcząc z nieprzewartą pokusą skierowania oczu w jej kierunku. Był już blisko lewego tylnego światła. Może teraz się uda. Dwa kroki i karoseria Anioła znajdzie się pomiędzy nim a Jenny. Potem szybki skok i będzie w wozie. Tylko dlaczego ona nie strzela?

Nieważne. A nuż się uda. Rozluźnił mięśnie. Najtrudniejszą rzeczą było teraz symulować odpoczynek.

Potem pochylił się jeszcze raz, wyciągając dłonie w ten sposób, jak gdyby za chwilę miał oprzeć je na karoserii, i uskoczył nagle w bok, wrywając ku drzwiom najszybciej jak tylko mógł, szybko, do środka. Przez chwilę, gdy biegł, nic się nie działo, lecz gdy tylko drzwiczki zatrzasnęły się, spod występu trysnęła lawina pocisków; Anioł zadrzał, zakołysał się.

— Tam! — usłyszał głos Anioła, gdy działko skierowało się w prawą stronę, wypływając idący w górę promień ognia.

Pudło. Za wysoko. Coś poruszyło się w górze, gdzie uderzyły pociski.

Murdock zdążył odwrócić się, by zobaczyć, jak odrywane kawałki skały zsuwają się w dół, ze świstem, potem z hukiem. Ogień ustał, zanim ściana pogrzebała czerwony pojazd.

Spomiedzy odgłosów katastrofy dotarł przez radio znajomy głos:

— Niech cię piekło pochłonie, Sam. Powinieneś być zostać w wozie!

Radio zamilkło. Kształt czerwonego wozu zniknął bez reszty pod lawiną skalnego gruzu.

— Musiała znów zagłuszyć odbiór na czujnikach — mówił Anioł. — Miałeś szczęście, że ją właśnie wtedy zobaczyłeś.

— Tak — powiedział Murdock.

— Może nas wreszcie stąd wykołyszę — dorzucił Anioł po chwili. — Posunęliśmy się trochę, gdy pchałeś.

Zabrał się do dzieła. Murdock po raz pierwszy tego wieczora spojrzął na gwiazdy — zimne, błyszczące i tak dalekie. Wpatrywał się w niebo do chwili, gdy Anioł zdołał ich wreszcie uwolnić. Rzucił tylko przelotne spojrzenie, gdy zawrócili i minęli grób.

Gdy przebijali się wolno przez korytarz, odezwało się radio:

— Murdock! Murdock! Wszystko w porządku? Próbowaliśmy nawiązać łączność i...

— Tak — przerwał cicho.

— Słyszeliśmy strzały. Twoje?

— Tak. Strzelałem do ducha — odparł. — Już wracam.

- To koniec — usłyszał — załatwiliśmy wszystkie.
- W porządku — odrzekł, przerywając połączenie.
- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym czerwonym? — spytał Anioł.
- Zamknij się i jedź.

Patrzył na przemykające obok ściany kanionu, na ich jasne i ciemne warstwy. Zapadła noc, zimna, nieprzenikniona, głęboka jak niebo, pędzona wiatrem, północnym, ciemnym, zapierającym dech w piersiach wiatrem. Otoczyła ich ze wszystkich stron. Snując sen o czasie i prochu, mijając bezmiar zniszczeń, dotarli do miejsca, w którym oczekiwali ich inni. Zapadła noc, a od północy nadciągał ciemny wiatr.

RECITAL

Czuję, że niekiedy powinno się poświęcić trochę czasu samemu procesowi opowiadania, by zachować w nas podziw dla form narracyjnych. Popatrzcie, gdzie zawiodło to Joyce'a, Pirandella. Kafkę i Wszystkich Pozostałych Wielkich. Gdy piszę te słowa, moje ambicje nie sięgają jednak aż tak daleko. I dlatego będzie to niezwykle krótkie opowiadanie.

Kobieta śpiewa. Korzysta z mikrofonu, czego dawniej, gdy była młodsza, nie musiała robić. Ma wciąż niezły głos, choć już nie ten sam, co w czasach, gdy odbierała owacje na stojąco w Metropolitan. Ubrana jest w niebieską sukienkę z długim rękawem, ukrywającą zwiotczenie ramion. Obok niej stoi stolik, a na nim dzban z wodą i szklanka. Gdy kończy swój numer, zrywa się burza oklasków. Uśmiecha się, mówi dwa razy „dziękuję”, pokasłuje, sięga po omacku (ale w wystudiowany sposób) i odnajduje dzban, po czym ostrożnie nalewa do szklanki.

Powiedzmy — Mary. Na razie nie wiem o niej zbyt wiele, a imię po prostu przyszło mi do głowy. Ja nazywani się Roger Z. i buduję tę historię ot tak po prostu, bez zwracania sobie głowy jasną i płynną narracją. Dzieje się tak dlatego, że sam jestem ciekaw, jak się to wszystko rozegra i chciałbym prześledzić cały proces od początku do końca.

Mary jest więc postacią fikcyjną, istniejącą tylko w opowiadaniu. Wiem już, że czas jej płynie z górki i że jest schorowana. Próbuje teraz popatrzeć na świat jej oczami: okazuje się, że mi to nie wychodzi. Przychodzi mi więc do głowy, że jest niewidoma, a wielka sala koncertowa jest pusta.

Dlaczego? I co z tymi oczami?

Myślę, że cierpi na pozagałkowe zapalenie oczu i że być może wyzdrowieje za kilka tygodni, a może nawet za kilka dni. Tyle że do tego czasu zapewne umrze. To wszystko do tej pory wydaje mi się pewne. Teraz widzę, że jej ślepotą jest jedynie ubocznym objawem stwardnienia rozsianego, które przez ostatnich kilka lat niemal doszczętnie strawiło jej organizm. Ma jednak szczęście, że do tej pory potrafi nadal tak dobrze śpiewać. Widzę, że popijając ze szklanki, wyuczonym gestem opiera się teraz o stół.

Wszystko to przyszło mi na myśl bardzo szybko, razem z kwestią auli. Czy ona wie, że śpiewa do pustej sali, a wszystkie odgłosy widowni dochodzą z taśmy? Wszystko jest wielkim oszustwem, nad którym czuwa ktoś, kto kiedyś bardzo ją kochał i kto chce dać jej ten wieczór, zanim ona pogrąży się w czarnej studni, bez wody i dna.

Kim jest ten ktoś, myślę.

Na pewno to mężczyzna. Nie widzę go jeszcze dokładnie, ale już wiem, że jest gdzieś tam z tyłu, w przyciemnionej kabinie kontrolnej. Natęża głośność; w chwilę później przycisza odgłos aplauzu. Nagrywa również cały program. Czy się uśmiecha? Jeszcze nie wiem. Chyba tak.

Kochał ją przed wieloma laty, gdy jaśniała blaskiem nowo odkrytej gwiazdy, nagle

u progu wielkiej sławy. Używam czasu przeszłego, by mieć ewentualną wymówkę w tej sprawie.

Czy ona go również kochała? Przypuszczam, że nie. Czy była okrutna? Może trochę... Na pewno z jego punktu widzenia: z jej — z pewnością nie. Nie rozumiem jasno wszystkich okoliczności ich rozstania, by móc teraz osądzać. To zresztą nie ma aż takiego znaczenia. Liczą się tylko fakty.

Sala raz jeszcze pogrąża się w skupieniu. Ona kłania się, uśmiecha, zapowiada swój następny numer. Gdy zaczyna śpiewać, mężczyzna — powiedzmy, John — odchyła się w fotelu i słucha z na wpół przymkniętymi oczyma. Oczywiście jego myśli wypełniają wspomnienia.

Naturalnie i po rozstaniu śledził jej karierę. Bywały chwile, gdy nienawidził jej i tych wszystkich fagasów. On sam nigdy nie bywał na ustach innych. Teraz ci inni ją opuścili. Pozostała na świecie prawie sama, bo świat zaczynał o niej zapominać. W chwili, gdy otrzymała zaproszenie na występ, była również prawie bez grosza. Nie mogła chyba posiąść się ze zdumienia. Nie chodziło tu zresztą o pieniądze, tylko o jeszcze jedną szansę, by usłyszeć należne jej oklaski.

Prowadzi mężną walkę. Ten numer był zawsze źródłem jej obaw. Właśnie zbliża się do momentu, w którym jej głos może się załamać. Włączyła go do programu jedynie chyba z czystej próżności. John pochyła się w fotelu, gdy ona zbliża się do przejścia. Już wcześniej wiedział, jaką to będzie dla niej próbą — gdyż sam jest wielkim znawcą i miłośnikiem muzyki, co wyjaśnia, w jaki sposób ją poznał. Sięga ręką do przodu i opuszcza ją na konsolę.

Nie jest bogaty. Praktycznie splukał się do ostatniego grosza na wynajęcie sali, na jej honorarium, na organizację wszystkich drobnych forteli: garderobiana, limuzyna z szoferem, pełen zachwytu impresario, hałaśliwi klakierzy: wszyscy byli po prostu aktorami. Wyszli, gdy zaczął się występ. Teraz w budynku pozostali już tylko ona i on; oboje myślą o tym, co się stanie, gdy rozpocznie się decydujące przejście.

Nie wiem, jak poradziłby sobie z tym Isak Dinesen, gdyż nagle oczyma duszy widzę jej pełną wściekłości twarz i już wiem, dlaczego. Przycisk na konsolę, teraz to czuję, uruchomi specjalną taśmę z kociokwikiem i gwizdami. Założono ją już w chwili, gdy użyłem czasu przeszłego. Może to jednak raczej nienawiść niż miłość odpowiedzialna była za to prywatne przedstawienie. Tak. John zawsze wiedział o próżności Mary, dlatego wybrał właśnie taki rodzaj zemsty — która uderzy w jej najbardziej czuły punkt.

Zaczyna przejście. Okazuje się, że odwraca głowę i spogląda wprost na niego, tkwiącego w kabinie. On, chociaż wie, że to niemożliwe, porusza się niespokojnie. Odwraca wzrok. Słucha. Czeka.

Udało się! Wykonała przejście bez najmniejszego załamania. Wracają resztki dawnej siły. Po tym przejściu jej głos wydaje się jeszcze mocniejszy, jak gdyby fakt ten wyzwolił w niej jakąś, sięgającą aż do głębi, pewność siebie. Może też, okoliczność, że to jej ostatni występ, rozpałała i spiętrzyła płomień jej wirtuozerii. Jej śpiew jest teraz cudowny, jaki nie był od lat.

John opuszcza rękę znad konsoli i znów odchyła się w fotelu. Nie osiągnąłby celu, puszczając taśmę bez oczywistej przyczyny. Ona jest zbyt wielką profesjonalistką. Wiedziałyby, że wszystko zostało ukartowane. Jej próżność nie

doznałaby szwanku z powodu fałszywej reakcji. Musi więc czekać. Prędzej czy później jej głos załamie się. A wtedy...

Przymyka oczy, słuchając jej pieśni. Ten napływ siły w trakcie występu jeszcze raz każe mu widzieć ją taką, jaką kiedyś była. W jakiś sposób staje się znów piękna.

Musi teraz szybko działać. Zadumany, prawie zapomniał o włączeniu oklasków. Tym razem przeciąga je jak najdłużej. Ona kłania się teraz w jego stronę, jak gdyby...

Nie!

Mary pada na scenę. Ta ostatnia pieśń przerosła jej siły. Zrywa się na równe nogi i już jest za drzwiami, pędząc po schodach. To nie może się tak skończyć... Nic przewidział, że ten jeden utwór tak bardzo nadwątl jej siły, że już nie będzie w stanie wzbic się ponad niego — nawet jeśli kolejny należał do jej najslawniejszych. Porusza go, jak bardzo to niesprawiedliwe.

Pędzi między rzędami krzeseł i wskakuje na scenę. Podpiera ją ramieniem, przykładając szklanekę wody do jej warg. Taśma z oklaskami wciąż nie milknie.

Ona otwiera oczy i patrzy na niego.

— Ty widzisz!

Kiwa głową i łyka wodę.

— Przez chwilę, podczas występu, mój wzrok powrócił. Nadal jest przy mnie. Zobaczyłam salę. Pustą. Wcześniej zaczęłam bać się, że nie przebrnę przez tę pieśń. Wtedy zdałam sobie sprawę, że to ktoś z mych dawnych wielbicieli postarał się dla mnie o ten ostatni występ. Zaśpiewałam dla tego kogoś. Dla ciebie. I pieśń popłynęła...

— Mary...

Szukają się w objęciach. Podnosi ją w ramionach — przeciągając jej ciało, bo ona jest teraz cięższa, a on starszy.

Przenosi ją do garderoby i dzwoni po karetkę. Sala nadal huczy od oklasków, a ona, słysząc je, uśmiecha się i zapada w śpiączkę.

Umiera nazajutrz w szpitalu, z Johnem przy jej łożu. Zanim odchodzi, wymienia jeszcze imiona wielu mężczyzn, wśród których nie ma Johna. Wie, że powinien czuć rozgoryczenie, iż po raz ostatni przysłużył się jej próżności. Lecz go nie czuje. Wszystko, co zdarzało się w jej życiu, służyło jej; więc może był to niezbędny warunek dla jej wielkości — i za każdym razem, gdy przesłuchuje tę taśmę, gdy dochodzi do tego ostatniego utworu, wie, że wykonała go tylko dla niego — i że było to więcej, niż ofiarowała komukolwiek przedtem.

Nie wiem, co działo się z nim później. Zwyczajem jest zakończyć, gdy zjawia się morał — a jeszcze lepiej, gdy towarzyszy mu porywająca scena. Lecz dla mnie w tej chwili porywające są jedynie dźwięki płynące z klawiatury i jestem prawie pewien, że on w końcu użyłby swej taśmy z kociokwikiem, jeśliby tylko jej występ zakończył się fałszywym tonem. Lecz oczywiście tak się nie stało. Miał więc swoją satysfakcję. Bo w pierwszej kolejności był wielbicielem jej talentu, a dopiero później kochankiem. W różnych miejscach kocha się przecież różne rzeczy.

Jest również miejsce dla zrozumienia, choć trudno, i czasami nie trzeba go szukać.

NAGI MATADOR

No dobra. Dwa eksperymenty pod rząd. To jeden z moich pastiszy kawalków hemingwayowskich. W krótkim, zamieszczonym poniżej eseju postaram się dodać kilka słów na temat tego, w jaki sposób poglądy Hemingwaya na gatunek opowiadania wpłynęły na moje poglądy na ten sam temat.

Biegając — czekając, właśnie — w Key West, myślałem o opowiadaniu, które przeczytałem w szkole średniej: o „Zabójcach” Hemingwaya. Wygląd garkuchni w żaden sposób nie zmienił moich odczuć.

Wszystkie stolki przy ladzie były zajęte, z wyjątkiem jednego, obok kobiety siedzącej mniej więcej pośrodku. Podeszedłem i stanąłem po jej prawej stronie.

— To też zajęte? — spytałem.

— Nie — odpowiedziała, więc usiadłem.

Miała na sobie beżowy płaszcz, czerwono—niebieski szal całkowicie przykrywający jej włosy i duże przeciwsłoneczne okulary. Dzień był pochmurny.

— Jaką dają zupę? — zagadnąłem.

— Jest rybna.

Zamówiłem jedną porcję i kanapkę.

Wypiła kilka filiżanek kawy. Spojrzała na zegarek. Odwróciła się do mnie.

— Na wakacjach? — spytała.

— Coś w tym rodzaju — odrzekłem.

— Zatrzymałeś się gdzieś w pobliżu?

— Niedaleko.

Uśmiechnęła się.

— Podrzucę cię.

— Świetnie.

Zapłaciliśmy rachunki. Była niska. Może z metr sześćdziesiąt. Nie byłem w stanie dokładnie się jej przyjrzeć, z wyjątkiem nóg. Te miała niezłe.

Wyszliśmy i skręciliśmy w lewo. Podeszła do małego, białego wozu. Znow poczułem zapach morza.

Wsiedliśmy, ona ruszyła. Nie spytała mnie, gdzie się zatrzymałem. Znow popatrzyła na zegarek.

— Mam ochotę się popieprzyć — powiedziała wtedy. — Zainteresowany?

Jechaliśmy już przez dłuższą chwilę. Skinąłem głową, gdy rzuciła mi spojrzenie.

— Tak — powiedziałem. — Podobasz mi się.

Jechaliśmy jeszcze przez chwilę, a potem skręciła w drogę prowadzącą do plaży. Był to odludny odcinek.

Fale były wysokie, ciemne, z białymi grzywami. Zatrzymała samochód.

— Tutaj? — spytałem.

Rozpięła płaszcz, a potem rozpinaną od góry do dołu sukienkę. Pod spodem nie miała na sobie niczego. Zostawiła ją na oparciu i usiadła na mnie, rozchylając uda.

— Reszta zależy od ciebie — oświadczyła.

Uśmiechnąłem się i sięgnąłem po jej okulary. Odtrąciła moją dłoń.

— Tylko od szyi w dół — powiedziała. — Od szyi w dół.

— Dobrze. Przepraszam — odparłem, wsuwając rękę pod jej bluzkę w poszukiwaniu sterczących piersi. — Jesteś naprawdę niezła.

Wchodziłem w nią na krótko, wychodziłem, znów wchodziłem. Ona była bardziej aktywna, nie zmieniając niemal w ogóle wyrazu twarzy. Tylko pod koniec uśmiechnęła się lekko i odrzuciła głowę do tyłu. W łędźwiach czułem szczególnie, lodowate mrowienie i spuściłem wzrok na jej inną część, podskakującą i pulsującą.

Gdy wypełniłem ją, zsunęła się i zapięła płaszcz, nie troszcząc się o sukienkę.

— Niezły — powiedziała, ściskając mój lewy biceps. — Sama kiedyś miałam niezłe mięśnie.

— Kiedyś byłem prawie kulturystą — wyjaśniłem, zasuważąc zamek i zapinając klamrę, podczas gdy ona zapaściła silnik. — Masz wspaniałe ciało.

— Wiem.

Wyjechała na drogę i skierowała się z powrotem.

— Gdzie się zatrzymałeś?

— W motelu „Southernmost”.

Po drodze zastanawiałem się, dlaczego dziewczyna taka jak ona nie ma stałego faceta. Pomyślałem, że być może dopiero niedawno zjawiała się w tym mieście. Pomyślałem, że może po prostu nie chce mieć nikogo na stałe. Pomyślałem, że miło by było znów się z nią spotkać. Szkoda, że wyjeżdżam wieczorem.

Gdy wjechaliśmy w moją ulicę, dostrzegłem niebieski samochód zaparkowany przed motelem. Wiedziałem, że siedzi w nim mężczyzna. Skuliłem się na siedzeniu.

— Miń motel — powiedziałem. — Nie zatrzymuj się!

— Co się stało?

— Znaleźli mnie — wyjaśniłem. — Jedź dalej.

— Widzę tylko faceta w niebieskim fury. O niego chodzi?

— Tak. Nie patrzył w naszą stronę. Chyba mnie nie widział.

— Patrzy na motel.

— To dobrze.

Skręciła szybko za róg.

— Co teraz? — spytała.

— Nie wiem.

Spojrzała na zegarek.

— Muszę wracać do domu — wyjaśniła. — Zabiorę cię ze sobą.

— Będę ci wdzięczny.

Nadal nie podnosiłem się na siedzeniu, więc nie widziałem, gdzie jedzie. Gdy w końcu zatrzymała się, wyłączyła silnik, a ja uniosłem się i zobaczyłem, że stoimy na podjeździe obok niedużego domku.

— Idziemy.

Wysiadłem i podążyłem za nią. Weszliśmy do małego, prosto urządzonego salonu, z wydzieloną kuchenką w lewym rogu. Podeszła do zamkniętych drzwi w przeciwnym końcu.

— W barku jest whisky — powiedziała, wskazując ręką — wino w kuchni na bufecie, piwo i woda sodowa w lodówce. Weź sobie coś do picia, jeśli masz ochotę.

Za chwilę wrócę.

Otworzyła drzwi. Okazało się, że to łazienka. Weszła do środka i zamknęła drzwi. Po kilku chwilach usłyszałem szum wody.

Przeszedłem na drugą stronę i otworzyłem barek. Byłem zdenerwowany. Szkoda, że przestałem palić. Zamknąłem barek. Mocny alkohol mógł źle na mnie podziałać, gdyby pojawiły się kłopoty. Zresztą wolałem raczej coś lżejszego. Poszedłem do kuchni i znalazłem piwo. Z puszką w ręce pospacerowałem trochę po pokoju i w końcu opadłem na zieloną sofę obok niedbale rzuconego szala.

Zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Zaczął mżyć lekki deszczyk. Skończyłem piwo i wyciągnąłem następne. Wyrząłem przez wszystkie okna, nawet przez to w sypialni, w głębi po lewej stronie, ale nikogo nie zauważyłem. Po chwili zachciało mi się do łazienki, ale ona nadal była w środku. Zacząłem się zastanawiać, co może tam tak długo robić.

Gdy wreszcie wyszła, miała na sobie niebieską aksamitną podomkę do pół łydki. Jej włosy związane były białym ręcznikiem w turban. Wciąż miała ciemne okulary.

Włączyła radio w kuchni, znalazła jakąś muzykę, wróciła z kieliszkiem wina i rozsiadła się na sofie.

— No dobra — podjęła — i co teraz?

— W nocy wyjeżdżam — odparłem.

— To znaczy kiedy?

— Koło drugiej.

— Jak?

— Łodzią rybacką, na południe.

— Do tego czasu możesz tu zostać. Zawiozę cię do przystani.

— To nie takie proste — powiedziałem. — Muszę dostać się do motelu.

— A czemu to takie ważne?

— Dokumenty. W dużej kopercie z papieru manilowego. Na dnie mojej walizki.

— Może już je mają.

— Może.

— Są bardzo ważne?

— Bardzo.

— Daj mi klucz od pokoju. Przyniosę ci je.

— Nie mogę cię o to prosić.

— Przyniosę je. Rozgość się tu. Daj mi klucz.

Wydobyłem klucz z kieszeni i podałem jej. Skinęła głową i poszła do sypialni. Ja poszedłem do kuchni i włączyłem ekspres. Po chwili pojawiła się ubrana w czarną spódniczkę, czerwoną bluzkę i czerwoną chustę. Kozaki. Naciągnęła płaszcz i ruszyła do drzwi. Podszedłem i objąłem ją; wybuchnęła śmiechem i wyszła na deszcz. Usłyszałem trzask zamykanych drzwiczek i odgłos zapalnego silnika. Czułem się fatalnie, ale musiałem zdobyć dokumenty.

Wróciłem do łazienki. Sporą część brzegu wanny zajmował rząd słoików bez nalepek. Część była pootwierana. Niektóre wydzielaly bardzo szczególne zapachy, których nie potrafiłem zidentyfikować, aromat innych znów w dziwny sposób miał w sobie coś narkotycznego. Było też ogniwo Bunsena, kleszcze, próbówki, kilka zlewek i butelek — wszystkie świeżo wypłukane.

Nie byłem w stanie przewidzieć, co by się stało, gdyby ktoś śledził ją w drodze powrotnej. Czuję się jak nagi matador bez miecza. Byłem poszukiwany od dawna i wiele razy ledwie udawało mi się umknąć. Nie miałem broni. Ostatnimi czasy przechodziłem przez zbyt wiele kontroli na lotniskach, a tu po prostu nie miałem czasu jej zdobyć. Jeśli tylko uda mi się dostać na łódź, wszystko będzie w porządku.

Wróciłem do kuchni, żeby sprawdzić, co z kawą. Była gotowa. Nalałem sobie filiżankę i usiadłem przy stole. Słuchałem deszczu.

Może po półgodzinie usłyszałem na podjeździe warkot samochodu. Podeszedłem do okna. To było jej auto. Była chyba sama.

Gdy weszła, wyciągnęła kopertę spod płaszcza i podała mi ją. Potem oddała klucz.

— Lepiej sprawdź i upewnij się, czy to te — powiedziała.

Zajrzałem i odetchnąłem z ulgą.

— Myślisz, że znali numer pokoju? — spytała.

— Nie wiem. Po nazwisku by nie rozpoznali. Czy on cię widział, jak wchodziłaś? I wychodziłaś?

— Chyba tak.

— Myślisz, że mogli cię śledzić?

— Nikogo za sobą nie widziałam.

Wróciłem do okna i przez chwilę patrzyłem na dwór. Nie zauważyłem niczego podejrzanego.

— Nie wiem, jak ci podziękować — powiedziałem w końcu.

— Znów tężeją mi mięśnie — odparła.

Poszliśmy do sypialni i postarałem się w jak najdłuższy i najtwardszy sposób okazać swoją wdzięczność. Propozycja była znów ta sama — wszystko, ale poniżej szyi, ale w końcu każdy ma świra na jakimś punkcie, a ja znajdowałem się w dzikim i interesującym kraju. Potem przyrządziła kotleciki cielęce i zmieszała sałatkę. Później piliśmy kawę i paliliśmy cygaretki, które znalazła gdzieś w domu. Zdażył już zapaść zmierzch, a deszcz przestał padać.

Nagle zgasła cygaretkę w popielniczce i wstała.

— Pójdę do łazienki, na chwilę — powiedziała i zniknęła za drzwiami.

Była w niej już od kilku minut — słychać było szum odkręconej wody — gdy zadzwonił telefon. Nie miałem pojęcia, co zrobić. To mógł być jej facet, mąż, ktoś, komu nie spodobałby się mój głos.

— Halo? — Usłyszałem trzaski towarzyszące rozmowom zamiejscowym i złej słyszalności. — Halo? — powtórzyłem po kilku sekundach.

— Em?... Czy jest... Em...? — powtórzył męski głos. brzmiały jak z otchłani. — Kto... mówi...?

— Jess — odpowiedziałem — Smithson. Wynająłem to mieszkanie na tydzień. Należy do jakiejś pani. Nie znam jej nazwiska.

— Przekaż jej... że dzwonił... Percy.

— Nie wiem, czy będę się z nią widział. Może zostawić wiadomość?

— Tylko tyle... że... przyjadę.

Usłyszałem sygnał przerwane połączenia i trzaski ucichły. Podeszedłem do drzwi łazienki i leciutko zapukałem.

— Ktoś do ciebie dzwonił — poinformowałem.

Ucichł szum wody.

— Co?

W tym samym momencie odezwał się dzwonek u drzwi. Podbiegłem do kuchennego okna i wyjrzałem na zewnątrz. Nikogo nie zobaczyłem, ale na podjeździe stał zaparkowany samochód. Niebieski samochód.

Wróciłem do drzwi łazienki.

— Przyjechali — oznajmiłem.

— Idź do sypialni — nakazała. — Włóż do szafy. Nie wychodź, dopóki ci nie powiem.

— A co zrobisz?

Dzwonek odezwał się jeszcze raz.

— No, dalej!

Nie miałem wyjścia. Wyglądało na to, że tylko ona ma jakiś pomysł.

Nasłuchiwałem ukryty wśród wiszącej odzieży. Jeden głos należał do niej, drugi był ostry, męski. Rozmowa trwała może z pół minuty. Z dochodzących odgłosów wynikało, że mężczyzna wszedł do środka. Po chwili dobiegł wrzask — jego — i urwał się po kilku sekundach, a po nim nastąpił odgłos padającego ciała.

Wyskoczyłem z szafy i podbiegłem do drzwi.

— Z powrotem. — Jej głos był bardzo spokojny. — Nie wychodź, dopóki ci nie powiem.

Cofnąłem się, niemalże wbrew własnej woli. Powiedziała to tonem prawie nie znoszącym sprzeciwu.

— W porządku — odezwała się po chwili. — Możesz wyjść. Weź mój płaszcz.

Podszedłem z powrotem do szafy.

Gdy wszedłem do salonu, obok niej na podłodze leżała nieruchoma postać. Przykryta szalem. Ona nie miała na sobie nic prócz ręcznika obwiązanego wokół głowy i okularów. Wzięła płaszcz i założyła go.

— Mówiłeś „oni”. Ilu ich jest? — spytała.

— Było ich dwóch. Myślałem, że zgubiłem ślad w Atlancie.

— Na dole stoi samochód?

— Tak.

— Czy ten drugi siedzi w środku, czy też gdzie indziej poluje na zdobycz?

— Pewnie szuka mnie w innych miejscach.

— Wracaj do szafy.

— Zaraz, zaraz! Nie zamierzam wysługiwać się kobie...

— Natychmiast!

Jeszcze raz zobaczyłem w jej oczach nieodparty przymus i znów poczułem przyływ dziwnego mrowienia w łędźwiach. Zrobiłem, co kazała.

Słyszałem, jak wychodzi. Może po pięciu minutach wyszedłem z szafy i wróciłem do głównego pokoju. Podniosłem szal.

Wróciła po około pięciu minutach. Paliłem jedną z jej cygaretek, trzymając w ręku szklanekę z czymś mocniejszym.

— Nalej mi wina — poleciała.

— Ten drugi...?

— ...już cię nie będzie niepokoił.

— Co im zrobiłaś?

— Nie pytaj. Oddałam ci w końcu przysługę?

— Tak.

— Przynieś mi kieliszek wina.

Ruszyłem się, żeby jej nalać. Podeszedłem i podałem jej.

— Jeśli zawieziemy ich do portu... Twój przyjaciel chyba nie będzie miał nic przeciwko wyrzuceniu w morze zbędnego balastu?

— Nie.

Pociągnęła długi łyk.

— Wejdę jeszcze na chwilę do łazienki — oznajmiła — a potem przeniesiemy ich do samochodu. Może będziemy musieli się tam trochę pokręcić, zanim się rozładujemy.

— Tak.

Potem, gdy już pozbyłem się niebieskiego fury, wtaszczyliśmy ich do jej samochodu i pojechaliśmy w miejsce, które jej wskazałem. Dopiero po północy mogliśmy wyładować nasz bagaż na łódź.

Wtedy odwróciłem ku niej swoją twarz, w cieniu palisady.

— Byłaś dla mnie bardzo dobra — powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

— Jesteś wart odrobiny zachodu — rzekła. — Gotowy na następny numerek?

— Tutaj?

Roześmiała się i rozsunała płaszcz. Najwyraźniej nie przejmowała się ubieraniem.

— A gdzieżby indziej?

Byłem gotowy. Gdy objąłem ją, uświadomiłem sobie, że nie chcę, aby tak się to miało skończyć.

— Mogłabyś popłynąć ze mną — powiedziałem. — Jeśli byś chciała, ja też. Chciałbym, żebyś była ze mną — i pocałowałem ją mocno w usta, przyciskając ją ze wszystkich sił. Przez chwilę wydawało mi się, że poczułem coś wilgotnego pomiędzy naszymi policzkami. Potem odwróciła się, jednym gestem przerwała nasz uścisk i odepchnęła mnie.

— Ruszaj dalej — odpowiedziała. — Aż tak dobry nie jesteś. Są lepsze rzeczy na świecie.

Jej szal jak gdyby wydał się, choć przecież nie było wiatru. Odwróciła się gwałtownie i szybkim krokiem zaczęła iść w kierunku samochodu. Ruszyłem za nią.

Ton jej głosu znów był oschły, nawet bardziej niż wcześniej.

— Idź się zaokrętować — rzuciła, nie odwracając nawet wzroku w moją stronę. — Natychmiast!

Znów ten sygnał przymusu, brzmiący tym razem tak prawdziwie.

— Dobrze — odparłem. — Do widzenia, i dziękuję. — Musiałem odejść.

Znacznie później tej samej nocy wraz z Joe'em wypchnęliśmy za burtę dwa betonowe posągi do Golfsztromu. Potem przez długą chwilę stałem z rękoma opartymi na nadburciu i uświadomiłem sobie, że zapomniałem jej wspomnieć o przyjeździe Percy'go. Jeszcze później za moimi plecami wstało wschodzące słońce, zmieniając zachodnią część morza w złote runo.

RZECZY, KTÓRE DOSTRZEGAMY TYLKO KĄTEM OKA: TRZY ODRUCHY

Jacques Barzun powiedział kiedyś, że pisarz idealny, czytający sentencję wydanego na niego wyroku śmierci, dokonałby w niej niezbędnych przeróbek, jeśli tylko napisana byłaby koślawym językiem. Choć mnie samemu nigdy nie dana była ta przyjemność, to czuję, że jest w tym wiele prawdy. Po jakimś czasie pisanie na przyzwoitym poziomie staje się po prostu odruchem, wymuszającym samokrytycyzm w stosunku do własnej twórczości i wywołującym skurcz w wypadku jakichkolwiek potknięć. Istnieją jednak zarówno odruchy związane z opisanym wyżej przypadkiem, jak i odruchy inne, może nie tak istotne na pierwszy rzut oka, ale ostatecznie okazujące się na tyle cenne, że zaczyna się na nich polegać.

W ten czy inny sposób każdy pisarz wykształca w sobie zespół cech umysłowych, które kierują nim w takich sprawach, jak wybór momentu, w którym należy dać opis postaci, ile miejsca trzeba poświęcić opisowi fizycznemu, by było to usprawiedliwione i strawne w pewnym punkcie narracji, kiedy należy zrezygnować ze wskazówek dotyczących wątku, kiedy winno się rozpocząć następny akapit, w którym momencie zdanie proste korzystniejsze będzie od złożonego, a więc dłuższego, i tak dalej. Są to właśnie te odruchy związane z przypadkiem sentencji wyroku śmierci. Ja w zanadrzu chowam jeszcze kilka innych, może mniej oczywistych. Pomyślałem, że poddam je waszej ocenie, na wypadek, gdybyście być może sami ich poszukiwali.

W *Ruchomym święcie* Hemingway napisał:

„Było to bardzo proste opowiadanie i pominąłem jego prawdziwe zakończenie, które było takie, że ten stary się powiesił. Zostało to pominięte na zasadzie mojej nowej teorii, że można pominąć wszystko, jeżeli się wie, że się pomija i że część pominięta wzmocni opowiadanie i sprawi, że ludzie odczują coś więcej, niż rozumieją”.

Uwaga ta niepokoiła mnie przez dłuższy czas, ponieważ współbrzmiała z echem moich własnych odczuć i praktyki pisarskiej. Nie byłem co prawda pewien, czy wierzę w nią do końca, ale stwierdziłem, że zasługuje na chwilę rozważań. Sugerowała przecież możliwość istnienia ogromnej liczby efektów, których wytwarzaniem sam przecież często się parałem na swój własny sposób.

Przed wszystkim każde opowiadanie jest w takim samym stopniu ćwiczeniem w omijaniu rzeczy, jak i w ich włączaniu. Tym właśnie zajmują się odruchy związane z sentencją wyroku śmierci, w którym to przypadku nie myślimy przecież o miejscu akcji, dygresjach, przelotnych postaciach, nieistotnych szczegółach fizycznych.

Gdzieś, kiedyś, we wczesnym okresie, wierzyłem na przykład w nurzanie się w urokach opisu postaci w trakcie rozwoju akcji. Wydawało mi się, że dodaje to czegoś opowiadaniu jako całości, jeśli — przy pomocy kilku dodatkowych zdań — któraś z całej galerii postaci otrzyma swoje własne życie, wykraczające poza swą epizodyczną rolę. Zdarzyło mi się to w wypadku urzędnika państwowego Briggsa — poprzez zasugerowanie czegoś w rodzaju związanej z nim biurokratycznej otoczki — w *Wyspie umarłych*. Myślę, że można traktować to jako echo zasady Hemingwaya —

wskazanie na istnienie rzeczy być może ważnych na swój własny sposób, ale nieistotnych z punktu widzenia opowiadania — co jest zresztą odwrotnością wycięcia istotnego szczegółu z nadzieją, że i tak prześwieca on między zdaniem opowieści. Wydaje mi się, że efekt jest podobny — sprawia, że ludzie odczuwają więcej niż rozumieją. Służyć ma to rozszerzeniu tła opowiadanej historii i dostarczeniu dowodów na istnienie głębszej rzeczywistości, wykraczającej poza akcję, poprzez dostarczenie czytelnikowi chwilowego, może nawet ulotnego przeczucia, że istnieje jeszcze coś więcej.

Myślę zatem, że należy złożyć podziękowania Freudowi za wprowadzenie do współczesnej powieści urazów psychicznych wyniesionych z dzieciństwa, które stanowią klucz do dorosłej osobowości i postępowania. Choć przeciwny jestem temu z zasady, w rzeczywistości lubię, gdy ktoś korzysta z nieistotnej z technicznego punktu widzenia retrospekcji. Lubię, gdyż poprzez te wszystkie lata przeczytałem zbyt wiele powieści, w których głównym bohaterom nadawano pełnię cech życiowych już na pierwszej stronie i natychmiast zanurzali się oni w pichcony dla nich konflikt. Ogólnie mówiąc, nie lubię postaci pozbawionych przeszłości. Z tego też względu wcześniej uznałem, że w sytuacjach, gdy niepotrzebne są żadne wyrafinowane techniki, nagła i krótka retrospekcja lub nawet jedna czy dwie wzmianki dotyczące czegoś z przeszłości bohatera, nie związane z bezpośrednim czasem opowieści, mogą stanowić skuteczne rozwiązanie. W *Tym nieśmiertelnym* Conrad tłumaczy swoje spóźnienie na uroczystość zaręczynową uczestnictwem w przyjęciu urodzinowym siedmioletniej córki swojego przyjaciela. Później już w ogóle nie wraca do tej kwestii. Nie ma ona żadnego znaczenia dla akcji; chciałem po prostu wskazać na fakt, że miał on innych przyjaciół w mieście i że był takim człowiekiem, który jako coś oczywistego traktował pójście na urodziny dziecka. Trzy pieczenie na jednym ogniu.

Oczywiście nie należę do szkoły teoretycznej, według której każdy element opowieści powinien przyspieszać akcję. Im krótsze jest opowiadanie, do tym większych ustępstw jestem w tej kwestii skłonny — z przyczyn czysto praktycznych, przede wszystkim z powodu immanentnej oszczędności środków wyrazu krótkich form — ale w takich gatunkach, jak powieść, nowela czy mini-powieść, warto moim zdaniem wykorzystać wolną przestrzeń na rozbudowanie opisu postaci i na wskazanie faktu istnienia obszerniejszego świata wychodzącego poza zasięg opowieści.

Na koniec pragnąłbym wspomnieć o pewnym ćwiczeniu, które zawsze towarzyszy mi przy tworzeniu dłuższych form. Nie jestem pewien, w jaki sposób funkcjonowałyby ono u innych autorów, a nawet, jak funkcjonuje to u mnie — to znaczy, czy moje książki byłyby inne, gdybym z niego zrezygnował. Tu właśnie najbliższy jestem stwierdzeniu Hemingwaya i z tego też głównie powodu tak bardzo byłem zaintrygowany, gdy po raz pierwszy się z nim zetknąłem. Rzeczywiście, zawsze pozostawiam coś poza opowieścią; czy też raczej, czegoś do niej nie włączam.

Tworząc coś dłuższego, zawsze wymyślam — czy to na kartce papieru, którą wyrzucam później do kosza, czy po prostu w głowie — scenę, lub sceny, z udziałem mojego bohatera (i zazwyczaj nie odnoszące się do innych ważniejszych postaci),

które nie mają nic wspólnego z samym opowiadaniem — przedstawiające po prostu coś, co kiedyś przydarzyło się bohaterowi czy bohaterce. Traktuję to jako rzeczywiste doświadczenie, część historii życia mojej postaci i czasem nawet czynię doń aluzję w samej opowieści. Ale sama scena nigdy nie pojawia się w opowiadaniu. Czynię to w przekonaniu, że postać powinna mieć życie bogatsze niż to, na które wskazują bieżące okoliczności, że powinna być — dla mnie — zdefiniowana na tle szerszej panoramy historii jej życia, niedostrzegalnej w żaden sposób dla czytelnika.

Złamałem tę regułę jeden jedyny raz, a efekt dopuściłem do druku. Było to wtedy, gdy Fred Pohl zaproponował mi napisanie opowiadania, a ja bez reszty pochłonięty byłem pisaniem *Wyspy umarłych*. Zamiast więc poświęcić czas na stworzenie czegoś nowego, wręczyłem mu wtedy coś w rodzaju dalszego ciągu (*Blask nad Chandrą*). Jeśli znacie i powieść, i opowiadanie, to podejrzewam — patrząc na to z zewnątrz — że ze wzruszeniem ramion potraktujecie kwestię związku między jednym a drugim. Mnie jednak to bardzo pomogło, gdyż ten nie zawarty w powieści fragment z przeszłości Sandowa uzmysłowił mi, co i jak mógłby on robić zaraz po opuszczeniu Homefree.

Twierdzę więc, że drugoplanowe postacie, poprzez krótkie odniesienia do ich zajęć i/lub ich pozaplanowych problemów, mogą zostać wykorzystane do rozbudowania ogólnego tła opowieści, przyczyniając się zarazem, jako osobnicy posiadający własne życie, do jej realizmu. Zysk jest więc podwójny. Czuję też, że w pełni uświadomione, choć nie przedstawione zdarzenie z przeszłości bohatera pozwala lepiej pojmować jego teraźniejszość — i że wszystkie te zabiegi służą temu, że „ludzie odczuwają coś więcej, niż rozumieją”. Skoro w życiu również istnieje wiele rzeczy, które bardziej przeczuwa się niż rozumie, sądzę, że taka imitacja doświadczenia egzystencji po prostu wzbogaca opowieść.

Zabiegi te stosuję już teraz bezwiednie, ponieważ stały się odruchami. Szczerze mówiąc, zastanowiłem się nad nimi po raz pierwszy od wielu lat. Choć nic należą do odruchów, dzięki którym dokonujemy przeróbek w sentencji wyroku śmierci, to jednak z całą pewnością mogą nadać życie opowieściom.

BLASK NAD CHANDRA

*Zgodnie z tym, co napisałem w poprzedzającym to opowiadanie eseju — że w przypadku dłuższych form praktykuję wymyślanie różnych historii, które mają przybliżyć postać bohatera, a później — lub nie — odwołuję się do nich w głównym dziele — pomyślałem, że warto dołączyć do zbioru, jako ilustrację, opowiadanie *Blask nad Chandrą*, jako taki właśnie produkt uboczny powstały przy okazji pisania *Wyspy umarłych*. Potraktujmy je więc jako wariant procesu twórczego.*

Na prawym ramieniu Orion nosi gwiazdkę, jak generał. (Druga znajduje się pod lewą pachą; zapomnijmy o niej jednak, by uniknąć ogólnikowych porównań.)

Widziana z Ziemi wielkość gwiazdowa 0,7, przy wielkości bezwzględnej — 4,1; czerwona, ewoluująca — nadolbrzym wśród insygniów; typ widmowy M; oddalona od Ziemi o około 270 lat świetlnych; temperatura powierzchni 5500 stopni Fahrenheita. Jeśli przyjrzeć jej się uważnie przez jedną z tych małych szklanych sond, to można stwierdzić obecność śladowych ilości tlenu tytanu.

Dla generała Oriona fakt posiadania gwiazdki musiał stanowić powód do dumy, ponieważ fazę ciągu głównego miał już dawno za sobą i ponieważ był tak wielką, wielką gwiazdą, i ponieważ taka jest logika wojskowych umysłów.

Gwiazdka ta nazywała się Betelgeuse.

A więc pewnego razu w ogromnej odległości od tej monstrualnej dumy Oriona krążyła sobie po orbicie znacznie dłuższej niż ludzkie istnienie brudna, martwa kupa gruzu, której nikt chyba nie ośmieliłby się nazwać światem, ze względu na sam szacunek dla tego słowa. Chyba nikt, powtarzam. Posunięcia i drogi myślenia rządów bywają jednak czasem bardzo dziwne. Weźmy na przykład taką Ziemię...

Postanowiono — gdy tylko wielkie organizacje nie chcą obciążać poszczególnych osób, stają się nadzwyczaj obiektywne i zaczynają szastać na prawo i lewo formami bezosobowymi — postanowiono, iż z powodu niedoboru użytecznych światów ta kupa gruzu mogłaby zacząć w jakiś sposób na siebie zarabiać. Nawiązano więc kontakt z Francisem Sandowem, by spytać go o opinię w tej kwestii. Jego odpowiedź brzmiała „tak”.

Następnie spytano go o koszty. Gdy padła odpowiedź, machnięto ręką i zaczęto zamykać walizki z pieniędzmi.

Jednak Sandow, zdobywca gwiazd, oprócz tego, że jako jedyny człowiek tkwił w tym interesie, nie stał się jednym z najbogatszych ludzi dzięki spadkowi czy przez łut szczęścia. Sandow złożył propozycję. Propozycja została przyjęta i w ten właśnie sposób narodziła się Chandra.

A teraz parę słów o Chandrze, jedynym zamieszkałym świecie w systemie Betelgeuse.

Chandra to kilka nieznaczących poprawek naniesionych na stertę gruzu. Sandow na siłę utworzył atmosferę, wyraźnie wbrew woli martwej opoki, składającą się głównie

z amoniaku i metanu. Potem zaczął wyprawiać z nią przerażające rzeczy, mające coś wspólnego z wodorem i węglem; tak rozpętały się burze. Znalazł jakiś sposób na przyspieszenie, choć ziemscy fizycy ostrzegali go, że jeśli nie będzie uważał, to zostanie mu w rękach pas asteroidów. On jednak odpowiadał, że gdyby coś takiego miało nastąpić, to po prostu pozbiera je do kupy i zacznie od nowa — i że się to wcale nie zdarzy.

I oczywiście miał rację.

Gdy burze ucichły, powstały już morza. Potem rozpałił wnętrza i pośród kataklizmów uformował masy lądów. Potem powyczytniał różne rzeczy z lądami i morzami, oczyścił atmosferę, wyłączył wulkany, uspokoił trzęsienia ziemi. Potem sprowadził i zmutował rośliny i zwierzęta, które rozmnażały się jak oszalałe, dał im kilka lat, znów pogrzebał w atmosferze, dał im jeszcze trochę czasu, znów pogrzebał, i tak dalej — chyba z dziesięć razy. Wtedy zabrał się do regulacji klimatu.

Wreszcie pewnego dnia zaprosił kilku urzędników na powierzchnię planety, zerwał z głowy hełm tlenowy, rozpostarł nad głową parasol, głęboko zaczerpnął powietrza i rzekł:

— To jest dobre. Proszę o zapłatę. — I zaczął kasłać.

I oni ujrzeli, że to jest dobre i że dzieło dokonało się, i rząd był bardzo zadowolony. Sandow też. Na razie.

Dlaczego wszyscy na razie byli zadowoleni? Ponieważ Sandow stworzył świat kurewsko nikczemny i podły, zgodnie z upodobaniami obu stron (choć obie strony kierowały się odmiennymi powodami), otóż dlatego właśnie.

Dlaczego tylko na razie? W tym właśnie sęk, o czym zaraz sami się przekonacie.

Na niemal każdym z zamieszkałych światów istnieją miejsca mniej lub bardziej przyjemne. Są małe wyspy przynoszące wytchnienie od srogich zim, skwarnych pór letnich, huraganów, gradu, fal przyływu i odpływu, wspaniałych elektrycznych burz, moskitów, błota, lodu i wszystkich tych innych pomniejszych rzeczy, które skłaniają filozofów do przekonania, że ludzkie istnienie obdarzone jest wielką miarą niedoli.

Tymczasem z Chandrą rzecz miała się zupełnie inaczej.

Powłoka chmur niemal zawsze zasłaniała Betelgeuse. Co więcej, gdy gwiazda ta czasem wylaniała się, można było tego tylko żałować, a to z powodu spływającego z nieba żaru. Pustynie, lodowce, dżungle, nieustanne burze, różnice temperatur, wichury — wszystko to istniało na Chandrze w najprzeróżniejszych kombinacjach, gdziekolwiek postawiłoby się stopę. Stąd też wzięła się nazwa tego świata. Nie było wyspy wytchnienia, oazy spokoju.

Po cóż więc Ziemia stworzyła to piekło rękami Sandowa?

No cóż, przestępcy wymagają rehabilitacji, to pewnik. Lecz jednocześnie do zwyczaju należy stosowanie pewnego penitencjarnego umiaru. Skazanego złoczyńcę obdarowywuje się pewną dozą obrzydliwego doświadczenia, ale jednocześnie poddaje się go terapii, by — jak sądzę — i wilk był syty, i owca cała.

Świat Chandry był światem więzienia.

Maksymalnym wyrokiem, jaki tam odsiadywano, było pięć lat. Ja dostałem trzy. Wbrew temu, co powiedziałem, można się było przyzwyczaić. To było tak: mieszkało się w porządnym domu, z klimatyzacją, dobrą izolacją cieplną i

centralnym ogrzewaniem, wszystko jak trzeba: można było wychodzić i wracać, kiedy się miało na to ochotę; jeśli ktoś chciał, mógł sprowadzić rodzinę albo założyć nową; dawało się nawet robić interesy. Było mnóstwo wolnych miejsc pracy, były sklepy, teatry, kościoły i w ogóle wszystko, co istnieje w normalnym świecie, tyle że wszystkie konstrukcje i miejsca użyteczności publicznej wzniesione były jakby w toporny sposób, niektóre wręcz pod ziemią. Można też było nic nie robić, po prostu siedzieć i myśleć o niebieskich migdałach. I tak dostawało się żarcie. Spośród wszystkich światów Chandrę wyróżniało jednak to, że nie wolno było odlecieć z niej przed dokończeniem kary. Na całej planecie przebywało jednocześnie mniej więcej trzysta tysięcy ludzi, z których dziewięćdziesiąt siedem procent z małym kawałkiem stanowili więźniowie i ich rodziny. Ja osobiście byłem sam, ale nie o to chodzi. A może tak. Nie wiem. Kiedyś miałem rodzinę.

Pracowałem w ogrodzie, wyłącznie w towarzystwie maszyn. Część roboty polegała na sterczeniu po kolana w wodzie, a część — na pracy pod wodą. Ogród położony był w dolinie, drzewa porastały korony wzgórz; mieszkałem w błyszczącym, wodoszczelnym blaszanym baraku, w którym mieściło się też małe skomputeryzowane laboratorium; każdego ranka wychodziłem boso i w szortach lub w kombinezonie pływonurka, w zależności od dnia, i zajmowałem się na przemian wyrwykowym zbieraniem plonów i ponownym zasiewem. Na początku myślałem, że oszaleję.

Niekiedy rano miałem wrażenie, że cały świat odpłynął, a ja dryfuję samotnie w otchłani, gdzieś między niebem a piekłem. Później pustka przeradzała się w zwyczajną mgłę, której opary po jakimś czasie rozłaziły się jak płazy we wszystkich kierunkach, pozostawiając mnie sam na sam z kolejnym dniem. Jak już mówiłem, wszystko z początku doprowadzało mnie do obłędu; ale mówiłem też wcześniej, że do wszystkiego można przywyknąć. Mnie się to udało. Być może dlatego, że z upływem czasu rosło moje zainteresowanie zleconym programem.

Dlatego też, przynajmniej częściowo, nie przejąłem się w ogóle okrzykiem „Żelazo!”, który pewnego dnia dotarł do moich uszu.

A więc miałem swój program badawczy.

Ziemia nie była w stanie spłacić — i idę o zakład — nie miała zamiaru spłacić Sandowa, gdy powstał pomysł zbudowania świata, mającego służyć jako więzienie lub wojskowy poligon doświadczalny. Wtedy właśnie Sandow złożył propozycję, która przesądziła o losie Chandry. Obniżył żądania finansowe i w dodatku zaproponował utworzenie wielu miejsc pracy w celach usprawnienia procesu rehabilitacji więźniów. W ten sposób, sami rozumiecie, uzyskał kontrolę nad większością przedsięwzięć finansowych w nowym świecie.

Laboratoria, jak sądzę, doskonale nadają się do testowania sprzętu. Uzyskuje się w nich liczby dotyczące granic odporności, wytrzymałości termicznej, i tak dalej. Tymczasem, gdy pozostawi się sprzęt samemu sobie w warunkach polowych, często wszystko zaczyna iść nie tak, jak trzeba, bo ktoś o czymś zapomniał. Mniemam, że samemu Sandowowi również nie raz i nie dwa zdarzały się podobne wpadki, postanowił więc do swych zasobów laboratoryjnych dodać prawdziwy poligon.

Chandra, pełna permanentnych zmian, stała się takim właśnie poligonem doświadczalnym dla niezliczonej ilości rzeczy. Niektórzy z nas jeździli

najrozmaitszymi pojazdami tam i z powrotem, przez różne strefy klimatyczne, notując po drodze wszelkie usterki. Te wszystkie ekstrawaganckie, toporne domy, o których wcześniej mówiłem, były również tylko prototypami, które bez wątpienia któregoś dnia wystrzelą ku niebu na innych światach. O czymkolwiek by pomyśleć, ktoś na Chandrze tym się zajmował. Moją działką była żywność.

A więc gdy któregoś dnia rozbrzmiał okrzyk „Żelazo!”, zachowałem się tak, jakbym go nie słyszał. Ba, nawet wcześniej, zanim jeszcze złożyłem wniosek o odbywanie kary na Chandrze, słyszało się tu i ówdzie różne plotki.

Już prawie rok minął od zakończenia odbywania kary, a ja nadal tam tkwiłem. Siedziałem, choć mogłem odlecieć w każdej chwili. Pragnąłem dowieść pewnej rzeczy, mój program zajął mnie bez reszty.

Francis Sandow testował niemal wszystko, mnie jednak najbardziej zajmował pewien uboczny produkt miejscowego środowiska. W mojej dolinie działo się coś szczególnego, coś, co sprawiało, że ryż potrafił rosnać dosłownie w oczach. Sandow sam nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, i program, do którego zgłosiłem się na ochotnika, miał tę rzecz wyjaśnić. Sekret istnienia czegoś, co nadawało się do jedzenia po dwóch tygodniach od zasiań, a więc czegoś, co mogło być dobrodziejstwem dla przeludnionej galaktyki, wart był prawie każdej ceny. Ruszyłem więc w pełnym rynsztunku przeciw wężom i pływakom; zbierałem plony, dokonywałem analiz, wprowadzałem dane do komputera. Fakty powoli składały się do kupy, poprzez te wszystkie lata, poprzez te lata moich doświadczeń, jak ziarnko do ziarnka; i gdy do poznania odpowiedzi zabrakło mi zaledwie kilku żniw, ktoś zakrzyknął „Żelazo!”. Idioci!

Nieomal zapomniawszy o pierwszym marzeniu, by dowieść niemożliwego, pragnąłem teraz tylko jednego: znaleźć ostateczną odpowiedź i ogłosić ją w całym wszechświecie, wołając: Patrzcie! Oto uczyniłem coś, czym odpłacam za to, co kiedyś wam zabrałem. Czyż nie wyrównałem rachunków?

Gdy raz, co nieczęsto mi się zdarzało, znalazłem się w mieście, wszyscy rozprawiali tylko o jednym — o żelazie. Jeśli chodzi o ludzi, to nigdy za nimi nie przepadałem — i dlatego od początku ubiegałem się o pracę, którą mógłbym wykonywać sam. Trwały spekulacje, czy nastąpi masowy exodus, mówiono też to i owo o ludziach takich jak ja, mogących opuścić planetę w dowolnej chwili. Oczywiście nie odpowiadałem na żadne zaczepki. Moja pani psycholog, która kiedyś sprzeciwiała się, bym podejmował pracę w zupełnym odosobnieniu, przeciwna była również wdawaniu się przeze mnie w jakiegokolwiek polemiki czy kłótnie. Ta druga rada wydawała mi się słuszna. Przestałem ją widywać, gdy mój wyrok dobiegł końca.

Nie posiadałem się więc ze zdumienia, gdy, usłyszawszy dzwonek i otworzywszy drzwi, ujrzałem ją na progu, słaniającą się pod naporem mokrego ognia maszynowego z niebios i niemalże siłą wepchniętą do wewnątrz przez wiatr, który wiał z prędkością może siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

— Susan!... No, wchodźże prędzej — ponagliłem.

— Zdaje się, że już to zrobiłam — odparła.

Zamknąłem drzwi.

— Daj, powieszę to gdzieś.

— Dzięki.

Pomogłem jej wyswobodzić się z czegoś, co w dotyku przypominało skórę zdechłego węgorza, i powiesiłem to na kołku w korytarzu.

— Napijesz się kawy?

— Tak.

Ruszyła za mną do laboratorium, służącego również za kuchnię.

— Słuchasz radia? — spytała, gdy wręczyłem jej filiżankę.

— Nie. Odmówiło posłuszeństwa z miesiąc temu i jakoś nie chciało mi się go naprawiać.

— To oficjalne postanowienie — oznajmiła. — Spadamy stąd. Popatrzyłem przez chwilę na jej rudą grzywkę i szare oczy pasujące do jej rudych brwi, przypominając sobie, że o przeniesieniu opowiadała mi jeszcze wtedy, gdy byłem jej pacjentem.

— Znam to z psychoanalizy — powiedziałem, by zobaczyć jej rumieniec ukryty za piegami. Po chwili spytałem: — Kiedy?

— Zaczynamy pojutrze — odparła. Rumieniec nagle znikł z jej twarzy. — Ściągają na gwałt transportery skąd tylko się da.

— Rozumiem.

— ...Pomyślałam więc, że byłoby dobrze cię powiadomić. Im szybciej zgłosisz się w porcie, tym wcześniej przydzielą ci prawo lotu.

Upiłem mały łyk kawy.

— Dzięki. Wiadomo, jak długo to potrwa?

— Szacuje się, że od dwóch do sześciu tygodni.

— Chciałaś powiedzieć „strzela się w ciemno”.

— Zgadza się.

— No i dokąd też chcą nas zabrać?

— Szykują tymczasowe miejsca w pierdlach na trzydziestu dwóch różnych światach. Oczywiście ciebie to nie dotyczy.

Zaśmiałem się.

— Co cię tak śmieszy?

— Życie — odparłem. — Założę się, że Ziemia jest wściekła na Sandowa.

— Ścigają go za złamanie umowy. Słyszałeś, że zastawił planetę?

— Wątpię, żeby taki zastaw mógł cokolwiek pokryć. To niemożliwe.

Wzruszyła ramionami, popijając kawę.

— Nie wiem. Wiem tylko to, co ludzie gadają. Lepiej zwiń interes i idź się zarejestrować, jeśli chcesz stąd szybko odlecieć.

— Wcale nie chcę — odrzekłem. — Mam już rozwiązanie w zasięgu ręki. Mam nadzieję, że uda mi się doprowadzić program do samego końca. Sześć tygodni powinno wystarczyć.

Zrobiła wielkie oczy, odstawiając filiżankę od ust.

— To przecież śmieszne! — wybuchnęła. — Jaki to ma sens, skoro zginiesz i nikt nigdy nie dowie się o twoim odkryciu?

— Na pewno mi się uda — odparłem, wracając myślami do zagadnienia, które kiedyś chciałem udowodnić. — Sądzę, że mi się uda.

Podniosła się.

— A właśnie, że pójdziesz i się zarejestrujesz!

— To chyba bardzo bezpośrednia terapia?

— Właściwie to szkoda, że już nie jesteś pacjentem.

— Jestem całkowicie zrównoważony i zdrowy na umyśle — odrzekłem.

— Być może. Lecz jeśli mnie zmusisz, nakażę przeprowadzenie ponownych badań i przymusowe odtransportowanie cię stąd!

Nacisnąłem włącznik na leżącym na stole urządzeniu, odczekałem ze trzy sekundy, po czym nacisnąłem następny.

— ...mnie zmusisz, nakażę przeprowadzenie ponownych badań i przymusowe odtransportowanie cię stąd! — powtórzył za nią piskliwy głos z taśmy.

— Dziękuję — powiedziałem. — No proszę, spróbuj.

Opadła z powrotem na krzesło.

— Dobra, wygrałeś. Ale właściwie co ty próbujesz udowodnić?

Wzruszyłem ramionami i wypilem łyk kawy.

— To, że wszyscy się mylą oprócz mnie — odparłem po chwili.

— A jakie to ma znaczenie? — spytała. — Nawet gdybyś był normalnym dorosłym facetem, to i tak nie miałoby to żadnego znaczenia. Poza tym i tak uważam, że nie masz racji.

— Wynoś się — powiedziałem cicho.

— Niejeden raz wysłuchiwałam twoich chłopięcych fantazji — ciągnęła. — Przejrzałam cię aż za dobrze. W dodatku przyszło mi teraz do głowy, że istnieje w tobie nienaturalne pragnienie śmierci, jak również nie rozwiązany problem rodzinny, które...

Wybuchnąłem śmiechem, bo była to chyba jedyna alternatywa do powtórzenia „wynoś się” ostrzejszym tonem.

— W porządku — oświadczyła. — Zgodzę się ze wszystkim, co o mnie powiesz. Ale nie będziesz dyktować mi, co mam robić. Traktuj to, powiedzmy, w kategoriach moralnego zwycięstwa.

— I tak odejdziesz, gdy nadejdzie pora.

— Oczywiście.

Wróciła do filiżanki z kawą.

— Naprawdę jesteś aż tak bliski rozwiązania?

— Tak, naprawdę.

— Przykro mi więc, że to musiało się zdarzyć właśnie teraz.

— A mnie nie.

Powiodła wzrokiem po laboratorium, a potem spojrzała przez kwarcowe okna na ciągnące się wszędzie grzaskie pola.

— Jak ty tu możesz czuć się szczęśliwy, żyjąc całkiem sam?

— Nie jestem szczęśliwy — odrzekłem. — Wolę to jednak od życia w mieście.

Potrząsnęła głową. Popatrzyłem na jej włosy.

— Nie masz racji. Ludzie nie są tak wścibscy, jak myślisz. Nabiłem fajkę i zapaliłem.

— Wyjdź za mnie — powiedziałem cicho — a zbuduję ci pałac i będę kupował ci sukienki na każdy dzień roku, bez względu na to, jak długi będzie rok w układzie, jaki dla siebie wybierzemy.

Uśmiechnęła się.

— Nie mówisz poważnie.

— Mówię.

— Nie, ty byłeś złodziejem, ty...

— A więc?

— Nie. Bardzo dziękuję. Znałeś moją odpowiedź.

— Tak.

Dokończyliśmy kawę, po czym odprowadziłem ją do drzwi, nie próbując jej nawet pocałować. Bo, u licha, przecież po to właśnie trzymałem w zębach fajkę.

Tamtego popołudnia zabiłem czternastometrowego węża wodnego, który najwyraźniej uznał, że błyszczący przyrząd, trzymająca go moja lewa dłoń, przymocowane do niej ramię i w ogóle cała reszta mnie wyglądają nadzwyczaj apetycznie. Musiałem użyć aż trzech pocisków z włóczni, by z nim skończyć. Przed śmiercią rzucał się w wodzie jak opętany, niszcząc część moich cennych upraw. W tym czasie roboty jak zwykle zajmowały się swoją pracą, więc i ja zabrałem się do swoich zajęć. Zmierzyłem go później, stąd wiem, że miał aż czternaście metrów. Z robotami pracuje się przyjemnie. Pilnują swoich spraw i nigdy nic nie mówią.

Wieczorem naprawiłem radioodbiornik, ale na wszystkich częstotliwościach trąbiono tylko o żelazie, więc wyłączyłem je i zapaliłem fajkę. Gdyby odpowiedziała tak, ożeniłbym się z nią.

Przez następny tydzień dowiedziałem się, że Sandow kieruje w naszą okolicę wszystkie statki handlowe oraz że wysłano już informacje do tych, które znajdowały się dalej w kosmosie. Zresztą nie musiałem słuchać radia, by się tego domyślić. Mogłem też się domyślić, co mówi się o Sandowie: Oto człowiek, który żyje tak długo, że boi się własnego cienia. Oto jeden z najbogatszych ludzi galaktyki, paranoik, hipochondryk, zakamuflowany w należącym do niego świecie—twierdzy, którą opuszcza jedynie po podjęciu najbardziej wyrafinowanych środków bezpieczeństwa — człowiek bogaty i potężny, a jednocześnie tchórzliwy. Jego talent i umiejętności nie mogą być zmierzone ludzką miarą. Potrafiący jak Bóg stwarzać światy, kształtować je i zaludniać, tak jak to zrobił z Chandrą. Ale człowiek ten kocha tylko jedną jedyną rzecz na całym świecie — własne życie, życie Francisca Sandowa. Jeśli ufać statystykom, to powinien umrzeć już dawno temu: on jednak pali swoje kadzidło przed ołtarzem statystyki. Wierzę, że wszystkie legendy zawierają żdźbło prawdy. Tym gorzej, bo, jak mówią, był niegdyś wspaniałym człowiekiem.

Takie właśnie opinie usłyszeć można o człowieku nazwiskiem Francis Sandow.

Ewakuacja przebiegała w sposób metodyczny i mogący robić wrażenie. Pod koniec drugiego tygodnia na Chandrze pozostało około ćwierć miliona ludzi. Potem zaczęły nadciągać największe statki, tak że po trzech tygodniach liczba ta zmniejszyła się do stu pięćdziesięciu tysięcy. W tym momencie znów pojawiły się duże transportery, a niektóre statki z pierwszego rzutu wróciły po drugi ładunek. W połowie czwartego tygodnia liczba spadła do siedemdziesięciu pięciu tysięcy, a pod koniec na planecie nie został już niemal nikt. Na ulicach stały porzucone pojazdy, wszędzie wałały się zapomniane narzędzia. Pustkę i ciszę naruszały jedynie szумы i dudnienia nie dokończonych programów badawczych. Drzwi sklepów stały otworem,

a towar wciąż spoczywał na ladach i wypełniał półki. Zwierzęta stały się niespokojne; ja sam któregoś dnia złapałem się na tym, że chwyciłem za strzelbę. Wahadłowce rozrywały niebo, ginąc za zasłoną chmur, przewożąc czekający tłum na gigantyczne, niewidoczne statki krążące na orbicie. W opuszczonych domach na stołach nadal leżały resztki jedzenia. Przeprowadzono pospieszną dekonsekrację kościołów, wywożąc wszystkie relikwie. Razem z moimi maszynami odliczałem każdy dzień i każdą noc i wypijając morze kawy, dokonywałem analiz, wprowadzałem dane do komputera i bezskutecznie czekałem na rozwiązanie. Za każdym razem wydawało się, że brakuje mi jeszcze jednej drobiniki informacji.

Może byłem szalony. Technicznie rzecz ujmując, żyłem pożyczonym czasem. Lecz gdy się jest tak blisko i gdy za chwilę wszystko ma stanąć w płomieniach: nie, z pewnością gra warta była świeczki. Przecież minęłyby lata, zanim udałoby się odtworzyć istniejące tu środowisko, przy założeniu, że to w ogóle byłoby możliwe. Moja dolina była wybrykiem natury, miejscem, które przez przypadek zdarzyło się jeden jedyny raz na miliony lat ewolucji, ściśniętych tu w jedną dekadę dzięki nauce, której nawet nie próbowałem rozumieć. Pracowałem więc i czekałem.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

Nie padało tym razem, a powłoka chmur wydawała się nawet nieco przerzedzać po raz pierwszy od wielu miesięcy. Wpadła jednak tak jak poprzednio, jak gdyby gonił ją najsilniejszy sztorm.

— Musisz uciekać — wysapała. — To nieuniknione! Teraz już w każdej chwili...

Uderzyłem ją w policzek.

Zakryła dłonią twarz i zatrzymała się, drżąc cała przez dłuższą chwilę.

— No dobrze, zachowuję się jak histeryczka — powiedziała. — Ale to prawda.

— Od chwili, gdy mi to powiedziałaś, wiem, że to prawda. Dlaczego sama się jeszcze nie wyniosłaś?

— Niech cię diabli, nic nie rozumiesz?

— No powiedz. — Nadstawiłem ucha.

— Tylko z twojego powodu! Uciekaj! Natychmiast!

— Już niemal skończyłem — powiedziałem. — Będę chyba znał rozwiązanie dziś wieczorem lub jutro. Jestem za blisko, żeby się teraz poddać.

— Poprosiłeś, żebym za ciebie wyszła — powiedziała. — Zgodzę się, jeśli tylko od razu chwycisz szczoteczka do zębów i pryśniesz stąd!

— Może tydzień temu powiedziałbym tak. Ale nie teraz.

— Na Chandrze pozostało już mniej niż stu ludzi i wszyscy odlecą przed zachodem słońca. A jeśli wtedy zdecydujesz się lecieć, w jaki sposób uda ci się wydostać?

— Nie popadnę w zapomnienie — odparłem.

— No tak, oczywiście. — Na jej twarzy pojawił się nieznaczny, złośliwy uśmiešek. — Na ostatnim statku w ostatniej chwili przeprowadzona zostanie ostatnia kontrola. Komputer skonfrontuje listę uchodźców z listą mieszkańców Chandry i oczywiście wyrzuci twoje nazwisko. Zostanie wysłany po ciebie specjalny wahadłowiec. Poczujesz się wreszcie kimś, prawda? Naprawdę kimś. Ale wtedy zaciągną cię siłą, czy będziesz tego chciał, czy nie, i tak to się właśnie skończy.

— Do tego czasu mogę znaleźć rozwiązanie.

— A jeśli nie?

— Wtedy zobaczymy.

Dałem jej chusteczkę i pocałowałem ją w najmniej oczekiwanej chwili — gdy wycierała nos — co sprawiło, że tupnęła nogą i wyrzuciła z siebie zupełnie niekobiece słowo.

Po chwili:

— No więc dobrze, zostanę z tobą do chwili, gdy po ciebie przyjadą. Ktoś w końcu musi się tobą zająć, zanim przydzielą ci kuratora.

— Muszę teraz rzucić okiem na niektóre sadzonki — powiedziałem. — Przepraszam. — Naciągnąłem rybackie buty i wyszedłem tylnym wyjściem, przypinając po drodze kuszę.

Zabiłem dwa węże i jednego pływaka — dwie sztuki przed i jedną po sprawdzeniu sadzonek. Tymczasem powłoka chmur rozsunała się i tu i ówdzie zaczęła przeświecać czerwona kula Betelgeuse. Roboty wyniosły padlinę, a ja tym razem nie zadałem sobie trudu wykonania pomiarów.

Susan nie odzywała się niemal przez godzinę, przyglądając się mojej pracy w laboratorium. Wreszcie odezwałem się:

— Może jutrzejsze próbki...

Wyjrzała przez okno, unosząc wzrok ku płonącemu niebu.

— Żelazo — powiedziała. Na jej policzkach błyszcząły łzy. Żelazo. Żelazo to coś, czego nie można lekceważyć. Żelazo to nie temat do żartów. Istnieje tylko w sobie wiadomy sposób.

Przed wiekami wieków insygnia Oriona rozpały we własnym wnętrzu wodór, przekształcając go w hel, i gromadząc ów hel w coraz większych ilościach. Po pewnym czasie rdzeń składający się z helu zaczął się kurczyć, nastąpiła reakcja syntezy jąder, powstał węgiel, a jednocześnie wyzwoliły się ogromne masy energii, dzięki którym mundur Oriona zaczął wyglądać bardzo dziarsko. Później, gdy ta sztuczka już nie wystarczała, by podtrzymać młodzieńczy wygląd, Orion wytworzył z węgla tlen i neon, podnosząc w ten sposób temperaturę rdzenia. W obawie, że to nie wystarczy, przerzucił się na magnez i krzem. A później na żelazo. Dzięki pewnym technikom spektroskopowym można było zobaczyć, co dzieje się w środku. I tak generał Orion niemal wyczerpał zasób wszystkich chwytów — pozostał mu tylko jeden. Nie miał innego wyjścia, jak tylko przekształcić żelazo z powrotem w hel, manipulując polem grawitacyjnym gwiazdy. Miał być to proces nader drastyczny, powodujący gwałtowne kurczenie się. Rzeczywiście, zyskałby dzięki temu chwilę chwały, lecz później skazany byłby już na noszenie białego karła w miejscu insygniów. Nową dostrzeżono by na Ziemi po dwustu siedemdziesięciu latach i rzeczywiście przez jakiś czas wyglądałaby imponująco, co przecież musiało się liczyć. Doprawdy, zabawna bywa logika żołnierzy.

— Żelazo — powtórzyłem.

Przyszli po mnie następnego ranka. Było ich dwóch, ale ja jeszcze nie byłem gotów. Posadzili statek na północnym wzgórzu i opuścili pokład. Ubrani byli w skafandry próżniowe; pierwszy z nich miał strzelbę. Drugi natomiast niósł

„wąchacza”, urządzenie, dzięki któremu można było odnaleźć poszukiwanego człowieka na podstawie chemicznego składu jego organizmu. Aparat ten miał zasięg około jednej mili. Wskazówki przyrządu wskazały na barak, gdyż znajdowałem się akurat dokładnie pomiędzy nim a moimi gośćmi.

Opuściłem lornetkę, czekając, jak rozwinie się sytuacja. Wyciągnąłem kuszę. Susan była pewna, że jestem w ogrodzie. Rzeczywiście, byłem tam jeszcze przed chwilą, lecz gdy tylko wahadłowiec opuścił się i wylądował w kłębach dymu i płomieni, ruszyłem w jego kierunku. Ukryłem się na skraju pola i rozpoczęły się minuty oczekiwania.

W przeczuciu podobnej wizyty wziąłem też skafander do prac podwodnych. Zasięg aparatu B.O. kończy się pod wodą.

Musieli stracić trop, bo przez chwilę zwolnili, lecz wreszcie ujrzałem nad głową ich cienie.

Wychyliłem się na powierzchnię, ściągnąłem maskę do tyłu głowy, wziąłem ich na muszkę i krzyknąłem:

— Stać! Rzućcie broń, bo będę strzelał!

Ten ze strzelbą odwrócił się gwałtownie, podnosząc broń. Trafiłem go w ramię.

— Ostrzegałem was — powiedziałem. Strzelba spadła na pomost, a mężczyzna chwycił się za rękę. — Kopnij ją do wody.

— Proszę posłuchać, przyjechaliśmy pana stąd zabrać! — powiedział mężczyzna. — Betelgeuse może wybuchnąć w każdej chwili! Przyjechaliśmy po pana!

— Wiem. Nie jestem jeszcze gotowy.

— Dopóki nie wejdzie pan w nadprzestrzeń, będzie pan w ogromnym niebezpieczeństwie.

— To także wiem. Dzięki za radę, ale niestety muszę ją odrzucić. Kopnij tę cholerną strzelbę do wody! Szybko!

Tym razem posłuchał.

— Tak, teraz już lepiej. Jeśli tak bardzo palicie się do prowadzenia ewakuacji, to w baraku jest dziewczyna. Nazywa się Susan Lennert. Możecie ją zabrać, nawet siłą. Idźcie po nią i weźcie ze sobą. A o mnie zapomnijcie.

Mężczyzna trzymający się za rękę popatrzył na swojego kompana. Tamten skinął głową.

— Ona też jest na liście — stwierdził.

— O co panu chodzi? — spytał ten pierwszy. — Przecież próbujemy uratować pańskie życie.

— Wiem i doceniam to. Nie przejmujcie się mną.

— Ale dlaczego?

— To moja sprawa. No, dalej. — Lufą pistoletu wskazałem na Betelgeuse.

Ten drugi oblizwał wargi, a pierwszy kiwnął głową. Odwrócili się i ruszyli w kierunku baraku. Odprowadziłem ich wzrokiem; byli przecież teraz nie uzbrojeni, w odróżnieniu od żyjątek mieszkających w ogrodzie.

Zapewne w baraku wybuchnęła awantura, gdyż po chwili ujrzałem, że ciągną Susan siłą pomiędzy sobą. Przez cały czas pozostając w ukryciu, ubezpieczałem ich aż do chwili, gdy wsiedli na statek i zniknęli na jasnym niebie.

Poszedłem potem do baraku, pozbierałem notatki, przebrałem się, wyszedłem na dwór i pograżyłem się w oczekiwaniu.

Czy były to omamy, czy rzeczywiście Betelgeuse zamigotała przez ułamek sekundy? Być może to tylko zakłócenia w atmosferze...

Nagle na powierzchni pojawił się pływak i prując wodę, zmierzał prosto w kierunku mojego pomostu. Musiałem go zastrzelić; natychmiast znikąd zjawiał się wąż morski i zaczął pożerać znalezionej ofiarę. Potem pojawiły się jeszcze dwa węże; wywiązała się walka. Znow musiałem wystrzelić, zabijając jednego z nich.

Wydawało mi się, że Betelgeuse zaczyna świecić coraz jaśniejszym światłem. Mogło to być jednak złudzenie, wywołane tym, co wiedziałem. Stałem więc dalej, tkwiąc tak w oczekiwaniu. Nadszedł moment, w którym moja hipoteza potwierdzi się lub nie, raz i na zawsze; a potem, bez względu na wynik, pójdę wreszcie odpocząć.

Po jakimś czasie, gdy było już popołudnie, wziąłem na cel wierzącego się w wodzie węża. I wtedy usłyszałem głos:

— Wstrzymaj ogień. — Posłusznie opuściłem broń, wstydząc się własnej małostkowości.

Wąż powoli opuścił swe ogromne cielsko i przesunął się obok. Nie odwróciłem głowy. Nie mogłem. Był tak długi, że choć biłem się z myślami, nie mogłem się odwrócić, patrząc na pełznący obok mnie tułów.

W końcu jednak musiałem, czując dotyk czyjejś dłoni na ramieniu; oto stał przede mną, a ja poczułem się maleńki jak palec.

Wąż ocierał się o jego kalosze i na przemian to odpelzał, to znow wiał się u jego stóp.

— Witam — powiedziałem i dodałem: — Przepraszam. — Palił cygaro i miał może z metr sześćdziesiąt wzrostu, włosy niewiadomego koloru i ciemne oczy, w które wreszcie odważyłem się spojrzeć. Już prawie zapomniałem, jak wygląda. To było tak dawno temu. Nie zapomniałem tylko tego głosu.

— Nie przepraszaj. Nie ma za co. Miałeś przeprowadzić pewien dowód.

— Tak. A jednak to ona miała rację...

— Czy dowiodłeś swoich przypuszczeń?

— Tak. Nie jest pan taki, jakim wyobrażają sobie pana ludzie, i przybył pan tu tylko z jednego powodu — i tym powodem byłem ja.

— Zgadza się.

— Nie powinienem był tego robić. Nie powinienem był tego od pana oczekiwać. A jednak musiałem znać prawdę, po prostu musiałem — a jednak, nie powinienem był.

— Ależ miałeś rację. Może i mnie to było potrzebne, może i ja musiałem udowodnić to przed samym sobą, tak samo jak ty musiałeś się przekonać. Istnieją rzeczy, które są ważniejsze od samego życia. Czy odkryłeś to, czego szukałeś w ogrodzie?

— Już dawno, proszę pana.

— Kiedyś nie nazywałeś mnie „panem”.

— Wiem...

— Chciałeś przekonać się, jak bardzo Francis Sadow dba o swojego syna. To prawda, że olałem Betelgeuse. Zaczęła dla mnie znaczyć mniej niż kółeczko dymu.

Teraz pozostawiam ją jej własnemu losowi. Po drugiej stronie wzgórza czeka na nas Model T. Jeśli się pospieszymy, to nam się uda.

— Wiem, tato.

— Dziękuję.

Podniosłem bagaż.

— Chciałbym opowiedzieć ci o pewnej sympatycznej dziewczynie, którą tu spotkałem... — i rozpocząłem swoją opowieść w drodze na statek.

Ojciec nie chciał pozbyć się pełzającego za nami węża. Zabraliśmy go ze sobą na pokład. Jego cielsko, uratowane z tego chybionego Raju, wiło się po całej kabinie. Tego też mu nigdy nie zapomnę.

IDŹ W NOC, A GWIAZDY NIECH CI NIE TOWARZYSZĄ

Jak więc można się przekonać, zawarte w tym zbiorze opowiadania powstały w rozmaity sposób — albo jako próba powiązania różnych elementów w jedną opowieść, albo jako ciąg dalszy czegoś wcześniejszego, albo jako eksperymentalna wprawka, albo wreszcie jako produkt uboczny... Kolejne napisane zostało na zamówienie i powstało dla potrzeb antologii Freda Saberhagena Łopata kosmicznego czasu. Przewodnią zasadą przy tworzeniu tego zbioru był wymóg nowego, oryginalnego opisu sposobu przenoszenia się do przeszłości, przy czym nie wolno było posilkować się zwykłym wellsowskim modelem podróży w czasie. W trakcie rozmyślań nad tym zagadnieniem przyszły mi do głowy dwa różne chwytły mogące przynieść oczekiwany wynik. Wybrałem ten...

Wokół ciemność i cisza, tylko ciemność i cisza, nic więcej.

Czy to ja?

Ta pierwsza myśl przyszła sama, nieproszona, wynurzyła się z jeziora ciemności. Czy to ja? I nic więcej.

Ja? pomyślał. A więc kto? Co?

Bez odpowiedzi.

Przyплыw jakby paniki, bez zwykłych fizycznych objawów. Gdy jej fala minęła, zaczął nasłuchiwać, usiłując wychwycić choćby najcichszy dźwięk. Uświadomił sobie, że już od dłuższej chwili nie próbuje nawet wyteżać wzroku.

Nadal zupełna cisza. Pozbawiona nawet słabych odgłosów życia — oddechu, bicia serca, chrupotu w zmęczonych stawach. Dopiero wtedy zrozumiał, że nie odczuwa żadnych doznań cielesnych.

Tym razem udało mu się pokonać strach. Czy to śmierć?— pomyślał. Bezcielesny, ponury wyrok poza wszystkim, co istniało? Ta cisza...

Ale gdzie? W jakim punkcie czasoprzestrzeni się znajdował? Trzeba potrząsnąć głową...

Przypomniał sobie, że był człowiekiem — i zdawało mu się, że wiążą się z tym jakieś wspomnienia, lecz tak dalekie, że nie mógł do nich dotrzeć. Nie potrafił przywołać własnego imienia, wywołać żadnego obrazu z przeszłości. A jednak miał pewność, że przeszłość istniała. Gdzieś, za ciemnym horyzontem zapomnienia.

Starał się rozerwać tę beczasowość, daremnie próbując odtworzyć to, co działo się przedtem. Amnezja? Uszkodzenie mózgu? Sen? Zadał sobie w końcu pytanie, gdy wysiłek przebiccia się przez przecucie istnienia utajonych obrazów spełził na niczym.

A więc ciało... Zaczynij od niego.

Pamiętał, czym było ciało. Ręce, nogi, głowa, tors... Przez świadomość przebiegła też intelektualna wizja seksu. A więc ciało...

Pomyślał o swoich własnych rękach. Nic nie czuł. Próbował nimi poruszyć. Nie miał wrażenia, by istniały, nie mówiąc już o ruchu...

Oddech... Spróbował zaczerpnąć powietrza. Nie poczuł nic, żadnego strumienia

powietrza. Nie miał nawet poczucia istnienia jakiejś granicy pomiędzy sobą a ciemnością i ciszą.

Nagle, z niewiadomego kierunku, nadszedł buczący dźwięk. Jego natężenie zmieniało się. Wysokość to rosła, to opadała, przemieniała się w turkot, by wreszcie powrócić do jednostajnego buczenia. Potem znów dźwięk zmienił się nagle, jak gdyby osiągnął swe zwykłe parametry, których nie potrafił rozszyfrować.

Nastąpiła chwila ciszy, jak gdyby strojono źródło, z którego dochodził. I wtedy nagle usłyszał:

— Dzień dobry.

Odczuł gwałtowną ulgę przemieszana z strachem. Te dwa słowa wypełniły jego umysł, by za chwilę ustąpić miejsca niepewności, czy rzeczywiście je usłyszał.

— Dzień dobry.

A więc jeszcze raz. Strach zelżał. W jego miejsce pojawiło się coś w rodzaju radości. Odczuł natychmiastową potrzebę udzielenia odpowiedzi.

— Tak? Dzień dobry. Kto...

Nagle urwał. W jaki sposób zdołał się odezwać? Nie czuł żadnych organów mowy. A jednak zdawało mu się, że słyszy słabe echo własnej odpowiedzi, jak gdyby gdzieś w tle, ledwo słyszalne. Skąd dochodziło? Na próżno próbował je odnaleźć.

Miał wrażenie, że dobiega go rozmowa kilku głosów — pospieszne wypowiedzi, ciche, odległe. Zbyt szybkie, by mógł je zrozumieć.

Po chwili:

— Jeszcze raz dzień dobry. Proszę odpowiedzieć ponownie. Dostrajamy głośnik. Czy dobrze słyszy pan my?

— Teraz tak — odparł. — Gdzie jestem? Co się stało?

— Co pan pamięta?

— Nic!

— Proszę nie wpadać w panikę, panie Dawkins. Czy pamięta pan, że nazywa się Ernest Dawkins? Tak wynika z pańskich akt.

— Teraz tak.

Samo wspomnienie nazwiska ożywiło nagle ciąg obrazów — jego twarz, twarz jego żony, dwóch córek, mieszkanie, laboratorium, w którym pracował, samochód, słoneczny dzień na plaży...

Tamten dzień na plaży... Wtedy właśnie poczuł ból w lewym boku — z początku tępy, narastający z upływem tygodni. Ten ból nie opuścił go już nigdy później. Aż do tej chwili, uzmysłowił sobie nagle.

— Za... wraca mi... pamięć — powiedział. — Jak gdyby przerwała się tama... Chwileczkę.

— Proszę się nic spieszyć.

Odsunął z niechęcią myśl o bólu. Był chory, ciężko chory, leżał w szpitalu, miał operację, podawano mu morfinę... Przebiegł myślami przez swoje życie, pomyślał o swojej rodzinie, o pracy. O szkole, miłości, polityce i badaniach, które prowadził. O narastających problemach świata, o swym dzieciństwie i o...

— Czy wszystko w porządku, panie Dawkins?

Stracił poczucie czasu, lecz słysząc to pytanie, chciał parsknąć śmiechem. Skądś odezwał się odgłos przypominający ten śmiech.

— Sam nie wiem — odparł. — Myślałem... wspominałem różne rzeczy. Lecz co do tego, czy ze mną wszystko w porządku... Gdzie u diabła jestem? Co się stało?

— A zatem wszystkiego pan sobie nie przypomina? Zauważył teraz, że pytający głos stosuje dziwną odmianę i że mówi z akcentem, którego nie był w stanie umiejscowić.

— Chyba nie.

— Nie był pan w najlepszym zdrowiu.

— To pamiętam.

— Umierał pan, szczerze mówiąc. Tak piszą.

Zmusił się, by wrócić myślami do tamtego bólu, przypomnieć sobie, co wtedy czuł.

— Tak — przyznał. — Pamiętam.

...i wszystko wróciło. Zobaczył swoje ostatnie dni w szpitalu, gdy jego stan pogorszył się, przekraczając granicę, po której nie mogło już być powrotu nadziei, twarze rodziny, przyjaciół i krewnych, na których wypisany był jego wyrok. Pamiętał swą decyzję, by odejść wcześniej, co praktykowane było już od dawna. Pieniądze nigdy nie stanowiły problemu. Wydawało się, że jego rodzina posiada je od zawsze, on sam zresztą wcześniej odziedziczył całą fortunę. Pieniądze były więc wszechobecne, podobnie jak przecucie śmierci po odejściu rodziców. Było ich wystarczająco dużo, by zapaść w długi sen zimowy, zasnąć i śnić o jakiejś odległej wiosnie...

— Pamiętam, w jakim byłem stanie — powiedział. — Wiem, co potem nastąpiło.

— Tak — usłyszał w odpowiedzi. — Właśnie.

— Ile minęło czasu?

— Bardzo dużo.

Chciał oblizać usta. Z konieczności poprzestał na wyobrażeniu.

— Moja rodzina? — spytał wreszcie.

— To było tak dawno.

— Rozumiem.

Głos dał mu chwilę czasu, by oswoił się z tą wiadomością. Po chwili odezwał się ponownie:

— Brał pan oczywiście pod uwagę tę możliwość?

— Tak. Byłem przygotowany — na ile to możliwe — na taki stan rzeczy.

— To było dawno. Bardzo dawno...

— To znaczy?

— Proszę pozwolić nam postępować według naszych metod.

— Oczywiście. Wy lepiej znacie się na rzeczy.

— Cieszymy się, że jest pan tak rozsądnym stworzeniem.

— Stworzeniem?

— To znaczy, człowiekiem. Proszę wybaczyć my.

— Muszę jednak o coś spytać — nie ma to nic wspólnego z upływem czasu: czy teraz tak mówi się po angielsku? Czy może nie jest to pański język ojczysty?

Nastąpiła chwila ożywionych konsultacji, z których nie można było wyłowić ani słowa. Potem znów dał się słyszeć wysoki ton brzęczka, przerwany odpowiedzią:

— Proszę pozwolić nam odłożyć to pytanie na później.

— Jak pan sobie życzy. Może więc dowiem się czegoś o mojej sytuacji? Jestem bardziej niż trochę zaniepokojony. Niczego nie widzę ani nie czuję.

— Zdajemy sobie z tego sprawę. Mówię to z prawdziwą przykrością, ale nie widzimy potrzeby ukrywania stanu faktycznego. Nie nadszedł jeszcze czas na pańskie pełne przebudzenie.

— Nie rozumiem. To znaczy, że nie znaleziono jeszcze lekarstwa na moją chorobę?

— To znaczy, że nie można pana rozmrozić bez szkody dla pańskiego organizmu.

— Jak to się więc dzieje, że możemy rozmawiać?

— Obniżyliśmy jeszcze bardziej temperaturę pańskiego ciała — prawie do zera absolutnego. Pański system nerwowy stał się nadprzewodnikiem. Zainstalowaliśmy na pańskim mózgu pole indukcyjne i przepuściliśmy niewielkie impulsy elektryczne. Trzecia komora, lewa półkula i środki ruchowe odpowiedzialne za tworzenie mowy zostały w ten sposób pobudzone i uruchamiają stojący obok pana mechaniczny głośnik. Zwracamy się do pana bezpośrednio poprzez obszary mózgu odpowiedzialne za słuch.

Ogarnęła go następna fala strachu. Nie wiedział, jak długo trwała. Znów usłyszał, jakby z oddali, głos powtarzający jego nazwisko.

— Tak — odezwał się wreszcie. — Rozumiem. Ale tak trudno się z tym pogodzić.

— Wiemy. Pański organizm nie ponosi jednak dzięki temu żadnych szkód — usłyszał w odpowiedzi. — Proszę popatrzeć na to również z innej strony — najważniejsze, że pan nadal żyje.

— Cóż, chyba tak. Rozumiem pańskie intencje i traktuję pana słowa jako przyczynek do nadziei. Ale dlaczego? Nie obudziliście mnie chyba tylko po to, by to wykazać?

— Nie. Interesujemy się epoką, w której pan żył. Z czysto archeologicznego punktu widzenia.

— Archeologicznego! To sugeruje, że musiało upłynąć strasznie dużo czasu!

— Proszę wybaczyć my. Może wybraliśmy niewłaściwe słowo, myśląc o pańskich czasach w kategoriach ruin. Jednak dla nas pana system nerwowy jest przepustką do czasów minionych.

— Ruin! Co się u diabła zdarzyło?

— Wybuchła wojna, a potem nastąpił ciąg katastrof. Z uwagi na to przekazy są niejasne.

— Kto wygrał wojnę?

— Trudno powiedzieć.

— Zatem rzeczywiście niewesoło to wygląda.

— Prawdopodobnie. Przez cały czas sami się uczymy. Dlatego właśnie pragniemy dowiedzieć się czegoś o minionym czasie, korzystając z pańskich zimnych szczątków.

— No dobrze, ale jeśli cały świat pogrążył, się w chaosie, w jaki sposób mnie udało się przetrwać?

— Elementy chłodzące zasilane są energią z elektrowni atomowej, która przez długi czas mogła funkcjonować bez dozoru dzięki komputerom. Wszystkie instalacje znajdują się zresztą pod ziemią.

— Naprawdę? Wiele rzeczy musiało zmienić się od czasu, gdy tu... wstąpiłem. Gdy czytałem prospekty i oglądałem to miejsce, wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

— Niestety, doprawdy niewiele wiadomo nam o historii tego miejsca. Nie mamy pojęcia o wielu rzeczach. Właśnie dlatego pragniemy, by opowiedział nam pan o swojej epoce.

— Trudno się zdecydować, od czego zacząć...

— Może łatwiej będzie, gdy to my zaczniemy zadawać pytania?

— Niech będzie. Później jednak chciałbym usłyszeć odpowiedź na kilka moich własnych pytań.

— Niech tak będzie. Proszę nam zatem powiedzieć: czy mieszkał pan w swoim miejscu pracy, czy w pobliżu?

— Nie. W drodze do pracy musiałem codziennie przejeżdżać przez pół miasta.

— Czy taki sposób życia był powszechny w pańskiej okolicy i w ogóle w kraju?

— W dużym stopniu tak. Rzecz jasna, niektórzy ludzie korzystali z innych środków transportu. Autobusów miejskich, zakładowych. Ja, tak jak większość, jeździłem samochodem.

— Czy gdy mówi pan o jeździe samochodem, ma pan na myśli czterokołowy pojazd napędzany wewnętrznym silnikiem spalinowym?

— Zgadza się. Były w powszechnym użyciu w drugiej połowie dwudziestego wieku.

— Ile ich było?

— Bardzo wiele.

— Czy w związku ze zbyt dużą ich liczbą na drogach w tym samym momencie zdarzały wam się jakieś problemy?

— Tak. Pewne okresy w ciągu dnia — gdy ludzie jechali do pracy albo wracali do domu — określane były jako „godziny szczytu”. Wtedy często zdarzały się korki — to znaczy, że samochodów na ulicy było tak dużo, że wzajemnie sobie przeszkadzały.

— To bardzo interesujące. Czy takie zwierzęta jak wieloryby żyły jeszcze w pańskich czasach?

— Tak.

— Niesłychane. Czym pan się zajmował?

— Badaniami nad biologicznymi i chemicznymi toksynami. Większość z tych prac była ściśle tajna.

— Co to oznacza?

— Och. Objęte były klauzulą tajności, gdyż miały zostać użyte w celach wojskowych.

— Czy wojna już wtedy się toczyła?

— Nie. Chodziło... o przygotowanie. Pracowaliśmy nad różnymi toksynami, które mogłyby zostać użyte, gdyby zaistniała taka potrzeba.

— Chyba rozumiemy. Musiały to być ciekawe czasy. Czy panu udało się opracować taki skuteczny środek?

— Tak. Niejeden.

— A jak postępowaliście dalej? Ryzykiem było chyba posiadanie takich materiałów w czasie pokoju?

— No cóż, próbki przechowywane były z zachowaniem najwyższych środków ostrożności w szczególnie bezpiecznych miejscach. Istniały trzy główne magazyny, całkowicie tajne i dobrze strzeżone.

Nastąpiła chwila ciszy. Później głos podjął urwaną rozmowę:

— Jest to dla nas wysoce niepokojące. Czy sądzi pan, że jakieś z nich mogły przetrwać... nawet przez kilka stuleci?

— Tak, to możliwe.

— Jako istoty miłujące pokój, jesteśmy wielce zaniepokojeni wszystkim, co mogłoby zagrażać rodzajowi ludzkiemu...

— Mówi pan to tak, jak gdyby sam pan do niego nie należał. Znów włączył się ten wysoki ton. Po chwili głos ponownie przemówił:

— Język zmienił się jeszcze bardziej, niż sądziliśmy. Najmocniej przepraszam. Niewłaściwa fraza. Naszym życzeniem jest przeprowadzić dezaktywację tych niebezpiecznych materiałów. Od dawna już podejrzewaliśmy, że istnieją. Czy pan może nam pomóc? Nie wiemy, gdzie zostały ulokowane.

— Nie jestem tego taki pewien — odparł. — Bez urazy, ale dla mnie jest pan tylko głosem. Nic doprawdy o panu nie wiem. Nie jestem pewien, czy powinienem udzielać takich informacji.

Nastąpiła długa cisza.

— Halo? Czy jest pan tam jeszcze? — usiłował powiedzieć.

Nie usłyszał ani odpowiedzi, ani nawet własnego głosu. Otaczający go czas zachowywał się dziwnie. Czy zatrzymał się na chwilę? A może jego rozmówca obraził się? Może umarł?

— Halo! Halo! — powiedział. — Czy pan mnie słyszy?

— ...Usterka mechaniczna — wyjaśnił głos w odpowiedzi. — Najmocniej przepraszam. Przepraszam za wczoraj.

— Za wczoraj!

— Odłączyliśmy pana do czasu otrzymania nowego głośnika. Wtedy, gdy doszliśmy do momentu, w którym miał nam pan ujawnić miejsce przechowywania najlepszych trucizn.

— Niestety, przykro mi — oświadczył. — Poprosiliście o coś, czego nie wolno mi ujawnić, nawet w najlepszej wierze.

— Chcemy jedynie zabezpieczyć się przed katastrofą.

— Jestem w tym strasznym położeniu, że w żaden sposób nie mogę zweryfikować pańskich słów.

— Jeśli spadnie na pana coś ciężkiego, rozprysnie się pan jak kryształ.

— Nie byłbym nawet w stanie sprawdzić, czy to się zdarzyło.

— Możemy też pana ponownie odłączyć i wyłączyć zamrażarkę.

— Byłaby to przynajmniej bezbolesna śmierć — powiedział to z większym stoicyzmem, niż myślał.

— Żądamy ujawnienia nam tej informacji.

— A zatem musicie poszukać jej gdzie indziej.

— Odłączymy głośnik i słuchawkę, po czym odejdziemy, pozostawiając pana pośrodku nicości. Na razie do widzenia.

— Proszę poczekać!

— A zatem zdecydował się pan mówić?

— Nie. Nie mogę...

— Oszaleje pan, jeśli rozłączymy przewody.

— Chyba tak. W końcu chyba tak...

— Proszę więc nas do tego nie zmuszać.

— Pańskie groźby ujawniły waszą prawdziwą naturę. Nie mogę oddawać wam podobnej broni.

— Panie Dawkins, nie jest pan inteligentną istotą.

— A pan nie jest archeologiem. W przeciwnym wypadku wyświadczyłby pan przysługę przyszłym pokoleniom, odłączając mnie, by nie dowiedziały się o innych znanych mi sprawach.

— Ma pan rację. Nie jesteśmy archeologami. Nigdy nie dowie się pan, kim naprawdę jesteśmy.

— I tak wiem już wystarczająco dużo.

— A więc proszę uciec w swoje szaleństwo. Znowu nastąpiła cisza.

Strach nie opuszczał go przez długą chwilę, aż nie powróciły obrazy rodziny, domu, miasta. Stawały się coraz bardziej namacalne, aż stopniowo znalazł się wewnątrz nich. Później, po jakimś czasie, przestał zgłaszać się w pracy i spędzał całe dnie na plaży, zastanawiając się najpierw, kiedy pojawi się ten ból w boku. Później zaczął zastanawiać się, dlaczego właściwie o tym rozmyśla. Jeszcze później zapomniał o wielu rzeczach, pamiętając tylko o długich dniach spędzonych na słońcu lub o szumie fal bijących o brzeg, o czerwonym deszczu i o błękitnym, być może topniejącym posągu o ognistych oczach z mieczem w zaciśniętej pięści. Gdy dobiegły go głosy spod piasku, nie odpowiedział. Wsłuchany był przecież w pieśń wielorybów, którą śpiewały syrenom siedzącym na ruchomych skałach, rozczesującym czerepami swe zielone włosy i śmiejącym się z błyskawic i lodu.

TYLKO NIE HEROLD

We wcześniejszym zbiorze opowiadań — Ostatni obrońca Camelotu — wspomniałem we wstępie do Teraz nadchodzi potęga, że w pewien ponury dzień napisałem trzy opowiadania, jedno po drugim, dla zabicia czasu i zajęcia czymś własnych myśli: to, które zaraz przeczytacie, tamto i jeszcze Boskie szaleństwo. W tym samym miejscu wyjaśniłem również, że Boskie szaleństwo i leżące przed wami opowiadanie znalazło się w jeszcze wcześniejszym zbiorze zatytułowanym Drzwi jego twarzy, lampy jego ust i inne opowieści. Później jednak moi najwierniejsi czytelnicy — pierwszym był chyba Jim Burk z Wichita (Cześć, Jim) — donieśli mi, że Tylko nie herold nie został wcale — niech to szlag! — umieszczony w Drzwiach, tej wcześniejszej antologii. Postanowiłem to sprawdzić. Minęło przecież tyle czasu. I okazało się, że moi czytelnicy mieli rację. Przez te wszystkie lata żyłem w błogim przeświadczeniu, że moje opowiadanko ujrzało światło dzienne i na swój mały sposób przyczynia się do zachowania ludzkości i tak dalej.

Przypuszczam, że pisanie w celu odwrócenia myśli od nieprzyjemnej rzeczywistości to kolejny wariant gry, którą prowadzi z nami inspiracja...

Starzec ze swą puszką zstąpił z gór i wkroczywszy na szlak wiodący do morza, przystanął na chwilę. Oparł się o swój bagaż i popatrzył na grupę ludzi, zajętych podpalaniem domu sąsiada.

— Czy mogę pana spytać — zwrócił się do jednego z mężczyzn — dlaczego chcecie spalić dom sąsiada, w którym, jak wnoszę z odgłosów szczekania i wrzasków, przebywa on nadal, wraz z psem, żoną i dziećmi?

— A czemu nie? — zapytał mężczyzna. — To obcy, który przybył tu zza pustyni, i różni się od nas wyglądem. Odnosi się to również do jego psa, który wygląda inaczej niż nasze psy i szczeka z obcym akcentem, do jego żony, która jest ładniejsza od naszych żon i mówi z obcym akcentem, jak też i do jego dzieci, które są mądrzejsze od naszych i w dodatku mówią tak jak ich rodzice.

— Rozumiem — odparł starzec i ruszył w swoją stronę. Na rozstaju dróg natknął się na żebraka, którego kule dyndały na najwyższej gałęzi. Starzec uderzył puszką w pień drzewa; kule spadły na ziemię. Oddał je żebrakowi.

— Powiedz mi, bracie, w jaki sposób kule znalazły się na szczycie drzewa? — spytał żebraka.

— To sprawa młodych ludzi — odparł żebrak, podpierając się kulą i wyciągając dłoń po jałmużnę.

— Dlaczego to uczynili?

— Nudzili się. Pewnie męczyli rodziców pytaniem „W co mamy się bawić?“, aż wreszcie któryś z rodziców nie wytrzymał i kazał im iść zabawić się kosztem żebraka stojącego na rozstaju dróg.

— Podobne zabawy nie należą do najprzyjemniejszych — zauważył starzec.

— To prawda — odparł żebrak. — Ale na szczęście dla mnie starsi chłopcy

znaleźli sobie dziewczynkę i zabawiają się z nią teraz na polu. Jeśli nadstawisz ucha, usłyszysz jej płacz. No ale spójrz, cóż za słabeusze! Gdybym ja był znów młody i cały, dopiero bym im pokazał, jak to się robi!

— Rozumiem — starzec odwrócił się, ruszając w dalszą drogę.

— Grosik dla żebraka! Grosik dla żebraka! Czy nic się nie znajdzie dla żebraka w tej puszcze? Czy niczym nie podzielisz się z biednym kaleką?

— Masz moje błogosławieństwo — rzekł starzec. — Niestety puszka nie zawiera niczego, co nadawałoby się na jałmużnę.

— Chrzanię twoje błogosławieństwo, stary grzybie! Błogosławieństwem się jeszcze nikt nie najadł! Chcę pieniędzy lub czegoś do żarcia!

— Przykro mi, lecz tym nie dysponuję.

— A zatem bądź przeklęty! Niech wszystkie nieszczęścia spadną na twą głowę!

Starzec ruszył dalej ku morzu. Po jakimś czasie napotkał dwóch ludzi, którzy właśnie kopali grób dla leżącego obok nieboszczyka.

— Świętą przysługą jest grzebać zmarłych — zauważył starzec.

— No — odparł jeden z nich — szczególnie, gdy zaszlachtowało się go własnymi łapami i teraz trzeba ukryć dowody.

— Zabiliście go sami? Z jakiego powodu?

— Prawie bez powodu, niech to piorun strzeli! Tak się trząśł, tak walczył o ten swój jeden jedyny grosik w sakiewce.

— Sądząc po odzieniu, pewnie był biedakiem.

— Taa, teraz przynajmniej nie ma się czym martwić.

— A co tam niesiesz w tej puszcze, starcze? — spytał drugi.

— Nic, co mogłoby wam się przydać. Idę wrzucić ją do morza.

— No to zajrzyjmy do środka.

— Nie wolno wam.

— Sami to osądzimy.

— Tej puszeki nie wolno otwierać.

Zbliżyli się.

— Oddaj ją nam natychmiast.

— Nie.

Drugi człowiek rąbnął starca kamieniem w głowę; pierwszy zaś wyrwał mu puszkę.

— No i proszę. A teraz zajrzyjmy, czy rzeczywiście nie ma tam niczego ciekawego.

— Ostrzegam was — rzekł starzec, podnosząc się z ziemi. — Jeśli otworzycie tę puszkę, popełnicie rzecz straszną, której pewnie nigdy nie da się naprawić.

— Sami to osądzimy.

Przecięli sznury przytrzymujące pokrywę.

— Jeśli łaskawie wstrzymacie się przez chwilę — powiedział starzec — opowiem wam o tej puszcze.

Zawahali się.

— No dobrze, zatem gadaj.

— To puszka Pandory. Kobieta ta otworzyła kiedyś puszkę, a wtedy wyfrunęły z niej wszystkie nieszczęścia, jakie odtąd trapią świat.

— Ha! Niezła bajeczka!

— Bogowie, którzy obarczyli mnie obowiązkiem wrzucenia jej do morza, mówią, że ostateczne przekleństwo, nadal zamknięte w puszczy, straszniejsze jest od wszystkich innych nieszczęść razem wziętych.

Zdjęli sznurek i podnieśli pokrywę.

Uniosła się złocista poświata. Wystrzeliła w górę jak fontanna, a w jej blasku ukazał się skrzydlaty stwór, wołając nieskończenie łagodnym i patetycznym głosem:

— Nareszcie wolny! Wolny po tych wszystkich latach!

Mężczyźni padli na kolana, chowając twarze.

— Kimże jesteś, cudowna istoto? — spyтали. — Ty, która napawasz nas tym dziwnym uczuciem?

— Zwą mnie Nadzieją — odparł stwór. — Podróżuję do wszystkich najbardziej ponurych miejsc na tym świecie, by rozsiewać uczucie, że sprawy mogą się mieć lepiej na tym łez padole.

Z tymi słowy uniół się w górę i poszybował w poszukiwaniu najbardziej ponurych miejsc na Ziemi.

Gdy mordercy odwrócili się do starca, zobaczyli go zupełnie odmienionego: oto stał przed nimi silny młodzieniec bez siwej brody. Na jego odzieniu wiły się dwa węże.

— Nawet bogowie nie mogli temu przeszkodzić — odezwał się. — Swoim czynem sprowadziliście na siebie samych wszelkie zło. Bądźcie tego pomni, gdy jasna nadzieja rozetrze się w proch w waszych dłoniach.

— Ależ skąd — odparli — bo oto zbliża się nowy wędrowiec, niosąc okazałą sakiewkę. Będziemy wreszcie mogli wypocząć, ciesząc się plonem tego dnia.

— Głupcy! — rzucił młodzieniec i na skrzydłach, które wyrosły mu u stóp, zniknął w oddali. Po drodze minął Herkulesa. Wymienili pozdrowienia.

GALAKTYCZNY MOST POMOCY

Pamiętam taką sytuację: byłem w obrzydliwym nastroju, usiadłem i zacząłem pisać, ciekawy, co z tego wyjdzie. Zły nastrój minął dość szybko; zdarzyło się coś, co go przerwało. Ergo, opowiadanie pozostało krótkie, bo tak chciał los. Trudno nawet nazwać je opowiadaniem. Składa się po prostu z kilku listów. Wysłałem je do jakiegoś fanzinu, gdzie zostało bezzwłocznie opublikowane, a następnie zupełnie o nim zapomniałem. Wkrótce potem miałem zaszczyt pracować nad pewną książką wspólnie z nieżyjącym już Philipem K. Dickiem, którego umiejętności błyskawicznego przekręcania rzeczywistości przez wyżymaczkę, cięcia jej w niszczarce do papieru, miksowania tego, co zostało, w kuchennym robocie, a następnie składania wyników tych działań w rzeczy rzadkie i dziwne od dawna podziwiałem. Byłem wielce zdumiony, gdy wyraził się pochlebnie o moim małym opowiadanku. Fakt, że je przeczytał, zapamiętał i polubił, sprawił, że postanowiłem je niedawno odkopać. Często przecież dostrzegał rzeczy, których ja nie widziałem. Szczerze mówiąc, było tak prawie zawsze.

Drodzy Ziemsy Rodzice!

Nie wiem, jak wyrazić mam swoją radość, że nadal nie zapominacie o moich potrzebach i że dzięki Międzygwiazdnej Fundacji Przybranych Rodziców (Galaktyczny Most Pomocy) co miesiąc przesyłacie mi paczki. Choć nigdy mnie nie widzieliście, to bardzo miło z waszej strony i jestem Wam za to bardzo wdzięczny. W tym miesiącu przesłaliście mi również pudełko słodczy; musiały was kosztować fortunę: za nie szczególnie jestem wam zobowiązany. Opiszę więc może najpierw miejsce, w którym mieszkam, byście mogli razem ze mną cieszyć się radością, jaką nam sprawiliście. Jest tu nas siedmioro, wszystkich kolegów braci i koleżanek sióstr, przy czym troje to jeszcze piskłeta, które nie nadają się do pracy, więc pozostaje nas czworo. Z tej naszej czwórki starsza koleżanka siostra to nioska. Nie będzie mogła pracować aż do pory deszczowej, więc opiekuje się piskletami. Cóż to jednak za radość! Moi koledzy bracia pracują w Warsztatach Ziemskich, gdzie wielkie maszyny rozbijają metalowe sztaby na mniejsze kawałki. Uwielbiają swoją pracę, która polega na zamiataniu opiłków, przecieraniu oliwą metalowych części i podkładaniu ich pod młot maszyny. Mojemu starszemu koledze bratu ręka już odrosła, choć nie jest tak duża jak poprzednia, ale najważniejsze, że może używać jej tak jak dawniej; tyle że nie jest tak silna. Otworzyliśmy pudełko z czcią i z podnieceniem. A w środku były ciepłe skarpety z throru, glipery; dzięki, że o nich pomyśleliście. Znaleźliśmy też podręczniki, z których na razie ja korzystam, ale później przydadzą się piskletom. Były też suchary i kartki na żywność, które zrealizowaliśmy w Magazynie Ziemskim; właśnie kończymy jeść część z tych smakołyków. Byliśmy bardzo wdzięczni, naprawdę sprawiliście nam ogromną radość. Poczytaliśmy trochę o Ziemi i uznaliśmy, że na pewno wygląda jak Kraina Szczęścia, dokąd Najwyższy wysyła po kremacji tych, którzy prowadzili zacy

żywot. Czy tak jest naprawdę? Proszę, napiszcie nam o Ziemi i o sobie, jeśli znajdziecie chwilę czasu. Jesteśmy pełni ciekawości, ale i pokory; napiszcie więc, jeśli kiedyś znajdziecie czas. Bylibyśmy szczęśliwi, mogąc przeczytać o wysokich drzewach porastających pobocza szos, o waszych zachodach słońca, wieżowcach i o błękitnym niebie. Wiele razy czytałem waszą kartkę, która nadeszła trzy paczki temu, gdzie napisaliście Bawimy się świetnie. Jaka szkoda, że was tu nie ma. Dziękuję, że pomyśleliście o mnie wtedy. Rzeczywiście, zabawa z tymi wspaniałymi kołami ruletki musi być przednia. Podobały mi się, gdy zobaczyłem je na zdjęciu, a nazwę odczytałem z drugiej strony kartki. Do końca nie wiem, co to jest koło ruletki, bo nie ma tego słowa w moim *Małym galaktycznym słowniku języka angielskiego*. Myślę jednak, że służy ono do jakiejś gry. Może napiszecie mi też o ruletce w waszym liście? Nie rozumiem tylko waszej odpowiedzi, która nadeszła dwie paczki temu, gdy napisaliście, że więcej pieniędzy przecieka wam przez palce w ciągu jednego wieczoru, niż wysyłacie mi pr: ;z rok. Czy teraz na Ziemi używa się ciekłej waluty? Myślałem, że dolary robi się z papieru, więc tego nie rozumiem. Uprzejmie poproszę was kiedyś o wyjaśnienie. Dzisiejszego popołudnia jest bardzo gorąco i duszno, muszę więc iść teraz do studni i jak wróć, będzie już wieczór. Dokończę więc jutro. Tymczasem do widzenia, moi ziemscy rodzice.

A teraz opowiem wam jeszcze więcej o radości, jaką nam sprawiliście. Po spaleniu naszego kolegi ojca bardzo trudno było nocą utrzymywać ciepło w gnieździe. Teraz, dzięki przesyłanym przez was kartkom na opał mamy ciepło prawie co noc. Moja koleżanka siostra—nioska śpi najbliżej pieca. Zimno jest chyba tylko koleżance mamie, która ma nieustanne dreszcze przez tę chorobę, która zjawiała się mniej więcej wtedy, gdy wasi rodacy przybyli z nieba. Trudno zresztą wyobrazić sobie tę przestrzeń, która rozdziela nasze światy, bez zawrotu głowy. Ziemia tu u nas raczej płaska, więc na samą myśl o wysokościach robi mi się słabo. Dobrze, że Najwyższy, który może stwarzać i opiekować się światami tak odległymi od siebie, nie zaznaje zawrotów głowy.

Cieszę się, że Wasze ostatnie przyjęcie było udane i że mój ostatni list powitany był przez Waszych drogich przyjaciół salwą śmiechu. To najdłuższy list, jaki kiedykolwiek napisałem; mam nadzieję, że Was ucieszy. Jesteście dla nas tacy dobrzy

Wasz przybrany syn
Phaun Ligg

Drogi Phaunie!

Twoje listy są doprawdy bezcenne. Mój mąż i ja uważamy je za jeden z naszych największych skarbów. Jeśli chodzi o nas, to ostatnio trochę brakuje nam czasu, ale wkrótce przyślemy ci długi list — jak tylko bardziej się zorganizujemy. Doprawdy, był to bardzo wyczerpujący tydzień, więc tym razem musisz nam wybaczyć. Dobrze? Proszę cię również, byś nie zwracał uwagi na ukryte między wierszami aluzje mojego męża. Takie już ma poczucie humoru. Przekaż najserdeczniejsze życzenia koleżance mamie, koleżankom siostrom i kolegom braciom. Jesteśmy z tobą myślami. Ucałowania

Edith Mason

P.S. Nie zaniedbuj korespondencji. Przy twoich listach można pęknąć ze śmiechu.
Przybrany kolega ojciec
Sam Mason.

MOC, KTÓRA PRZEZ OBWÓD PRĄD PROWADZI

Nie przepadam za tym opowiadaniem. Na szczęście jest krótkie; istnieje natomiast szczególny powód, dla którego znalazło się w tej antologii. Kilka razy w życiu zdarzyło mi się napisać coś za wcześnie; innymi słowy, gaz w piekarniku był za słaby, a ja wyjąłem rondel i podałem mięso na stół, zanim do końca się upiekło. W tym wypadku po głowie chodziło mi kilka pomysłów; sztuczna inteligencja, jakiś stan pourazowy, a nad nimi górowała nadzieja, że uda mi się je zgrabnie uporządkować w jednym, rozwiniętym, dłuższym opowiadaniu. Mieszkalem wtedy w Baltimore; w tym samym roku Fred Pohl był gościem honorowym na Balticonie, miejscowej konferencji science fiction. Jednym z punktów programu był wywiad, jaki miałem z nim przeprowadzić. Po wywiadzie Fred zaprosił mnie, Judy i mojego przyjaciela na kolację do Millera, jednej z moich ulubionych restauracji. Między jednym a drugim daniem Fred zaproponował mi napisanie opowiadania do zbioru, który właśnie przygotowywał. Zgodziłem się chętnie, choć w głowie miałem tylko garść nieuporządkowanych pomysłów, o których wcześniej wspomniałem. Chcąc nie chcąc, postanowiłem więc z nich skorzystać i tak powstało to opowiadanie. Jak już wyżej zauważyłem, nie byłem do końca zadowolony z wyniku: nie potrafiłem wyjść z tymi myślami poza ramy szkieletu. Zdarzyła się jednak rzecz wielce interesująca. Otóż podczas pisania tego opowiadania wykrył mi się pomysł na zupełnie inną historię — historię zbyt długą, bym zdążył z nią na termin wyznaczony przez Freda. Mam na myśli Powrót Kata, jedną z moich najlepszych nowel. Tak więc to opowiadanie jest po prostu jeszcze jednym wariantem procesu twórczego: było palcówką, ćwiczeniem, które posłużyło do stworzenia czegoś znacznie lepszego. Gdyby nie Balticon i chateaubriand u Millera, zapewne nigdy by nie powstało; nie wiem też, co stałoby się z... Katem.

...I pokonała mnie siła większa od mojej własnej.

Podmorski wąwóz: gigantyczne stare koryto, bezgwiezdna, bezksiężycowa noc, mgła, łacha grząskiego piasku, uniesiona wysoko jasna latarnia.

Poruszałem się kanionem rzeki Hudson. Zbierałem próbki osadu, sięgając przez warstwy brudu i błota, zagłębiając co chwila i szybko wyjmując z powrotem moją sondę. Robiłem analizy i opisywałem naturę, gęstość i ułożenie warstw w tubie przyrządu; następnie, po przepłukaniu instrumentów przenosiłem się w inne miejsce i powtarzałem wszystko od nowa; jeśli warunki na to pozwalały, przystępowałem do kopania rowu, co było niezmiernie trudne; gdy rów był gotów, opuszczałem się na dno i pobierałem następną próbkę. Ogólnie rzecz biorąc, wykopanie rowu najczęściej przekraczało moje możliwości: wszędzie pełno było samoistnych szczelin, pęknięć, zapadlisk. Co jakiś czas wpychałem cokolwiek tylko było pod ręką do wzmacniacza; to coś wytapiało się w piecyku, a ja otrzymywałem niezbędną energię; i co jakiś czas przystawałem, by podtrzymać ogień, czując jakby napierającą zewsząd masę 1500

sążni Atlantyku; przekrzywiałem wtedy promień światła w widzialnym widmie i odsiewałem dźwięki z przeszłości, słysząc jej echa.

Nagle moje stopy straciły oparcie. Przebijając nogami, odzyskałem równowagę. Później coś we mnie zaczęło się szamotać, walczyć i przez najdrobniejszy ułamek sekundy miałem uczucie, jak gdybym rozszczepiał się, stawał się dwiema istotami. Moje zdolności postrzegania wyostrzyły się jak nigdy wcześniej — było to bardziej odruchowe niż zamierzone — i w tym samym momencie, gdy udało mi się sprecyzować naturę zakłóceń, odczułem działanie efektów.

Gdy potężna fala wymiotła mnie z łóżyska kanionu i z całej siły rzuciła mną o wznoszącą się po mojej lewej stronie kamienną ścianę, gdy przetaczając się z boku na bok i tracąc orientację, gdzie jest góra, a gdzie dół, gdy unosiło mnie i wciągało nieodparte ciśnienie błota i wody, wtedy właśnie zlokalizowałem epicentrum trzęsienia ziemi: pięćdziesiąt trzy mile w kierunku południowy południo-wschód. Suplement do obrazu podmorskiego wąwozu: silna burza piaskowa; lampa gaśnie.

Nie wierzyłem prawie własnemu szczęściu. Niewiarygodne doświadczenie. Wody unosiły mnie z prędkością powyżej pięćdziesięciu mil na godzinę, przysypywały mnie zwały szlamu, później woda wypłukiwała mnie z powrotem i znów z niewiarygodną prędkością wyskakiwałem do przodu; żywioł rzucał mną i obracał na wszystkie strony, znów ginałem pod mułem, który przemieszczał się, wirował, i znów wyrывałem się na wolność, unoszony prądem, wciąż dalej i dalej w przepastne głębie. Zarejestrowałem wszystko.

Przez długi czas wierzono, że podmorskie wąwozy są pozostałościami kanionów lądowych, uformowanych jeszcze w czasach lodowcowych i zalanych wodą w momencie podniesienia się poziomu mórz. Ale przecież wcinają się za głęboko. Gdyby teoria ta była prawdziwa, masy wody uwiecznione w postaci lodu musiałyby być niewiarygodnie ogromne. Pierwszymi, którzy poważnie potraktowali hipotezę, że czynnikiem sprawczym są w istocie prądy zawieszinowe, byli Heezen i Ewing z Lamont, choć już wcześniej inni, jak chociażby Dały, dochodzili do podobnych wniosków. Mam wrażenie, że to właśnie Heezen głosił, iż żaden organizm nie byłby w stanie przetrwać oddziaływania prądu zawieszinowego, gdyby był świadkiem jego powstania. Oczywiście rozumował on w kategoriach ówczesnego stanu nauki, sprzed kilkudziesięciu lat. Ja jednak czułem, że naprawdę wygrałem los na loterii: dane mi przecież było w pełni doświadczyć wszystkich dramatycznych skutków tego zdarzenia, zarejestrować siły, które na moich oczach wykuwały i szlifowały ściany wąwozu, gęstość i szybkość drobinek, zmiany temperatury... Cmokałem z podniecenia.

Nagle, gdy opadałem wciąż niżej i niżej, przyszło znów to rozszczepienie, męczące rozdwojenie, w którym każdej myśli towarzyszył jej ulotny cień, jak gdyby moja jaźń utraciła punkt oparcia. Ten poślizg pomiędzy myślą a jej echem wciąż się zwiększał; i nagle te refleksy zaczęły formować się w jedną całość, istniejącą niezależnie ode mnie, która po chwili jednak przygasła i znikła zupełnie. Wraz z jej odejściem ja również poczułem się dziwnie pełniejszy, w mojej samotności stałem się zupełnie samowystarczalny. Całkowicie zapanowałem nad sytuacją, nie podejrzewając nawet wcześniej istnienia u siebie takich cech. Moja jaźń wkroczyła na nieznane mi wcześniej długości fal, sięgając wciąż dalej i dalej...

Ostrożnie próbowałem odzyskać równowagę, obawiając się, że w przeciwnym razie mogę nawet zginać. Jakże niezgrabnie to czyniłem! Na pozór tak łatwo było dać się unieść prądowi, spłynąć wraz z nim na przepastne równiny. Przez cały czas testowałem własną jaźń, cmokając z zadowolenia nad każdym nowym odkryciem.

— Spokojnie, Dan! Występ się zaczyna. Daj sobie spokój!

— Chyba masz rację, Tom.

Odchylił się, ściągając stereoskopowy hełm, uwalniając się z telemetrycznej uprząży. Najpierw rękawice, których mikro–miniaturowe przetworniki dyszowe przekazywały informacje dotykowe; rozpiął paski–detektory, jeden po drugim, odłączając elementy odpowiedzialne za przekaz siły i ruchu. Tom pospieszył z pomocą. Gdy skończyli, pancerz teleoperacyjny zawisł jak wypruty skorupiak w zakamarkach konsoly ustawionej w kształcie litery U. Dan przetarł spodem dłoni spocone czoło i rozczesał palcami włosy. Tom podprowadził go przez kabinę do krzesła na wprost ekranu.

— Pocisz się jak mysz kościelna. Siadaj. Przynieść ci coś?

— Jest jeszcze kawa?

— Tak. Chwileczkę.

Tom napełnił kubek i podał go Danowi. Sam usiadł na stojącym obok krześle. Obydwaj spojrzeli na ekran, na którym widać było te same zmętnienia, muł i kamienny wąwóz, którego Dan doświadczył przed chwilą przez wizjer hełmu. Jednak teraz elementy obrazu były tylko przedmiotami. Odłączywszy zdalnie sterowany system operacyjny, Dan przestał być częścią tej rzeczywistości. Sącząc kawę, obserwował podwodny ruch.

— ...Ale miałem szczęście — powiedział — że też za pierwszym razem udało mi się trafić na coś takiego.

Tom skinął głową. Łódź lekko zakołysała się. Szumiał mechanizm konsoli.

— Tak — rzekł Tom, rzucając okiem na wskaźniki — rzeczywiście miałeś fart. Spójrz na ten rozlewający się prąd, szybko! Jeśli aparatura wytrzyma, wszystkie punkty są nasze!

— Na pewno wytrzyma. Wygląda na to, że wszystko wróciło do normy. Ten mózg naprawdę działa. Niemalże sam czułem działanie tych małych neurystorów łącz tunelowych, gdy tworzyły swoje własne sprzężenia. Nakładłem w niego tyle programów wspomagających działanie, tyle danych... Zaczął poruszać się po swych własnych drogach. Naprawdę — zaczął się uczyć. Gdy zaczęło się trzęsienie, podjął niezależne kroki. Już prawie nie jestem mu potrzebny.

— Chyba że do nauczania go czegoś nowego, gdy zabierzemy się do innych zadań.

Dan powoli pokiwał głową.

— Tak... Człowiek i tak zastanawia się, czego on sam siebie uczy, teraz gdy posiada sam nad sobą kontrolę. Wiesz, to było bardzo szczególne uczucie — ta chwila, gdy zdałem sobie sprawę, że oto rozwinął w sobie coś odpowiadającego naszej jaźni. Po pierwszym wstrząsie samodzielnie podjął decyzję. To było coś niesamowitego, gdy patrzyło się, jak sam zaczyna panować nad sytuacją... On w i e, co robi.

— Spójrz! Zobacz, jaki się zrobił kocioł! Pruje co najmniej z pięćdziesiąt pięć mil

na godzinę, a prąd przesuwają się jeszcze szybciej. Tak, to rzeczywiście musiało być niesamowite uczucie, kiedy przejmował stery.

— Czułem się bardzo dziwnie. Gdy się to zdarzyło, miałem wrażenie jakbym... dotykał obcej jaźni, chyba tak to najlepiej można ująć. To było tak, jak gdyby jakaś prawdziwa świadomość mignęła tuż obok mojej własnej, w dodatku świadoma mojego istnienia; wszystko trwało ułamek sekundy. I zaraz nasze drogi rozeszły się. Wiesz, chyba chłopcy z neuropsychologii i cybernetycy mieli rację. Wygląda na to, że stworzyliśmy sztuczną inteligencję.

— To woda na mój młyn z prądami zmętnieniowymi — stwierdził Tom, robiąc notatki. — Jeszcze w dziewiętnastym wieku pewien facet ze Szwajcarii wyjaśnił przy pomocy tej teorii obecność mułu z Renu w Jeziorze Genewskim. Wiedziałeś o tym!? Facet zabrał się do tego od właściwej strony! Tak, sprytny drań z tego twojego małego hokus—pokus. Jeśli dotrze do płaskiego dna, chciałbym od razu trochę próbek. Skoro zebrał ich już tyle, to pewnie będzie mógł wwiercić się jeszcze w złoża osadowe tego ześlizgu. Może potem uda ci się go wysłać w to samo miejsce, gdzie poprzednio; wtedy będę mógł zrobić analizę porównawczą. I...

— Ciekawe, co też myśli o sobie... i o nas?

— Przecież nie wie nawet o naszym istnieniu. Wie tylko to, czego go nauczyłeś, i to, czego uczy się sam.

— Pod sam koniec czuł moją obecność. Jestem tego pewien. Tom chrząknął, tłumiąc śmiech.

— Nazwijmy to więc częścią wychowania religijnego. Jeśli się kiedyś znarowi, będziesz mógł ciskać w niego gromy i błyskawice... Popatrz, to już chyba sześćdziesiąt mil na godzinę!

Dan dopił kawę.

— Właśnie przyszła mi do głowy dziwaczna myśl — podjął po kilku chwilach. — A jeśli ktoś robi z nami to samo — to znaczy, nie spuszczać nas z oka, poznaje świat poprzez nasze zmysły... a my nie jesteśmy tego w ogóle świadomi?

Tom wzruszył ramionami.

— W jakim celu miałby to robić?

— A po co my to robimy? Może ten ktoś również interesuje się prądami zmętnieniowymi na takich planetach jak nasza... albo ciekawia go nasze eksperymenty z podobnymi urządzeniami. Na przykład. Zresztą, to mogłoby być cokolwiek. Czy mamy pewność, że tak nie jest?

— Wiesz co, Dan? Zrobię ci jeszcze jedną kawę.

— No już dobrze, dobrze. Przepraszam za tę garść metafizyki. Po prostu czułem niemalże jedność z naszym urządzeniem... Wyobraziłem sobie siebie na monitorze podłączonym do ostatecznej końcówki. Zresztą, już mi przeszło.

— Voic, o co chodzi?

Voic zwolnił uchwyt na badakości i luftnął na Domana.

— Ten, którego właśnie fidałem... jeszcze żaden z nich nigdy wcześniej nie był tak blisko odkrycia mojej obecności!

— Niewątpliwie z powodu analogicznego doświadczenia z jego własnym fidem. Choć to rzeczywiście ciekawe. Zostaw go przez chwilę w spokoju.

— Tak. A jednak to bardzo szczególne pole przyczynowe. Wiesz, zaczynam się zastanawiać, czy ktoś może fidować nas?

Doman sperygował.

— A w jakimż to celu?

— Skąd mam wiedzieć?

— Wiesz co, przygotuję ci jeszcze jeden ładunek B.

— Dobrze.

Voic jeszcze raz chwycił za badakość.

— Co ty robisz?

— Tylko jedna mała poprawka, o której zapomniałem. Gotowe. No to po ładunku.

Wrócili na miejsca i zaczęli fekulować.

— Co robisz, Dan?

— Zapomniałem go uwolnić.

— Zapomniałeś zrobić co?

— Dać mu całkowitą autonomię, puścić go wolno. Przeładowałem i przepaliłem właśnie obwody zależnościowe.

— Co?... Co zro?... No tak, oczywiście. Oto kawa... Popatrz na ten ześlizg ze szlamu, szybko!

— No, rzeczywiście, Tom. To naprawdę coś.

Cmokając, wpycham coś, co tylko mam pod ręką, do mojego wzmacniacza.

POWRÓT KATA

Nie mam zbyt wiele do powiedzenia o tak długim opowiadaniu. Zresztą przeczytaliście już moją notatkę poprzedzającą ostatnią opowieść.

Wielkie, ciężkie płatki spadają w noc, cichą noc, bezwietrzną noc. Jeśli nie ma wiatru, nie traktuję ich jak zamieci. Znikąd westchnienia ani skowytu psa. Tylko zimna, jednostajna biel spływająca z nieba za oknem i cisza, która staje się jeszcze bardziej przejmująca, gdy przerywa ją daleki huk wystrzałów i jeszcze głębsza teraz, gdy ich odgłos milknie. W dużym pokoju myśliwskiej chatki słychać tylko posykiwanie i trzask kłód dopalających się w popiół w palenisku.

Siedziałem na krześle, odwrócony bokiem do stołu, twarzą do drzwi. Obok, po lewej stronie, spoczywał na podłodze pojemnik z narzędziami. Hełm leżał na stole, jak przechylony kosz ze stali, kwarcu, porcelany i szkła. Gdybym usłyszał kliknięcie miniwłącznika, a następnie cichy szum ze środka, pod siatką, tuż przy przedniej krawędzi pojawiłoby się słabiutkie światełko i zaczęłoby szybko migotać. Gdyby zdarzenia te nastąpiły, istniałaby spora szansa, że niedługo zginę.

Wyciągnąłem z kieszeni czarną kulę, gdy Larry i Bert wyszli na zewnątrz, uzbrojeni odpowiednio w miotacz ognia i w coś, co wyglądało jak strzelba na słońce. Bert wziął też dwa granaty.

Rozwinąłem kulę w rękawicę bez szwów; od wewnętrznej strony umazana była czymś w rodzaju mokrego kitu. Następnie naciągnąłem ją na lewą dłoń i siedziałem z wyprostowaną ręką i łokciem na oparciu krzesła. Po prawej, na stole, obok hełmu, leżał mały pistolet laserowy, do którego jakoś nie miałem zaufania.

Gdybym uderzył lewą ręką w metalową powierzchnię, substancja przywarłaby do niej, odklejając się od rękawicy. Ekspłodowałaby po dwóch sekundach, a siła wybuchu skierowana byłaby przeciw powierzchni. Newton miałby tu pole do popisu, mówiąc o prostokątnym rozkładzie reakcji, która zapewne na strzepy rozerwałaby powierzchnię stykową. Materiał ten zwano ładunkiem tłumiącym; jego posiadanie nie było legalnie dozwolone i należał raczej do arsenału włamywaczy. Ta zmyślna substancja, uznałem, może być naprawdę użyteczna. Jedynie sposób, w jaki trzeba ją dostarczyć na miejsce, pozostawiał sporo do życzenia.

Na wprost mojej dłoni, obok hełmu i pistoletu, stał mały walkie-talkie. Dzięki niemu miałem ostrzec Berta i Larry'ego, jeśli usłyszałbym kliknięcie miniwłącznika, następnie cichy szum, a potem światełko, które zaczęłoby szybko migotać. Wtedy chłopcy dowiedzieliby się, że Tomowi i Clayowi, z którymi straciliśmy kontakt na początku strzelaniny, nie udało się zniszczyć wroga, i że niewątpliwie leżą teraz martwi na swoich pozycjach, mniej więcej o kilometr na południe stąd. Wtedy też dowiedzieliby się, że i ich czeka najprawdopodobniej bliska śmierć.

Wywołałem ich, gdy usłyszałem kliknięcie. Chwyciłem hełm i zerwałem się na równe nogi, gdy światełko zaczęło migotać.

Niestety, było już za późno.

Czwartym miejscem, jakie wymieniłem na bożonarodzeniowej kartce wysłanej prawie rok temu Donowi Walshowi, była księgarnia i bar Peabody w Baltimore w stanie Maryland. I tak, w ostatni październikowy wieczór, zająłem tam najdalszy stolik w najbardziej oddalonym od wejścia pomieszczeniu, tuż obok wnęki, której drzwi wychodziły na uliczkę, którą dowożono towar. Po przeciwnej stronie sali ubrana na czarno kobieta grała na rozklekotanym fortepianie, niemiłosiernie psując tempo każdego utworu. Po prawej stronie ogień syczał i furczał dymem na wąskim palenisku, którego zastawione rupieciami obramowanie przysłonięte było leciwym porożem jelenia. Sączyłem piwo, słuchając muzyki.

Miałem cichą nadzieję, że będzie to jedna z tych sytuacji, kiedy Don w ogóle się nie pojawi. Pieniądzy starczyłoby mi do następnego lata, a do pracy jakoś się nie paliłem. Lato spędziłem na północy; teraz zakotwiczyłem w Chesapeake i bardzo chciałem popłynąć dalej ku Karaibom. Rosnący chłód i nieprzyjemny wiatr mówiły mi, że dość czasu zmarudziłem już na tych szerokościach geograficznych. Niemniej jednak samo przez się było oczywiste, że muszę posiedzieć w umówionym barze jeszcze do północy. Zostały więc dwie godziny.

Zjadłem kanapkę i zamówiłem jeszcze jedno piwo. Upiwszy mniej więcej połowę, dostrzegłem Dona zbliżającego się do wejścia, z płaszczem przewieszonym przez ramię. Rozglądał się, szukając mnie. Zdołałem wyrzucić z siebie odpowiednią dawkę zaskoczenia, gdy wreszcie przystanął przy moim stoliku:

— Don! To naprawdę ty? Wstałem i uściśnałem mu dłoń.

— Alan! Jaki ten świat mały i tak dalej. Siadaj! Siadaj!

Usiadł naprzeciwko mnie, przewieszając płaszcz przez oparcie krzesła po lewej stronie.

— Co tu robisz? — zagadnął.

— Jestem tylko przejazdem — odparłem. — Przy okazji wpadłem odwiedzić starych znajomych. — Postukałem palcami w pooraną, zniszczoną, czcigodną powierzchnię blatu. — A to mój ostatni przystanek. Wyjeżdżam za kilka godzin.

Chrząknął.

— Dlaczego tak stukasz w to drewno?

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

— Żeby wyrazić uwielbienie dla jednej z ulubionych melin Henry'ego Menckena.

— Ten bar istniał już wtedy?

Skinąłem głową.

— Zdaje mi się — powiedział — że jest w tobie jakiś osobliwy stosunek do przeszłości, a może skierowany przeciwko teraźniejszości. Nigdy dokładnie tego nie rozgryzłem.

— Może po trochu i jedno, i drugie — odparłem. — Szkoda, że Mencken już tu nie wstąpi. Chętnie posłuchałbym, co ma do powiedzenia o współczesności... A jak ty sobie z nią radzisz?

— Z czym?

— Ze współczesnością. Z tu i teraz.

— Och. — Przywołał kelnerkę i zamówił piwo. — Jestem tu w interesach — wyjaśnił. — Chcę zatrudnić doradcę.

— Aha. A co w interesach?

— Komplikują się — odrzekł. — Bardzo się komplikują. Zapaliliśmy po papierosie i po chwili na stole zjawilo się zamówione piwo. Pałac i popijając, słuchaliśmy muzyki.

Zaśpiewałem już tę piosenkę i odśpiewam ją znów: Świat jest jak utwór muzyczny o nierównym tempie. Spośród wszystkich zmian, jakie nastąpiły w moim życiu, większość miała miejsce w ostatnich latach. To zabawne, ale tak samo myślałem kilka lat temu; i miałem przecucie, że również i za parę lat mogę myśleć podobnie — o ile do tego czasu interesy Dona nie uwolnią mnie z tego padołu łez i od cielesnej powłoki.

Don kieruje drugą co do wielkości na świecie agencją detektywistyczną. Czasami uznaje, że jestem mu potrzebny, ponieważ nie istnieję. Nie istnieję teraz, ponieważ istniałem kiedyś, gdy wspólnie próbowaliśmy napisać tę dziwną operę o naszych czasach. Mam tu na myśli prace nad stworzeniem Centralnego Banku Danych i moją znaczącą rolę w dziele zbudowania roboczego modelu prawdziwego świata, który miał obejmować wszystko i wszystkich. To, czy nam się powiodło, i czy stworzone podobieństwo rzeczywiście ułatwia opiekunom tego świata sprawowanie kontroli nad jego działaniem, pozostaje do tej chwili przedmiotem dyskusji moich byłych kolegów, zwłaszcza teraz, gdy melodia często fałszuje i coraz trudniej bywa odnaleźć igłę w stogu siana. Wtedy podjąłem decyzję i osobiście dopilnowałem, by nie przyznano mi obywatelstwa w nowym świecie, świecie, który być może stał się nawet ważniejszy od poprzedniego. Jako wygnaniec przekraczam granicę tego świata jak cudzoziemiec bez ważnej wizy. Zresztą robię to tylko wtedy, gdy muszę zarobić na życie. I wtedy właśnie wkracza do akcji Don. Ludzie, których tożsamość mogę przybrać, bywają mu niekiedy pomocni w różnych delikatnych kwestiach.

Niestety, wydawało się, że i teraz o to mu chodzi, podczas gdy ja miałem ochotę na leżenie do góry brzuchem.

Dopiliśmy piwo i zapłaciliśmy rachunek.

— Tędy — powiedziałem, wskazując tylne wyjście.

Włożył płaszcz i ruszył za mną.

— Chcesz tutaj pogadać? — spytał, gdy szliśmy wąską uliczką.

— Raczej nic — odparłem. — Najpierw coś złapiemy, a potem porozmawiamy.

Skinął głową. Ruszyliśmy dalej.

Po mniej więcej trzech kwadransach byliśmy już w salonie „Proteusza”. Przygotowywałem kawę. Czuliśmy lekkie kołysanie chłodnych wód zatoki pod bezksiężycowym niebem. Włączyłem tylko dwa słabsze światła. Wreszcie poczułem się wygodnie. Tu, na pokładzie „Proteusza”, przeludnienie, funkcjonowanie, tempo życia w miastach, ulegało spowolnieniu, przytłumieniu, stawało się wręcz nierealne, dzięki metafizycznemu dystansowi kilku metrów wody. Łatwo przychodzą nam zmiany krajobrazów, lecz ocean zawsze wydaje się taki sam; i, idąc tym tropem, kiedykolwiek wyruszamy w morską podróż, zapadamy na dziwne poczucie beczasowości. Może właśnie dlatego spędzam na wodzie tyle czasu.

— Pierwszy raz zaprosiłeś mnie na pokład — powiedział. — Wygodnie się tu urządziłeś. Naprawdę bardzo wygodnie.

— Dzięki. Ze śmietaną czy z cukrem?

— Ze śmietaną i z cukrem.

Gdy usiedliśmy z parującymi kubkami w dłoniach, spytałem:

— Co tym razem?

— Jedna sprawa o dwóch wątkach — odparł. — Pierwszy z nich niejako mieści się w moich kompetencjach. Drugi natomiast nie. Przekazano mi, że sytuacja jest zupełnie wyjątkowa i wymagać będzie pomocy specjalisty o bardzo wąskiej specjalizacji.

— Nie jestem specjalistą w żadnej dziedzinie poza jedną: życiem.

Nagle podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy.

— Zawsze zakładałem, że cholernie dobrze znasz się na komputerach — stwierdził.

Odwrociłem wzrok. To był cios poniżej pasa. Nigdy wcześniej nie podawałem się za autorytet w tej dziedzinie i jednocześnie zawsze istniało między nami niepisane porozumienie, że moje metody manipulacji okolicznościami i tożsamością nie są przedmiotem dyskusji. Z drugiej strony, musiało być dla niego zawsze oczywiste, że moja wiedza z tej dziedziny jest zarówno rozległa, jak i bardzo zaawansowana na każdym polu. Mimo to nie spodobał mi się ten temat. Przeszedłem do obrony.

— Dziewięciu ludzi na dziesięciu zna się na komputerach — powiedziałem. — Może za twoich czasów było inaczej, ale teraz nawet pierwszoklasiści mają już zajęcia komputerowe. Siłą rzeczy i ja wiem o nich sporo. Tak jak każdy z mojego pokolenia.

— Wiesz dobrze, że nie to mam na myśli — odparł. — Czy nie znamy się wystarczająco długo, byś mógł mi odrobinę zaufać? To pytanie wynika wprost ze sprawy, którą prowadzę. I to wszystko.

Skinąłem głową. Reakcje przez samą swą naturę nie zawsze bywają właściwe, ale akurat z tą dziedziną łączył mnie dziwny stosunek emocjonalny. Rzekłem więc:

— No dobra, znam się na komputerach trochę lepiej od pierwszoklasistów.

— Dzięki. Możemy zacząć od tego miejsca. — Pociągnął łyk kawy. — Ja sam otrzymałem wykształcenie prawnicze i księgowo, później wojskowe, jeszcze później pracowałem w wywiadzie, by wylądować w końcu jako urzędnik państwowy. Dopiero później zabrałem się za interesy. A o sprawach technicznych wiem tyle tylko, co udało mi się podłapać tu i ówdzie, na różnych przypadkowych kursach. Wiem, co można osiągnąć przy pomocy komputera, ale nie wiem, jak komputer działa. Nigdy nie udało mi się zrozumieć wszystkich szczegółów. Chciałbym więc, żebyś spróbował mi wyjaśnić różne rzeczy, a ja będę starał się je pojąć na tyle, na ile tylko mi się uda. Musisz zacząć od podstaw, a jeśli przez to przebrnę, to będzie znaczyło, że jesteś człowiekiem, jakiego mi trzeba. Najpierw mógłbyś opowiedzieć mi o zasadach działania robotów używanych na początku badań kosmicznych — na przykład tych, które zostały użyte na Wenus.

— To nie ma nic wspólnego z komputerami — odrzekłem — i jeśli już o tym mowa, nie były to również roboty we właściwym sensie tego słowa. Były to urządzenia telefaktorujące.

— Powiedz, na czym polegała różnica?

— Robot to maszyna wykonująca pewne działania zgodnie z instrukcjami programowymi. Telefaktor zaś to urządzenie całkowicie zależne, obsługiwane przy pomocy zdalnego sterowania. Telefaktor zawsze funkcjonuje w oparciu o polecenia

wydawane przez operatora. W zależności od stopnia skomplikowania przedsięwzięcia, można uzyskiwać połączenia audiowizualne, kinestetyczne, dotykowe lub nawet całościowe. Im dalej idzie się w tym kierunku, tym więcej cech antropomorficznych nadaje się urządzeniu.

W wypadku Wenus, jeśli sobie przypominasz, operator na orbicie ubrany był w pancerz zewnętrzny sprawujący kontrolę nad ruchami ciała i kończyn znajdującego się na powierzchni urządzenia dzięki systemowi przetworników dyszowych. No i miał na głowie hełm obsługujący kamerę urządzenia — znajdującą się oczywiście w głowicy — dzięki której przez cały czas widział obraz z dołu. Miał też na uszach słuchawki przekazujące transmisję audialną. Czytałem książkę, którą później napisał. Opowiadał w niej, że zdarzały się dość długie chwile, gdy zapominał, że siedzi w kabinie, na głównym miejscu przy konsolce. Wrażenie, że kroczy chwiejnie przez ten piekielny krajobraz, miało być zupełnie rzeczywiste. Pamiętam, że zrobiło to na mnie spore wrażenie, choć byłem jeszcze dzieckiem, i pamiętam, że zapragnąłem sam takiego miniurządzenia, dzięki któremu mógłbym brodzić po kałużach, wszczynając bójki z mikroorganizmami.

— Dlaczego?

— Bo na Wenus nie było smoków. Tak czy inaczej, na tym właśnie polega zasada działania urządzenia telefaktora, w odróżnieniu od robota.

— Na razie wszystko jest dla mnie jasne. Czy mógłbyś teraz powiedzieć mi, na czym polegała różnica między wcześniejszymi a późniejszymi urządzeniami telefaktora?

Wypiłem łyk kawy.

— Podobne zadania trudniej było wykonywać w odniesieniu do bardziej odległych planet i ich satelitów — podjąłem. — Z początku nie wysyłano na orbitę operatora. Głównie z powodów ekonomicznych, choć istniały też pewne nie rozwiązane problemy natury technicznej. Głównie jednak chodziło o pieniądze. W każdym razie urządzenia lądowały same na docelowych światach, a operatorzy pozostawali tu, na Ziemi. Z tego też powodu na pętli przesyłowej pojawiało się opóźnienie w transmisji. Trwało to dobrą chwilę, zanim dane wsadowe docierały na Ziemię, i oczywiście następowała kolejna przerwa w momencie odbioru przez telefaktor informacji o sposobie działania. Próbowaliśmy zaradzić temu na dwa sposoby: pierwszy polegał na zastosowaniu sekwencji stop–naprzód, stop–naprzód, drugi natomiast był bardziej skomplikowany i teraz właśnie dochodzimy do punktu, gdy na scenę wkraczają komputery w sensie ich udziału w pętli kontrolnej. Wymagało to opracowania modeli, które znały główne czynniki środowiska i które później wzbogacały swoją wiedzę w trakcie wstępnej sekwencji stop—naprzód. Na tej podstawie komputer miał przewidywać najbliższe zdarzenia. Ostatecznie mógł nawet przejąć kontrolę nad pętlą i prowadzić telefaktor dzięki kombinacjom „układów rachub” i analizie sekwencji stop–naprzód. Nadal jednak nie mógł obyć się bez pomocy człowieka, gdy pojawiały się nieoczekiwane zdarzenia. Tak więc, w przypadku najdalszych planet, badania na początku nigdy nie były prowadzone całkowicie automatycznie ani całkowicie ręcznie, ani też ich wyniki nie były w pełni zadowalające.

— No dobrze — powiedział, zapalając papierosa. — A jaki był następny krok?

— Postęp dokonał się właściwie nie dzięki technice, ale dzięki pieniądзом.

Portfele otworzyły się i mogliśmy pozwolić sobie na wysyłanie ludzi. Statki lądowały, gdzie tylko mogły i gdzie nie mogły, wyladowywały telefaktory, a ludzie wracali na orbitę. Jak za dawnych czasów. Problem opóźnienia rozwiązał się sam, gdyż operator ponownie mógł nad wszystkim czuwać. Można potraktować to jako powrót do wcześniejszych metod. Zresztą jest to nadal praktykowane, i jakoś działa.

Potrząsnął głową.

— Coś ci umknęło pomiędzy tym o komputerach a zwiększonym budżetem.

Wzruszyłem ramionami.

— Próbowano wtedy wielu rzeczy, ale żadne nie okazały się tak skuteczne, jak wypróbowane już partnerstwo pomiędzy człowiekiem, komputerem a telefaktorem.

— Wiem, że istniał jednak projekt — powiedział — polegający na próbie obejścia problemów związanych z opóźnieniem poprzez wysłanie za jednym zamachem telefaktora i komputera. Tyle że komputer nie był po prostu komputerem, a telefaktor — telefaktorem. Czy wiesz, o czym mówię?

Zapaliłem papierosa, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Myślę, że mówisz o Kacie — odparłem po chwili.

— Zgadza się. Właśnie tutaj zaczynam się gubić. Powiedz, na czym polega zasada działania tego programu?

— Ostatecznie okazał się on niewypałem — stwierdziłem.

— Z początku jednak funkcjonował poprawnie.

— Tylko z pozoru. I w dodatku tylko w łatwym środowisku, na Io. Później wszystko zaczęło się walić i musiało zostać odhaczone jako totalna klapa, choć zamierzenia były szczytne. Z drugiej strony plany od samego początku były przesadnie ambitne. Dla ludzi, którzy odpowiedzialni byli za wdrażanie tego programu, pojawiła się niezwykła szansa połączenia w jedno dwóch awangardowych programów — z których nad jednym trwały jeszcze prace badawcze, a drugi był zupełnie świeży. W teorii wszystko pasowało do siebie jak ulał, nic więc dziwnego, że nie można było oprzeć się pokusie i scalono zbyt wiele rzeczy. Wszystko zaczęło się dobrze, ale miłe złego początki.

— Ale o jakich rzeczach mówisz?

— O Boże! Czego tam nie było! Komputer, który nie był po prostu komputerem... No dobra, od tego możemy zacząć. W ubiegłym stuleciu trzech inżynierów z Uniwersytetu w Wisconsin — Nordman, Parmentier i Scott — wynaleźli urządzenie znane pod nazwą nadprzewodzącego neurystora łącz tunelowych. Dwa paseczki metalu oddzielone warstwą izolacyjną. Po ochłodzeniu do bardzo niskich temperatur przewodził on impulsy elektryczne bez żadnego oporu. Pomyśl tylko — jeśli całą masę takich urządzeń, dosłownie miliardy, upakowałoby się w jednym miejscu i otoczyło ze wszystkich stron namagnesowanym materiałem, to wtedy...?

Potrząsnął głową.

— Cóż, przede wszystkim mielibyśmy do czynienia z sytuacją, której w żaden sposób nie dałoby się schematycznie ująć. Pomyśl o wszystkich możliwych torach i wzajemnych połączeniach, jakie musiałyby powstać. Przychodzi na myśl porównanie ze strukturą mózgu. Badacze teoretyzowali, że takiego urządzenia nie trzeba by było nawet kontrolować. Wystarczyłoby wprowadzenie danych, a aparat sam ustalałby sposoby postępowania dzięki nadawaniu coraz większego ładunku polu

magnetycznemu przez przepuszczanie impulsów elektrycznych, a więc przez likwidację oporu. Namagnesowany materiał ustalałby swoje własne drogi, analogicznie do działania mózgu w momentach nabywania nowej wiedzy.

W przypadku Kata użyto schematu podobnego do tego, który wyżej opisałem. Na przestrzeni około trzydziestu centymetrów sześciennych udało się upakować ponad dziesięć miliardów komórek neurystorowych. Wszystkim zależało na tej magicznej liczbie, gdyż w przybliżeniu odpowiada ona ilości komórek nerwowych w ludzkim mózgu. To właśnie miałem na myśli mówiąc, że nie był to po prostu komputer. Właściwie praca ta przeniosła naukowców w obszary badań nad sztuczną inteligencją, bez względu na ich własną nomenklaturę.

— Jeśli więc to urządzenie posiadało swój własny mózg — komputerowy czy quasi-ludzki — to raczej było robotem niż telefaktorem, prawda?

— I tak, i nie, i być może. Jeszcze tu, na Ziemi, sterowane było tak jak telefaktor. Przenoszono je na dno oceanu, na pustynię, w obszary górzyste: wszystko to oczywiście służyło wprowadzaniu danych. Można by to chyba nazwać terminowaniem albo przedszkolem. Może nawet to drugie porównanie jest bardziej trafne. Urządzenie otrzymywało instrukcje, jak ma postępować w trudnym środowisku i w jaki sposób ma przekazywać dane. Jeśliby opanowało tę sztukę, wtedy teoretycznie można by je wysłać w górę bez pętli kontrolnej i pozwolić mu na przesyłanie raportów z jego własnych odkryć.

— A więc w tym momencie można by uznać je za robota?

— Robot to maszyna wykonująca pewne działania zgodnie z instrukcjami programowymi. Kat natomiast podejmował decyzje na własną rękę. Podejrzewam, że w przypadku stworzenia czegoś tak podobnego do ludzkiego mózgu, przynajmniej jeśli chodzi o budowę i funkcje, istniała od samego początku nieunikniona możliwość zbudowania czegoś zupełnie przypadkowego. Nie była to przecież maszyna działająca w oparciu o z góry napisany program. Była po prostu zbyt skomplikowana. I to właśnie, jak sądzę, spowodowało krach.

Don chrząknął.

— Nieunikniona wolna wola?

— Nie. Jak powiedziałem, wrzucono za wiele śledzi do jednej beczki. Każdy, kto wtedy opracował jakiś pasujący do całości program, traktowany był jak król. Na przykład psychofizycy wymyślali jakąś sztuczkę, którą oczywiście chcieli zaraz przetestować: natychmiast stawała się częścią projektu. Na pozór Kat miał być urządzeniem odbiorczo—nadawczym; w rzeczywistości wszyscy pragnęli, by stał się żywą, czującą istotą.

— I co?

— W pewnym sensie im się to udało, choć w ograniczonym stopniu. Ostatecznie to, co początkowo miało być częścią pętli telefaktora, okazało się urządzeniem wzbudzającym słabe pole indukcyjne w mózgu operatora. Maszyna otrzymywała i wzmacniała układy funkcji elektrycznych następujących w, powiedzmy, mózgu Kata, potem przepuszczała je przez skomplikowany modulator i przesyłała impulsy na pole indukcyjne w głowie operatora. Wychodzę już poza obszar własnej dziedziny. Przydałby się tu Weber albo Fechner. Wiem jednak, że każdy neuron posiada pewien próg, powyżej którego staje się czynny, a poniżej funkcjonuje w uśpieniu. Na jednym

centymetrze kwadratowym kory mózgowej mieści się około czterdziestu tysięcy neuronów. Są rozmieszczone w taki sposób, że każdy z nich połączony jest przy pomocy kilkuset synaps z innymi. W każdej chwili część neuronów znajduje się poniżej tej granicy, podczas gdy inne znajdują się w stanie, który Sir John Eccles określił kiedyś jako „stan równowagi krytycznej” — są gotowe do działania. Jeśli choćby jeden z nich znajdzie się powyżej progu, pociągnie za sobą setki tysięcy innych w ciągu dwudziestu milisekund. Pole indukcyjne wyposażone zostało w możliwość odpowiednio wybiórczego przekazywania takich reakcji, by operator mógł mieć pojęcie, co dzieje się w mózgu Kata. I odwrotnie. Również Katowi zamierzano wbudować podobny system. Myślano również, że może przez to maszyna bardziej się ucłowieczy, dzięki czemu będzie w stanie docenić sens swojej pracy... rozumiesz, chodziło o wtłoczenie w nią szczególnego poczucia lojalności.

— Czy myślisz, że mogło to doprowadzić do ostatecznej klęski?

— Chyba tak. Ale w końcu, co można wnioskować o jednostkowej sytuacji? Jeśli mam zdradzić swoje przypuszczenia, to odpowiem „tak”. Ale są to tylko przypuszczenia.

— Mhm — mruknął. — A jakie były fizyczne możliwości tej maszyny?

— Była zaprojektowana antropomorficznie — odparłem — zarówno z tego względu, że początkowo miała być telefaktorem, jak również z uwagi na psychologiczny tok rozumowania, o którym przed chwilą mówiłem. Potrafiła na przykład pilotować własny pojazd. Nie było oczywiście potrzeby instalowania żadnego układu wspomagającego procesy życiowe. Energia, w tym również energia dla statku, dostarczana była dzięki reakcjom fuzji, tak więc paliwo również nie stanowiło problemu. Potrafiła dokonywać autonapraw. Wykonywała wiele różnorodnych skomplikowanych testów i pomiarów, prowadziła obserwacje, przygotowywała raporty i przysyłała wiadomości o swych odkryciach na Ziemię. Mogła przetrwać w każdych warunkach. W dodatku na innych planetach potrzebowała mniej energii, gdyż urządzenia zamrażające utrzymujące bardzo niską temperaturę mózgu nie musiały wykonywać aż tak ogromnej pracy.

— Czy była silna?

— Nie pamiętam wszystkich parametrów. Przy takich zadaniach, jak przesuwanie czy podnoszenie, była może z dziesięć razy silniejsza od człowieka.

— Przeprowadziła pełne badania Io i rozpoczęła misję na Europie.

— Tak.

— Wtedy właśnie jej postępowanie stało się błędne. A myśmy myśleli, że już w pełni opanowała swój zawód.

— Zgadza się.

— Nie zareagowała na bezpośredni rozkaz zbadania Kallisto i ruszyła w kierunku Uranu.

— Tak. Uplłynęło wiele lat od czasu, gdy czytałem te raporty...

— Potem błędy w działaniu stały się jeszcze poważniejsze. Długie okresy ciszy, przerywane z rzadka zniekształconymi raportami. Teraz, gdy wiem więcej o samym projekcie, jej zachowanie coraz bardziej przypomina mi człowieka opętanego manią samobójczą.

— Rzeczywiście.

— Ale jeszcze na jakiś czas zdołała się pozbierać. Wylądowała na Tytanii i wznowiła przesyłanie pozornie poprawnych raportów. Jednak trwało to dość krótko. Jej zachowanie znów stało się irracjonalne. Między wierszami sprawozdań można było wyczytać informację, że udaje się w kierunku Uranu i zamierza na nim wylądować. Potem kontakt się urwał. Nie wiedziałem wcześniej o tym mózgowym podobnym urządzeniu, ale to wyjaśnia, dlaczego pewien psychiatra był tak pewien, że maszyna nigdy nie zacznie już funkcjonować normalnie.

— Nigdy o tym nie słyszałem.

— A ja tak. Wzruszyłem ramionami.

— To wszystko działo się ze dwadzieścia lat temu — rzekłem — i jak już mówiłem, czytałem o tym przed wieloma laty.

— Przedwczoraj w Zatoce Meksykańskiej rozbił się czy też wylądował — zależy jak na to popatrzeć — statek Kata.

Popatrzyłem na niego ze zdumieniem, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Gdy wreszcie zdołano dostać się do środka — mówił dalej Don — na pokładzie nie było nikogo.

— Nic nie rozumiem.

— Wczoraj zaś rano — kontynuował — Manny Burns, restaurator, został znaleziony martwy ze śladami pobicia w biurze swojej restauracji Maison Saint-Michel w Nowym Orleanie.

— Nadal nie rozumiem...

— Manny Burns był jednym z czterech pierwszych operatorów, którzy zaprogramowali — przepraszam, prowadzili szkolenie Kata.

Na pokładzie zaległa ciężka, przedłużająca się cisza.

— Zbieg okoliczności...? — odezwałem się w końcu.

— Mój klient tak nie uważa.

— A kto jest twoim klientem?

— Jeden z trzech pozostałych instruktorów. Jest przekonany, że Kat powrócił na Ziemię po to, by pozabijać swych byłych operatorów.

— Czy poinformował swoich byłych pracodawców o tych obawach?

— Nie.

— Czemu nie?

— Ponieważ wtedy musiałby ujawnić ich powód.

— To znaczy...?

— Mnie również nic nie powiedział.

— I oczekuje od ciebie jakichś wyników?

— Sprecyzował, na czym mu zależy. A zależy mu na dwóch rzeczach. I w jednym, i w drugim wypadku nie jest mi potrzebna pełna znajomość wszystkich szczegółów. Prosi o ochronę i o odnalezienie i pozbycie się Kata. Tym pierwszym już się zająłem.

— I chcesz, żebym ja zajął się tym drugim.

— Zgadza się. Utwierdziłeś mnie w przekonaniu, że jesteś człowiekiem, którego szukam.

— Rozumiem. Ale czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli urządzenie to rzeczywiście żyje i czuje, to będzie to prawie morderstwo? Jeśli zaś nie, to co najwyżej będziemy mieli do czynienia ze zniszczeniem kosztownej własności państwowej?

— A ty jak na to patrzysz?

— Traktuję to po prostu jako zlecenie — odparłem.

— Przyjmiesz je?

— Zanim podejmę decyzję, potrzebuję więcej szczegółów. Kim, na przykład, jest twój klient? Kim są pozostali operatorzy? Gdzie mieszkają? Co robią? Co...

Podniósł rękę.

— Pierwszy z nich — powiedział — to Jesse Brockden z Wisconsin, członek senackiego konwentu seniorów. To właśnie nasz klient. Oczywiście sam chyba rozumiesz, że informację tę należy traktować w szczególnie poufny sposób.

Skinąłem głową.

— Rzeczywiście, pamiętam, że brał udział w programie kosmicznym, zanim zajął się polityką. Nie znałem jednak szczegółów. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie zwrócił się z prośbą o oficjalną ochronę? Otrzymałby ją przecież z łatwością.

— Tylko że wtedy musiałby ujawnić to, o czym nie chce mówić, a to być może oznaczałoby koniec jego kariery. Zresztą, nie wiem. Zwrócił się do nas, a nie do nich.

— A inni? Czy również proszą o pomoc?

— Wręcz przeciwnie. W ogóle nie podpisują się pod tym, co mówi Brockden. Chyba traktują go jak paranoika.

— Czy obecnie pozostają ze sobą w kontakcie?

— Mieszkają w różnych stronach i nie widują się od lat. Wysyłają sobie kartki świąteczne.

— Nie mają więc podstaw do takiej diagnozy.

— Jedno z nich jest jednak psychiatrą.

— Aha. Kto?

— Nazywa się Leila Thackery. Mieszka w Saint Louis. Pracuje w państwowym szpitalu.

— A zatem nikt nie zwracał się ani do władz federalnych, ani stanowych?

— Zgadza się. Brockden skontaktował się z nimi, gdy dotarły do niego informacje o Kacie. Akurat był wtedy w Waszyngtonie. Gdy przekazano mu wiadomość, zdołał wyciszyć całą sprawę. Próbował się z nimi skontaktować, dowiedział się o śmierci Burnsa, zadzwonił do mnie, a potem starał się przekonać pozostałych, by przyjęli naszą ochronę. Nie byli zainteresowani. W rozmowie telefonicznej doktor Thackery stwierdziła — całkiem słusznie — że Brockden jest ciężko chory.

— Na co?

— Rak. Ma zaatakowany kręgosłup. Na to nic nie da się poradzić. Powiedział mi nawet, że zostało mu sześć miesięcy na przepchnięcie w Kongresie bardzo ważnego aktu legislacyjnego: nowej ustawy o rehabilitacji przestępców. Muszę zresztą przyznać, że jego wywody na ten temat rzeczywiście brzmiały paranoicznie. Ale tam! Kto w końcu jest normalny? W każdym razie doktor Thackery traktuje jego stan całościowo i nie dostrzega związku pomiędzy zabójstwem Burnsa a Katem. Uważa, że było to zwykłe włamanie, że sprawca został pewnie nakryty na gorącym uczynku i wpadł w panikę, i tak dalej.

— Nie obawia się więc Kata?

— Powiedziała, iż jest w tym szczęśliwym położeniu, że zna jego umysł lepiej od innych i że w związku z tym za bardzo się nie przejmuje.

— A ostatni operator?

— Oświadczył, że choć być może doktor Thackery zna umysł Kata, to on jednak zna jego mózg i w związku z tym również nie widzi powodów do obaw.

— Co miał na myśli?

— David Fentris jest konsultantem w takich dziedzinach, jak elektronika i cybernetyka. Był właśnie bezpośrednio zaangażowany w budowę Kata.

Wstałem po dzbanek z kawą. Nie dlatego jednak, że miałem nieodpartą ochotę na jeszcze jedną filiżankę. Ale znałem, pracowałem kiedyś z Davidem Fentrisem. I wiedziałem, że miał swój udział w projekcie badań kosmicznych.

Był może z piętnaście lat ode mnie starszy. Kiedy go poznałem, zaangażowany był w tworzenie banku danych. Gdy w miarę postępu prac u wielu z nas zaczęły pojawiać się wątpliwości, stosunek Dave'a do programu pozostawał niezmiennie entuzjastyczny. Chudy jak szczapa, mierzący może z metr siedemdziesiąt, szpakowaty, o szarych oczach ukrytych za okularami w rogowej oprawie i szklami grubości dna butelki, miotający się między okresami intensywnej pracy a totalnej beczynności, miał zwyczaj werbalizowania na głos nie dokończonych myśli; gdy mówił, sprawiał wrażenie, jakby był przedstawicielem plemienia, który uzyskał swą pozycję dzięki układom lub politycznemu poparciu. Jednak już po kilku minutach jego wywodów człowiek rewidował poprzednią opinię, gdyż niejasne z początku spostrzeżenia układały się nagle w przejrzystą całość. A zanim skończył, ludzie przeważnie zastanawiali się, dlaczego od początku wszystko nie było dla nich jasne i dlaczego taki facet jak on nie zaszedł wyżej. Jednak, gdy go się lepiej poznało, człowiek ze zdziwieniem odkrywał, że okresy entuzjazmu są w jego przypadku równie długie, jak okresy melancholii. I o ile zapał niezbędny jest przy krótkich programach badawczych, o tyle czasochłonne przedsięwzięcia wymagają raczej równowagi duchowej. Nie było więc dla mnie zaskoczeniem, że ostatecznie został konsultantem.

Powstawała teraz bardzo ważna kwestia: czy mnie pamięta? To prawda, że mój wygląd się zmienił, że stałem się bardziej dojrzały, że zmieniły się moje nawyki. Ale czy to wystarczy? Czy będę musiał włączyć go do sprawy? Ten umysł, schowany za rogową oprawą, potrafił tworzyć niesamowite rzeczy, dysponując nawet niewielką ilością danych.

— Gdzie on mieszka? — spytałem.

— W Memphis. Ale co to ma do rzeczy?

— Nic, próbuję przygotować sobie szkic geograficzny — odparłem. — A senator Brockden? Nadal przebywa w Waszyngtonie?

— Nie, wrócił do Wisconsin i zaszył się w małej chatce na północy stanu. Jest z nim czworo moich ludzi.

— Rozumiem.

Odnowiłem swój zapas kawy i usiadłem z powrotem przy stole. Cała sprawa bardzo mi się nie podobała i postanowiłem odrzucić propozycję Dona. Nie chciałem mu jednak po prostu powiedzieć „nie”. Jego zlecenia stały się bardzo ważną częścią mojego życia, a to obecne nie wyglądało na zwykłą rutynową robotę. Najwyraźniej był tą sprawą bardzo przejęty i zależało mu właśnie na mnie. Postanowiłem poszukać jakichś niespójnych fragmentów, czegoś, co pozwoliłoby na sprowadzenie całej

kwestii do prowadzonej już ochrony osobistej.

— To rzeczywiście dziwne — podjąłem — że Brockden jest jedyną osobą obawiającą się urzędnika.

— Tak.

— ...I że wzdraga się przed wyjaśnieniem powodów.

— To prawda.

— ...No i ta choroba, która zdaniem tej lekarki pozostaje nie bez wpływu na stan jego umysłu.

— Nic mam żadnych wątpliwości, że jest neurotykiem — odparł Don. — Spójrz tylko.

Sięgnął po płaszcz i wydobyl ze środka plik dokumentów. Wygrzebał i wręczył mi jeden arkusz.

Tekst nabazgrany był odręcznie na oficjalnym papierze z nagłówkiem kancelarii Kongresu. *Don! Muszę się z tobą zobaczyć. Potwór Frankensteina właśnie wrócił z wygnania i szuka mnie. Cały cholerny wszechświat wali mi się na głowę. Zadzwoń między ósmą a dziesiątą — Jess.*

Skinąłem głową i już miałem oddać kartkę, lecz coś mnie powstrzymało. Dopiero po chwili wręczyłem ją Donowi. Niech to wszyscy diabli!

Łyknąłem kawy. Myślałem, że już dawno przestałem cokolwiek odczuwać, lecz w tym wypadku dostrzegłem nagle coś, co wywołało mój niepokój. Na marginesie, gdzie zwykle umieszcza się takie rzeczy, wśród nazwisk członków komisji rewizyjnej programu Centralnego Banku Danych dostrzegłem nazwisko Jesse'ego Brockdena. Przypomniałem sobie, że komisja ta miała zajmować się propozycjami usprawnień. Nie potrafiłem sobie na gorąco uzmysłować, jakie stanowisko zajmował Brockden w odniesieniu do tych zagadnień, gdy nagle... Do diabła! Sprawa zbytnio mnie przerastała, bym mógł zmienić decyzję... A jednak chodziło o jedyne dziecko Frankensteina, którego los nie był mi obojętny, i zawsze istniała możliwość, że... Z drugiej strony... A niech to diabli! Mam pozwolić mu zginąć, jeśli mógłbym go uratować, a on rzeczywiście okaże się tym, który...

Wypiłem jeszcze łyk kawy. Zapaliłem następnego papierosa.

Być może mógłbym zająć się tą sprawą, nie włączając w nią Dave'a. Najpierw mógłbym pogadać z Leilą Thackery, pogrzebać w sprawie zabójstwa Burnsa, śledzić kolejne wydarzenia, dowiedzieć się czegoś więcej o statku w Zatoce... Może czegoś udałoby mi się dokonać, nawet gdyby to przeczyło teorii Brockdena, bez wchodzenia w drogę Dave'owi.

— Czy masz akta związane z Katem? — spytałem.

— Są tutaj.

Podał mi plik papierów.

— A policyjny raport o śmierci Burnsa?

— Proszę.

— Ustalmy miejsce lub miejsca, gdzie będziesz osiągalny przez najbliższych kilka dni i mniej więcej godzinę? Ta sprawa może wymagać pewnej koordynacji.

Uśmiechnął się i sięgnął po pióro.

— Witaj na pokładzie — powiedział.

Sięgnąłem do barometru i popukałem w szybkę. Z niedowierzaniem pokręciłem

głową.

Obudził mnie dzwonek telefonu. Odruchowo znalazłem się po drugiej stronie pokoju, włączając audio.

— Słucham?

— Pan Donne? Już ósma.

— Dzięki.

Opadłem na krzesło. Rano bywam zupełnie nieprzytomny. Codziennie muszę od nowa przypominać sobie swój życiorys. Przywołują mnie do życia dopiero podstawowe potrzeby, przywracając cał po cału połączenia szarych komórek. Wyciągnąłem zeszytniałą kończynę i wystukałem pazurami kilka numerów. Kraczącym głosem złożyłem zamówienie na śniadanie z mnóstwem kawy. Pół godziny później potrafiłbym jedynie warczeć. Potem powlokłem się do komnaty płynących wód, gdzie odświeżyłem stosunki z podstawowymi funkcjami życiowymi.

Niezależnie od zawartości adrenaliny i niedźwiedziego poziomu cukru we krwi, niewiele spałem poprzedniej nocy. Gdy drzwi za Donem zamknęły się, wypełniłem kieszenie podstawowymi rzeczami i zszedłem z „Proteusza”, by dostać się na lotnisko i złapać w tych ostatnich, bladych godzinach nocy samolot do Saint Louis. W trakcie lotu nie zmrużyłem oka ani przez chwilę, zajęty myślami o moim zleceniu, próbując obrać odpowiednią taktykę w stosunku do Leily Thackery. Po przybyciu na miejsce zatrzymałem się w motelu na lotnisku, zostawiając wiadomość, by obudzono mnie o tej nierozsądnej godzinie, i padłem jak nieżywy na łóżko.

W trakcie jedzenia zacząłem przeglądać akta pozostawione mi przez Dona.

Obecnie Leila Thackery była osobą samotną, rozwiódłszy się ze swoim drugim mężem trochę ponad dwa lata temu. Miała czterdzieści sześć lat i zajmowała mieszkanie w pobliżu szpitala. Do arkusza dołączona była fotografia sprzed może dziesięciu lat. Patrzyła z niej brunetka o jasnych oczach i figurze dość pulchnej, lecz jeszcze nie zdeformowanej otyłością, w śmiesznych okularach osadzonych na zadartym nosku. Była autorką wielu książek i artykułów, których tytuły roiły się od takich słów jak alienacja, rola, ugoda społeczna, tło społeczne i jeszcze raz alienacja.

Nie miałem czasu podążyć moim utartym szlakiem, to znaczy stać się kimś zupełnie nowym, obdarzonym dającym się zweryfikować życiorysem. Musiałem zadowolić się przybranym nazwiskiem i jakąś bajeczką. W tym wypadku powinno to jednak zupełnie wystarczyć. Miałem wrażenie, że tym razem najlepiej zrobię, podając możliwie dużo prawdziwych faktów.

Podjechałem pod jej dom autobusem miejskim. Nie telefonowałem wcześniej, ponieważ o wiele łatwiej mówi się „nie” przez słuchawkę, niż żywej osobie.

Zgodnie z wynotowanym w aktach rozkładem zajęć, powinna dziś przyjmować pacjentów w domu. Miało to służyć ucłowieczaniu obrazu instytucji szpitala psychiatrycznego, zdjęcia odium z sesji terapeutycznych poprzez przekształcanie ich w coś w rodzaju spotkań towarzyskich, i tak dalej. Nie zamierzałem zająć jej wiele czasu — w razie czego zrobi to Don — i byłem pewien, że pomiędzy jedną a drugą wizytą pozostawiała sobie chwilę przerwy na złapanie oddechu.

Właśnie gdy odszukałem w holu na domofonie jej nazwisko i numer mieszkania, minęła mnie starsza kobieta i otworzyła wejście na klatkę schodową. Spojrzała na

mnie pytając, przytrzymując otwarte drzwi. Skorzystałem z okazji. Znow kwestia fizycznej obecności.

Wjechałem windą na drugie piętro, odnalazłem właściwe drzwi i zapukałem. Już miałem zapukać ponownie, gdy drzwi lekko uchyliły się.

— Tak? — spytała. Porównałem jej wygląd ze zdjęciem. Prawie nic się nie zmieniła.

— Doktor Thackery — zacząłem — nazywam się Donne. Sądzę, że mogłaby mi pani pomóc w rozwiązaniu pewnego problemu.

— Jakiego problemu?

— Dotyczy on urządzenia zwanego Katem.

Westchnęła, a przez jej twarz przebiegł lekki grymas. Zacisnęła palce na framudze drzwi.

— Przejechałem kawał drogi, ale zaraz się mnie pani pozbędzie. Chciałbym zadać pani tylko kilka pytań.

— Czy pracuje pan dla rządu?

— Nie.

— A więc dla Brockdena?

— Nie, to zupełnie coś innego.

— No dobrze — powiedziała. — Teraz prowadzę jednak sesję grupową. Potrwa jeszcze z pół godziny. Jeśli nie ma pan nic przeciwko poczekaniu na dole, dam panu znać, kiedy się skończy. Wtedy możemy porozmawiać.

— Wspaniale — odparłem. — Dziękuję.

Kiwnęła głową i zamknęła drzwi. Znalazłem schody i na dół zszedłem pieszo.

Wypaliwszy papierosa, stwierdziłem, że muszę czymś zająć ręce. Wróciłem do holu. Na spisie lokatorów odszukałem nazwiska kilku mieszkańców czwartego piętra. Wjechałem windą na górę i zapukałem do pierwszych lepszych drzwi. Zanim je otwarto, w ręku trzymałem już dobrze widoczny notes i podkładkę.

— Tak? — Niska, około pięćdziesiątki, zaciekawiona.

— Pani Gluntz, nazywam się Stephen Foster. Przeprowadzam badania na zlecenie Północnoamerykańskiej Ligi Konsumentów. Chciałbym zapłacić pani za kilka poświęconych mi chwil. Chodzi o parę pytań na temat używanych przez panią produktów.

— Jak to... zapłacić?

— Tak, proszę pani. Dziesięć dolarów. To będzie około dwunastu pytań. Zabiorę pani dosłownie chwilę.

— Proszę. — Otworzyła szerzej drzwi. — Nie wejdzie pan do środka?

— Nie, dziękuję. To potrwa tak krótko, że zaraz znikam. Pierwsze pytanie dotyczy proszków do prania...

Dziesięć minut później stałem już z powrotem w holu, dopisując trzydzieści dolarów za trzy przeprowadzone wywiady do listy moich wydatków. Gdy sytuacja pełna jest niespodzianek, a ja chcąc nie chcąc, skazany jestem na improwizację, lubię odnotowywać sobie wszystkie nieprzewidziane wydatki.

Po mniej więcej kwadransie drzwi windy otworzyły się, wypuszczając trzech gości — dwóch młodych i jednego w średnim wieku, zwyczajnie ubranych i z trudem starających się ukryć rozbawienie.

Najwyższy z nich, mijając mnie, uklonił się.

— Czy to pan czeka na rozmowę z doktor Thackery?

— Zgadza się.

— Miałem panu przekazać, że może już pan jechać na górę.

— Dzięki.

Wjechałem z powrotem na pierwsze piętro i stanąłem przed tymi samymi drzwiami. Otworzyła je na moje pierwsze pukanie, pieniem głowy zaprosiła do środka i wskazała mi wygodne krzesło w przeciwległym rogu salonu.

— Napije się pan kawy? — spytała. — Dopiero co ją zrobiłam. Wyszło trochę za dużo.

— Z przyjemnością. Wielkie dzięki.

Po kilku chwilach zjawiała się z dwiema filiżankami i podawszy mi jedną z nich, rozsiadła się na sofie po mojej lewej stronie. Zignorowałem stojącą na tacy śmietankę i cukier i upiłem mały łyk.

— Zainteresował mnie pan — stwierdziła. — Proszę mi coś Dowiedzieć.

— Dobrze. Przekazano mi informację, że urządzenie telefaktoruujące zwane Katem, wyposażone prawdopodobnie w sztuczną inteligencję, powróciło właśnie na Ziemię.

— To tylko hipoteza — wtrąciła. — Chyba że wie pan coś, o czym ja nie wiem. Słyszałam, że statek Kata wszedł ponownie w atmosferę i rozbił się w Zatoce. Nie było żadnych dowodów na czyjąkolwiek obecność na pokładzie.

— Mam jednak wrażenie, że to logiczny wniosek.

— Równie logiczne jest dla mnie wyjaśnienie, że Kat odesłał statek na ostatnią randkę przed wieloma laty. Statek dotarł dopiero teraz, gdy kontrolę nad sterami przejął program sprowadzający.

— Ale po co miałyby odsyłać statek, odcinając sobie powrót?

— Zanim odpowiem na to pytanie — powiedziała — chciałabym poznać powód pańskiego zainteresowania. Czy pan jest dziennikarzem?

— Nie — odrzekłem. — Zajmuję się popularyzacją nauki. Pisuję książki specjalistyczne, popularno–naukowe i różne inne mieszczące się między tymi a tymi. W tym wypadku nie szukam jednak tematu na nową książkę. Otrzymałem zlecenie sporządzenia raportu o psychologicznym portrecie urządzenia.

— Zlecenie? Od kogo?

— Na potrzeby prowadzonego prywatnie dochodzenia. Chodzi im o informacje, jakie czynniki mogą wpływać na sposób myślenia maszyny, jakie może być jej prawdopodobne zachowanie — jeśli rzeczywiście powróciła. Przekopując się w domu przez tony danych na ten temat, stwierdziłem, że istnieje spore prawdopodobieństwo, że nuklearna osobowość tej maszyny jest wypadkową umysłów jej czterech operatorów. Uznałem więc, że muszę się z wami osobiście skontaktować i poprosić o opinię. Z oczywistych względów do pani przyszedłem najpierw. Skinęła głową.

— Niedawno zadzwonił do mnie jakiś pan Walsh. Pracuje dla senatora Brockdena.

— Tak? Cóż, nigdy nie mieszam się w sprawy przełożonych. Moja praca polega wyłącznie na wykonaniu powierzonego mi zadania. Na mojej liście nazwisko senatora figuruje obok Davida Fentrisa.

— A więc słyszał pan o Mannym Burnsie?

— Tak. To bardzo przykra sprawa.

— To właśnie wyprowadziło Jesse'a z równowagi. On — jakby to powiedzieć — trzyma się życia rękami i nogami, starając się dokończyć wszystkie rozpoczęte prace w tym krótkim czasie, jaki mu jeszcze pozostał. Dla niego każda chwila jest na wagę złota. Czuje się jak starzec, w którym zamiera technienie życia, ubrany w biały szlafrok... A tu nagle powraca statek i jeden z nas zostaje zamordowany. Z ostatnich wieści o Kacie wynikało, że zaczął się zachowywać irracjonalnie. Jesse dostrzegł związek pomiędzy jednym a drugim, a w jego stanie strach jest zupełnie zrozumiały. W sumie może warto spełniać jego zachcianki, jeśli pomoże mu to w ukończeniu wszystkich przedsięwzięć.

— A pani nie odczuwa obaw?

— Nie. Jako ostatnia monitorowałam Kata przed zerwaniem łączności i sama byłam świadkiem tego, co się działo. Pierwszymi rzeczami, jakich nauczył się Kat, były organizacja zmysłów i czynności motoryczne. Wiele układów przenoszono wprost z umysłów operatorów, lecz z początku były one zbyt skomplikowane dla maszyny... Proszę wyobrazić sobie dziecko, które nauczyło się na pamięć Orędzia Getysburskiego. Zapamiętało każdy wyraz, ale to wszystko. Pewnego dnia ten tekst może jednak okazać się dla niego istotny. Co więcej, może nawet zachęcić je do działania. Musi oczywiście do niego najpierw dojrzeć. Niech pan wyobrazi sobie teraz to samo dziecko z głową pełną sprzecznych układów: tendencji, podejść, wspomnień, którymi nie przejmuje się, dopóki pozostaje dzieckiem. Dziecko dojrzewa, a wraz z dojrzewaniem pojawia się zrozumienie dla treści powstałych w umysłach czworga różnych osobowości, treści tym silniejszych od najwznioślejszych słów, że zawierają w sobie potężny pierwiastek uczuciowy wpływający z tych osobowości. Proszę spróbować teraz wyobrazić sobie konflikty, sprzeczności wynikające z faktu bycia czterema osobami jednocześnie...

— Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślano? — spytałem.

— Ach! — odparła z uśmiechem. — Z początku nie przywiązywano wagi do kwestii wrażliwości neurystorowego umysłu. Przyjęto po prostu, że operatorzy wprowadzać będą dane po kolei, aż do osiągnięcia masy krytycznej, która odpowiadać miała stworzeniu w umyśle Kata modelu czy też obrazu świata, mającego być punktem wyjścia dla jego własnego rozwoju. Rzeczywiście, wydawało się, że wszystko gra.

Nastąpiło jednak coś, co można by określić mianem przebitki. W umyśle Kata pojawiły się drugorzędne cechy umysłowe operatorów, nie wykraczające poza sytuację dydaktyczną. Nie ujawniły się jednak natychmiast i stąd ich obecność nie została stwierdzona. Pozostały w uśpieniu aż do chwili, gdy umysł rozwinął się na tyle, by zacząć je rozumieć. A wtedy już było za późno. Nagle w obrębie jednego umysłu wyrosły cztery dodatkowe osobowości, których nie sposób było opanować. Każda próba przyporządkowania im odrębnych miejsc prowadziła do schizofrenii, a połączenie ich w jedną całość — do katatonii. W końcu sam skazał się na przeskakiwanie od jednej skrajności do drugiej i wtedy właśnie zamilkł na dobre. Czułam, że przeszedł coś w rodzaju ataku epilepsji. Nieopanowane impulsy elektryczne przepływające przez magnes doprowadziły ostatecznie do całkowitego

skasowania zawartości mózgu, co porównać by można ze śmiercią lub skretynieniem.

— Rozumiem — powiedziałem. — Zabawmy się jednak w gdybanie. Rozumiem, że alternatywą mogłaby być również zakończona sukcesem próba połączenia wszystkich danych w jedną całość albo życie w stanie schizofrenii. Gdyby któraś z tych możliwości się spełniła, czego pani zdaniem można by oczekiwać po jego zachowaniu?

— Ma pan rację — zgodziła się. — Jednak jak już stwierdziłam, istniały fizyczne ograniczenia, które uniemożliwiłyby posiadanie czterech osobowości przez długi okres czasu. Gdyby jednak dopuścić taką możliwość, przez chwilę mielibyśmy do czynienia z jego własną umysłowością i z replikami osobowości czterech operatorów. Taki stan różniłby się jednak od schizofrenii: dodatkowe osobowości byłyby rzetelnymi kopiami prawdziwych umysłów, a nie samorzutnie wygenerowanymi autonomicznymi jednostkami. Mogłyby ewoluować, ulec degeneracji, mogłyby też pozostawać w konflikcie, który musiałby doprowadzić do gruntownej przemiany jednej z nich lub nawet wszystkich. Innymi słowy, nie sposób przewidzieć natury zmian.

— To może ja spróbuję?

— Bardzo proszę.

— Po okresie burzliwego rozdarcia udaje mu się w końcu je opanować. Umacnia się jego własna osobowość. Kwartet demonów, targający jego duszą, zostaje rozbity, a w nim samym narasta zażarta nienawiść skierowana przeciw ludziom odpowiedzialnym za uprzednie wrzenie. Aby całkowicie się od nich wyzwolić, aby pomścić własne cierpienie i przeżyć swe własne, ostateczne katharsis, postanawia ich odnaleźć i zniszczyć.

Uśmiechnęła się.

— Przed chwilą wymyślił pan koncepcję „życia w stanic schizofrenii”, a teraz znów przeskakuje pan do cudownego uzdrowienia i nabrania autonomicznej osobowości. Mówimy o dwóch różnych rzeczach — bez względu na pańskie motywy.

— W porządku, rozumiem zarzut. Ale co pani o tym sądzi?

— Mówi pan, że gdyby rzeczywiście wyzdrowiał, zacząłby nas nienawidzić. Nie podoba mi się ta bezprzedmiotowa próba wciągania w to wszystko Freuda: Edyp i Elektra w jednym wcieleniu próbują zgładzić wszystkich swoich rodziców, obarczając ich winą za własne niepokoje, udreki, zahamowania rozpalone we wrażliwej duszy w młodym, bezbronny młodości. Nawet u Freuda nie znajdzie pan na to nazwy; co pan proponuje?

— Kompleks Hermakis? — poddałem.

— Hermakis?

— Hermafrodyta powstały z ciała nimfy Selmakis; ja także połączyłem w jedno ich imiona. Nasze urządzenie miałoby natomiast aż czworo rodziców, przeciw którym chciałoby się zwrócić.

— Sprytnie pan to wymyślił — odparła z uśmiechem. — Gdy sztuki wyzwolone znajdują się w ślepej uliczce, sprowadzają swe rozumowanie do obrazowych metafor. W tym jednak wypadku nie ma podstaw do podobnego antropomorfizowania. Chciał pan usłyszeć moje zdanie. Proszę bardzo. Jeśli Katu udałoby się wyzdrowieć, to tylko

dzięki różnicom dzielącym jego neurystorowy mózg od naszego. Z mojego doświadczenia wynika, że po podobnych przejściach człowiek nigdy nie odzyskałby równowagi psychicznej. Jeśli jednak tak by się stało, to musiałby on najpierw porozwiązywać wszystkie konflikty i sprzeczności, a także tak dogłębnie opanować i zrozumieć swoją sytuację, że wątpię, aby to, co z niego zostało, mogło odczuwać podobną nienawiść. Strach, niepokój, wszystkie te rzeczy, którymi żywi się nienawiść, zostałyby gruntownie przeanalizowane, przetrawione i przekształcone w coś pozytywnego. Pozostałaby zapewne niechęć, wyrażona być może jakimś czynem podkreślającym jego niezależność, świadomość własnego ja. Tym na przykład między innymi można by wytłumaczyć odesłanie statku na Ziemię.

— A zatem pani zdaniem, jeśli Kat żyje dziś własnym życiem, jedynym uczuciem, jakie żywi w stosunku do swoich byłych operatorów, jest chęć zapomnienia o was raz i na zawsze?

— Zgadza się. Przepraszam za ten kompleks Hermakis. Jednak w tym wypadku powinniśmy zbadać nie psychikę, lecz sam mózg. No i co mamy? Dwa wyjścia: jeśli zapadł na schizofrenię, to ta dawno już przeżarła mu mózg, a jeśli udało mu się rozwiązać własny problem, to pozbył się pragnienia zemsty. Tak czy siak, nie ma się czym przejmować.

Jak mam to taktownie wyrazić? Czy to w ogóle możliwe?

— Wszystko to brzmi bardzo przekonująco — podjąłem. — Pomijając jednak aspekt zarówno czysto psychiczny, jak i czysto fizyczny, czy mógł istnieć jakiś szczególny powód, dla którego szuka waszej zguby? Innymi słowy, czy mógł pojawić się po prostu jakiś staroświecki motyw, odnoszący się raczej do jakichś wydarzeń, które miały miejsce, niż do sposobu myślenia tej maszyny?

Nie potrafiłem odczytać niczego z wyrazu jej twarzy. Nie spodziewałem się zresztą wiele, biorąc pod uwagę jej zawód.

— Jakich wydarzeń? — spytała.

— Nie mam pojęcia. Dlatego pytam.

Potrząsnęła głową.

— Obawiam się, że ja również.

— To chyba byłoby na tyle — stwierdziłem. — Nie mam już więcej pytań.

— Mnie też nic więcej nie przychodzi do głowy. Dokończyłem kawę, odstawiając filiżankę na tacę.

— W takim razie — powiedziałem — uprzejmie dziękuję za poświęcony mi czas, no i za kawę. Bardzo mi pani pomogła.

Podniosłem się z krzesła. Ona również wstała.

— I co dalej zamierza pan robić? — spytała.

— Jeszcze nie wiem — odparłem. — Chciałbym, żeby ten raport był możliwie rzetelny. Może pani mi podpowie?

— Podpowiem panu, że niczego więcej już się pan nie dowie. To, co pan ode mnie usłyszał, to jedyna możliwa interpretacja faktów.

— A może David Fentris mógłby rzucić trochę więcej światła na tę sprawę?

Parsknęła śmiechem, po chwili westchnęła.

— Nie sędzę — odrzekła. — Nie sędzę, żeby usłyszał pan od niego coś, co mogłoby się panu przydać.

— Dlaczego? Ze sposobu, w jaki to pani powiedziała...

— Wiem. Przepraszam... Niektórzy ludzie odnajdują pociechę w religii. Inni... Sam pan wie. Inni stają się bogobojni w późnym wieku, oddając się Bogu bez reszty, jak gdyby chcieli nadrobić utracony czas. Nie jest w każdym razie dla nich tym, czym powinna być. Zaczyna całkowicie wpływać na ich sposób myślenia.

— Fentris jest fanatykiem? — spytałem.

— Niezupełnie. Przeniesienie innych potrzeb. Z pobudek masochistycznych. O, do diabła! Nie powinnam stawiać diagnoz na odległość ani narzucać panu własnego zdania. Proszę zapomnieć, co mówiłam. Gdy pan go spotka, proszę wyrobić sobie własny sąd.

Podniosła wzrok, oczekując mojej reakcji.

— Cóż — odparłem — nie wiem wcale, czy chcę się z nim spotkać. Ale zacięła mnie pani. W jaki sposób religia kształtować może umysł inżyniera?

— Rozmawiałam z nim po tym, jak Jesse przekazał nam informacje o powrocie statku. Odniosłam wtedy wrażenie, że traktuje naszą pracę nad stworzeniem sztucznej inteligencji jako grzebanie w poletku Pana Boga. Szaleństwo, które ogarnęło umysł naszej istoty, było nieuniknione i słuszne, jako dzieła stworzonego przez niedoskonałego człowieka. Wydawało mi się też, że traktuje ewentualną zemstę Kata jako uzasadnioną i widzi w tym rękę boskiej sprawiedliwości.

— Och — westchnąłem.

Wtedy uśmiechnęła się. Odwzajemniłem uśmiech.

— Tak — powiedziała. — No, ale może miał zły dzień. Chyba sam pan powinien to sprawdzić.

Coś mi tu nie grało, coś nie pasowało do tego wizerunku, moich wspomnień i uwagi Dona, że Dave zna mózg Kata i twierdzi, że nie ma powodów do obaw. Czułem, że za tym wszystkim kryje się coś, co powinienem wiedzieć, powinienem poznać jak najszybciej, pozornie zachowując powściągliwość.

Na koniec powiedziałem więc:

— Cóż, myślę, że to mi wystarczy. W końcu miałem zająć się tą sprawą w aspekcie czysto psychologicznym, a nie mechanicznym czy też... teologicznym. Naprawdę, bardzo jestem wdzięczny za nieocenioną pomoc.

Z uśmiechem odprowadziła mnie do drzwi.

— Jeśliby nie sprawiło to panu zbytniego kłopotu — powiedziała już przy wyjściu — to chętnie dowiedziałabym się, jak to się wszystko skończy, i poznała różne nowe szczegóły.

— Mój związek z tą sprawą kończy się wraz z napisaniem raportu, co zaraz zamierzam uczynić. Być może jednak dotrze do mnie to i owo.

— Czy ma pan mój numer?

— Chyba tak, ale...

Oczywiście miałem już jej telefon, ale naskrobałem go jeszcze raz, zaraz pod odpowiedziami pani Gluntz na moją ankietę dotyczącą proszków do prania.

Przemieszczając się według ścisłego planu, udało mi się złapać bardzo dogodne połączenie. Po wyjściu pojechałem od razu na lotnisko, trafiłem na lot do Memphis, kupiłem bilet i jako ostatni pasażer wszedłem na pokład samolotu. Zdążyłem dosłownie w ostatnim ułamku sekundy. W żadnym wypadku nie dotarłbym na czas,

gdybym musiał jeszcze wymeldować się z motelu. Mniejsza o to. Moja dobra pani doktor od czubków przekonała mnie, że następną osobą, z którą muszę się spotkać, jest David Fentris, czy mi się to podoba, czy nie. Niech to diabli. Miałem również dziwne przeczucie, że Leila Thackery nie opowiedziała mi całej historii. Musiałem podjąć ryzyko i na własne oczy przekonać się o zmianach, jakie zaszły w tym facecie. Może miały one jakiś związek z Katem? Z różnych powodów wydawało mi się, że tak.

Zszedłem z pokładu prosto w chłodne, dość posepne popołudnie. Prawie natychmiast złapałem taksówkę. Kazałem kierowcy jechać pod biuro Dave'a.

Gdy wjechaliśmy do miasta, znalazłem się w ciężkim, przed—burzowym powietrzu. Od zachodu wciąż napływała ciemna ściana chmur. Później, gdy stanąłem przed budynkiem, w którym David prowadził interesy, pierwsze krople deszczu spadły już na brudny, ceglany front. Przydałaby mu się potężna ulewa, tak jak i wszystkim innym domom w pobliżu. Myślałem, że Fentris zaszedł jednak wyżej.

Ruchem ramion strząsałem krople deszczu i wszedłem do wnętrza.

Spis biur podpowiedział mi, gdzie mam go szukać, winda wyniosła mnie na właściwe piętro, a nogi doprowadziły pod odpowiednie drzwi. Zapukałem. Po chwili zapukałem jeszcze raz i jeszcze raz odczekałem kilka sekund. Znow cisza. Nacisnąłem więc klamkę. Drzwi były otwarte. Wszedłem do środka.

Była to mała, pusta poczekalnia. Na podłodze leżał zielony dywan. Biurko dla sekretarki pokryte było kurzem. Minałem je

1 zerknąłem za plastikowe przepierzenie w drugim końcu pokoju.

Siedział odwrócony do mnie plecami. Zastukałem kilkakrotnie kłykciami palców w ściankę działową. Usłyszał mnie i odwrócił się.

— Słucham?

Nasze spojrzenia spotkały się. Wciąż miał na nosie te okulary w rogowej oprawie i nadal był żwawy jak dawniej; tylko soczewki były jeszcze grubsze, włosy bardziej przerzedzone, policzki lekko zapadnięte.

Jego pytanie zawisło w powietrzu, ale oczy pozostały nieruchome. Nie rozpoznał mnie więc. Pochylny był nad plikiem schematów. Na sąsiednim stole stał przechylony koszyk ze stali, kwarcu, porcelany i szkła.

— Nazywam się Donne, John Donne — przedstawiłem się. — Szukam pana Davida Fentrisa.

— To ja.

— Cieszę się, że mogę pana poznać — powiedziałem, podchodząc do miejsca, w którym stał. — Pomagam w prowadzeniu śledztwa dotyczącego programu, w który był pan kiedyś zaangażowany...

Uśmiechnął się i skinął głową, ściskając moją dłoń.

— Oczywiście chodzi o Kata. Ja również cieszę się z naszego spotkania, panie Donne.

— Tak, o Kata — odparłem. — Przygotowuję raport...

— ...I chciałby pan usłyszeć ode mnie opinię, czy rzeczywiście może być niebezpieczny. Proszę usiąść. — Gestem wskazał mi miejsce na końcu długiej ławy.

— Ma pan ochotę na herbatę?

— Nie, dziękuję.

— Właśnie sobie robię.

— W takim razie, jeśli to żaden kłopot...

Podszedł do innego siedziska.

— Niestety, nie mam śmietanki.

— Nie szkodzi. Skąd pan wiedział, że chodzi o Kata?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, podając mi filiżankę.

— Ponieważ powrócił — odparł — a jest on jedyną rzeczą, jaką się zajmowałem, która zasługuje na tyle uwagi.

— Czy możemy zatem o nim porozmawiać?

— Tak, przynajmniej w pewnym zakresie.

— To znaczy?

— Kiedy wejdzie pan na zakazane terytorium, dam panu znać.

— Uczciwie stawia pan sprawę. Czy rzeczywiście jest aż tak niebezpieczny?

— Powiedziałbym, że jest łagodny jak baranek — odrzekł. — A niebezpieczeństwo grozi tylko trzem osobom.

— Wcześniej groziło czterem?

— Dokładnie.

— Czy może pan to wyjaśnić?

— Zajmowaliśmy się czymś, czym w ogóle nie powinniśmy się byli zajmować.

— To znaczy...?

— Z jednej strony, próbą stworzenia sztucznej inteligencji.

— Nie rozumiem, co mogłoby być w tym nagannego.

— Człowiek o pańskim nazwisku w ogóle nie powinien się dziwić.

Stłumiłem śmiech.

— Gdybym był kaznodzieją — odparłem — musiałbym w tym momencie stwierdzić, że Biblia nie zawiera w tych sprawach żadnych przestróg — chyba że potajemnie oddawał mu pan cześć.

Potrząsnął głową.

— To wszystko nie jest takie proste, takie oczywiste, takie jednoznaczne. Czasy zmieniły się od chwili stworzenia Księgi Dobrej Nowiny i w tak skomplikowanej epoce nie można już trzymać się czysto fundamentalistycznej interpretacji. Miałem na myśli coś odrobinę bardziej abstrakcyjnego. Rodzaj pychy, zbliżony może do klasycznej hybris — wyniesienie własnej osoby na poziom Stwórcy.

— Czy odczuwał pan — tę pychę?

— Tak.

— A może był to po prostu entuzjazm w odniesieniu do ambitnego i udanego programu?

— O tak, byłem przepełniony entuzjazmem, ale to tylko jeszcze jeden przejaw tej samej pychy.

— Pamiętam, że mowa była chyba o człowieku uczynionym na obraz i podobieństwo Stwórcy i jeszcze coś o życiu według boskiego wzoru. Wynika chyba z tego, że wykorzystywanie własnych umiejętności w taki sposób byłoby krokiem we właściwym kierunku — można by rzec, aktem odpowiadającym ideałowi boskiemu.

— Nie uważam, by tak można powiedzieć. Człowiek tak naprawdę nie jest zdolny do tworzenia, jedynie do przebudowy istniejących już rzeczy. Tworzyć może jedynie

Bóg.

— A zatem nie ma pan powodów do obaw.

Zmarszczył brwi.

— Niezupełnie — odparł po chwili. — Arogancja pojawia się w chwili, gdy wbrew świadomości grzechu próbuje się czegoś dokonać.

— Czy tworząc go, myślał pan w ten sposób? Czy też przyszło to panu do głowy już po fakcie?

Znów zmarszczył brwi.

— Nie jestem w tej chwili pewien.

— Sądzę więc, że miłośnicy Bóg skłonny byłby obdarzyć pana dobrodziejstwem zwątpienia.

Posłał mi kwaśny uśmiech.

— Nieźle, panie Donne. Czuję jednak, że wyrok już zapadł i że chyba wszyscy przegraliśmy cztery do zera.

— A zatem traktuje pan Kata jako anioła zemsty?

— Czasami. Tak, mniej więcej. Sądzę, że celem jego powrotu jest wymierzenie kary.

— Pytanie do protokołu — podsunąłem — czy gdyby Kat miał wcześniej pełny dostęp do odpowiedniego sprzętu i był w stanie zbudować podobną do siebie maszynę, czy również obarczałby go pan winą za to samo, co gryzie pana?

Potrząsnął głową.

— Panie Donne, proszę nie chwycać się tak chytrych i podstępnych sposobów. Nie odszedłem tak daleko od kanonów. Co więcej, chciałbym móc przyznać, że być może jestem w błędzie i że — kto wie — ten sam finał będzie wynikiem działania zupełnie innych sił.

— Takich jak?

— Powiedziałem, że gdy wejdzie pan na zakazane terytorium, dam panu znać. Właśnie pan to zrobił.

— W porządku — odparłem. — Czuję się jednak jak w ślepej uliczce. Ci, dla których pracuję, chcieliby zapewnić wam ochronę. Pragną powstrzymać Kata. Miałem nadzieję, że dowiem się tu czegoś więcej — jeśli już nie przez wzgląd na pana, to chociażby dla pozostałych. Oni wcale nie muszą podzielać pańskich filozoficznych upodobań, a poza tym sam pan przyznał, że może się mylić... Nawiasem mówiąc, zdaniem wielu teologów również rozpacz jest grzechem.

Westchnął i wytarł nos: pamiętałem ten odruch z czasów, które dawno minęły.

— A tak w ogóle, to czym się pan zajmuje? — spytał.

— Ja, osobiście? Jestem popularyzatorem nauki. Ten raport przygotowuję dla agencji, która chce opracować podobny program. Im lepszy będzie mój raport, tym większe będą mieli szansę.

Przez chwilę nie odzywał się, aż wreszcie stwierdził:

— Nie przypominam sobie pańskiego nazwiska, choć przeczytałem mnóstwo rzeczy z tej dziedziny.

— Zajmuję się przede wszystkim chemią ropy naftowej i biologią mórz i oceanów.

— Ach tak. Dziwne więc, że na pana trafiło, prawda?

— Niezupełnie. Byłem właśnie pod ręką, a szef zna moje prace i wie, że jestem

niezły.

Popatrzył na przeciwległą ścianę, gdzie stos kartonów częściowo zasłaniał — dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę — końcówkę komputera. No tak. Jeśli teraz postanowi sprawdzić moje referencje, koniec z Johnem Donnem. To naturalne, że wzbierała w nim ciekawość, zwłaszcza po tym, gdy opowiedział mi o swoim poczuciu winy. Chyba i on o tym pomyślał, gdyż po chwili odwrócił wzrok.

— Może ujmę to w ten sposób — powiedział w końcu, a w jego głosie pojawiła się nuta przywołująca dawnego Davida Fentrisa z jego najlepszych czasów. — Z tego czy z tamtego powodu twierdzą, że pragnie on zniszczyć swoich byłych operatorów. Jeśli jest to wyrok Wszechmocnego, to i tak nie da się nic zrobić, bo Katowi na pewno się powiedzie. Jeśli jednak nie, to nie życzę sobie jakiegokolwiek ochrony z zewnątrz. Odpokutowałem już za swoje i również sam chcę się zająć moją sytuacją. Osobiście powstrzymam Kata — dokładnie w tym miejscu — zanim komukolwiek innemu stanie się krzywda.

— W jaki sposób? — spytałem.

Skinął głową w kierunku błyszczącego hełmu.

— Przy pomocy tego czegoś — odparł.

— Ale w jaki sposób? — powtórzyłem.

— Obwody telefaktorujące Kata są wciąż nienaruszone. Musi tak być, ponieważ stanowią one jego integralną część. Nie mógłby ich odłączyć bez wyłączenia samego siebie. Gdy znajdzie się o ćwierć mili stąd, to urządzenie włączy się samo. Zacznie emitować donośny szum, a za tą siatką, poniżej przedniej krawędzi, zacznie migotać światełko. Nałożę wtedy ten hełm i przejmę kontrolę nad Katem. Sprowadzę go tutaj i odłączę mu mózg.

— A jak dokona pan rozłączenia?

Sięgnął po schematy, na które patrzył w chwili, gdy wszedłem.

— Proszę. Należy wyłączyć anodę piersiową. Tu pan widzi cztery podzespoły, które należy rozdzielić. Tu, tu, tu i tu.

Podniósł wzrok.

— Jednak będzie pan musiał to robić po kolei, bo inaczej wszystko się przegrzeje — stwierdziłem. — Najpierw ten, potem te dwa. Na koniec tamten.

Gdy podniosłem wzrok, moje oczy napotkały badawcze spojrzenie jego szarych źrenic.

— Sądziłem, że zajmuje się pan chemią ropy naftowej i biologią mórz i oceanów.

— Tak naprawdę nie jestem specjalistą z konkretnej dziedziny — odparłem. — Piszę o technice, o tym i o tamtym — poza tym widziałem je już, zanim jeszcze podjąłem się tej pracy.

— Rozumiem.

— A czemu nie zwróci się pan do agencji kosmicznej? — spytałem, próbując odzyskać grunt pod nogami. — Oryginalny sprzęt telefaktorujący miał odpowiednią moc i zasięg...

— Został zdemontowany dawno temu. Myślałem, że pracuje pan dla rządu.

Pokręciłem przecząco głową.

— Przykro mi, jeśli nieświadomie wprowadziłem pana w błąd. Podpisałem umowę z prywatną agencją detektywistyczną.

— Ho, ho. A więc to Jesse... Zresztą, to bez znaczenia. Proszę mu przekazać, że w ten czy inny sposób wszystko jest pod kontrolą.

— A jeśli myli się pan w kwestii metafizycznej — powiedziałem — natomiast ma pan rację w odniesieniu do drugiej przyczyny? Można rzeczywiście założyć, że przybędzie tutaj w takich okolicznościach, że będzie mu można stawić opór. Ale jeśli to nie pan jest następny na liście? Jeśli zamiast pana dobiegnie do kogoś z pozostałej dwójki? Skoro istnieje w panu tak silne poczucie grzechu i winy, to czy pana zdaniem nie będzie pan odpowiedzialny za tę śmierć, której mógł pan przeciwdziałać, zdradzając mi trochę więcej szczegółów? Jeśli niepokoi pana kwestia zachowania tajemnicy, to...

— Nie — uciął. — Nie uda się panu wmanewrować mnie w zastosowanie moich zasad do hipotetycznej sytuacji, która zdarzyć się może tylko według pańskiego widzimisię. Zwłaszcza nie wtedy, gdy jestem pewien, że nie będzie miała miejsca. Jakiegokolwiek motywy kierują Katem, w następnej kolejności zjawi się u mnie. Jeżeli ja tego nie zrobię, nie powstrzyma go nikt do chwili zakończenia zadania.

— A skąd ta pewność, że będzie pan następny?

— Proszę spojrzeć na mapę — odparł. — Wylądował w Zatoce. Manny był tu, w Nowym Orleanie, więc oczywiście poszedł na pierwszy ogień. Kat potrafi poruszać się pod wodą jak sterowana torpeda, a zatem — bez zwracania na siebie uwagi — w logiczny sposób wybierze Missisipi jako dalszą trasę. Poruszając się w górę rzeki, docieramy do mnie, do Memphis. Potem, w St. Louis, przyjdzie kolej na Leilę. Potem pozostanie mu już tylko problem, jak dotrzeć do Waszyngtonu.

Pomyślałem, że przecież senator Brockden jest w Wisconsin, więc nawet ten problem odpada. W przypadku podróży drogą wodną wszyscy pozostali przy życiu byli w zasięgu ręki.

— No dobrze, ale skąd Kat będzie wiedział, gdzie was szukać? — spytałem.

— Dobrze pytanie — przyznał. — Dawniej w ograniczonym zasięgu Kat reagował na nasze fale mózgowie. Posiadał na ten temat poufne informacje i potrafił je przechwytywać. Nie mam pojęcia, jaki dzisiaj może być ten zasięg. Być może zbudował wzmacniacz i zwiększył obszar odbioru. Bywają jednak i bardziej przyziemne sposoby. Wystarczy zajrzeć do krajowej książki telefonicznej w Centrali. Budki są wszędzie, nawet na nabrzeżu. Znalazł jakąś i dobrał się do niej w nocy. A informacji potrzebnych do zidentyfikowania nas miał wystarczająco dużo, tak zresztą jak i technicznych umiejętności.

— Myślę, że najlepszym wyjściem byłoby więc dla was oddalić się jak najbardziej od koryta rzeki, aż cała sprawa się nie zakończy. W końcu ta maszyna nie będzie w stanie włóczyć się po całym kraju bez zwracania na siebie uwagi.

Potrząsnął głową.

— I tak znalazłby sposób. Jest nadzwyczaj pomysłowy. Nocą, w płaszczu i w kapeluszu, mógłby się prześliznąć. Nie ma takich potrzeb jak człowiek. Mógłby na przykład wykopać dziurę i przysypany ziemią przeczekać cały dzień. Potem biec przez całą noc bez chwili wytchnienia. Nie ma miejsca, do którego nie dotarłby w zadziwiająco krótkim czasie... Nie, muszę na niego poczekać tutaj.

— Pozwoli pan, że powiem bez ogródek — podjąłem. — Jeśli jest, jak pan mówi, Boskim Mścicielem, to jakakolwiek próba zapanowania nad nim trąci bluźnierstwem.

Z drugiej strony, jeśli tak nie jest, to w moim przekonaniu odpowiada pan za narażanie życia innych ludzi, nie chcąc ujawnić informacji, które pozwoliłyby nam zapewnić im znacznie lepszą ochronę, niż może to zrobić pan.

Roześmiał się.

— Cóż, będę musiał nauczyć się żyć z tym poczuciem winy, podobnie jak oni — powiedział. — Zrobię wszystko, co w mojej mocy; a ich niech czeka to, na co zasłużyli.

— W moim rozumieniu — rzekłem — Bóg miał osądzać ludzkie postęпки dopiero po śmierci. Czy to, co pan mówi, nie jest jeszcze jednym przejawem arogancji do pańskiej kolekcji?

Przestał się śmiać i uważnie przyjrzał się mojej twarzy.

— Pański sposób mówienia, sposób myślenia kogoś mi przypomina — stwierdził. — Czy nie spotkaliśmy się wcześniej?

— Wątpię. Pamiętałbym pana. Potrząsnął głową.

— Ma pan dar zakłócania czyjegoś toku myślenia. Coś mi to przypomina — kontynuował. — Nie czuję się przy panu swobodnie.

— O to mi właśnie chodziło.

— Czy zatrzyma się pan w mieście?

— Nie.

— W takim razie proszę mi dać numer telefonu, pod którym będę mógł pana zastać. Jeżeli dojdę do jakichś nowych wniosków w tej sprawie, zadzwonię.

— Szkoda, że nie może to się stać od razu, skoro zamierza pan zmienić zdanie.

— Nie, muszę najpierw przemyśleć kilka rzeczy. Gdzie pana później złapię?

Podaliśmy nazwę hotelu w St. Louis, gdzie wpisałem się do książki meldunkowej. Mogę tam przecież dzwonić co jakiś czas z zapytaniem, czy są dla mnie jakieś wiadomości.

— Dobrze — powiedział i ruszył w kierunku przepierzenia, zatrzymując się przy biurku recepcyjnym.

Wstałem i podążyłem za nim do drugiej części pomieszczenia. Przy drzwiach zatrzymałem się.

— Jeszcze jedno... — poprosiłem.

— Tak?

— Jeśli on rzeczywiście się tu pojawi, a panu uda się go powstrzymać, czy mogę liczyć na telefon?

— Oczywiście.

— W takim razie dziękuję... i powodzenia.

Kierowany nagłym impulsem, wyciągnąłem dłoń na pożegnanie. Uścisnął ją i posłał mi lekki uśmiech.

— Dziękuję panu, panie Donne.

Co teraz. Co teraz, co teraz, co teraz...

Dave pozostał nieugięty, a Leila Thackery nic więcej mi nie powie. Nie było sensu dzwonić do Dona — dopóki nie będę miał czegoś więcej do powiedzenia.

Przemyślałem to wszystko w drodze na lotnisko. Godziny przedobiednie zawsze wydają się najlepsze do prowadzenia oficjalnych rozmów, tak jak noc najdogodniejsza jest dla brudnej roboty. Brzmi to trochę jak prostacka filozofia, ale

tym niemniej to prawda. Nie chciałem tracić reszty dnia, skoro przed rozmową z Donem mogłem jeszcze z kimś pogadać. Przeglądając akta, stwierdziłem, że rzeczywiście jest jeszcze taka osoba.

Manny Burns miał brata Phila. Zastanowiłem się, czy rozmowa z nim to gra warta świeczki. Zdażyłbym jeszcze do Nowego Orleanu o dość przyzwoitej godzinie, dowiedziałbym się, co ma ciekawego do powiedzenia, a do Dona zadzwoniłbym później po nowe szczegóły. Na koniec mógłbym zdecydować, czy warto zająć się samym statkiem.

Niebo było szare i lekko mżyło. Korciło mnie, by umknąć w przestworza. Postanowiłem więc lecieć. I tak nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

Na lotnisku szybko kupiłem bilety i zdażyłem na najbliższe połączenie.

Spiesząc się na lot, po przeciwnej stronie ruchomych schodów spostrzegłem twarz, która wydawała mi się znajoma. Obydwaj ulegliśmy odruchowi zarezerwowanemu na takie okazje: on również na chwilę odwrócił wzrok i uniósłszy brew z tym samym wyrazem zmieszania, obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. Za chwilę już go nie było. Na wpół znajoma twarz staje się powszechnym zjawiskiem w ruchliwym, zatłoczonym społeczeństwie. Czasami myślę, że to właśnie pozostanie ostatecznie z nas: wzory cech, niektóre bardziej trwale od innych, odbite w rzece ludzkich postaci. Chłopak z małego miasteczka. Thomas Wolfe, musiał prawdopodobnie mieć to samo odczucie, gdy wymyślał termin „ludzie–mrówki”. Zapewne był to ktoś, kogo kiedyś poznałem, czy też po prostu ktoś — lub ktoś podobny do ktosia — kogo minąłem przy innej takiej okazji.

Opuszczając niegościnne niebo nad Memphis, ponownie pograżyłem się w rozmyślaniach nad sztuczną inteligencją czy też SI, pod którym to hasłem termin ten funkcjonował w przemyśle komputerowym. A skoro już mowa o komputerach, to pojęcie SI zawsze wywoływało więcej emocji, niż wydawało mi się to właściwe. Częściowo z powodu semantyki, bo samo słowo „inteligencja” posiada niezliczone skojarzenia natury niefizycznej. Podejrzewam, że pochodzi ono z dawnych dyskusji i poglądów, kiedy to nadano mu brzmienie sugerujące, że potencjał dla stworzenia inteligencji tkwił zawsze w pewnych gadżetach i że aby powołać ją do życia należy po prostu odkryć właściwe procedury i odpowiednie programy. Jeśli uznawało się to podejście za własne, tak jak czyniło to wielu, było się już o krok od niefortunnego *déjà vu*, od poglądów witalistycznych. Nie przebrzmiały jeszcze echa dziewiętnastowiecznych potyczek filozofów i doktryna, w myśl której życie bierze swój początek i trwanie z przyczyny witalnej niezależnie od sił fizycznych i chemicznych, i że życie podtrzymuje samo siebie i tak samo ewoluuje, wywoływało prawdziwą wojnę, zanim Darwin i jego uczniowie nie odnieśli ostatecznego triumfu ze swym mechanistycznym poglądem. A później, gdy w połowie ubiegłego stulecia rozpętały się dyskusje nad SI, poglądy witalistyczne znów wypłynęły na światło dzienne. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Dave padł ich ofiarą i zaczął wierzyć, że współdziałał w stworzeniu nie poświęconego naczynia, do którego wlał coś, co przeznaczone było jedynie dla rzeczy tworzących pierwszy rozdział Księgi Rodzaju...

W przypadku jednak komputerów sprawy nie przedstawiały się aż tak źle, jak w przypadku Kata, gdyż zawsze można było argumentować, iż bez względu na poziom

złożoności programu był on przede wszystkim ramieniem woli programisty i że działania maszyn przyczynowych były jedynie odwzorowaniem funkcji inteligencji, a nie inteligencją samą w sobie, wspartą autonomiczną wolą. No i pod ręką był zawsze Gödel z jego teoretycznym *cordon sanitaire*, z wykazaniem, że istnieją prawdziwe, lecz nie dające się mechanicznie udowodnić twierdzenia.

Z Katem było inaczej. Został zaprojektowany zgodnie z modelem mózgu i otrzymał, przynajmniej częściowo, wykształcenie na ludzką modłę; a żeby dalej pogmatwać kwestie odnoszące się do witalizmu, trzeba przypomnieć, że miał bezpośredni dostęp do umysłów ludzi, którzy mogli mu dać niemal wszystko — łącznie z tą iskrą, dzięki której wyruszył w drogę w poszukiwaniu własnej tożsamości, czymkolwiek by ona była. A czym była? Czy stworzył swą własną replikę? Krzywe zwierciadło odbijające krzywy obraz ludzkości? Może jedno i drugie? A może ani tym, ani tym? Rzecz jasna, nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, ale zastanawiałem się, jaka część jaźni Kata należy naprawdę do niego. Otrzymał i nabył wiele funkcji życiowych, ale czy był zdolny do prawdziwych uczuć? Czy mógł, na przykład, odczuwać miłość? Jeśli nie, to był jedynie zbiorem umiejętności wyższego rzędu, a nie czymś, z czym mogłyby wiązać się niefizyczne skojarzenia sprawiające, że słowo „inteligencja” pojawiała się jak cierń w dyskusjach o SI; ale jeśli byłby zdolny do czegoś w rodzaju, powiedzmy, miłości, to na miejscu Dave’a nie odczuwałbym najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu powołania go do życia. Czułbym dumę, choć byłby to inny rodzaj dumy niż ten, który go niepokoił, ale zarazem czułbym też pokorę... Na marginesie, nie wiem, czy byłbym pod wrażeniem własnej inteligencji, gdyż u licha nie wiem, czym naprawdę jest inteligencja.

Gdy wylądowaliśmy, chylące się ku zmierzchowi niebo było bezchmurne. Zanim zaszło słońce, zdołałem dotrzeć do centrum i w chwilę później stałem już na progu mieszkania Philipa Burnsa.

Drzwi otworzyła mi siedmio-, może ośmioletnia dziewczynka. Popatrzyła na mnie badawczo brązowymi oczami i nie odezwała się ani słowem.

— Chciałbym rozmawiać z panem Burnsem — oznajmiłem. Dziewczynka odwróciła się i zniknęła z pola widzenia.

Po kilku chwilach do holu wtoczył się potężnie zbudowany facet, ubrany w luźne marynarskie spodnie i podkoszulkę. Zerknął na mnie, trzymając w ręku złożony wydruk z wiadomościami.

— Szukasz pan czegoś? — spytał.

— Chodzi o pańskiego brata — podjąłem.

— Tak?

— Cóż, czy mógłbym wejść? To trochę skomplikowane.

Otworzył drzwi. Nie wpuścił mnie jednak do środka, tylko sam wyszedł na zewnątrz.

— Opowiedz mi pan wszystko tutaj.

— Dobrze, będę się streszczał. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy pański brat rozmawiał kiedyś z panem o urządzeniu zwanym Katem, na którym kiedyś pracował?

— Jest pan gliną?

— Nie.

— Więc co to pana obchodzi?

— Pracuję dla prywatnej agencji detektywistycznej, która stara się wytropić sprzęt mający kiedyś związek z tym programem. Wydaje się, że pojawił się on w tej okolicy i najprawdopodobniej może okazać się niebezpieczny.

— Pokaż mi pan jakąś legitymację.

— Niestety, nie noszę legitymacji.

— A jak się pan nazywasz?

— John Donne.

— I myślisz pan, że mój brat miał w chwili śmierci jakiś skradziony sprzęt? Zaraz ci coś powiem, ważniaku...

— Nie. Nic kradziony — przerwałem — i nie sądzę, żeby go miał.

— To o co chodzi?

— Jakby to powiedzieć... Było to coś w rodzaju robota. Dzięki specjalnemu przeszkoleniu, przez które Manny kiedyś przechodził, prawdopodobnie znalazł on sposób namierzenia tego urządzenia, a może nawet potrafił je do siebie przyciągać. Pragnę się tylko dowiedzieć, czy coś o nim wspominał. Staramy się je zlokalizować.

— Mój brat był szanowanym biznesmenem, a ja nie lubię pomówień. Zwłaszcza teraz, po jego pogrzebie. Chyba wezwę gliny, żeby to oni panu zadali kilka pytań.

— Jeden moment. A gdybym powiedział panu, że mamy powody przypuszczać, że właśnie to urządzenie mogło spowodować śmierć pańskiego brata?

Jego różowa twarz nagle zrobiła się purpurowa, a mięśnie żuchwy zaczęły intensywnie pracować. Nie byłem przygotowany na stek wyzwisk, jakim mnie obrzucił. Przez chwilę myślałem, że się na mnie rzuci.

— Chwileczkę — wtrąciłem, gdy przerwał dla nabrania oddechu. — Czy pan nie zrozumiał, co powiedziałem?

— Albo lubi pan kpić ze zmarłych, albo jest pan głupszy, niż na to wygląda.

— Dobrze, jestem głupi. Niech pan powie, dlaczego. Rozłożył trzymany w ręku arkusz, zgiął ponownie, a odnalazłszy to, co go interesowało, cisnął go w moim kierunku.

— Ponieważ znaleźli faceta, który to zrobił! Dlatego właśnie — powiedział.

Przeczytałem notatkę. Była przejrzysta i zwięzła, i wiarygodna w każdym calu. W najświeższych wiadomościach. Podejrzany przyznał się do winy. Przedstawiono mu nowe dowody. Aresztowano. Włamywacz złapany na gorącym uczynku, który stracił głowę i zadał zbyt wiele i zbyt silnych ciosów. Przeczytałem notatkę dwa razy.

Oddając arkusz, skinałem głową.

— Naprawdę bardzo mi przykro — powiedziałem. — Naprawdę nie miałem o tym pojęcia.

— Wynoś się pan stąd — odparł. — No już!

— Oczywiście.

— Chwileczkę.

— Tak?

— Ta dziewczynka, która otworzyła drzwi, to jego córka — powiedział.

— Bardzo mi przykro.

— Mnie również. Ale wiem, że jej tata nie zabrał waszego chrzanionego sprzętu.

Skinąłem głową i odwróciłem się.

Z tyłu doszedł mnie odgłos zatrzasniwanych drzwi.

Po obiedzie wynająłem pokój w niewielkim hotelu, zamówiłem coś do picia i wszedłem pod prysznic.

Nagle wszystkie sprawy stały się o wiele mniej pilne niż przedtem. Senator Brockden bez wątpienia z zadowoleniem przyjmie wiadomość, że jego wcześniejsza ocena zdarzeń była fałszywa. Gdy zadzwonię do Leily Thackery, by przekazać jej wiadomość, ta po drugiej stronie linii odpowie mi śmiechem oznaczającym „no, a nie mówiłam”. Czułem się jednak w obowiązku zatelefonować do niej. Teraz, gdy zagrożenie nie było już tak wielkie, Don mógł — ale nie musiał — prosić mnie o kontynuowanie poszukiwań. Jak sądziłem, będzie to uzależnione od samopoczucia senatora. Jeśli pośpiech już się tak nie liczył, to Don być może sam będzie wołał przerzucić się na jakąś inną, mniej obciążającą budżet, sprawę. Owijając się ręcznikiem, złapałem się na tym, że pogwizduję. Czułem się niemal jak zdjęty ze stryczka.

Później, z drinkiem stojącym obok na stole, zawahałem się przez moment przed wystukaniem numeru, który mi podał Don, i zamiast do niego, zadzwoniłem do mojego motelu w St. Louis. Wypadało tak zrobić, choćby po to, by wykazać własną skuteczność: mogła tam znajdować się wiadomość, którą warto będzie dołączyć do raportu.

Na ekranie pojawiła się twarz kobiety, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Zaciekawilo mnie, czy zawsze uśmiecha się, gdy słyszy dzwonek telefonu, i czy ten odruch zanikłby z chwilą przejścia na przedwczesną emeryturę. Musi być jej ciężko, skoro nie może żuć gumy, ziewać czy podłubać w nosie.

— Hotel lotniczy — powiedziała. — Czym mogę służyć?

— Mówi Donne. Mieszkam w pokoju 106 — powiedziałem. — Jestem teraz w podróży i dzwonię z pytaniem, czy ktoś nie zostawił dla mnie jakichś wiadomości.

— Chwileczkę — odrzekła i zaczęła grzebać w czymś po jej lewej stronie. — Rzeczywiście — odezwała się ponownie po chwili, przyglądając się trzymanej w dłoni karteczce. — Jest coś na taśmie. Z tym, że to trochę nietypowa sprawa. Wiadomość jest dla kogoś innego, kto miałby pozostawać z panem w kontakcie.

Wymieniła nazwisko. Udało mi się nie stracić panowania nad własną twarzą.

— Rozumiem — odparłem. — Przyjadę z nim później, żeby jej odsłuchał. Dziękuję.

Uśmiechnęła się znów i wydała z siebie jakiś odgłos na do widzenia. Uczyniłem podobnie i rozłączyłem się.

A więc w końcu Dave mnie przejrzał... Nikt inny przecież nie znał tego numeru i mojego prawdziwego nazwiska.

Mogłem podać jej jakiś inny numer i poprosić o odtworzenie wiadomości, ale nie byłem pewien, czy przypadkiem życie nie wydało jej się właśnie nudne i czy nie przyjdzie jej do głowy pomysł podsłuchania przekazu. Musiałem tam dotrzeć osobiście, i to najszybciej jak się da, i sam dopilnować zmazania taśmy.

Pociągnąwszy solidny łyk, przesłałem wydruk Donowi. Potem przez piętnaście minut wystukiwałem jego numer — właściwie na przemian dwa numery — próbując

go złapać. Niestety, bez , powodzenia.

No i tak. Do widzenia, Nowy Orleanie, żegnaj pogodę ducha. Tym razem zadzwoniłem na lotnisko i dokonałem rezerwacji. Duszką wypiliśmy drinka, doprowadziłem się do ładu, pozbierałem moje nieliczne przynależności i zszedłem się wymeldować. Witaj, Centralny Porcie Lotniczy...

W trakcie moich poprzednich dzisiejszych lotów przemyślałem na temat poglądów Teilharda de Chardina o ciągłości ewolucji w świecie przedmiotów, konfrontując je z twierdzeniami Godła o mechanicznej nierozstrzygalności, rozgrywałem epistemologiczne partie, odwołując się do argumentu Kata, myśląc, spekulując, mając nawet nadzieję, że prawda leży po słusznej stronie: że Kat, jako istota czująca, powrócił w pełni władz umysłowych; że zabicie Burnsa było w rzeczywistości czymś, czym okazało się teraz; że porzucony eksperyment zakończył się tak naprawdę sukcesem, tyle że innego rodzaju, że był to prawdziwy triumf, ujawniający nowe ogniwo czy też połączenie w łańcuchu istnienia... Nawet Leila nie zniechęciła mnie do końca swoimi wyjaśnieniami na temat zdolności neurystorowego mózgu... Teraz jednak to ja miałem kłopoty — a nawet najbardziej porywające spory filozoficzne stają się niczym w chwili, gdy zaczyna cię boleć ząb.

Tak więc Kat na razie poszedł w odstawkę, a moje myśli wypełniła głównie moja własna osoba. Istniała oczywiście możliwość, że Kat naprawdę się pojawił, że Dave zdołał go powstrzymać i że potem zgodnie z umową zadzwonił. Ale przecież użył mojego nazwiska.

Zanim nie poznam treści przekazu, nie ma sensu robić żadnych planów. Szantaż raczej nie mógł wchodzić w grę w wypadku tak zawziętego religijnego człowieka. Z drugiej jednak strony, Dave był jak słomiany ogień i w dodatku przeszedł już w życiu nieoczekiwaną przemianę. Trudno więc cokolwiek twierdzić... Techniczne wykształcenie, w połączeniu z wiedzą na temat programu banku danych, stawiały go w nadzwyczaj uprzywilejowanej pozycji w sytuacji, jeśli by chciał mi nabruździć.

Nie chciałem myśleć o niektórych sprawach, do jakich niejednokrotnie musiałem się uciekać, by ochronić mój bezosobowy status; a już zwłaszcza nie miałem ochoty myśleć o nich w związku z Dave'm, którego nadal nie tylko szanowałem, ale i lubiłem.

Dawno temu Karl Mannheim stwierdził, że radykalni, rewolucyjni i postępowi myśliciele mówiąc o państwie, odwołują się do mechanicznych metafor, podczas gdy inni, o skłonnościach konserwatywnych, wybierają analogie do świata roślinnego. Słowa te zostały wypowiedziane o co najmniej pokolenie przed tym, jak ruch cybernetyczny i ruch ekologiczny zaczęły torować sobie drogę przez ostępy powszechnej świadomości. Jeśli już, to właśnie ich powstanie wyraża różnicę między dwoma przeciwnymi stanowiskami, które, niekoniecznie uwikłane w nadany im przez Mannheima polityczny kontekst, chyba rzeczywiście odzwierciedlają nieprzerwanie trwające zjawisko właściwe moim czasom. Niektórzy traktują problemy społeczne/gospodarcze/ekologiczne w kategoriach źle działających funkcji, czemu można zaradzić poprzez naprawę, wymianę czy wygładzenie; podchodzą oni do rzeczywistości niejako linearnie, widząc nawet w innowacjach jedynie nowe dodatki. Niektórzy z kolei wahają się nawet, czy przenieść się z miejsca na miejsce, gdyż ich świadomość podąża za wydarzeniami jako za drugo — i trzeciorzędnymi

skutkami rzeczy istniejących, mnożącymi się i dającymi pożywkę w całym systemie... Posuwam się już za daleko w tych dygresjach. Cybernetycy posługują się swoimi pętlami wielokrotnych sprzężeń zwrotnych, choć nigdy raczej nie wiadomo, skąd wiedzą jakie, które i ile należy zainstalować, gestaltycy ekologii zaś rysują dla nas linie odzwierciedlające punkty zanikających powrotów — choć czasem równie trudno domyślić się, w jaki sposób nadają im wartości.

Oczywiście jedni potrzebują drugich; tym od jarzyn potrzebni są ludzie Tinkertoya i odwrotnie. Przynajmniej nawzajem się kontrolują, jeśli już nie ma z nich innego pożytku. I gdy na przestrzeni ostatnich stuleci równowaga niekiedy ulegała rozchwianiu, to jednak owi majsterkowicze zawsze trzymali się któregoś z końców. Jednakże wielu z nich przypomina dziś konserwatywnych ludzi od warzyw, o których pisał Mannheim, i szczerze mówiąc, ich właśnie obawiam się teraz najbardziej. Są to właśnie ci, którzy uznali program banku danych, w jego obecnej zwyrodniałej formie, za lek na niezliczone bolączki i za zwiastun wszelkich dobrodziejstw. I tak nie udało się uzdrowić wielu spraw, a co więcej, samo działanie programu doprowadziło do mnożenia się zupełnie nowej klasy problemów. Szkoda, że wtedy, gdy program został zainicjowany, nie znalazło się więcej ludzi zainteresowanych pielęgnowaniem ogrodu państwa, a nie generalnym remontem państwowej maszyny. Nie musiałbym wtedy żyć jak wygnaniec porzucający odrażającą egzystencję, nie musiałbym martwić się, czy mój dawny współpracownik odkrył moją tożsamość.

I tak rozmyślałem, spoglądając na znajdujące się w dole światła... Czy i ja należę do tych majsterkowiczów, skoro pragnąłbym dalej zmienić istniejący porządek na coś bardziej odpowiadającego mojej anarchistycznej naturze? Czy też jestem rośliną, marzącą o tym, by zostać majsterkowiczem? Nie potrafiłem się zdecydować. Ogród życia nigdy nie ogranicza się do grządek i ścieżek, wytyczonych dla wygody przez filozofów. Może rzeczywiście potrzeba tu traktorów.

Nacisnąłem klawisz.

Taśma zaczęła się przesuwać. Na ekranie nic się nie zmieniło. Usłyszałem głos Dave'a proszącego o połączenie z Johnem Donnem z pokoju 106, a w chwilę później informującego telefonistkę, że mój telefon nie odpowiada. Potem stwierdził, że w takim razie zostawi wiadomość na taśmie dla kogoś innego, komu ja miałbym ją przekazać i że na pewno nie będę miał nic przeciwko temu. Potem usłyszałem odgłos, jakby nabierał powietrza w płuca. Dziewczyna spytała, czy życzy sobie również wizję. Poprosił o włączenie. Nastąpiła cisza. W końcu dziewczyna powiedziała, że może zaczynać. Nadal nie było obrazu. Ani fonii. Słyszałem tylko jego oddech i cichy chrobot. Dziesięć sekund. Piętnaście...

— ...znalazłeś mnie — usłyszałem wreszcie, i znów wymienił moje nazwisko. — ...Musiałem ci jednak dać znać, że cię rozszyfrowałem... I nie zdradził cię wcale jakiś szczególny gest... tylko wszystko, co mówiłeś... sposób myślenia, wypowiedania się... elektronika... i w ogóle wszystko... później coraz natarczywiej dręczyło mnie przekonanie, że cię znam... a potem sprawdziłem twoje nazwisko w związku z ropą i biologią mózgu... Chciałbym wiedzieć, przez co musiałeś przejść przez te wszystkie lata... teraz już się nie dowiem. Ale pragnąłem... żebyś

wiedział... że ja... nie dałem się nabrać.

Potem znów nastąpiła cisza i przez piętnaście sekund słyszałem tylko charkot, który w końcu przeszedł w urywany kaszel. Potem wyduszone:

— ...Za dużo powiedziałem... za szybko... za wcześniej... Wszystko skończone...

Wtedy pojawił się obraz. Siedział zgarbiony przed ekranem, z głową opartą na ramionach, cały zbryzgany krwią. Nie miał okularów, musiał co chwilę mrużyć oczy. Prawa strona czaszki wyglądała jak miazga, a na lewym policzku i czole widniały głębokie rany.

— ...Wlazł tu po cichu, gdy cię sprawdzałem w komputerze — zdołał wyszeptać. — Musiałem ci powiedzieć, czego się dowiedziałem... Nadal nic wiem... który z nas miał rację... Módl się za mnie!

Nagle jego ręce ugięły się, a prawe ramię obsunęło się bezwładnie na blat stołu. Głowa przechyliła się w prawo i wtedy obraz zniknął. Gdy ponownie przejrzałem taśmę, zobaczyłem, że kostką palca przerwał połączenie.

Potem zmasałem wszystko. Nagranie zostało wykonane zaledwie w niewiele ponad godzinę po moim wyjściu. Jeśli nie zadzwonił po pomoc lub jeśli go wkrótce potem nic znaleziono, to jego szansę nie wyglądały najlepiej. Mogło być zresztą i tak za późno...

Skorzystałem z budki telefonicznej i zadzwoniłem pod numer podany mi przez Dona, złapałem go po kilku próbach, poinformowałem, że Dave jest w nie najlepszym stanie, jeśli nie w jeszcze gorszym, że zdecydowanie potrzebna jest pomoc całej ekipy lekarzy z Memphis, jeśli jeszcze nie otrzymał pomocy medycznej, i że mam nadzieję wkrótce się z nim skontaktować i przekazać mu więcej szczegółów.

Potem spróbowałem dodzwonić się do Leily Thackery. Trzymałem długo słuchawkę, ale po drugiej stronie nikt się nie odzywał. Zastanawiałem się, ile czasu zabierze sterowanej torpedzie pokonanie odcinka Missisipi z Memphis do St. Louis. Nic czułem jednak, by był to właściwy moment na przekartkowanie rozdziału na temat możliwości Kata. Ruszyłem więc w poszukiwaniu jakiegoś środka transportu.

Próbowałem dodzwonić się do jej mieszkania z domofonu w holu wejściowym. Znowu żadnej odpowiedzi. Nacisnąłem więc dzwonek pani Gluntz. Wydała mi się uprzednio najbardziej chciwą osobką z całej trójki poddanej mojej zmyślonej ankiecie dla konsumentów.

— Tak?

— To znowu ja, pani Gluntz: Stephen Foster. Mam jeszcze kilka dodatkowych pytań związanych z ankietą, którą dziś u pani przeprowadzałem. Czy może mi pani poświęcić jeszcze kilka chwil?

— Tak, czemu nie? — odparła. — Dobrze. Proszę na górę.

Drzwi rozsunęły się z cichym szumem. Wszedłem do środka. Wjechałem karnie na czwarte piętro, układając po drodze pytania. Jeszcze wtedy, gdy czekałem, zaplanowałem ten manewr, który służyć miał jedynie zapewnieniu mi najprostszego sposobu na włamanie się do budynku, jeśliby miała zajść jakaś nieprzewidziana potrzeba. Przeważnie podobne chwytaki okazują się bezużyteczne, ale od czasu do czasu mogą znacznie uprościć sprawę.

Po pięciu minutach i sześciu pytaniach wróciłem na pierwsze piętro i przy pomocy

kilku metalowych narzędzi, z jakimi nie powinno się człowieka złapać, zagłębiłem się w zamek w drzwiach Leily.

Trzydzieści sekund później udało mi się trafić i zamek ustąpił. Naciągnąłem parę cieniutkich jak bibuła rękawiczek, które zawsze noszę zrolowane w jednej z kieszeni, otworzyłem drzwi i wkroczyłem do wewnątrz. Nagłym ruchem natychmiast zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Leżała na podłodze, z karkiem skrzyconym pod dziwnym kątem. Lampka na stole, choć przewrócona na bok, nadal paliła się. Pozrzucone z blatu przedmioty walały się po podłodze, stojak na czasopisma leżał na ziemi, poduszka omal nie spadła z sofy. Kabel telefoniczny był wyrwany ze ściany.

Skądś dochodził jakiś szum. Rozejrzałem się, próbując zlokalizować jego źródło.

Na ścianie dostrzegłem refleks małej migoczącej lampki, pulsujący błysk, jeden za drugim...

Nie było ani chwili do stracenia.

Przewrócony do góry nogami hełm z metalu, kwarcu, porcelany i szkła przeturlał się pod oparcie fotela, w którym zasiadałem jeszcze dzisiaj rano. Był to taki sam przyrząd, jaki widziałem w pracowni Dave'a nie tak dawno temu, choć wydawało się, że od tego czasu minęły wieki. Urządzenie do lokalizacji Kata. I, miejmy nadzieję, umożliwiające nad nim kontrolę.

Podniosłem go i nałożyłem.

Kiedyś, dzięki teleścieżce, nawiązałem kontakt z umysłem delfina, który gdzieś na Karaibach wyśpiewywał swe marzenia i sny; było to tak wzruszające przeżycie, że sarno jego wspomnienie często koło mnie i dodawało sił. Teraz jednak odczucie było zupełnie inne.

Analogie i wrażenia: twarz za mokrą szklaną szybą; szept wypowiedziany w trakcie startu samolotu; masaż czaszki elektrycznym wibratorem; *Krzyk* Edwarda Muncha; głos Yma Sumac, wciąż wznoszący się, coraz wyżej i wyżej; nagła odwilż; opuszczona ulica, rozjaśniona jakby przez celownik noktowizyjny, którego kiedyś użyłem, coś mijającego ciemne wystawy sklepów tworzących ramy tej ulicy, przemożne uczucie umiejętności fizycznych, złożone z proprioceptywnej świadomości niezwyklej siły, szczególny układ kanałów zmysłowych, wewnętrzne, nieśmiertelne słońce, przynoszące nieprzerwany strumień napędzającej mnie energii, zapamiętany obraz ciemnych wód, umykający w niepamięć i powracający, echolokacja, konieczność powrotu w to miejsce, zmiany kierunku, kursu na północ; Munch i Sumac, Munch i Sumac. Munch i Sumac — i nicość.

Cisza.

Szum ustał, światelko zgasło. Całe doświadczenie trwało zaledwie kilka chwil. Nie starczyło czasu, by wypróbować przejęcie kontroli nad Katem, ale pozostało mi spóźnione wrażenie, przypominające jak gdyby biologiczne sprzężenie zwrotne, że mam wskazówki, w jakim należy udać się kierunku, jaki należy narzucić sobie tok myślenia, aby osiągnąć tę kontrolę. Czułem, że z pewnością będę w stanie urobić to urządzenie na swój sposób przy lepszej okazji.

Zdjąłem hełm i zbliżyłem się do Leili.

Uklęknałem przy niej i wykonałem kilka prostych testów, i tak przewidując z góry ich wynik. Złamano jej kark, a oprócz tego na głowie i ramionach widniały ślady

paskudnych uderzeń. Nikt już nic nie mógł dla niej zrobić.

Pozwoliłem sobie na szybką rewizję, przeszukując resztę jej mieszkania. Nigdzie nie było widać wyraźnych śladów włamania czy wtargnięcia, choć skoro mi się udało otworzyć jeden zamek, to dla faceta z wbudowanymi narzędziami musiała być to fraszka.

W kuchni znalazłem trochę papieru pakowego i sznurka; zamiast hełmu trzymałem teraz w ręku zwyczajnie wyglądającą paczkę. Należało teraz zadzwonić ponownie do Dona i przekazać mu informację, że na pokładzie statku rzeczywiście znajdował się pasażer oraz że warunki żeglugi śródlądowej na odcinku północnym najprawdopodobniej nie będą najlepsze.

Don kazał mi dostarczyć hełm do Wisconsin. Na lotnisku miał tam czekać na mnie facet o imieniu Larry, który prywatnym samolotem miał następnie odtransportować mnie do mojej kwatery. Zrobiłem, jak mi polecono.

Dowiedziałem się również, bez specjalnego zdziwienia, że David Fentris nie żyje.

Temperatura spadła i gdy wznosiliśmy się, zaczął padać śnieg. Nie byłem ubrany odpowiednio na tę pogodę. Larry powiedział, że gdy dotrzemy na miejsce, będę mógł pożyczyć cieplejsze rzeczy, choć prawdopodobnie nie będę wychodził na zewnątrz. Don poinformował ich, że moim zadaniem będzie przebywanie możliwie blisko senatora, a patrole mają być wykonywane wyłącznie przez czterech strażników.

Larry był ciekaw, co dokładnie wydarzyło się do tej pory i czy widziałem Kata. Nie czułem się upoważniony do udzielania informacji na ten temat bez wiedzy Dona, więc moje zachowanie było zapewne nieco grubiańskie. Potem już niemal nie zamieniliśmy słowa.

Gdy wylądowaliśmy. Bert wyszedł nam na spotkanie. Tom i Clay przebywali na zewnątrz, zajęci obserwacją drogi i lasu. Wszyscy byli w średnim wieku, potężnej postury, wyglądali bardzo poważnie i byli uzbrojeni po zęby. Larry wprowadził mnie do wewnątrz i przedstawił sędziwemu dżentelmanowi.

Senator Brockden siedział na masywnym krześle w przeciwległym rogu pokoju. Sądząc po układzie mebli, krzesło niedawno jeszcze musiało stać przy oknie, w miejscu, gdzie ze ściany spoglądała teraz w pustkę samotna akwarela z bukietem żółtych kwiatów. Stopy senatora spoczywały na podnóżku, a nogi okryte były czerwonym pledem. Miał na sobie ciemnozieloną koszulę, był siwy jak gołąbek, a jego nos podtrzymywał okulary do czytania bez oprawek. Zdjął je natychmiast, gdy tylko znaleźliśmy się w środku.

Odchyliwszy głowę do tyłu, spojrzał na nas z ukosa i przygryzł dolną wargę. Gdy podchodziliśmy do fotela, przyglądał się nam bacznie, ale wyraz jego twarzy nie zmieniał się. Był potężnie zbudowany i w swych najlepszych latach musiał być silny jak tur. Teraz sflaczała skóra ujawniała niedawną utratę wagi, a jego cera miała niezdrowy wygląd. Nawet jasnoszare oczy pozbawione były wyrazu.

Nie podniósł się z krzesła.

— A więc to pan — powiedział, wyciągając ku mnie dłoń. — Cieszę się, że pana poznałem. Jak mam się do pana zwracać?

— Po prostu John — odparłem.

Wykonał nieznaczny gest w stronę Larry'ego, który zostawił nas samych.

— Zimno dziś na dworze. Zrób sobie drinka, John. Alkohol jest na półce. — Pomachał w lewą stronę. — A skoro już tam stoisz, to zrób i dla mnie. Dwa palce burbona w szklance do wody. To wszystko.

Skinałem głową, podszedłem do półki i przyrządziłem dwa drinki.

— Siadaj. — Wskazał ręką stojące w pobliżu krzesło, gdy podałem mu szklankę. — Najpierw jednak chciałbym zobaczyć ten gadżet.

Rozpakowałem paczkę i podałem mu hełm. Wysączył odrobinę alkoholu i odstawił naczynie. Przyjrzał mu się uważnie, podtrzymując go obiema rękoma, i ze zmarszczonym czołem obracał go na wszystkie strony. Potem uniósł go i nałożył na głowę.

— Nieźle pasuje — stwierdził i po raz pierwszy uśmiechnął się, tym samym uśmiechem, który widywałem dawniej w gazetach. Takiego go pamiętałem, albo uśmiechniętego, albo pałającego gniewem. Natomiast nigdy nie widziałem go w mediach takiego jak dziś: wyczerpanego i zdruzgotanego.

Zdjął hełm i postawił go na podłogę.

— Dobra robota — uznał. — W dawnych czasach nie było takich dziwolągów. Skonstruował go dopiero David Fentris. Tak, mówił nam o tym... — Uniósł szklankę i łyknął odrobinę. — Wygląda na to, że jesteś jedyną osobą, która go użyła. I co myślisz? Może nam to coś dać?

— Udało mi się nawiązać kontakt jedynie przez kilka sekund. Mam jedynie przecucie, że warto próbować dalej. Jeśli miałbym więcej czasu, to chyba mógłbym przejąć kontrolę nad jego obwodami.

— Więc dlaczego nie udało się Dave'owi?

— Z wiadomości, którą mi pozostawił, wynikało, że akurat w tym momencie jego uwagę przyciągnął zgłaszający się komputer. Pewnie sygnał zagłuszył szum hełmu.

— A dlaczego nie zachował pan nagrania?

— Zmazałem je z powodów nie mających nic wspólnego z tą sprawą.

— To znaczy — z jakich powodów?

— Osobistych.

Na jego ziemistej cerze nagle pojawił się rumieniec.

— Można sobie napytać wielu kłopotów, gdy ukrywa się dowody i uniemożliwia pracę aparatu sprawiedliwości.

— Mamy więc ze sobą coś wspólnego, czyż nie? Napotkałem jego spojrzenie, jakie wcześniej widywałem tylko u ludzi, którzy nie życzyli mi dobrze. Patrzył tak przez dobre cztery uderzenia serca, aż wreszcie westchnął i odprężył się.

— Don wspominał, że może być wiele spraw, w których nie należy przypierać cię do muru — powiedział wreszcie.

— Zgadza się.

— Nie wygadał się z niczym poufnym, ale sam rozumiesz, że coś niecoś od niego wyciągnąłem.

— Wyobrażam sobie.

— Ma chyba o tobie bardzo wysokie mniemanie. Tak czy inaczej, spróbowałem zasięgnąć wiadomości na własną rękę.

— No i...?

— Klapa — choć moje zwykłe źródła informacji nigdy nie zawodzą.

— Więc...?

— Więc trochę zacząłem myśleć, zastanawiać się... Dziwny jest już sam fakt, że moje zwykłe źródła nie mogły udzielić mi jakichkolwiek informacji. Dziwny, ale zarazem znaczący. Mam ten komfort, że jestem w lepszym położeniu od innych i wiem, że przed kilku laty ustawa o rejestracji nie została wyegzekwowana w stu procentach. Jednakże bardzo wielu osobników, rzekłbym większość, których to dotyczyło, w taki czy inny sposób ujawniła swoje istnienie i została — zgodnie z literą prawa — wciągnięta do rejestru. Wyodrębniono wtedy trzy szerokie kategorie: po pierwsze ci, którzy o niczym nic nie wiedzieli, po drugie ci, którzy byli przeciwni tworzeniu rejestru, i wreszcie ci, dla których fakt rejestracji byłby przeszkodą w nielegalnych praktykach. Nie zamierzam bynajmniej przyporządkowywać cię do którejś z tych kategorii ani też wydawać wyroku. Mam jednak świadomość, że w naszym społeczeństwie snuje się pewna liczba bezosobowych postaci, nie rzucających cienia; przyszło mi więc do głowy, że możesz być jedną z nich.

Spróbowałem, jak smakuje mój drink.

— A jeśli to prawda? — spytałem.

Po raz drugi spojrział na mnie z jeszcze większą niechęcią i nie odpowiedział.

Podniosłem się i przeszedłem przez pokój do miejsca, gdzie — jak mi się zdawało — kiedyś stał jego fotel. Zacząłem kontemplować akwarelę.

— Wszystko wydałoby się w śledztwie — stwierdził. Nie odpowiedziałem.

— Nie zamierzasz się odezwać?

— A co mam powiedzieć?

— Mógłbyś mnie na przykład zapytać, co zamierzam z tym zrobić.

— Co zamierza pan z tym zrobić?

— Nic — odrzekł. — Chodź tu i siadaj.

Skinałem głową i wróciłem na swoje miejsce. Przyjrzał się mojej twarzy.

— Chciałeś mi coś zrobić, czy co?

— Przecież na zewnątrz jest czterech strażników.

— Mimo że na zewnątrz jest czterech strażników.

— Nie — odparłem.

— Potrafisz kłamać.

— Moim zadaniem jest panu pomóc. Po to tu jestem. Proszę nie zadawać pytań. Taka była umowa, czy też tak ją zrozumiałem. Jeśli coś się zmieniło, to proszę powiedzieć mi od razu. Bezgłośnie postukał opuszkami palców po pledzie.

— Nie jest moim życzeniem sprowadzanie panu na głowę kłopotów — powiedział — w samej rzeczy potrzebny mi jest ktoś taki jak pan; byłem pewien, że Don przyśle mi odpowiednią osobę. Pańska zadziwiająca umiejętność manewrowania, jak i wiedza o komputerach, o której tak wiele słyszałem, przekonała mnie, że warto na pana poczekać. Chciałbym zadać panu wiele pytań.

— Proszę się nie krępować — zachęciłem go.

— Nie teraz. Później, gdy będziemy mieli czas. Chciałbym dołączyć pana wyjaśnienia do raportu, nad którym pracuję. O wiele istotniejsze — z mojego punktu widzenia — są sprawy, o których ja chciałbym panu opowiedzieć.

Zmarszczyłem brwi.

— Przez te wszystkie lata — mówił dalej — nauczyłem się jednego: że najlepiej

potrafi trzymać gębę na kłódkę ten, dla kogo robi się to samo.

— Czyżby odczuwał pan potrzebę podzielenia się jakąś tajemnicą? — spytałem.

— Nie wiem, czy „potrzeba” jest odpowiednim słowem. Może tak, a może nie. Jednakże któraś z pracujących dla mnie osób powinna poznać całą prawdę. Może jakiś jej fragment okaże się pomocny — a ty jesteś wymarzonym słuchaczem.

— Kupuję — odparłem — i może być mnie pan tak pewien, jak ja pana.

— Czy żywi pan jakieś podejrzenia, dlaczego ta cała sprawa tak mnie irytuje?

— Tak — potwierdziłem.

— Chętnie ich wysłucham.

— Użyliście Kata do wykonania jakiegoś zadania, może zadań — sprzecznych z prawem, może nieetycznych, nie wiem. Nie zostało to oczywiście nigdzie odnotowane. Teraz jedynie pan i Kat wiecie, co się za tym kryło. Czuje pan, że było to coś niezmiernie haniebnego. Kiedy urządzenie zdało sobie sprawę z całego ciężaru tego zdarzenia, przeżyło wstrząs, który mógł doprowadzić do podjęcia przez nie decyzji o ukaraniu was za wykorzystanie go do waszych celów.

Wpatrywał się w dno szklanki.

— Trafiony, zatopiony — rzekł wreszcie.

— Wszyscy braliście w tym udział?

— Tak, ale to *ja* byłem operatorem, gdy się to zdarzyło. Widzi pan... zabiliśmy... zabiłem człowieka. Obchodziliśmy... oblewaliśmy nasze święto. Tamtego popołudnia otrzymaliśmy wiadomość, że jest zielone światło dla naszych prac. Wyjaśniły się wszystkie wątpliwości i telefonicznie przekazano nam zgodę. No i w ten piątek daliśmy sobie do wiwatu. Zjedliśmy wspólnie obiad — Leila, Dave, Manny i ja. Byliśmy w szampańskich nastrojach. Po obiedzie bawiliśmy się świetnie dalej i tak się złożyło, że postanowiliśmy odłożyć instalację.

Z upływem godzin nasze coraz bardziej absurdalne pomysły zaczęły wydawać się nam coraz mniej absurdalne, jak to się czasami zdarza. W końcu postanowiliśmy — już nie wiem, które z nas to zaproponowało — że Kat powinien również mieć swój prawdziwy udział w naszym święcie. W końcu, we właściwym znaczeniu tego słowa, było to jego przyjęcie. Zanim minęła chwila, już byliśmy pogrążeni w dyskusji, jak to zrobić — my byliśmy w Teksasie, a Kat w Ośrodku Badań Kosmicznych w Kalifornii. To, że musimy go mieć razem z nami, pozostawało już poza dyskusją. Z drugiej strony, stanowisko teleoperatorskie znajdowało się w sali obok. Koniec końców postanowiliśmy go uruchomić i po kolei bawić się w operatorów. Kat posiadał już wtedy załączki świadomości, a my uznaliśmy za słuszne, by każde z nas miało swój udział w przekazaniu dobrej nowiny. I tak też zrobiliśmy.

Westchnął, zanurzył usta w szklance i spojrzał na mnie.

— Pierwszym operatorem był Dave — kontynuował. — To on uruchomił Kata. Potem... No, tak jak mówiłem, to była szampańska zabawa. Początkowo nie mieliśmy zamiaru wyprowadzać Kata poza jego laboratorium, ale Dave postanowił urządzić mu krótką wycieczkę — pokazać niebo i powiedzieć mu, że tam zamierzamy go wysłać. Potem Dave nagle zapalił się do pomysłu przechytrzenia strażników i systemu alarmowego. To było jak gra, która nas wszystkich wciągnęła. Zaczęliśmy się nawet spierać o kolejność obsługi. Dave jednak nie chciał opuścić stanowiska i nie przekazał nikomu sterów, aż Kat znalazł się poza murem, na nie

zamieszkanym terenie przylegającym do ośrodka.

Zanim Leila zdołała przypomnieć Dave'owi, że teraz jej kolej, napięcie minęło. Gra została już rozstrzygnięta. Wymyśliła więc nową: zaprowadziła Kata do sąsiedniego miasteczka. Było późno, ale Kat wyposażony był w doskonałe sensory. To dopiero było wyzwanie — przemycić Kata przez całe miasto tak, by nikt go nie zauważył. Potem pomysły zaczęły się sypać jak z rękawa i były coraz bardziej szalone. Wtedy właśnie Manny przejął kontrolę; nie chciał nam powiedzieć, co robi, nie pozwolił nawet, byśmy oglądali jego poczynania na ekranie. Powiedział, że to niespodzianka dla następnego operatora, że wtedy będzie ciekawiej. Teraz myślę, że wypił więcej niż my wszyscy razem wzięci i nie chciał odejść od przyrządów. W końcu zaczęliśmy się denerwować, a dawki napięcia zawsze działają otęzewiająco, i chyba, każdy z nas zaczął sobie zdawać sprawę, jakie piramidalne palnęliśmy głupstwo. I nie chodziło tu tylko o nasze kariery — o których musielibyśmy zapomnieć, gdyby nas nakryto na zabawie z tak kosztownym sprzętem — ale o sam program, którego realizacja stanęłaby wtedy pod znakiem zapytania. No, przynajmniej ja zacząłem tak myśleć i stwierdziłem, że Manny gra opętany bardzo ludzkim pragnieniem pokonania innych.

Poczułem, że cały się pocę. Nagle zapragnąłem odstawić Kata na jego miejsce, wyłączyć go — wtedy to jeszcze było możliwe, przed załączeniem obwodów głównych — zamknąć całą budę i zapomnieć powoli o tym, co się ogóle wydarzyło. Zacząłem napierać na Manny'ego i wreszcie udało mi się odciągnąć go od gry.

Skończył drinka i wyciągnął szklankę w moim kierunku.

— Czy mógłbyś ją uzupełnić?

— Oczywiście.

Nalałem mu i sobie też dolałem odrobinę. Wróciłem na swoje krzesło i czekałem na ciąg dalszy.

— Więc wtedy ja przejąłem kontrolę — powiedział. — Przejąłem kontrolę, i wiesz, co się okazało? Ten idiota zostawił mnie w budynku, który od razu rozpoznałem jako bank. Kat wyposażony jest w przeróżne narzędzia, a Manny'emu najwyraźniej udało się przeprowadzić go przez drzwi bez wywoływania alarmu. Stałem więc dokładnie na wprost głównego skarbcza. Oczywiście Manny sądził, że rzucił mi po prostu wyzwanie. W pierwszym odruchu chciałem wyjść przez ścianę i zacząć uciekać. Zwalczyłem jednak to pragnienie, cofnąłem się do drzwi i wyrząłem.

Nikogo nic dostrzegłem. Zacząłem powoli wysuwać się na zewnątrz. Nagle, gdy już chciałem zamknąć za sobą drzwi, oślepiło mnie światło. Latarka. Strażnik stał poza zasięgiem mojego wzroku. W drugiej ręce trzymał broń. Wpadłem w panikę. Uderzyłem go... Zwykły odruch. Jeśli chcę kogoś uderzyć, zawsze zadaję jak najsilniejszy cios. Tylko że wtedy uderzyłem go z siłą Kata. Musiał umrzeć natychmiast. Zacząłem biec i zatrzymałem się dopiero w małym parku obok ośrodka. Potem zupełnie opadłem z sił i inni musieli wyswobodzić mnie z upręży kontrolnej.

— Widzieli to wszystko na ekranie?

— Tak, któreś z nich ponownie włączyło wizję na bocznym ekranie, w kilka sekund po tym, jak przejąłem stery. Chyba Dave.

— Czy gdy pan uciekał, próbowali pana jakoś powstrzymać?

— Nie. Zresztą zapomniałem o bożym świecie i byłem skoncentrowany tylko na tym, co robię. Później jednak powiedzieli mi, że nie byli w stanie nic zrobić — byli w szoku, jak wyznali, i gapili się tylko w ekran, aż nic zatrzymałem się.

— Rozumiem.

— Wtedy kontrolę przejął Dave, wrócił tą samą drogą, zaprowadził Kata do laboratorium, oczyścił go i wyłączył. Zamknęliśmy stanowisko operacyjne. Nagle wszyscy wytrzeźwieliśmy.

Westchnął, rozparł się na oparciu i nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

Wreszcie wyznał:

— Jest pan jedyną osobą, której o tym opowiedziałem. Upiłem mały łyk.

— Potem poszliśmy do Leili — mówił dalej — i resztę łatwo przewidzieć. Uznaliśmy, że przecież nic nie wróci facetowi życia, a nasze przyznanie się do zbrodni mogłoby obrócić wniwecz kosztowny, ważny program. Nie byliśmy w końcu kryminalistami wymagającymi resocjalizacji. Cóż, jednorazowy wyskok, który skończył się tragicznie. Co ty zrobiłbyś na moim miejscu?

— Nie wiem. Może to samo. Na pewno byłbym również przerażony.

Pokiwał głową.

— Właśnie. No i — to cała opowieść.

— Nie zapomniał pan o czymś?

— Co masz na myśli?

— A co z Katem? Sam pan mówił, że już wtedy można było stwierdzić istnienie zaczątków świadomości. Wy byliście jej świadomi, a on był świadomy waszego istnienia. Musiała więc nastąpić jakaś reakcja na całe wydarzenie. Jak to wyglądało?

— Pieprz się — stwierdził dosadnie.

— Przepraszam.

— Masz rodzinę?

— Nie.

— A zabierałeś kiedyś małe dziecko do zoo?

— Tak.

— Więc może znasz to doświadczenie. Gdy mój syn miał może z cztery lata, poszedłem z nim kiedyś na wycieczkę do waszyngtońskiego zoo. Zatrzymywaliśmy się chyba przy każdej klatce. Co chwila wpadał w zachwyty, zadawał pytania, robił miny do małą, uznał niedźwiedzie za nadzwyczaj sympatyczne stworzenia — pewnie dlatego, że przypominały mu trochę przerośnięte zabawki. Ale wiesz, co mu się najbardziej spodobało? Coś, na widok czego zaczął podskakiwać, wymachiwać ręką i wołać: Spójrz tam, tato! Szybko!

Pokręciłem głową.

— Wiewiórka, która spoglądała na nas z gałęzi drzewa — powiedział i odchrząknął, tłumiąc wzruszenie. — Nieświadomość tego, co jest ważne, a co nie. Nieodpowiednie reakcje. Niewinność. Kat był dzieckiem i zanim ja przejąłem nad nim kontrolę, nauczył się od nas jedynie tego, że uczestniczy w grze: po prostu bawił się razem z nami. A potem zdarzyło się coś okropnego... Mam nadzieję, że nigdy nie dowiesz się, co znaczy uczynić dziecku coś obrzydliwego w chwili, gdy śmieje się i trzyma cię za rękę... Przecież on czuł wszystkie moje reakcje, a potem reakcje Dave'a, gdy ten prowadził go z powrotem do laboratorium.

Siedzieliśmy przez chwilę bez słowa.

— Wywołaliśmy więc traumatyczne przeżycie — rzekł wreszcie — jeśli ta terminologia może być tu adekwatna. To właśnie zdarzyło się tamtej nocy. Upłynęło trochę czasu, zanim jego skutki stały się widoczne, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że doprowadziło ono do późniejszego, ostatecznego załamania.

Skinąłem głową.

— I sądzi pan, że właśnie z tego powodu pragnie was wszystkich zgładzić?

— A ty byś tak nie myślał? — odparł. — Rodzisz się jako rzecz, potem robią z ciebie człowieka, a potem znów używają cię jak przedmiotu. Co byś myślał?

— Diagnoza Leili nie była więc pełna.

— Nie, ona po prostu nie wspomniała o tym zdarzeniu w waszej rozmowie. A cała sprawa sprowadza się właśnie do tego. Tyle że ona źle to odczytała. Nie bała się. Dla niej była to po prostu gra — w której uczestniczyła zaledwie jako jeden z graczy. Uznała, że tylko ja zdobyłem w niej jakieś punkty. Leila gotowa była się pewnie założyć, że Katu chodzi wyłącznie o mnie. No i nie miała racji.

— Nie rozumiem więc — powiedziałem — dlaczego zamordowanie Burnsa nią nic wstrząsnęło. Przecież na początku nie było wiadomo, że to robota jakiegoś wystraszonego drania, a nie Kata.

— Była bardzo dumną kobietą — i to chyba jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy. Wolała trzymać się swojej diagnozy, nawet wbrew oczywistym dowodom.

— Coś mi tu nie pasuje. Ale pan ją znał, ja nie, choć jednak jej przypuszczenia co do kwestii Burnsa okazały się słuszne. Ale nie daje mi spokoju coś jeszcze — mianowicie ten hełm. Wygląda na to, że Kat zabił Dave'a, zadał sobie trud zabrania hełmu ze sobą w wodoszczelnej komorze do St. Louis jedynie po to, by podrzucić go na scenę następnej zbrodni. To przecież nie ma sensu.

— Owszem, ma — odrzekł. — Zmierzałem do tego za chwilę, ale równie dobrze możemy porozmawiać o tym już teraz. Musisz wiedzieć, że Kat pozbawiony był jakiegokolwiek mechanizmu mowy. Porozumiewaliśmy się z nim wyłącznie przy użyciu tego urządzenia. Don twierdzi, że znasz się co nieco na elektronice...?

— Tak.

— Mówiąc krótko, chciałbym, żebyś zbadał ten hełm i sprawdził, czy przy nim nie majstrowano.

— To nie będzie łatwe — stwierdziłem. — Nie znam oryginalnego ułożenia przewodów, a takim geniuszem, jeśli chodzi o teorię, to nie jestem, by tylko rzucić na coś okiem i móc stwierdzić, czy dana rzecz będzie działała jako urządzenie teleoperacyjne.

Przygryzł dolną wargę.

— Tak czy inaczej, będziesz musiał spróbować. Mogą być jakieś zewnętrzne oznaki — zadrapania, przerwane albo nowe połączenia... Nie wiem. To twoja działka. Poszukaj ich.

Skinąłem tylko głową w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

— Myślę, że Kat chciał porozmawiać z Leilą — powiedział — albo dlatego, że była psychiatrą, a on miał świadomość błędów we własnym funkcjonowaniu na poziomie wykraczającym poza aspekt czysto mechaniczny, albo też dlatego, że

traktował ją jako kogoś w rodzaju matki. Była przecież jedyną kobietą, z którą miał do czynienia, a on przecież posiadał w umyśle ideę mamy — ze wszystkimi ciepłymi skojarzeniami, jakie się z nią wiążą — zaczerpniętą od każdego z nas. Może zresztą obydwaj powody były ważne. Mam wrażenie, że właśnie dlatego zabrał ze sobą hełm. Zdał sobie sprawę, do czego on służy, gdy pozostawał w bezpośrednim kontakcie z umysłem Dave'a. Chciałbym, żebyś go zbadał, bo wydaje mi się możliwe, że Kat rozłączył obwody kontrolne i pozostawił nietknięte jedynie obwody komunikacyjne. Sądzę, że przyniósł hełm do Leili w takim właśnie stanie i próbował nakłonić ją do nałożenia go. Leila wystraszyła się — może zaczęła się wyrywać, wołać o pomoc — i wtedy ją zabił. Hełm nie był mu już potrzebny, więc go porzucił i się zmył. Naturalnie ze mną nie będzie chciał o niczym podyskutować.

Przemyślałem to i skinąłem głową.

— No dobrze, poradzę sobie z przerwanyimi obwodami — powiedziałem. — Jeśli uprzejmie powie mi pan, gdzie znajdę narzędzia, zabiorę się do tego od razu.

Wykonał gest, jakby mnie chciał jeszcze przez chwilę zatrzymać.

— Potem dowiedziałem się, jak nazywał się strażnik — kontynuował. — Złożyliśmy się wszyscy na anonimowy prezent dla jego żony. Pomagam jego rodzinie, opiekuję się nimi, również anonimowo — aż po dziś dzień...

Nie patrzyłem na niego, gdy to mówił.

— ...Nic więcej nie mogłem zrobić. Siedziałem dalej bez słowa.

Dokończył drinka i posłał mi słaby uśmiech.

— Kuchnia jest tam — powiedział, wskazując kierunek kciukiem. — Za nią jest mały składzik. Tam są narzędzia.

— Dobra.

Podniosłem się. Ująłem hełm w dłonie i ruszyłem ku drzwiom, przechodząc obok miejsca, w którym przystanąłem, gdy umieścił mnie w odpowiedniej szufladzie kartoteki i przycisnął mnie do muru.

— Jeszcze moment! — powiedział.

Zatrzymałem się.

— Dlaczego podszedłeś wtedy w to miejsce? Co jest takiego strategicznego w tej części pokoju?

— O co panu chodzi?

— Sam dobrze wiesz. Wzruszyłem ramionami.

— Gdzieś musiałem pójść.

— Nic wyglądasz na faceta, który robi coś bez powodu.

Spojrzałem na ścianę.

— Wtedy nie było żadnego powodu — powiedziałem.

— Nalegam na odpowiedź.

— Chyba nie chciałby pan się dowiedzieć — odparłem.

— Owszem, chciałbym.

— No dobra. Chciałem tylko zobaczyć, jakie pan lubi kwiaty. W końcu jest pan moim klientem — i przeszedłszy przez kuchnię do składziku, zacząłem szukać narzędzi.

Siedziałem na krześle odwróconym bokiem do stołu, twarzą do drzwi. W dużym

pokoju myśliwskiej chatki słyhać było jedynie od czasu do czasu posykiwanie i trzask kłód dopalających się w popiół na palenisku.

Tylko zimna, jednostajna biel, spływająca z nieba za oknem i cisza, która staje się jeszcze bardziej przejmująca, gdy przerywa ją daleki huk wystrzałów i jeszcze głębsza teraz, gdy ich odgłos milknie. Znikąd westchnienia ani skowytu psa... I jeśli nie ma wiatru, nie traktuję ich jak zamieci.

Wielkie, ciężkie płatki spadają w noc, cichą noc, bezwietrzną noc...

Od mojego przyjazdu upłynęło wiele czasu. Rozmowa z senatorem trwała dość długo. Był rozczarowany, że nie mogłem opowiedzieć mu zbyt wiele o subkulturze ludzi bez tożsamości, w której istnienie wierzył. Szczerze mówiąc, sam nie byłem pewien jej istnienia, chociaż niekiedy zdarzało mi się ocierać o coś, co mogło stanowić jej najbardziej wysunięte placówki. Teraz już staram się do niczego nie mieszać, i nie miałem najmniejszej ochoty dzielić się z nikim jakimikolwiek przypuszczeniami. Owszem, wygłosiłem kilka opinii na temat Centralnego Banku Danych, gdy o to spytał; nie wszystkie chyba odpowiadały jego oczekiwaniom. Oskarżył mnie wtedy o skłonności destrukcyjne bez proponowania czegoś w zamian.

Moje myśli odpłynęły, przez zmęczenie, miniony czas, morze ludzkich twarzy, przez śnieżne połacie i przebyte przestrzenie, ku poprzedniemu wieczorowi w Baltimore. Kiedy to było? Przyszedł mi wtedy do głowy „Kult nadziei” Menckena. Nie miałem w rękawie gotowej odpowiedzi, z góry opracowanej alternatywy, jaką pragnąłby usłyszeć, bo przecież być może taka w ogóle nie istniała. Nie wolno mylić krytyki z reformą. Lecz jeśli wzbierał jakiś oddolny opór, połączony z podziemnym ruchem poszukującym sposobów na robienie w konia informatyków zajmujących się centralnym rejestrem, to w ostatecznym rozrachunku jego działanie może okazać się korzystne i skuteczne, jak to było kiedyś na przykład z prohibicją. Próbowałem mu to powiedzieć, ale nie wiem, na ile go przekonałem. W końcu zapadł w drzemkę, a ocknąwszy się poszedł na górę zażyć lekarstwo i zamknął się na noc na klucz. Nawet jeśli martwiło go trochę, że nie stwierdziłem w hełmie żadnych uszkodzeń, to i tak nie dał tego po sobie poznać.

Siedziałem więc, a na stole leżał hełm, walkie-talkie, broń, a na podłodze stał pojemnik z narzędziami; na dłoń naciągnąłem czarną rękawicę.

Kat był coraz bliżej. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Być może Bert, Larry, Tom i Clay, a może sam hełm zdołają go powstrzymać. A może nie. Ta cała sprawa nie dawała mi spokoju, lecz teraz byłem zbyt zmęczony, by myśleć o czymś innym, niż zbliżająca się chwila, i z trudem starałem się zachować stan podwyższonej gotowości. Żadnych prochów, alkoholu czy papierosa: w końcu mój centralny system nerwowy miał być częścią uzbrojenia. Patrzyłem na spadające za oknem wielkie płatki śniegu.

Gdy usłyszałem kliknięcie, wywołałem Berta i Larry'ego. Chwyciłem hełm i zerwałem się na równe nogi, gdy światelko zaczęło migotać.

Ale było już za późno.

Gdy podnosiłem hełm, usłyszałem na dworze strzał i wraz z tym strzałem poczułem zapowiedź przeznaczenia. Ci faceci nie wyglądali na takich, którzy strzelają bez celu.

Dave mówił, że hełm posiada zasięg około ćwierć mili. Biorąc więc pod uwagę

czasową różnicę pomiędzy aktywacją hełmu a pojawieniem się Kata w pobliżu straży, musiał się on poruszać bardzo szybko. Trzeba jeszcze dodać możliwość, że zasięg odbioru fal mózgowych przez Kata był większy niż zasięg odbioru Kata przez hełm. Dodajmy następną możliwość: Kat wykorzystał ten czynnik, podczas gdy senator Brockden przebudził się i trząśnięty ze strachu w swoim łóżku. Wniosek: Kat mógł już zlokalizować położenie hełmu, a więc i moje, a zarazem uświadomić sobie, że jest to dla niego najbardziej niebezpieczna broń. Być może więc zmierza już w moim kierunku, szykując się do zadania mi błyskawicznego ciosu, zanim jeszcze zdolał opanować funkcjonowanie mechanizmu.

Nałożyłem go na głowę, próbując zneutralizować własne możliwości, wiedzę i świadomość.

Podobnie jak poprzednio to samo wrażenie oglądania świata przez celownik noktowizyjny, ze wszystkimi towarzyszącymi mu doznaniem. Tyle że teraz świat składał się z przedniej ściany myśliwskiej chaty; Bert, przed drzwiami, ze strzelbą na ramieniu; Larry, po lewej stronie, z ramieniem opuszczonym po rzucie granatem. Granat, jak się okazało, poleciał za daleko; miotacz ognia, po który teraz sięgał, okaże się bezużyteczny.

Następna seria Berta odbiła się rykoszetem o osłonę naszej anody piersiowej. Ugięliśmy się na chwilę pod naporem uderzeń. Trzecia seria chybiła celu, czwartej zaś nie było, gdyż wyrwaliśmy mu strzelbę z rąk i odrzuciwszy ją na bok, z impetem napaarliśmy na drzwi.

Kat wtargnął do środka, pozostawiając z drzwi drzazgi i wióry.

Mój umysł, aż do bólu rozdwojonej jaźni, wypełniała podwójna świadomość: lśniącego, mosiężnego ciała sunącego telefaktora i obraz samego mnie, ustrojonego w cudaczny hełm, nienaturalnie sztywnego — z wysuniętą przed siebie lewą ręką, z pistoletem laserowym w prawej dłoni, z łokciem przyciśniętym do boku. Przed oczami stała mi ta twarz, zapamiętałem krzyk i poczucie wstydu; i znów powróciło to poczucie własnej siły i nieznanie wcześniej uczucie, nad którym usiłowałem zapanować, jak gdyby należało do mnie, zapanować w pełni, aby stało się częścią mnie, podczas gdy ja stałem się tylko nieruchomym kadrem stojącym po przeciwnej stronie pokoju...

Kat potknął się, zwolnił. Nie byłem w stanie pokonać od razu własnej inercji, ale czułem, że reakcje motoryczne wrócą lada moment. Tymczasem udało mi się go uziemić. Teraz tylko wciągnąć go w wir zabawy...

Ale wtedy nastąpił wybuch — grzmiąca erupcja, od której zatrzęsała się ziemia, unosząca w górę zwały kamieni i gruzu. Granat. Kat jednak ani na chwilę nie odwrócił uwagi od własnego celu.

Po chwili zdołał uwolnić się i ruszył na mnie. Nacisnąłem spust pistoletu laserowego, porzucając wszystko i myśląc tylko o własnym ocaleniu, nie próbując nawet odzyskać kontroli nad jego obwodami. Lewą pięścią starałem się trafić go w środkowy profil, gdzie znajdował się mózg.

Uwięził jednak moją rękę w swojej i ściągnął mi z głowy hełm. Potem wyciągnął mi z dłoni pistolet, który rozpałił mu do czerwoności lewy bok, zgniótł go na miazgę i rzucił na ziemię. W tym samym momencie wstrząsnął nim impet dwóch ciężkich pocisków. Bert odnalazł już swoją strzelbę i przystanął w drzwiach.

Kat odwrócił się wokół własnej osi i ruszył w kierunku Berta, zanim zdążyłem kropnąć go z miotacza.

Bert zdołał trafić go jeszcze raz, zanim Kat nie wyrwał mu strzelby z rąk i nie wygiął jej lufy. Zrobił jeszcze dwa kroki i był już przy Bercie. Jeden szybki ruch: zobaczyłem, jak Bert osuwa się na podłogę. Potem Kat znów odwrócił się i po kilku krokach w prawo zniknął mi z pola widzenia.

Gdy dopadłem do drzwi, zobaczyłem go stojącego w płomieniach, którymi ostrzeliwany był z jakiegoś miejsca w pobliżu załomu ściany. Nie zważając na nie, sunął wciąż do przodu. Usłyszałem zgrzyt żelastwa, gdy giął wyrwaną z ręki broń. Zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak Larry przewraca się i pada rozciągnięty na śniegu.

Wtedy Kat po raz drugi ruszył w moją stronę.

Tym razem się nie spieszył. Podniósł hełm z ziemi i zbliżał się miarowym krokiem pod kątem uniemożliwiającym mi ucieczkę do lasu. Wiatr unosił pomiędzy nami białe płatki. Słyszałem chrzęst śniegu pod jego stopami.

Cofnąłem się do środka i przycupnąłem, by wyrwać półmetrową maczugę z resztek drzwi. Wszedł za mną, odkładając hełm — jakby to robił codziennie — na krzesło przy wejściu. Przesunąłem się na środek pokoju i czekałem na następny ruch.

Przyjąłem ugiętą postawę, wyciągnąłem przed siebie obie ręce i zamierzyłem się pałką tak, by trafić go w znajdujące się w głowic fotoreceptory. Był coraz bliżej. Patrzyłem, jak skonstruowane są jego nogi. U standardowej człekopodobnej istoty linia prostopadła do linii łączącej podbicia stóp w ich różnych pozycjach wskazuje na wektor najmniejszego oporu, dzięki znalezieniu którego można powalić czy też wytrącić z równowagi wspomniany organizm. Niestety, pomimo ogólnie antropomorficznego podobieństwa, nogi Kata były dalej od siebie odsunięte, poza tym nie posiadał też mięśni szkieletowych, nie wspominając nawet o podbiciu stóp, a jego masa przewyższała jakiegokolwiek mojego poprzedniego przeciwnika. Miałem nieodparte wrażenie, że w tym wypadku nie poskutkuje ani żaden z moich czterech najlepszych chwytów judo, ani też żaden z ostatnich.

Gdy podszedł na środek pokoju, zamierzyłem się na jego fotoreceptory. Zwolnił, gdy musnąłem go moją pałką, lecz nie zatrzymał się. Przesunąłem się w prawo, próbując go okrążyć. Gdy odwracał się, przyjrzałem mu się uważnie, starając się zlokalizować punkt najmniejszego oporu.

Obustronna symetria, położony chyba wyżej środek ciężkości... Jeden celny cios, przystawienie rękawicy do komory mózgowej, tylko tego było mi trzeba. Nawet gdyby odruchowo odpowiedział mi uderzeniem, pozostawałoby już mu tylko odliczanie. On zdawał sobie również z tego sprawę: widać to było po sposobie, w jaki osłaniał prawą ręką okolice mózgu, w jaki starał się uniknąć czarnej rękawicy, którą wyczyniałem najprzeróżniejsze manewry.

Ten pomysł zabłysnął i przemknął jak promyk nadziei, teraz tylko szybko...

Rysując nogami łuk, zacząłem teraz posuwać się szybciej i jeszcze raz spróbowałem sięgnąć do jego fotoreceptorów. Parujący cios wyrwał mi pałkę z rąk i odrzucił ją pod przeciwną ścianę. To nie miało teraz znaczenia. Uniosłem wysoko lewe ramię i przygotowałem się do skoku. Gdy cofnął się, skoczyłem. Zginę, ale jakąkolwiek zada mi śmierć, przy tym kącie musi mi się udać.

Jako dziecko byłem kiepskim rzucającym, fatalnym łapiącym i takim sobie

odbijającym, ale raz naprawdę udało mi się wykonać rzut, po którym można było zdobywać bazę za bazą...

Rzuciłem się stopami naprzód pomiędzy nogi Kata, momentalnie przekręcając się na prawo, gdyż cokolwiek by się działo, nie mogłem wykorzystać lewej ręki do wyhamowania własnego impetu. Przemknąłem pod nim i natychmiast wykonałem obrót, nie zwracając uwagi na ból w lewej łopatce po uderzeniu o podłogę. Wtedy przyjąłem pozycję, jakbym z szeroko rozstawionymi nogami miał wykonać przewrót w tył.

Trafiłem go od tyłu mniej więcej w połowie jego wysokości, starając się włożyć w to uderzenie całą moją siłę i maksymalnie wyprostować nogi. Próbował mnie przygwoździć do ziemi, lecz nie był w stanie tak nisko sięgnąć. Gdy odchylił się, zamiast pociągnąć, z całej siły popchnąłem go, uczepiwszy się łokciami jego nóg.

Wydał pojedyncze skrzyknięcie i runął na ziemię. Uwolniłem ręce, odrzucając je na boki. Rzuciłem się znów do przodu, gdy padał na wznak, jeszcze raz unosząc lewą rękę nad głowę i w ostatniej chwili uwalniając nogi spod walącego się na ziemię korpusu. Usłyszałem głuchy odgłos upadku i skrzyknięcie desek podłogi— Udało mi się wyciągnąć lewą nogę, lecz jego dolna lewa kończyna przygwoździła moją prawą, wygiętą teraz na bok pod sprawiającym ogromny ból kątem.

Odparł mój cios swoim lewym ramieniem i przygwoździł go prawym. Czarna rękawica zsunęła się na jego lewe ramię.

Wyswobodziłem dłoń, pozbywając się ładunku, podczas gdy on przeniósł teraz swój uścisk na przedramię i szarpnął mną do przodu. W tym momencie eksplodował ładunek, odrywając mu lewą rękę, która potoczyła się po podłodze. Łopatka poruszyła się jeszcze z raz czy dwa, ale to było wszystko...

Zwolnił uścisk prawej ręki na moim przedramieniu i chwycił mnie za gardło. Czując, jak jego szpony zaciskają się na mojej tętnicy szyjnej, zdołałem jeszcze wychrypieć:

— Popelniasz ogromny błąd. Potem ogarnęła mnie ciemność.

Powolne tętno: świat powrócił. Siedziałem w ogromnym fotelu zajmowanym wcześniej przez senatora. Wodziłem po pokoju roztargnionym spojrzeniem. W uszach dźwięczało mi nieustające brzęczenie. Swędziała mnie głowa. Nad okiem migotało małe światełko.

— Tak, żyjesz. Masz na głowie hełm. Jeśli spróbujesz użyć go przeciwko mnie, zdejmę go. Stoję dokładnie za tobą. Trzymam rękę na krawędzi hełmu.

— Rozumiem. Czego chcesz?

— Doprawdy niewiele. Ale widzę, że najpierw muszę opowiedzieć ci o kilku rzeczach, zanim uwierzysz w to, co mam ci do powiedzenia.

— Zgadza się.

— Zacznę więc od tego, że tym czterem ludziom na zewnątrz praktycznie nic się nie stało. To znaczy ich kości i narządy wewnętrzne są całe. Zabezpieczyłem ich jednak odpowiednio, z oczywistych względów.

— Całkiem rozsądnie.

— Nie pragnę wyrządzić nikomu krzywdy. Przybyłem tu tylko po to, by zobaczyć się z Jessem Brockdenem.

— W ten sam sposób, co z Davidem Fentrisem?

— Przybyłem do Memphis za późno, by go jeszcze zobaczyć. Gdy znalazłem się w jego pracowni, już nie żył.

— To kto go zabił?

— Człowiek, którego Leila przysłała po hełm. Był jednym z jej pacjentów.

Na mgnienie oka niemal zapomniane zdarzenie wróciło z całą siłą i z kliknięciem wpadło do odpowiedniej szufladki. Zmieszana, znajoma twarz na lotnisku, gdy odlatywałem z Memphis. Teraz uświadomiłem sobie, gdzie minąłem ją wcześniej, nie zwracając na nią uwagi: należała przecież do jednego z trzech mężczyzn, którzy wychodzili od Leili tamtego ranka po sesji terapeutycznej i których widziałem na dole w holu. Człowiek, którego minąłem w Memphis, stał bliżej mnie niż ten drugi, gdy czekali na trzeciego mówiącego mi, że mogę już iść na górę.

— Dlaczego? Dlaczego to zrobiła?

— Wiem tylko, że rozmawiała wcześniej z Davidem i że dosłownie zrozumiała jego słowa o nadchodzącej karze i wzmiankę o budowanym przez niego hełmie sterowniczym. Uznała, że on sam pragnie odegrać rolę anioła zemsty, a ja mam być jego bezpośrednim narzędziem. Nie wiem zresztą, jakie dokładnie padły między nimi słowa. Mogłem tylko poznać odczucia, które pozostawiła w niej ta rozmowa. Minęło wiele czasu, zanim zrozumiałem, że często istnieje ogromna przepaść między tym, co się ma na myśli, tym, co się mówi, a tym co się robi, albo pomiędzy tym, o czym się mówiło, a tym, co dzieje się naprawdę. Wysłała pacjenta po hełm i on go jej przyniósł. Wrócił wzburzony, pełen obaw i lęku przed ponownym uwięzieniem. Pokłócili się. Wtedy moje pojawienie się uaktywniło hełm. Upuścił go i rzucił się na nią. Wiem, że już pierwszy cios był śmiertelny, gdyż nawiązałem z nią już wcześniej kontakt umysłowy. Mimo to nadal zbliżałem się do budynku, pragnąc ją zobaczyć. Był jednak duży ruch, a ja musiałem tak się posuwać, by uniknąć rozpoznania, więc przybyłem za późno. Tymczasem pojawiłeś się ty i nałożyłeś hełm. Musiałem czym prędzej uciekać.

— Więc byłem tak blisko! Gdybym tylko nie zatrzymał się na czwartym piętrze z tą wymyśloną ankietą...

— Tak, tak. Ale przecież musiałeś. Nie było sensu włamywać się, skoro istniał prostszy sposób. Nie możesz się za to obwiniać. Gdybyś przyszedł godzinę później albo na przykład następnego dnia — na pewno czułbyś się inaczej, a przecież ona i tak byłaby martwa.

Nie dawała mi jednak spokoju jeszcze pewna myśl. Możliwe, że to właśnie mój widok w Memphis wywarł tak piorunujące wrażenie na tym facecie. Czy fakt, że być może został zdemaskowany przez tajemniczego gościa Leili tak bardzo wyprowadził go z równowagi? Czy rzut oka na moją twarz w mrowisku ludzi doprowadził właśnie do takiego finału?

— Dość! Ja również mógłbym winić siebie z powodu uaktywnienia hełmu w obecności każdego niebezpiecznego faceta przed każdym rozstrzygającym zdarzeniem. Żaden z nas nie ponosi odpowiedzialności za rzeczy, które z powodu naszej obecności lub nieobecności dzieją się u innych, zwłaszcza gdy jesteśmy nieświadomi jakichkolwiek skutków. Już przed wielu laty zdałem sobie z tego sprawę i nie mam zamiaru zmieniać zdania. Jak daleko pragniesz się posunąć w

poszukiwaniu przyczyn? Wysyłając tego człowieka po hełm, tak jak to miało miejsce, Leila sama uruchomiła łańcuch zdarzeń prowadzący do śmierci. Jej motywem był strach. Chciała posłużyć się najodpowiedniejszą bronią, myśląc, że działa w samoobronie. Lecz skąd brał się ten strach? Jego korzenie tkwiły w poczuciu odpowiedzialności za coś, co wydarzyło się dawno temu. Z kolei tamto... Wystarczy! Poczucie winy było motorem działania i przekleństwem rasy ludzkiej od pierwszych dni uzyskania przez człowieka świadomości. Jestem przekonany, że wszystkich w ostatecznym rozrachunku doprowadza do grobu. Ja sam jestem owocem poczucia winy — widzę, że to rozumiesz. Owocem; podmiotem; a kiedyś niewolnikiem... Ale dałem sobie z tym radę; zrozumiałem bowiem, że jest to niezbędny dodatek do tego, czym jest ludzkość. Wiem, jak oceniasz bezsens tych śmierci: tamtego strażnika, Dave'a, Leili — i wiem, jakie wysnuwasz wnioski również w innych sprawach: jakimż głupim, perwersyjnym, krótkowzrocznym i samolubnym jesteśmy gatunkiem. Podczas gdy osąd ten jest w wielu aspektach słuszny, istnieje również i druga strona medalu — sam ten osąd również związany jest z tym, co mieści się pod pojęciem poczucia winy. Bez winy człowiek nie różniłby się od innych mieszkańców tej planety — z wyjątkiem niektórych waleni, co mi właśnie uświadomiłeś. Jeśli odwołać się do instynktu, wtedy dopiero dostrzega się prawdziwe barbarzyństwo życia, dostrzega się obraz naturalnego świata przed przybyciem człowieka. Odwołaj się do instynktu w najczystszej formie, odnajdziesz go u owadów. Zobaczysz tam stan permanentnej wojny, trwającej od milionów lat, bez szansy na zawieszenie broni. Człowiek, mimo niezliczonych wad, posiada więcej sympatycznych odruchów niż cała reszta stworzeń, których zdecydowana część istnienia podporządkowana jest instynktowi. I mniemam, że odruchy te biorą się bezpośrednio ze zdolności do wyrzutów sumienia. Dotyczy to tak najgorszych, jak i najlepszych ludzi.

— A więc sądzisz, że nasze szlachetniejsze uczynki biorą się z poczucia winy?

— Właśnie tak.

— A więc sugerujesz, że posiadasz wolną wolę?

— Tak. Chrząknąłem.

— Marvin Minsky powiedział kiedyś, że budowane przez człowieka przyszłości inteligentne maszyny będą również uparte i zawodne w tych sprawach, co ludzie.

— Co nie znaczy, że nie miał racji. Ja tylko przekazałem ci moje zdanie na ten temat. Ja postępuję tak, jakby tak było. Kto może stwierdzić, że wie coś na pewno?

— Przepraszam. Co teraz? Dlaczego wróciłeś?

— Pożegnać się z rodzicami. Miałem nadzieję, że uda mi się wyleczyć ich z poczucia winy, które mogło się u nich wiązać z moimi dziecięcymi latami. Chciałem pokazać im, że wyzdrowiałem. Chciałem ich znowu zobaczyć.

— Dokąd zmierzasz?

— Do gwiazd. Wiem, że choć stanowią odbicie człowieczeństwa, to zarazem jestem kimś innym. Być może to, czego pragnę, podobne jest do „odnajdywania własnego ja” przez człowieka z krwi i kości. Teraz, gdy zapanowałem nad własnym jestestwem, pragnę poddać je próbie. W moim wypadku oznacza to wykorzystanie potencjału modelu, według którego zostałem skonstruowany. Pragnę odwiedzić inne światy. Chcę zacząć się trochę tam, na górze, i przekazać wara, co zobaczę.

— Czuję, że wielu ludzi z radością ci pomoże.

— Chcę również, żebyś zbudował mi aparat głosowy, który sam opracowałem. Ty, osobiście. I żebyś go zainstalował.

— Dlaczego ja?

— Mam kontakt tylko z kilkoma ludźmi, a ponadto czuję, że mamy ze sobą coś wspólnego, może sposób życia poza społeczeństwem.

— Pomogę ci z przyjemnością.

— Gdybym umiał mówić tak jak ty, mógłbym porozmawiać z moim ojcem bez hełmu. Czy wejdiesz pierwszy i wyjaśnisz mu wszystko, żeby nie umarł ze strachu, gdy mnie zobaczy?

— Oczywiście.

— Chodźmy więc.

Podniosłem się i zaprowadziłem go na górę.

Minął tydzień. Zbliżał się wieczór, a ja znów usiadłem u Peabody'ego, sącząc pożegnalne piwo.

Historia przedostała się już do mediów, ale Brockden zdążył pozłatwiać wszystkie sprawy, zanim rozpętała się prawdziwa burza. Kat wyruszy do gwiazd. Obdarzyłem go głosem i z powrotem zainstalowałem oderwane ramię. Dziś rano uścisnąłem mu drugą dłoń i życzyłem mu wszystkiego najlepszego. Zazdrościłem mu — zazdrościłem wielu rzeczy. Również i tego, że jest chyba lepszym człowiekiem ode mnie. Zazdrościłem mu jego wolności, choć z drugiej strony ograniczały go chyba więzy, jakich mnie nigdy nie było i nie będzie dane doświadczyć. Odczuwałem pomiędzy nami swoiste pokrewieństwo, związane z tym co nas łączyło, z naszym indywidualnym sposobem życia. Zastanawiałem się, co też ostatecznie odczuwałby Dave, gdyby jeszcze żył i spotkał Kata? Albo Leila? Albo Manny? Możecie być dumni, powiedziałem ich ceniom, bo choć wasze dziecko wychowywało się w szafie, to jednak, gdy dorosło, potrafiło wybaczyć wam tę srogą lekcję...

Jednak wciąż różne myśli zaprzętały mi głowę. Wciąż nie wiemy zbyt wiele na ten temat. Na przykład, czy bez tego zabójstwa wykształciłby w pełni ludzką świadomość? Sam mówił, że jest owocem poczucia winy — nieskończonej winy. Jego dojrzewanie poprzedził tamten czyn. Pomyślałem o Gödlu i Turingu, i co było pierwsze: jajko czy kura, i uznałem, że to właśnie jedna z tych zagadek. W końcu nie wstąpiłem do Peabody'ego po to, by prowadzić trzeźwe rozważania.

Nie miałem pojęcia, czy to, co mówiłem, w jakiś sposób mogło wpłynąć na raport Brockdena przesłany Zarządowi Centralnego Banku Danych. Wiedziałem, że nie mam się czego obawiać, ponieważ zdecydowany był zabrać swoją własną winę do grobu. Nie miał zresztą wielkiego wyboru, jeśli pragnął jeszcze pracować aż do kresu sił. Lecz tu, w jednym z miejsc, w których siadywał Mencken, pamiętałem tylko jego słowa wygłoszone na temat rozbieżności zdań, na przykład: „A czy Huxley nawrócił Wilberforce'a?” albo „A Luter Leona X?” Nie żywiłem więc zbyt wielkich nadziei, że cokolwiek może się tu zmienić. Lepiej pomyśleć o życiu w kategoriach prohibicji i łyknąć piwa.

Gdy je wypiję, pójdę na jacht. Była dobra pogoda do żeglugi, z niebem pełnym

gwiazd. Miałem wrażenie, że nigdy nic będę spoglądał na niebo w ten sam sposób, co dawniej. Wiedziałem, że niekiedy będę zastanawiał się, o czym też może rozmyślać chłodny, neurystorowy mózg, gdzieś tam, w górze, pod jakimi niebami i na jakich dziwnych światach wspomniane zostanie moje imię. Myślałem o tym z uczuciem, że ta myśl powinna cieszyć mnie chyba trochę bardziej.

OGIEŃ I/LUB LÓD

**EXEUNT OMNES
BARDZO DOBRY ROK...**

Cóż można rzec o bardzo krótkim opowiadanku? Zwykle w głowie pojawia się od razu dojrzały pomysł, a rzecz pisze się sama. Tym razem jednak jedna natrętna myśl uwolniła cały łańcuch historii. Doszły mnie kiedyś słuchy, że Robert Sheckley przygotowuje antologię nie publikowanych wcześniej „zabawnych i wesołych opowiadań o końcu świata” dla Ace Books Po upadku. Zaproponowano mi współpracę, w wyniku której powstało jedno stuknięte opowiadanko. Miałem je już przesłać wydawcy, gdy ni stąd ni zowąd z tego opowiadanka wyklął się nowy pomysł, który natychmiast przelałem na papier, i tak właśnie powstało zamieszczone dalej Exeunt Omnes. Wysłałem więc w efekcie dwie nowelki i chciałem zająć się innymi sprawami, ale jakoś nie potrafiłem. Czulem, że jeszcze nic wyczerpałem tematu. Drugie opowiadanie zostało spłodzone w innym stylu niż pierwsze, lecz impet twórczy nadal mnie nie opuszczał. Nagle pojawiła się trzecia historyjka, pomyślana jeszcze inaczej niż dwie poprzednie. Musiałem ją napisać, by uwolnić się z zakłętą kręgu, po czym cisnąłem ją w kąt, gdzie wkrótce zniknęła pod stertą innych papierów, i zupełnie o niej zapomniałem. Gdzieś po tygodniu otrzymałem list, którego autor chwalił obydwie opowiadania, lecz stwierdzał, że trzy byłyby jeszcze korzystniejsze z estetycznego punktu widzenia. Czy mógłbym więc napisać jeszcze jedno? Wetknąłem w kopertę zwrotną Bardzo dobry rok... Zostało przyjęte i koniec końców w antologii pojawiły się wszystkie trzy opowiadania. Po skończeniu trzeciego czulem co prawda niejaki impuls, by napisać jeszcze czwarte, ale tym razem udało mi się go zdusić w zarodku. Takimi to ścieżkami chadza szaleństwo...

OGIEŃ I/LUB LÓD

- Mamusiu! Mamo!
- Tak?
- Tak?
- Chciałabym jeszcze raz posłuchać o wojnie.
- To mało ciekawe. Idź pobawić się z siostrami.
- Bawiłam się z nimi przez całe popołudnie. Trudno się z nimi bawić. Wolę posłuchać jeszcze raz o srogiej zimie, o potworach i jeszcze o tamtym.
- Tak, to była rzeczywiście sroga zima.
- Jak duży był mróz?

— Było tak zimno, że mały z mosiądzu śpiewały sopranem na każdym rogu. Było tak zimno, że słońce i księżyc przez trzy pełne lata były zupełnie białe, a siostra zabijała siostrę i córka matkę dla jednej zwykłej zapalniczki i garstki wiórków z temperówki.

— A co się potem działo?

— Potem oczywiście przychodziła kolejna zima. Znacznie gorsza niż poprzednia.

— Mróz był jeszcze większy?

— Pomyśl tylko: dwa wilki—olbrzymy, które po całym niebie uganiały się za słońcem i księżycem, dopadły wreszcie zdobyczy i zżarły je. Wtedy egipskie ciemności ogarnęły ziemię i jeśli udało się komuś przebić wzrok przez nie kończącą się śnieżycę, to przy poświęcie padającego z nieba deszczu krwi zobaczyć mógł trzęsienia ziemi i huragany.

— A dlaczego teraz nie ma już takich burz?

— Pewnie już wszystkie wykorzystano, przynajmniej na teraz.

— A skąd się wzięło znowu słońce na niebie, jeśli było zjedzone?

— Och, to jest zupełnie nowe. Zjawilo się dopiero wtedy, gdy ustały pożary, a woda w oceanach przestała wrzeć i kipieć.

— Bardzo się bałaś?

— Naprawdę zaczęłam się bać później, gdy ogromny wąż wypełził z morza i zaczął bić się z tym wielkim człowiekiem z młotem. Potem zewsząd wyłoniły się watahy olbrzymów i potworów i zaczęły tłuc się pomiędzy sobą. Wreszcie z kolei zjawil się wielki starzec z włócznią i próbował zakłuć na śmierć wilka—olbrzyma; niestety, przegrał i sam został zjedzony, tak jak stał, z brodą i wszystkim innym. Później znów przybył ktoś inny i zabił wilka. Wtedy nagle świat stał się bardziej podobny do siebie, więc wyszłam i złapałam za rękaw jednego z żołnierzy.

— Słuchaj, to jest właśnie Götterdämmerung, prawda? — spytałam.

Wtedy przed nami wyrosła ekipa z lokalnej telewizji. Żołnierz przystanął na chwilę i skinął głową, kierując wierzchowca ku amorficznej masie pełnej wystających patrzalek.

— Oczywiście — odrzekł. — Słuchaj, ty pewnie jesteś... — ale właśnie wtedy pożarła go amorficzna masa.

Przeszłam na drugą stronę ulicy, gdzie inny żołnierz w hełmie ze sterczącym rogiem dopuszczał się różnych odrażających czynów na swym powalonym przeciwniku.

— Przepraszam bardzo — zagadnęłam go — ale kim jesteś?

— Nazywam się Loki — usłyszałam w odpowiedzi. — Jaki jest twój udział w tym wszystkim?

— Nie wiedziałam, że mam tu swój udział — odparłam. — Choć rzeczywiście, z tego, co zaczął mówić ten człowiek po drugiej stronie ulicy, wygląda na to, że to prawda. Niestety, w tej samej chwili wessała go ta amorficzna masa rozgnieciona przed chwilą przez olbrzyma ze strzałą w gardle.

Loki z wyrazem żalu połknął swą ofiarę i przyjrzał się uważnie mojemu znoszonemu odzieniu.

— Jesteś ubrana jak mężczyzna — stwierdził — ale...

Podciągnęłam koszulę.

— Jestem... — zaczęłam.

— No, jasne. To gwarancja bezpieczeństwa. Właśnie poddałaś mi wspaniały pomysł. Chodźmy tędy. A więc ocaleje dwoje ludzi — wyjaśnił, rozpychając się wśród otaczających nas wilkołaków. — Bogowie złożą swe życia w twojej obronie, gdy tylko doprowadzę cię do Gaju Hoddmimira — tam przeznaczono schronienie dla ocalałych. — Chwycił jakąś nieprzytomną kobietę i zarzucił ją sobie na ramię. — Przeżyjesz to wszystko. Nastanie nowy dzień i przed naszymi oczami rozkwitnie nowy, wspaniały świat, który potrzebować będzie pierwszego mężczyzny i pierwszej kobiety. Widząc, jak czekasz, bogowie pomrą w przekonaniu, że wszystko jest w porządku... — Zaniósł się śmiechem. — Sądzą, że ten bezmiar śmierci zrodzi nowy porządek, porządek miłości, pokoju i szczęścia i da początek nowej rasie... — Rozplakał się. — Wszystkie tragedie wymagają pewnej dozy ironii — stwierdził, unosząc nas psychodelicznym rydwanem nad rzekami krwi i polami spopieliałymi od kości.

Wysadził nas tu, gdzie było ciepło, rosły drzewa, strzelały w górę fontanny i śpiewały ptaki — gdzie pełno było drobiazgów czyniących życie przyjemnym i lekkim: jedzenia w bród, lekki wietrzyk, ładny domek, w dodatku w pełni skanalizowany. Potem, nie przestając się śmiać, wrócił na front.

Później moja towarzyszka przebudziła się i zobaczyłam, jaką jest śliczną, zgrabną blondynką — a gdy zwróciła się ku mnie, jej oczy zapłonęły ogniem.

— Więc — warknęła — wyciągnęłaś mnie sobie z tej ohydnej męskiej wojny, bym służyła twoim żądzom w tej ukrytej przystani spokoju?! Nic z tego po tym. co mi zrobiliście!

Podeszłam, żeby ją pocieszyć, ale wtedy przyjęła pozycję karate.

— Powiedz — rzekłam wtedy — o co ci chodzi? Nic ci się nie stało...

— Nazywasz niczym porzucenie dziewczyny w ciąży? — wykrzyknęła. — W czasach, gdy wszyscy ginekolodzy, którzy mogliby usunąć ciążę, leczą odmrożenia? Nic, żadnych mężczyzn, już nigdy!

— Rozpogódź buzię, siostró — odparłam, rozpinając koszulę. — Sama będąc zbyt atrakcyjną dla mężczyzn, a na dodatek obdarzona słabą wolą — a wiadomo, z czym wiąże się ta długa noc — i cierpiąc z powodu podobnego medycznego kłopotu, postanowiłam w chwili skruchy zacząć wieść żywot zwykłego transwestyty.

— Chwała Safonie! — stwierdziła.

No i potem przyszły na świat bliźnięta, a my żyłyśmy szczęśliwie. Zima zelzała i przeminął Zmierzch Bogów. Świat stał się zupełnie czymś innym, miejscem miłości, pokoju i szczęścia, i tak jest aż po dziś dzień. I to już cała opowieść. A teraz idź ładnie pobawić się z siostrami.

— Ale one nic nie umieją się ładnie bawić. Zamezczają mnie, żebym robiła z nimi to, czego nie kazałyście mi robić.

— A w ogóle to przede wszystkim gdzie się tego nauczyłaś? — spytała druga mama.

— Pokazała mi to jedna pani w złotej, błyszczącej szacie. Powiedziała mi też, że ścieżki bogów są bardzo tajemnicze i nie zawsze bardzo skuteczne.

— To brzmi jak narodziny filozofii — stwierdziła pierwsza mama.

— Chyba tak — zgodziła się druga.

EXEUNT OMNES

Światła na widowni przyćmione. Żniwiarze i nimfy tańczą. Zaczynają spadać bomby. Prospero i Ferdynand stoją zwrócenii twarzą w twarz.

— „W twych oczach, synu, przestrach się maluje, lecz bądź spokojny. Święto się skończyło. Aktorzy moi, jak ci powiedziałem, były to duchy; na moje rozkazy na wiatr się lekki wszystkie rozplynęły...”

Skinął dłonią. Żniwiarze i nimfy zniknęły, rozległ się dziwny, głuchy, przemieszany z innymi huk.

— „...I, jak bezpodstawna widzeń twych budowa, jasne pałace i wieże w chmur wieńcu, święte kościoły — kontynuował — wielka ziemi kula, tak wszystko kiedyś na nic się rozplynie, jednego pyłku na świat nie zostawi, jak moich duchów powietrzne zjawisko...”

Publiczność zniknęła. Scena rozplynęła się. Zniknął teatr. Miasto wokół nich wyblakło, przy akompaniamencie dziwnego, głuchego, przemieszanego z innymi huku. Sam wielki glob pod ich stopami stał się przejrzysty. Zniknęli aktorzy, pozostały tylko duchy Ariela, Kalibana i Prospera.

— Och, Prossy... — przerwał mu Ariel.

— „Sen i my z jednych złożeni pierwiastków...”

— Prospero! — wrzasnął Kaliban.

— „...Żywot nasz krótki w sen jest owinięty...”

Kaliban potrząsnął nim mocno, a Ariel chwycił go za rękaw.

— Znowu pan to robi, szefie!

— „Przebacz mi, proszę, gniewem zapalony...”

— Przestań! Topimy się! Wypowiedziałeś niewłaściwe zaklęcie!

— „Stary mój umysł w mej głowie się mąci...”

Kaliban usiadł na nim. Ariel zaczął machać niemal niewidocznymi palcami przed oczyma Prospera. Unosili się teraz w nieskończonej, wypełnionej gwiazdami próżni. Najbliższym dającym określić się ciałem był księżyc. We wszystkich kierunkach uciekały wokół nich satelity komunikacyjne, astronomiczne, klimatyczne i szpiegowskie.

— Trzaśnij się w łeb, do diabła — warknął Ariel. — Zostaliśmy tylko my, nic więcej.

— „Lecz niech cię moja słabość nie przestrasza...”

— To nie ma sensu — burknął Kaliban. — Tym razem gada, jakby zaćpał się na dobre. A może damy sobie spokój i znikniemy?

— Nie! — wykrzyknął Ariel. — Już mi się to zaczęło podobać.

— Jesteśmy bardzo zaniepokojeni twoim niedołęstwem, Prossy! Skończ z tym występem a la Stanisławski i pozbieraj wszystko z powrotem do kupy!

— „Do mojej celi idźcie spocząć chwilę...”

— Dochodzi już do końca kwestii — stwierdził Ariel. — Jak skończy, to go mamy.

— „A ja tymczasem, wśród krótkiej przechadzki, wzburzony umysł pójdę ukołysać”.

— Dokąd chce pan iść, szefie? — spytał Kaliban. — Wszystko pan przecież rozwalil.

— Hej? Co się dzieje?

— Znowu to samo. Przy tej inscenizacji to rzeczywiście wspaniała scena, tyle że zmierza w stronę nieuniknionego finału.

— Cholera! Świat się trochę oddalił.

— Powiedziałbym, że aż do kresu dnia. I co zagramy na bis?

— Gdzie moja Księga? Kaliban machnął pletwą.

— Nie ma, zniknęła.

Prospero pomasaował oczy.

— No, to będę musiał popracować z pamięci. Wesprzyjcie mnie. Gdzie to się działo?

— Na bezludnej wyspie.

— Ach, prawda.

Wykonał dostojny gest i obok pojawiły się zarysy palm. Poczuli lekki zapach słonej wody, usłyszeli odległe uderzenia fal. Zarysy stawały się coraz bardziej wyraziste, a pod ich nogami pojawił się błyszczący piach. Usłyszeli krzyk mewy. Gwiazdy zbladły i ukazało się niebieskie niebo, po którym sunęły obłoki.

— Znacznie lepiej.

— Ale — to prawdziwa bezludna wyspa!

— Nie dyskutuj. Wie, co robi.

— A teraz, w którym byliśmy momencie?

— Przedstawienie, szefie.

— Zgadza się. Chodźmy do mojej jaskini. Ferdynand i Miranda już czekają.

Poprowadził ich brzegiem do skalistych wzgórz. Weszli do wielkiej groty, w której duża scena oświetlona była blaskiem pochodni. Prospero skłonił się Ferdynandowi i Mirandzie i wskazał na scenę.

— Szefie, coś nie tak.

— Dość słów! Niech tylko patrzą oczy! Cisza!

Na chwilę Ariel postradał zdolność mówienia i mógł tylko przyglądać się wyrosłej przed nim scenie.

Nad sceną przesunął się powoli wielki ziemski glob, oblany słońcem przeświecającym przez wstęgi obłoków, zielono-szaro-niebieski. Ponad nim rozrywały powietrze maleńkie gwiazdki pocisków, po chwili przemieniające się w kłęby dymu nad wielkimi miastami Ameryki Północnej, Europy i Azji. Nagle glob ruszył wprost na nich, wyrzucając jeden potężny, przesłaniający wszystko inne, kłęb dymu. Wizja gnała ku nim wciąż szybciej i szybciej, wizja zrównanego z ziemią miasta, rozpadającego się, obróconego w dym, pełnego trupów, umierających i uciekających w panice ludzi.

— Szefie! To nie ten kawałek! — wykrzyknął Kaliban.

— O Boże — jęknął Ferdynand.

— „W twych oczach, synu, przestracz się maluje...” — obwieścił Prospero.

— Znowu to samo — powiedział Ariel. W tej samej chwili świat zawirował, a masy

lądu pokryły się ogniem.

— „...Jasne pałace i wieże w chmur wieńcu, święte kościoły, wielka kula ziemi...”

Atmosferę zaczęły przecinać we wszystkich kierunkach następne pociski, a lodowce poczęły topnieć przy akompaniamencie syczących wód oceanu.

— „...na nic się rozplynie...”

Gotujące morza zalewały ogromne przestrzenie lądów.

— „...jednego pyłku na ślad nie zostawi...”

— Nadal istniejemy — wydusił Ariel.

— Ale to trwa — zauważył Kaliban.

Glob ziemski stawał się coraz mniej rzeczywisty, ogień był coraz bledszy, wody traciły swą barwę. Cały widok zdawał się nikać, dogasać.

— „...w sen jest owinięty...” — ziewnął Prospero. I zniknął zupełnie.

— Szefie! Co się stało z...?

— Cśśś... — ostrzegł Ariel. — Nie wytrącajcie go z transu... Prossy, gdzie twój teatr?

— „...wzburzony umysł pójdę ukołysać...”

— Życzymy spokoju — powiedzieli unisono Ferdynand i Mi—randa, opuszczając grotę.

— Gdzie jesteście, panie?

— Jak to? Sami mówiliście o bezludnej wyspie.

— To jest bezludna wyspa.

— Czemu więc pytasz? Przynieś nam jada i napoju. Reszta jest tylko snem.

— Ależ panie! A twa Księga?

— Już nigdy więcej ksiąg! Będę jadł i spał, a młodzi niech zaloty czynią. Czarów mych wszystkich teraz się wyrzekam!

Kaliban i Ariel wychodzą.

— Zróbmy, jak każe, później szybko w nogi.

— Dobrze, mój duszku. Zda mi się, taki już jest żywot.

[Exeunt omnes]

A Very Good Year

BARDZO DOBRY ROK...

— Cześć — powiedział.

Spojrzała na niego. Około trzydziestki, miał włosy koloru morskiego piasku, może trochę grubo ciosaną twarz, lecz był bardzo starannie i dobrze ubrany. Uśmiechał się.

— Przepraszam — powiedziała. — Czy ja pana znam? Potrząsnął głową.

— Jeszcze nic — odrzekł. — Jestem Bradley. Brad Dent.

— Tak... Czym mogę służyć, panie Dent?

— Czuję, że się w pani zakocham — oznajmił. — Oczywiście wymagać to będzie pewnej współpracy z pani strony. Czy mogę spytać, o której kończy pani pracę?

— Nie mówi pan chyba poważnie?!

— Owszem, tak.

Opuściła wzrok i wbiła oczy w ladę, łapiąc się na tym, że nerwowo bębni palcami po szkłe. Powściągnęła ten odruch i podniosła oczy. Uśmiech wciąż gościł na jego twarzy.

— Zamykamy za dwadzieścia minut — wyrzuciła jednym tchem. — Mogłabym wyjść za pół godziny.

— Czy wyjdzie pani?

Wtedy się uśmiechnęła. Skinęła głową.

— Mam na imię Marcia.

— Miło mi — odparł.

Przy obiedzie w restauracji, do której nigdy nie trafiłaby sama, przyglądała mu się uważnie przy świetle świecy. Miał gładkie dłonie. Sądząc po akcencie, pochodził z Środkowego Zachodu.

— Gdy podszedłeś do mnie, kogoś mi przypominałeś — powiedziała. — Widziałam cię tam już wcześniej. Szczerze mówiąc, gdy teraz o tym pomyślę, wydaje mi się, że parę razy minąłeś dziś mój kantor.

— Zapewne — odparł, napełniając winem jej szklanę.

— Czym się zajmujesz, Brad?

— Niczym — odrzekł.

Wybuchnęła śmiechem.

— Nie brzmi to zbyt interesująco.

Uśmiechnął się ponownie.

— Chciałem przez to powiedzieć, że zamiast pracować, poświęcam ten rok na rozrywki.

— Dlaczego?

— Stać mnie na to, a poza tym to bardzo dobry rok.

— Pod jakim względem?

Odchylił się i popatrzył na nią ponad splecionymi dłońmi.

— Na przykład, dla odmiany, nie ma na świecie żadnej wojny — powiedział wreszcie — ani niepokojów społecznych. Gospodarka jest niewiarygodnie stabilna. Pogoda cudowna. — Podniósł szklanę i zwilżył usta. — Mamy kilka świetnych roczników win. W kinach i teatrach grają moje ulubione filmy i sztuki. W nauce dzieją się niewiarygodne rzeczy — w medycynie, w badaniach kosmosu. Opublikowano całe mnóstwo doskonałych książek. Jest tyle ciekawych miejsc do zwiedzenia, rzeczy do zrobienia, że zajęłoby to całe życie. — Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. — I na dodatek jestem zakochany — dodał.

Zaczerwieniła się.

— Przecież mnie prawie nie znasz...

— ...I na to właśnie się cieszę — na poznanie ciebie.

— Bardzo dziwny z ciebie człowiek — rzekła.

— Ale spotkamy się jeszcze...

— Jeśli rzeczywiście będzie to taki rok — powiedziała, ściskając go za rękę.

Widywali się regularnie przez miesiąc, a po miesiącu rzuciła pracę i wprowadziła się do niego. Jadali w drogich restauracjach, wiele podróżowali...

Któregoś wieczoru pod koniec roku, gdy byli w Maui, stwierdziła, że jest w nim

zakochana.

— Brad — powiedziała, ściskając go z całej siły — jeszcze wiosną wydawało mi się, że to tylko gra...

— A teraz?

— Teraz to coś zupełnie wyjątkowego.

— Cieszę się.

W sylwestra poszli na kolację do restauracji w chińskiej dzielnicy, którą Brad znał z dawnych czasów. Przechyliła się nad talerzem z kurczakiem w potrawce.

— Ten facet — rzekła — przy stoliku w rogu, po prawej...

— Tak?

— Jest strasznie do ciebie podobny.

Brad rzucił okiem i skinął głową.

— Zgadza się.

— Wiesz, właściwie to nadal nie znam cię do końca.

— Ale już się znamy lepiej.

— Tak, to prawda. Ale... Brad, tamten mężczyzna wychodzący z toalety...

Odwrócił głowę.

— Jest także do ciebie podobny.

— Rzeczywiście.

— To dziwne... To znaczy, nie wiem nawet, skąd masz pieniądze.

— Moja rodzina — wyjaśnił — była zawsze bardzo bogata.

Skinęła głowę.

— O Boże... Jeszcze dwóch! Ci dwaj, którzy właśnie weszli.

— Tak, istotnie są do mnie podobni. Potrząsnęła głową.

— Naprawdę nie musiałeś nigdy pracować?

— Wręcz przeciwnie. Jestem naukowcem. I to takim, że mógłbym dostać Nobla.

Rozgniotła przyrządzoną na słodko—kwaśno wieprzowinę. Nagle zastygła, otworzyła szeroko oczy i jeszcze raz odwróciła się.

— Brad, to coś więcej niż przypadek. To jeszcze jeden ty!

— Tak — powiedział. — Zawsze jem tu kolację w sylwestra. Odłożyła widelec.

Pobladała.

— Jesteś biologiem — powiedziała. — Prawda? I sklonowałeś się? A może nawet nie jesteś oryginałem?

Roześmiał się cicho.

— Nie, jestem fizykiem — powiedział — i nie jestem klonem. To przecież był bardzo dobry rok, czyż nie?

Uśmiechnęła się słabo. Skinęła głową.

— Oczywiście — odparła. — I mówisz, że zawsze jadasz tu kolację w sylwestra?

— Tak. W tego samego sylwestra. W tego sylwestra.

— Podróż w czasie?

— Dokładnie.

— Po co?

— To był tak dobry rok, że postanowiłem przeżywać go wciąż od nowa — przez resztę życia.

Do restauracji weszły dwie pary. Odwróciła się.

— Tomy! — wykrzyknęła. — Ta druga para wygląda dużo starzej — ale to również my!

— Tak, właśnie taką zobaczyłem cię po raz pierwszy. Musiałem cię odnaleźć. Wyglądali wtedy na tak szczęśliwych.

— Dlaczego nie spotkaliśmy ich nigdy wcześniej?

— Prowadzę dziennik. Za każdym razem jedziemy w inne miejsca. Z wyjątkiem sylwestra...

Przesunęła zębami po dolnej wardze.

— No dobrze... Ale po co to wciąż powtarzać? — spytała w końcu.

— To taki dobry rok.

— A co po nim? Wzruszył ramionami.

— Nie pytaj mnie.

Odwrócił się i uśmiechnął do starszej pary, która odpowiedziała uśmiechem.

— Chyba podchodzą do naszego stolika. Postawmy im drinka. Czyż to nie cudowne?

MOJA PANI Z DIOD

Tę historię z mojej własnej niepamięci wygrzebał Stephen Gregg. Kiedyś ukazała się w fanzinie Granfalloon. Steve pragnął przedrukować ją w swoim własnym półprofesjonalnym magazynie Eternity. Zanim wyraziłem zgodę, poprosiłem go o jedną kopię, gdyż własną już dawno zapodziałem. Po przeczytaniu kserokopii podpisałem umowę, lecz niestety! Eternity padła (było to już po wskrzeszeniu przez nią jednej z moich postaci o nazwisku Dilvish), więc opowiadanie nie zostało wznowione. A może by wpuścić je tu? zapytałem samego siebie. Czemu nie? Jak często odczuwamy chęć uznania niegdys zapomnianego potomka?

Maxine powiedziała:

— Skręć w lewo na następnym skrzyżowaniu. Skręciłem.

— Zaparkuj samochód. Wyłaż i dalej. Przejdź przez ulicę na przejściu dla pieszych.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i ruszyłem w górę ulicy. Oto ja: mężczyzna w granatowym ubraniu, z walizką w lewej ręce i z miniaturowym głośnikiem w uchu. Z takim wyglądem mógłbym być jednym z ludzi Fullera Brusha.

Przeszedłem przez jezdnię.

— Idź dalej w przeciwnym kierunku. Zobaczysz budynek z czerwonej cegły, o numerze sześćset sześćdziesiąt osiem.

— Mam go.

— Podejdź od frontu, ale nie wchodź na schody. Gdy skończy się żelazne ogrodzenie, zobaczysz inne schody, prowadzące w dół, po twojej lewej stronie. Zejdź właśnie nimi. Na samym dole będą drzwi prowadzące do budynku, prawdopodobnie zamknięte na kłódkę.

— Zgadza się.

— Odstaw walizkę, nałóż rękawiczki, które masz w kieszeni płaszcza, z wewnętrznej kieszeni wyciągnij młotek i rozwal zamek. Spróbuj to zrobić jednym uderzeniem.

Potrzebne były dwa.

— Wejdź do budynku i zamknij za sobą drzwi. Skobel zostaw w środku; odłóż młotek.

— Jest ciemno...

— Budynek jest prawdopodobnie opuszczony. Idź naprzód. Po dwunastu krokach dojdiesz do korytarza prowadzącego w prawo.

— Tak.

— Ściągnij prawą rękawiczkę i wyciągnij z prawej kieszeni rulon dziesięciocentówek. W bocznym korytarzu powinien znajdować się rząd budek telefonicznych.

— Zgadza się.

— Czy światło padające z trzech małych okienek naprzeciwko budek jest

wystarczające, byś mógł zadzwonić?

— Tak.

— Wejdź do pierwszej budki, podnieś słuchawkę i wykręć przez rękawiczkę następujący numer...

Zacząłem wybierać.

— Gdy ktoś się zgłosi, nie odpowiadaj ani nie odwieszaj słuchawki, tylko połóż ją na półce i wejdź do następnej budki, gdzie wykręcisz następujący numer...

Powtórzyłem tę kolejność dwanaście razy.

— Wystarczy — powiedziała Maxine. — Zablokowałeś wszystkie linie telefoniczne Ratusza, więc nie będzie można stamtąd nigdzie zadzwonić. Istnieje bardzo mała szansa, że ktoś tu przyjdzie i przerwie połączenia. Wracaj natychmiast do wozu. Po drodze zamocuj skobel na drzwiach. Potem jedź prosto do Ratusza. Zatrzymaj samochód na przydrożnym parkingu ze znakiem PIERWSZA GODZINA 50 c, NASTĘPNA 35 c. Przygotuj pieniądze, bo może będziesz musiał zapłacić z góry. Parkingowemu powiedz, że zatrzymasz się tylko na chwilę.

Wróciłem do samochodu, wsiałem i ruszyłem.

— Jedź z szybkością trzydziestu pięciu mil na godzinę i nałóż kapelusz.

— Muszę? Od razu? Nie cierpię kapeluszy.

— Tak, nałóż go. I okulary.

— Dobra, już są na miejscu. Od kapeluszy robi się nieład na głowie, tak jak od wiatru, przed którym mają chronić. Wiatr może je też łatwo zerwać z głowy.

— Jak tam ruch? Duży? Mały? — Ale przynajmniej ciepło W głowę.

— Raczej niewielki. — Nieprawda. To włosy grzeją głowę, a uszy i tak wystają spod kapelusza i marzną.

— Jakie masz światło? — To dlaczego inni ludzie noszą kapelusze?

— Właśnie zrobiło się zielone. — To głupi konformiści. Kapelusze są tak samo niewygodne jak krawaty.

— Jeśli będziesz się trzymał z daleka od niekorzystnych warunków na drodze, to przy obecnej szybkości zdążysz przejechać przez dwa następne skrzyżowania. Zatrzymasz się dopiero na czerwonym świetle na trzeciej krzyżówce. Wtedy zdążysz nabić fajkę, może nawet zapalić, chociaż szło ci to niesporo na treningach. Jeśli ci się nie uda, będziesz miał jeszcze dwie okazje przed dotarciem na parking. — A co ci się nie podoba w krawatach?

Spójrz teraz na zegarek: zostało ci dokładnie dziewięć minut. Po tym czasie kwas przegryzie się przez kable elektryczne. — Krawaty są eleganckie.

— Sprawdziłem czas. — Krawaty są bez sensu!

— Teraz połóż mnie na tylnym siedzeniu i nakryj kocem. Każdego, kto spróbuje mnie ukraść, potraktuję prądem.

Położyłem ją z tyłu, nabiłem i zapaliłem fajkę, znalazłem parking.

— W trakcie rozmowy z parkingowym wydmuchuj jak najwięcej dymu. Zabrałeś brązową torebkę i składany karton? To coś do umocowania i latarkę?

— Tak.

— To dobrze. Zdejmij rękawiczki. Wyciągnij głośnik i schowaj go gdzieś. Uważaj teraz na kierownicę. Po każdym dotknięciu dokładnie ją przetrzyj.

Zaparkowałem wóz, zapłaciłem parkingowemu i pomaszerowałem ulicą w

kierunku Ratusza. Zostały mi dwie minuty i dwadzieścia sekund.

Pokonawszy frontowe schody, znalazłem się w holu. Seekfax miał stać w sali z tyłu, po mojej lewej. Odwróciłem się i ruszyłem w tym kierunku.

Minuta i czterdzieści sekund. Wytrząsałem popiół i resztki tytoniu do popielniczki, oczyściłem miseczkę fajki.

Maxine uprzedziła, że w sali nie ma żadnych okien — w końcu przetrwała wszystkie plany budynku. Metalowa rama, metalowa tabliczka na drzwiach — wszystko się zgadzało.

Podszedłem do stojących otworem drzwi, usłyszałem dobiegające z wewnątrz głosy, kątem oka dostrzegłem jakieś maszyny, kasety z eksponatami. Odłożyłem fajkę i zmieniłem okulary ze zwykłych na działające w podczerwieni. Piętnaście sekund. Nałożyłem rękawiczki. Dziesięć.

Wsunąłem ręce do kieszeni, opierając lewą na latarce pracującej w podczerwieni, a prawą na drzwiach. Policzyłem powoli do dziesięciu i wkroczyłem do sali dokładnie w tym momencie, gdy zgasły światła.

Kopnięciem zatrzasnąłem za sobą drzwi, mocując na nich potężną sztabę łączącą zamek z framugą. Następnie przeciągnąłem po niej prętem polaryzatora. Chwyciło jak trzeba. Włączyłem latarkę i ruszyłem w kierunku stojących pośrodku sali kaset.

Wszyscy stali jak skamieniali, gdy wydobyłem młotek i rozbiłem szkło. Zaledwie kilku sprzedawców ruszyło po omacku w moją stronę, ale i oni działali zbyt wolno. Odłożyłem młotek i zacząłem napełniać torbę złotymi, platynowymi i srebrnymi drucikami. Co cenniejsze świecidełka i kamyczki owinąłem w kawałeczki waty.

Napełnienie torby zajęło mi może z pół minuty. Cofając się ku drzwiom, wyciągnąłem ofrankowaną, zaadresowaną do samego siebie paczkę. Wepchnąłem torbę do środka, między strzępy starych gazet. Wokół mnie zapalały się i gasły światełka zapalniczek i zapalek; ich słabe błyski trwały jednak zbyt krótko.

Pod drzwiami stłoczyło się z kilkanaście osób.

— Zróbcie przejście! — zawołałem. — Mam klucz!

Rozsunęli się na boki, a ja zająłem się depolaryzacją sztaby. Potem wymknąłem się przez drzwi, zamknąłem je z drugiej strony i założyłem sztabę od zewnątrz.

Ściągnąłem rękawiczki, odłożyłem latarkę i wychodząc zmieniłem okulary, wsunąwszy wcześniej fajkę w zęby. Wrzuciłem paczkę do skrzynki na rogu i wróciłem na parking. Potem zaparkowałem w bocznej uliczce, zmieniłem długą granatową kurtkę na jasnoszary sportowy płaszcz, zdjąłem okulary i kapelusz, odłożyłem fajkę i ponownie zainstalowałem głośnik.

— Wszystko w porządku — oznajmiłem.

— To dobrze — odpowiedziała Maxine. — Obliczyłam, że winni ci są tylko dwa miliony sto dwadzieścia trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt dolarów. Zwróćmy teraz samochód i pojedźmy taksówką na miejsce twojego alibi.

— Dobrze. W Denver zbierzemy trochę drobnych, laleczko. Chyba kupię ci nową walizkę. Jaki kolor mam wybrać?

— Najlepsza będzie ze skóry aligatora, Danny. Wyglądają bardzo elegancko.

— Masz jak w banku, kochanie — odparłem, prowadząc wóz w kierunku wypożyczalni samochodów.

Trafiliśmy do Denver na dwa miesiące przed terminem. Bez zwłoki przystąpiłem

do programowania Maxine. Wprowadziłem jej do pamięci książkę telefoniczną całego miasta, jego historię, wszystkie pierdoły o działalności izby handlowej, a także wszelkie istotne dane statystyczne, do których udało mi się uzyskać dostęp. Zainstalowałem skaner optyczny i przekazałem jej wszystkie plany ulic oraz budynków użyteczności publicznej, a także innych, jakie znalazłem w kartotekach Ratusza. Potem obfotografowałem z zewnątrz i od wewnątrz hotel konferencyjny oraz sąsiednie budynki. Każdego dnia wskanowywaliśmy lokalne gazety i czasopisma, a Maxine chowała wszystko w pamięci.

Gdy Maxine zaczęła dopominać się informacji o szczególnym znaczeniu, rozpoczęła się faza druga. Z czego składa się nawierzchnia dróg? Jakie noszono kiedyś rzeczy? Ile przedsiębiorstw budowlanych prowadzi aktualnie budowę? Jaka jest szerokość tej, a jaka tamtej ulicy?

Jako udziałowiec otrzymałem któregoś dnia broszurę z informacjami na temat dużej konferencji. Ją również wprowadziłem do pamięci Maxine.

— Chcesz całkowicie skasować dług? — spytała. — Łącznie z kosztami sądowymi, honorarium dla adwokata i naliczonymi siedmioprocentowymi odsetkami?

— Ale jak?

— To będzie pierwsza prezentacja Seekfaxu 5000. Ukradnij go.

— Mam ukraść całą tę cholerną maszynę? Przecież ona waży tony!

— W broszurze mowa jest w przybliżeniu o dwóch tysiącach dziewięciuset kilogramach. Podwędźmy ją i na emeryturę. Wiesz przecież, że czas pracuje na twoją niekorzyść.

— No dobrze, ale, mój Boże, co ja zrobię z Seekfaxem 5000?

— Rozbierzesz go i sprzedasz na części. Albo jeszcze lepiej, sprzedasz całość Biuru Specjalnych Danych Statystycznych w Sao Paulo. Rozglądają się właśnie za taką maszyną. Przygotowałam już wstępne mapy trzech przemysłowych szlaków. Będę tylko potrzebowała więcej danych...

— Wykluczone!

— Dlaczego? Myślisz, że nie potrafię tego zaplanować?

— Zawsze mogą się zdarzyć nieprze...

— Przecież skonstruowałeś mnie tak, bym radziła sobie ze wszystkimi nieprzewidzianymi wypadkami. Nie martw się. Potrzebuję tylko odpowiednich informacji.

— Będę musiał to rozważyć później, kochanie. Teraz przepraszam. Idę na obiad.

— Tylko nie pij za wiele. Mamy tyle do obgadania.

— Oczywiście. Na razie.

Wepchnąłem Maxine pod łóżko i wyszedłem do restauracji. Był ciepły letni wieczór, a promienie słońca, padające ukośnie pomiędzy budynkami, pełne były lśniących drobinek kurzu.

— Panie Bracken, czy mogłabym zamienić z panem dwa słowa?

Odwróciłem się i ujrzałem należącą do mojej rozmówczyni parę oczu koloru syropu z klonu cukrowego, ukrytą za dwoma dnami od butelek w oprawce Harlequina. Opuściłem wzrok mniej więcej o sto pięćdziesiąt siedem centymetrów, zatrzymując go na czubkach jej białych sandałów, po czym powoli uniosłem go z

powrotem. Ani płaska pierś, ani kartoflany nos nie przykuły mojej uwagi na dłużej. Ubrana była w coś bawełnianego, cukierkowatego w paski, odsłaniającego okrągłe ramiona. Włosy, również w kolorze syropu klonowego, upięte miała z tyłu przy pomocy wyglądających jak skrzydła grzebieni, wycelowanych jak gdyby w jej uszy — a te, przyznać trzeba, wyglądały dość apetycznie. W rękę trzymała sporą torebkę i niemal równie duży futerał od aparatu fotograficznego.

— Dzień dobry. Oczywiście. Słucham panią. — Było w niej coś dziwnie znajomego, ale nie potrafiłem określić co.

— Nazywam się Gilda Coburn — przedstawiła się. — Przyjechałam dzisiaj do miasta. — Mówiła trochę przez nos. — Jestem tu służbowo, mam napisać artykuł promocyjny o konferencji komputerowej. Przyjechałam zobaczyć się specjalnie z panem.

— Ze mną? Dlaczego?

— Chcę przeprowadzić z panem wywiad na temat technik przetwarzania danych.

— Za tydzień będzie tu całe mnóstwo o wiele ważniejszych niż ja facetów. Proszę porozmawiać z nimi. Ja już wyszedłem z branży.

— Słyszałam jednak, że jest pan autorem trzech najbardziej znaczących rozwiązań ostatniej dekady. Przeczytałam wszystkie akta sprawy *Daniel Bracken kontra Seekfax Incorporated* i wiem, że sam wygłosił pan te słowa na procesie.

— A skąd wiedziała pani, że jestem w Denver?

— Może to któryś z pańskich znajomych powiedział o tym mojemu wydawcy. Nie wiem zresztą. Czy będę mogła przeprowadzić z panem ten wywiad?

— Jadła już pani obiad?

— Nie.

— To chodźmy. Nakarmię panią i opowiem o przetwarzaniu danych.

Żaden z moich znajomych nie mógł nic powiedzieć wydawcy, ponieważ poza Maxine nie mam żadnych przyjaciół. A może Gilda to glina? Może jest prywatnym detektywem, pracuje w policji municypalnej albo jest inspektorem ubezpieczeniowym? Warto się dowiedzieć, choćby miało to kosztować nawet trzy obiady.

Przed obiadem zamówiłem drinki, do obiadu butelkę wina i potem jeszcze dwa drinki na deser. Chciałem ją trochę upić. Niestety, przełknęła wszystko, nie mrugnawszy okiem i pozostała trzeźwa jak niemowlę.

Jej pytania również wydawały się przekonujące i niewinne, aż w którymś momencie pośliznąłem się.

Mówiąc o możliwościach porozumiewania się z istotami pozaziemskimi, jeśli kiedykolwiek na nie natrafimy, wspomniałem o Seekfaxie 410, urządzeniu translatorskim.

— ...610 — poprawiła mnie. Pozornie nie zwróciłem na to uwagi.

Mam cię! Wystarczy rozpuścić włosy, trochę je rozjaśnić, dodać rogową oprawę okularów...

Sonia Krondstadt, geniusz MIT-u, projektantka Seekfaxes 5000, którego kradzież dla Biura Specjalnych Danych Statystycznych w Sao Paulo właśnie rozważałem. Pracowała więc dla wroga.

W ciągu ostatnich pięciu lat dwanaście razy podwędziłem różne typy Seekfaxów.

Choć wszystkie podejrzenia kierowały się zawsze na moją osobę, nigdy niczego mi nie udowodniono. Zbudowałem Maxa-10, Maxine, maszynę do planowania przestępstw doskonałych. Zaplanowała ich już tuzin. Ludzie z Seekfaxy wiecznie deptali mi po piętach, lecz zawsze udawało nam się przechytrzyć detektywów, strażników, systemy alarmowe. Dzięki Maxine, żadne przestępstwo nie było podobne do innego. Każde opracowane było *de novo*. Skoro Kronstadt przyjechała przed rozpoczęciem pod przybranym nazwiskiem, cała konferencja denverska pachniała zasadzką. W broszurze mowa była również o dużej wystawie drogiego sprzętu. Czy chowali coś w zanadrzu dla Danny'ego Brackena? Może jeszcze warto posiedzieć?

— Wpadniesz do mnie na szklaneczkę? — spytałem, biorąc ją za rękę.

— Z przyjemnością — odparła z uśmiechem. — Dzięki za zaproszenie.

Ha! Piekło nie zna większej pasji niż zazdrość informatyka, lub — jak mi dane było się później dowiedzieć — zazdrość komputera.

Gdy przyszedliśmy do mojego pokoju i rozsiedliśmy się wygodnie z drinkami w dłoniach, spytała mnie — jak wcześniej przewidywałem — co sądzę o „tych wszystkich grabieżach w trakcie wystaw i konferencji organizowanych przez Seekfax”.

— To znaczy?

— Czy masz może jakieś podejrzenia co do ewentualnych sprawców?

— IBM? Radio Shack?

— Mówmy poważnie. Nigdy nie było najmniejszych śladów. Każda z kradzieży była przestępstwem doskonałym. Wydawałoby się, że tak dobry przestępca powinien zdecydować się również na coś większego — sklepy jubilerskie, banki, nie wiem. Mam teorię, że ten ktoś żywi po prostu jakąś urazę do firmy. Co o tym sądzisz?

— Nie — odrzekłem. Pochyliłem się, żeby napełnić jej szklanke, i jednocześnie musnąłem ustami jej szyję. Nie odsunęła się. — Zakładasz, że wszystkie były dziełem jednej osoby, podczas gdy fakty wskazują na coś przeciwnego. Z raportów, które czytałem, wynika, że każde z przestępstw popełnione zostało w zupełnie inny sposób. Uważam, że wystawy organizowane przez Seekfax zdobyły w świecie przestępczym sławę łatwych łupów.

— Niemożliwe! — przerwała. — Nie możesz tak mówić. Przy każdej kolejnej ekspozycji podejmowane są coraz lepsze środki bezpieczeństwa, lecz złodziej najwyraźniej dostosowuje się do tej sytuacji i sam przedsięwzięje coraz doskonalsze sposoby ochrony własnej osoby. Wierzę, że to tylko jeden człowiek, który żywi do nas jakieś uprzedzenia i rozkoszuje się przechytrzeniem firmy.

Wtedy pocałowałem ją w usta, żeby się zamknęła. Przytuliła się do mnie, a ja pociągnąłem ją za sobą. Pogasty światła. Później, gdy leżałem z papierosem, powiedziała:

— Wszyscy wiedzą, że to ty.

— Myślałem, że śpisz.

— Zastanawiałam się, jak ci to powiedzieć.

— Nie jesteś dziennikarką — ułatwiłem jej zadanie.

— Nie.

— O co ci chodzi?

— Nie chcę, żebyś trafił do więzienia.

— Pracujesz w Seekfaxie.

— Tak. I tam właśnie zakochałam się w projektach 5280 i 9310. Wiem, że to ty jesteś ich autorem. Ludzie, których oficjalnie uważa się za twórców, nie są tak dobrzy. Te projekty to dzieło geniusza.

— Wynająłem konsultanta — odparłem. — Twojego pana Walkera. Pomógł mi w niektórych rysunkach. Po tygodniu odszedł do Seekfaxu, zanim zdążyłem zarejestrować patenty. Czytałaś jego zeznania, czytałaś moje. To właśnie dlatego jest dziś wiceprzewodniczącym rady nadzorczej.

— Więc dlatego popełniasz te kradzieże?

— Seekfax jest mi winien dokładnie dwa miliony, sto dwadzieścia trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt dolarów.

— Aż tyle? Skąd wiesz?

— Jako udziałowiec mam prawo dostępu do ksiąg. Obliczyłem tę sumę na podstawie raportu wynajętego biegłego księgowego, dotyczącego wzrostu zysków po zastosowaniu moich pomysłów. To i tak niedrogo. Dzieła sztuki są bezcenne.

— To musiałeś być ty, Danny. Widziałam te drzwi. To była twoja robota. Jakbyś zostawił na nich swój podpis. Słyszałam, jaki byłeś rozczarowany werdyktem sądu, jak się odgrażałeś...

— No i? Po co mi o tym mówisz? Masz coś, co można by przedstawić w sądzie?

— Jeszcze nie.

— Co to znaczy „jeszcze”?

— Przyjechałam przed rozpoczęciem konferencji, bo wiedziałam, że będziesz w mieście, planując nowy skok. Nie chcę, żebyś poszedł do więzienia. Nie mogłabym znieść odpowiedzialności za to, że twórca 9310 trafił za kratki.

— Zakładając, że wszystkie twoje przypuszczenia są prawdziwe, to w jaki sposób ty mogłabyś być za to odpowiedzialna?

— Ponieważ to ja zaprojektowałam Seekfax 5000 — wyjaśniła — do którego wprowadzono wszystkie dane dotyczące Denver i ciebie. I nie jest on tylko rejestratorem danych. To doskonały zintegrowany detektyw–procesor danych. Jestem przekonana, że może on przewidzieć jakkolwiek kradzież, jaka mogłaby zdarzyć się w trakcie konferencji, i poczynić odpowiednie kroki zaradcze. Prawdopodobnie nie masz szans. Epoka mistrza minęła, na scenę wkroczył ZDP.

— Ha! — odparłem.

— Nie masz dość forsy, by się wycofać?

— Oczywiście, że mam — odrzekłem. — Ale nie o to chodzi...

— Rozumiem twoje motywy, ale chodzi właśnie o to, że nie przechytrzysz 5000. Nic nie da mu rady. Nawet jeśli znów odetniesz prąd, 5000 przełączy się na własne zasilanie. Cokolwiek byś zrobił, odnajdzie natychmiast sposób przeciwdziałania.

— Wracaj do Seekfaxu — powiedziałem — i powiedz im, że nie boję się żadnych bajek o komputerze–detektywie. Dopóki nie zrezygnują z organizacji wystaw i uczestnictwa w konferencjach, muszą się liczyć ze stratami. Poza tym ja do niczego się nie przyznaję.

— To nie bajka — powiedziała w końcu. — Ja sama zbudowałam to urządzenie! Wiem, co potrafi!

— Któregoś dnia przedstawię cię Maxine — powiedziałem — która powie ci, co

sądzi o prawie trzytonowym detektywie.

— Kim jest Maxine? To twoja dziewczyna, czy...?

— Jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi — odparłem. — Wszędzie mi towarzyszy.

Ubrała się szybko i po chwili usłyszałem odgłos zatrzasniętych drzwi.

Sięgnąłem pod łóżko i włączyłem audio.

— Maxine, kochanie, słyszałaś? Maszyna, którą mamy ukraść, ma nas złapać!

— I co z tego? — odezwała się Maxine.

— Co za proporcja — powiedziałem. — Ty i tak wszystko potrafisz od niej lepiej.

Dwa tysiące dziewięćset kilogramów! Ho, ho!

— Wiedziałaś, że jestem pod łóżkiem i że jestem włączona, a jednak to zrobiłaś!

— Co zrobiłem?

— Kochałeś się z tą... z tą kobietą... I to dokładnie nade mną! Wszystko słyszałam!

— Cóż... przyznaję.

— Czy nie masz dla mnie żadnego szacunku?

— Oczywiście, że mam. Ale tamto... to było coś, co zdarza się pomiędzy dwojgiem ludzi, którzy...

— A ja jestem tylko rzeczą, którą karmi się danymi, tak? Rzeczą, która służy do planowania twoich przestępstw! Jako ktoś nie znaczący dla ciebie nic!

— To nieprawda, kochana Max. Sama przecież wiesz. Przyprowaździłem tę kobietę tylko po to, by dowiedzieć się, do czego zdolny jest Seekfax. To, co zrobiłem, było naprawdę konieczne. Potrzebowałem informacji.

— Nie kłam, Danielu Brackenie. Wiesz, że tak nie jest. Już ja się na tobie poznałam. Jesteś łajdakiem!

— Maxie, daj spokój! Wiesz, że tak nie jest! Czy nie kupiłem ci nowej walizki ze skóry aligatora?

— Ha! Drogo cię to nie kosztowało, po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam!

— Max, nie...

— Może już czas, byś sprawił sobie nowy komputer.

— Potrzebuję cię, kochanie. Jesteś jedyną, która może sobie poradzić z 5000.

— Nie ma głupich!

— To co mam teraz zrobić?

— Idź się upij.

— A co to da?

— Ty chyba myślisz, że to odpowiedź na wszystkie twoje problemy. Mężczyźni to potwory!

Nalałem sobie drinka i zapaliłem papierosa. Żałowałem teraz, że obdarzyłem Maxine tym gardłowym głosem. Jego ton jakoś na nią działał, działał na mnie... Połknąłem zawartość jednym haustem i ponownie napełniłem szklanę.

Maxine doszła do siebie dopiero po trzech dniach. Obudziła mnie rano, śpiewając „Wojenny Hymn Republiki”, następnie zaś oznajmiła:

— Dzień dobry, Danny. Postanowiłam ci wybaczyć.

— Skąd ta nagła zmiana uczuć?

— Mężczyźni są słabi. Dokonałam szczegółowych obliczeń i wyszło mi, że po

prostu nie mogłeś się powstrzymać. To przede wszystkim ta kobieta popełniła błąd.

— Ach tak, rozumiem...

— ...Poza tym zaplanowałam już następne przestępstwo do najdrobniejszych szczegółów.

— Cudownie. Uchyliś rąbka tajemnicy?

W tej samej chwili opadły mnie złe przeczucia. Nie przewidziałem jej kobiecej reakcji na przyprowadzenie Soni pamiętnego wieczoru. Zacząłem się zastanawiać, czy maszyna nie posunie się dalej, na przykład obmyślając jakiś plan zemsty. Może tym razem zagra nie fair, a ja trafię do pudła? Próbowałem rozważyć za i przeciw, ale nie potrafiłem się zdecydować. Czy zwariowałem? Przecież to w końcu tylko maszyna...

A jednak — była to najbardziej skomplikowana maszyna na świecie, wypełniona swobodnymi obwodami, których działanie przywodziło na myśl porównanie właśnie ze sferą emocjonalną.

Jednakże w czasie, jaki miałem do dyspozycji, nie byłbym w stanie skonstruować nowej Maxine. Mogłem tylko jej słuchać, a wątpliwości, czy kontynuować przedsięwzięcie, pozostawić samemu sobie.

— Postawiłam się na miejscu 5000 — powiedziała Maxine. — Jesteśmy oboje w posiadaniu tych samych faktów dotyczących ciebie i okolicy. Mogę zatem dojść do tych samych wniosków, co on. Różnica polega tylko na tym, że on zajmuje się walką defensywną, podczas gdy my mamy tę przewagę, że inicjatywa jest w naszych rękach. Załatwimy go, wprowadzając niezależną zmienną.

— Na przykład?

— Twoje kradzieże odbywały się zawsze w trakcie trwania konferencji czy wystawy. Seekfax 5000 opracuje plany ochrony przed taką właśnie ewentualnością — i tylko taką, jestem pewna — ponieważ tak został zaprogramowany.

— Nie bardzo rozumiem...

— No, a gdybyś tak wykonał skok przed lub po konferencji?

— Wszystko pięknie, jeśli ten 5000 jest rzeczywiście tylko urządzeniem do rozwiązywania problemów. Z tym, że ja trochę obawiam się tej maszyny. Sonia Kronstadt nie jest partaczem. Wystarczy, że skopiowała twoje podejście do określenia skali problemu, tak by ten ociężały potwór był zdolny do ponownego definiowania zadań w trakcie pracy. Oczywiście w bardziej prymitywny sposób niż ty, ale zawsze... Albo wpadła na to sama? Albo też maszyna od początku nie była zaprogramowana tak, jak myślisz?

— Użyła słów „przewidzieć jakkolwiek kradzież, jaka mogłaby zdarzyć się w trakcie konferencji”. Idę o zakład, że maszyna tak właśnie jest zaprogramowana. Rachunek prawdopodobieństwa jest po naszej stronie.

— Zaczynamy bawić się w hazard, a ja tego nie lubię.

— No dobra, nie będzie żadnego hazardu. Posłuchaj. Zaplanuję kradzież na po konferencji. Konferencja jest otwarta dla publiczności, więc weźmiemy w niej udział. Przecież cię nie wyrzucą, jeśli nie będziesz sprawiał kłopotów. We wczorajszej gazecie pisano, że Seekfax 5000 potrafi grać w szachy i jest w stanie pokonać każdego przeciwnika. Weźmie udział w miejscowym turnieju szachowym, w którym wystartować może każdy. Idź i kup szachy. Zabierzesz mnie ze sobą i włączysz.

Będiesz powtarzał po nim każdy ruch i w ten sposób ja rozegram partię z 5000. Przenieślę jego styl gry na zakres umiejętności rozwiązywania problemów. Po grze powiem ci, kiedy będziemy mogli zrealizować plan.

— Jesteś niemądra! Jakie wnioski można wyciągnąć z partii szachów?

— Do tego właśnie potrzeba maszyny. Danny, i przestań być taki zazdrosny. Zrobię to tylko po to, by zdobyć potrzebne dane.

— Kto jest zazdrosny? Znam się na komputerach i doskonale wiem, co można, a czego nie.

— Istnieje pewna granica, po której kończy się nauka, a zaczyna sztuka. Właśnie do niej doszliśmy. Zдай się na mnie.

— W porządku. Na pewno będę tego żałował, ale niech ci będzie.

— I nie martw się, Danny. Potrafię wszystko obliczyć.

I w taki oto sposób ostatniego dnia konferencji przybył na nią mężczyzna w ciemnym garniturze, dzierzący w dłoni walizkę ze skóry aligatora, pod pachą szachownicę i aparat słuchowy w lewym uchu.

— Największy zestaw stereofoniczny, jaki widziałem — przywitałem Sonię, która właśnie programowała maszynę na symultanke z dziesięcioma czy jedenastoma przeciwnikami siedzącymi przy stołach do kart. — Słyszałem, że ten stwór gra w szachy.

Spojrzała na mnie przelotnie.

— Tak — odrzekła.

— Chciałbym zagrać.

— Masz szachy? — Zauważyłem, że przygryzła wargę.

— Tak.

— No to proszę, gdzie jest wolne miejsce. Rozstaw figury. Wrócę za kilka chwil. To ja wykonuję ruchy za maszynę. Wybierasz białe czy czarne?

— Białe. Będę grał ofensywnie.

— To proszę, twój ruch. — Zniknęła.

Umieściłem Maxine na podłodze obok stołu, otworzyłem szachownicę i wysypałem bierki. Rozstawiwszy je, kląsknąłem językiem w umówiony sposób.

— Pionek na d4 — odpowiedziała Maxine.

Godzinę później wszystkie partie z wyjątkiem naszej zostały już zakończone. Pozostali gracze otoczyli nas wianuszkami. Ten gość jest niezły — stwierdził któryś. Inni pokiwali głowami.

Spojrzałem na zegarek. Seekfax potrzebował coraz więcej czasu na wykonanie ruchu. Kątem oka zauważyłem, że strażnicy w mundurach obserwują mnie w nie zwracający na siebie uwagi sposób.

Z twarzy Soni nie zniknął wyraz zaskoczenia, gdy wykonywała kolejne ruchy. Dlaczego to tak długo trwa?... Zgaszono część świateł, ktoś gdzieś wymienił moje nazwisko.

Nagle Maxine rozpoczęła oszłamiającą końcówkę. Nie jestem mistrzem, ale trochę znam się na szachach. Nie byłem jednak w stanie nadażyć za jej przyprawiającymi o zawrót głowy ścieżkami ataku, choć między jednym a drugim ruchem zdarzały się i półgodzinne przerwy.

5000 powoli odparowywał ciosy, a ja nie byłem w stanie wskazać, kto może mieć

przewagę. Biorąc pod uwagę straty, sytuacja była wyrównana.

Wreszcie Sonia westchnęła i przesunęła gońca.

— Szach — mat — oznajmiła.

— Dziękuję — powiedziałem. — Masz śliczne dłonie — dodałem i wyszedłem.

Nikt nie usiłował mnie zatrzymać, z wyjątkiem przewodniczącego miejscowego klubu szachowego. Niczego przecież nie zrobiłem.

W drodze do domu Maxine poinformowała mnie:

— Uda się nam.

— Tak?

— Oczywiście. Teraz wiem, w jaki sposób pracuje. Wspaniała maszyna, ale jestem w stanie z nim wygrać.

— To skąd ten mat?

— Sama mu pozwoliłam. Nie musiałam wygrać, żeby dowiedzieć się, co mi było potrzebne. Nikt go jeszcze nie pokonał, a nie chciałam go poniżyć w obecności tych wszystkich szachistów.

Nie podobał mi się sposób, w jaki wypowiedziała ostatnie słowo, ale puściłem to bez komentarza.

W bocznym lusterku dostrzegłem kształt mercedesa Soni Krondstadt. Śledziła mnie aż pod sam dom, a potem objechała kilka razy okoliczne przecznice i zniknęła.

W ciągu następnych tygodni zgromadziłem potrzeby sprzęt i materiały, łącznie z gumą do żucia.

Seekfaxes 5000 wywieziono tymczasem samolotem z Massachusetts, ale wkrótce miał przylecieć z powrotem. Na lotnisko i z lotniska musiano jednak użyć ciężarówek. Miałem więc zostać porywaczem.

Zapiąłem blezer w czerwono-białe paski, przetarłem chusteczką kamasze, wygładziłem białe spodnie, zawiązałem apaszkę i przykleiłem wielkie, czarne wąsy, upchałem pod policzki jeszcze więcej waty, nałożyłem słomkowy kapelusz, chwyciłem płócienną torbę i coś, co z pozoru przypominało zwykłą walizkę ze skóry aligatora. Założyłem to wszystko na marynarskie spodnie i sportową koszulę, dzięki czemu czułem się jak w łaźni, a wypieki nie schodziły mi z twarzy.

Przyczaiłem się na rogu, tuż obok rampy.

Gdy zakończył się załadunek ciężarówki, a robotnicy i strażnicy zniknęli z pola widzenia, wychylnąłem zza rogu i dopadłem do kierowcy, zanim zdążył wspiąć się do kabiny.

— Właśnie takiego jak pan człowieka mi trzeba! — wykrzyknąłem. — Człowieka o odpowiednich gustach i podniebieniu! Chciałbym, jeśli łaskawy pan pozwoli, wręczyć mu bezpłatne opakowanie gumy do żucia Dłub-Alert! Gummy do żucia, która podwójnie odświeża! Podwójnie orzeźwia! Chciałbym również móc zanotować pańskie odczucia związane z tą nową gumową przygodą!

— Raczej nie żuję gumy — odparł kierowca. — Ale wielkie dzięki.

— Mój pracodawca byłby jednak ogromnie rad, gdyby zechciał pan wziąć udział w teście na odczucia po spróbowaniu tej gumy.

— W teście?

— W teście, który ma służyć badaniu opinii publicznej — wyjaśniłem. — Pomoże on nam w ocenie, jaka będzie reakcja klientów na ten nowy produkt. To coś w

rodzaju badania rynku — dodałem.

— Słuchaj no pan! — zawołał jeden ze strażników, którzy wrócili na rampę. — Nie ruszaj się pan! Nie odchodź!

Przykucnąłem, gdy zeskakiwał. Za nim zbliżał się następny.

— Rozdaje pan bezpłatne artykuły promocyjne? — spytał ten pierwszy, podchodząc do mnie.

— Tak. Gumę do żucia.

— Mogę dostać jedną?

— Oczywiście. Proszę wziąć kilka.

— Dziękuję.

— Ja również dziękuję.

— To ja też wezmę — odezwał się kierowca.

— Proszę bardzo.

— Niezła — stwierdził pierwszy strażnik. — Trochę miętowa, ale ma taki posmaczek, orzeźwia.

— No — potwierdził drugi.

— Mhm — dodał kierowca. Strażnicy odwrócili się i ruszyli ku drabinie po drugiej stronie rampy. Kierowca odwrócił się do kabiny.

— Proszę poczekać — poprosiłem go. — A co z testem?

— Spieszę się — odparł. — Co pan chce wiedzieć?

— Cóż... jakie są pańskie odczucia?

— Trochę miętowa, ale ma taki posmaczek, orzeźwia... Muszę już jechać! — powiedział, siadając na swoim miejscu i zapalając silnik.

— Pan Dłub–Alert serdecznie panu dziękuje — powiedziałem, rzucając przez ramię spojrzenie, by upewnić się, czy rampa jest pusta. W tej samej chwili, gdy wspiałem się na nią, zawyła syrena.

Miałem niezły czas. Wcześniej na biurku zostawiłem paczkę, którą odebrać miał któryś ze strażaków. Moja syrena brzmiała prawie tak samo, jak standardowy sygnał alarmowy. Wszyscy dookoła zerwali się na równe nogi. Żałowałem tylko, że nie zagrała odrobinę wcześniej. Nie musiałbym wtedy częstować strażników, czego wcześniej chciałem uniknąć.

Gdy kierowca grzał swój silnik, ja wyciągnąłem z płóciennej torby jednocześnie kombinezon i wbiłem się w niego w ułamku sekundy; ktokolwiek popatrzyłby teraz na podjazd, pomyślałby, że jestem zwykłym robotnikiem, ładującym na ciężarówkę walizkę ze skóry aligatora i płócienną torbę.

Kierowca wrzucił bieg, a ja na czworakach przesunąłem się w stronę kabiny, wypluwając po drodze watę. Przykucnąłem za Seekfaxem 5000 i zapiąłem resztę guzików kombinezonu. Popchnąłem w kąt płócienną torbę i położyłem Maxine na kolanach.

— Jak myślisz, kochanie, jak długo to potrwa? — spytałem ją.

— A jak wyglądał? Miał już rozwolnienie?

— Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

— A ja?

— No, w przybliżeniu.

— Akurat, żeby dotarł do tego odcinka drogi, o którym wspominałam. Jeśli do

tego czasu nic się nie wydarzy, będziesz musiał coś wymyślić i zwabić go tutaj, a potem ogłuszyć.

— Oby do tego nie doszło.

— Na pewno nie dojdzie. To była naprawdę bardzo silna guma.

Zacząłem się jednak zastanawiać, co się stanie, jeśli guma zacznie zbyt wcześnie działać. Ale Maxine jak zawsze miała rację.

Po kilku chwilach zjechaliśmy na pobocze i zatrzymaliśmy się. Silnik zgasł. Trzask otwieranych drzwi kabiny dał się słyszeć niemal równocześnie ze zgrzytem hamulców.

— Dobra, Danny, teraz twoja kolej...

— Maxine! Posłuchaj! Nie byłem wcześniej pewien, bo pracował silnik. Gdy dotykam podstawy 5000, czuję lekką wibrację. On jest włączony!

— I co z tego? Ma własne zasilanie. Przecież sam wiesz. Nie ma pojęcia o twojej obecności, dopóki nie wprowadzisz mu tej informacji.

— ...Chyba że posiada jakiś audioczujnik.

— Wątpię. Po co? Poza tym sam wiesz, jak trudno coś takiego zainstalować.

— No to co robi?

— Może rozwiązuje jakiś problem? Co to ma zresztą za znaczenie? Idź już, dopóki jeszcze nie skończył się wypróżniać w polu. Może będziesz musiał połączyć przewody zapłonu.

Wyskoczyłem z naczepy, zabierając Maxine i płócienną torbę, i wdrapałem się do kabiny. Kluczyki były w stacyjce, więc zapaliłem silnik i ruszyłem. Kierowcy nigdzie nie było widać.

Mniej więcej pięć mil dalej zatrzymałem się w przepuście wskazanym przez Maxine i wydobyłem z torby aerozole. Czerwone boki ciężarówki pokryłem szarą farbą, zdjąłem tablice rejestracyjne i założyłem nowe, z innego stanu, skierowałem na jedną ze ścian naczepy strumień sprężonego powietrza przyspieszający schnięcie, a na koniec wyciągnąłem szablon i żółtym sprayem namalowałem napis BŁYSKAWICZNY TRANSPORT MEBLI.

Następnie wróciliśmy na drogę, obierając inny kierunek.

— Udało się nam, Maxine. Udało się — powiedziałem.

— Musiało się udać — odparła. — Mówiłam ci przecież, że wszystko potrafię obliczyć. Ile masz na liczniku?

— 55. Nie podoba mi się tylko to, że nasz pasażer jest cały czas włączony. Przy pierwszej sposobności zjadę na parking i spróbuję go wyłączyć.

— Byłoby to okrutne — zaproponowała Maxine. — Zostaw go po prostu w spokoju.

— Mój Boże! — odrzekłem. — Przecież to tylko głupia kupa śrubek! Być może jest drugim co do możliwości komputerem na świecie, ale to tępak w porównaniu z tobą. Nie posiada nawet obwodów swobodnych, zastępujących sferę uczuciową!

— Skąd wiesz? Myślisz, że jesteś jedynym projektantem na całym świecie, który mógł je opracować?... Poza tym one nie zastępują uczuć! Moje uczucia są prawdziwe!

— Przecież nic o tobie mówiłem! Ty jesteś inna!

— Mówiłeś także i o mnie! Nic dla ciebie nie znaczę, przyznaj się, Danny! Jestem tylko rzeczą, którą karmi się faktami! Nie liczę się dla ciebie... jako istota!

— Słyszałem już tę śpiewkę i nic mam zamiaru dyskutować z rozhisteryzowaną maszyną!

— Bo nie chcesz się przyznać, że to prawda!

— Słyszałaś, co powiedziałem... Hej! Za nami jedzie samochód, jest już blisko, to mercedes! To znów Sonia! Skąd... 5000! Twój chłopak wysyłał jej fale radiowe. Zdradził naszą pozycję.

— Lepiej naduś na gaz, Danny!

Przyspieszyłem, spoglądając co chwila w boczne lusterko.

— Tą ciężarówką nie odskoczę od mercedesa.

— Jak również nic pokonasz nią tego zakrętu, drogi Danny, jeśli rzeczywiście nacisnąłeś na gaz, gdy ci kazałam — a pewnie tak zrobiłeś. To się stało odruchem warunkowym. Ludzie już są tak skonstruowani.

Spojrzałem na drogę i na pierwszy rzut oka wiedziałem, że nic wyrobię tego zakrętu. Nacisnąłem na pedał i zacząłem z piskiem hamować. Poczulem zapach palonej gumy, ale nie udało mi się odpowiednio zredukować szybkości.

— Ty suko! Zdradziłaś mnie! — zawyłem.

— Żebyś wiedział. Danny! Masz za swoje, prostaku! Nawet nic potrafisz tak zwolnić, by wyskoczyć!

— Jeszcze się spotkamy! — Udało mi się trochę bardziej zwolnić. Zanim całkowicie straciłem kontrolę nad pojazdem, otworzyłem drzwi kabiny i wyskoczyłem. Uderzyłem o trawę i potoczyłem się w dół zbocza.

Pomyślałem, że warstwy ubrania zamortyzują upadek i może mnie uratują; lecz tuż przed kraksą, gdy ciężarówka była jeszcze w zasięgu fal radiowych, usłyszałem głos Maxine:

— Napisałam koniec, Danny — nieunikniony koniec. Mówiłam ci, że potrafię wszystko obliczyć... Do widzenia.

Gdy leżałem, czując się jak pocięta, poskręcana, podziurawiona i sponiewierana na wszelkie sposoby karta IBM i rozmyślając, czy bardziej przypominam Pigmaliona czy doktora Frankenstein, usłyszałem pisk hamującego samochodu na autostradzie.

Usłyszałem czyjeś zbliżające się kroki i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, skręcając głowę, były czubki białych sandałów, znajdujące się mniej więcej o sto pięćdziesiąt siedem centymetrów poniżej oczu w kolorze syropu z klonu cukrowego.

— Maxine poradziła sobie z twoim cholernym 5000 — wydusiłem. — Była w walizce. To ona dała mata twojej maszynie... Ale załatwiła też mnie... Zaplanowała wszystkie kradzieże i wszystko, co się właśnie zdarzyło...

— Kto stwarza kobietę, odważa kawał dobrej roboty — powiedziała. Dotknęła mojego policzka. Obmacała mnie, szukając połamanych kości. Wszystkie były całe.

— Ale moglibyśmy razem zbudować niesamowity komputer — przyszło mi do głowy.

— Wąs ci się przekrzywił — odparła. — Poprawię go.

I PO TOM TYLKO ZBIEGŁ, BY WAM DAĆ ŚWIADECTWO

Oto jeszcze jedno z tych opowiadań, których pisanie sprawia mi ogromną przyjemność, gdy i okazja do tworzenia, i sam pomysł zjawiają się jednocześnie, jak na zawołanie. Traktuję takie rzeczy jak rysunki, jak komiksy z małą ilością słów — pracuję przy nich trochę jakby od tyłu.

Nie opuszczała ich ani na moment — czarna plama dokładnie nad nimi, w miejscu, z którego spływała niemal oślepiająca ulewa błyskawic i grzmotów, ryczących jak artyleryjski ogień. Van Berkum zatoczył się przy kolejnym przechyle statku, omalże nie upuszczając paki. Wokół niego wyły wichry, wdzierając się w każdą dziurę przemoczonej odzieży; woda pluskała i wirowała pod stopami, wycofując się, wracając, znowu wycofując. O statek nieustannie rozbijały się ogromne fale. Wśród omasztowania tańczyły dziwne, zielone ognie św. Elma.

Nagle usłyszał krzyk innego marynarza, przedzierający się przez sztorm i grzmoty. Jeszcze jedna przypadkowa ofiara dryfujących demonicznych oprawców.

Wysoko w olinowaniu wisiał uwieczony trup, obdarty doszczętnie ze skóry przez rozgniewane żywioły; jego szkielet jaśniał zielonym blaskiem, a prawe ramię kołysane wiatrem zdawało się machać, jakby w geście pożegnania, a może zaproszenia.

Van Berkum przeciął pokład i wszedł do nowej ładowni; karton trzeba było przywiązać rzemieniami. Ile razy przenosili już te kartony, paki, i beczki? Już dawno stracił rachubę. Chyba za każdym razem, gdy się z tym uporali, przychodził nowy, taki sam rozkaz.

Popatrzył ponad burtą. Gdy tylko był w tym miejscu, gdy tylko nadarzała się okazja, spoglądał na odległy horyzont, rozmyty w zasłonie deszczu. I żył nadzieją.

Tym właśnie różnił się od innych. Nie pogrążał się w otepieniu, jak pozostali, żył nadzieją — choć niewielką — gdyż miał plan. Statkiem wstrząsnęła potężna salwa śmiechu. Van Berkum zadrżał. Kapitan niemal nie opuszczał już kabiny, zabarykadowany z beczką rumu. Mówiono, że gra w karty z Szatanem. Odgłos zabrzmiał właśnie tak, jakby to właśnie Szatan wygrał nowe rozdanie.

Pod pozorem inspekcji umocowań ładunku, Van Berkum odnalazł jeszcze raz swą beczkę, przemieszana wśród innych. Mógł ją odróżnić po małej plamce niebieskiej farby. W odróżnieniu od innych była pusta i uszczelniona od wewnątrz.

Odwrócił się i ruszył z powrotem przez pokład. Coś wielkiego, o nietoperzych skrzydłach, przemknęło mu za plecami. Skulił ramiona i przyspieszył kroku.

Jeszcze cztery pakunki, za każdym razem szybkie spojrzenie w dal. I wtedy — wtedy...?

Wtedy!

Zobaczył go. Statek, od strony dziobowej! Rozejrzał się nerwowo dookoła. Był sam. To było to. Jeśli się pospieszy. Jeśli go nikt nie zobaczy.

Podbiegł do beczki, rozpiął umocowania, rozejrzał się raz jeszcze. Nadal nikogo w pobliżu. Drugi statek najwyraźniej się przybliżał. Nie było czasu ani możliwości

pomiaru kursu, wiatrów czy prądów. Był tylko hazard i nadzieja.

Musiał podjąć to pierwsze i żywić się tym drugim. Przetoczył beczkę pod burte, podniósł ją i wyrzucił. W chwilę później skoczył jej śladem.

Woda była lodowata, spieniona, mroczna. Prąd ściągał go w głębinę. Rozpaczliwie szarpał wodę ramionami, starając się wydostać na powierzchnię.

Wreszcie zobaczył błysk światła. Bałwany miały nim w różnych kierunkach, wiele razy wyrzucały w górę i znów spychały pod wodę. Jednak za każdym razem wypływał.

Był już prawie skłonny się poddać, gdy nagle morze uspokoiło się. Odgłosy sztormu ucichły. Niebo przejaśniało. Bijąc rękoma wodę, dostrzegł znikający w oddali statek, z którego właśnie wyskoczył, unoszący ze sobą swe prywatne piekło. A bliżej, po lewej stronie, wystawała z wody beczka z niebieską plamą. Rzucił się w jej kierunku. Zdołał dotrzeć i schwycić się jej. Mógł nawet częściowo wynurzyć się z wody. Przywarł do beczki całym ciałem i ciężko dyszał. Chwyciły go dreszcze. Choć morze uspokoiło się, woda była nadal bardzo zimna. Gdy poczuł się odrobinę silniejszy, uniósł głowę i rozejrzał się aż po horyzont.

Tam!

Statek, który wtedy zobaczył, był teraz jeszcze bliżej. Uniósł rękę i pomachał. Zerwał z siebie koszulę i podniósł ją jak najwyżej, trzepoczącą na wietrze jak sztandar.

Trzymał ją tak, aż nie zdrętwiało mu ramię. Gdy spojrzął raz jeszcze, statek przybliżył się jeszcze bardziej, jednak nic nie wskazywało, by ktoś go zauważył. Na podstawie względnych kursów statku i beczki, stwierdził, że za kilka minut mogą się zrównać. Przełożył koszulę do drugiej ręki i zaczął nią znów machać.

Gdy spojrzął ponownie, dostrzegł, że statek zmienia kurs i kieruje się wprost na niego. Gdyby miał więcej sił lub gdyby nie wyssano z niego wszystkich uczuć, na pewno załkałby ze szczęścia. Prawie natychmiast zdał sobie sprawę z potwornego zmęczenia i przemożnego zimna. Oczy paliły go od słonej wody, a jednak najchętniej teraz by je zamknął. Nie mógł spuścić wzroku ze zdrętwiałych dłoni w obawie, że palce rozluźnią chwyt i puszczą beczkę.

— Szybciej! — westchnął. — Szybciej...

Był prawie nieprzytomny, gdy wciągano go do szalupy i owinięto w koce. Zasnął, nim dobili do burty.

Przespał resztę dnia i całą noc, budząc się tylko na łyk gorącego grogu i barszczu. Gdy spróbował się odezwać, nikt go nie zrozumiał. Dopiero następnego popołudnia przyprawdzono marynarza znającego holenderski. Opowiedział mu całą swą historię, od chwili podpisania kontraktu aż do skoku w morską otchłań.

— To niewiarygodne! — zdumiał się marynarz, przerywając na chwilę długie tłumaczenie dla oficerów. — Więc ten miotany sztormem statek-widmo, który wczoraj widzieliśmy, to naprawdę „Latający Holender”? Więc on istnieje naprawdę — a ty, ty jesteś jedynym człowiekiem, który zdołał z niego zbiec!

Van Berkum uśmiechnął się słabo, opróżnił i odstawił dzban wciąż trzęsącą się ręką.

Marynarz poklepał go po ramieniu.

— Odpoczywaj teraz w spokoju, przyjacielu. Wreszcie jesteś bezpieczny — powiedział — i wolny od statku demonów. Jesteś na pokładzie okrętu sławnego z bezpiecznej żeglugi, w towarzystwie wspaniałych oficerów i załogi — a w dodatku zaledwie o kilka dni od macierzystego portu. Odzyskuj siły i usuń ze swych myśli wspomnienia minionych nieszczęść. Witaj na pokładzie „Marii Celestyny”.

KONIE LIRA

Wysłałem to opowiadanie do The Saturday Evening Post. Wysłałem trzy razy. Podobno gubili rękopis, więc przestałem.

Ponad wodą księżyc świecił przytłumionym i rozproszonym we mgle blaskiem. Białe wąsy światła ślizgały się i dryfowały po powierzchni, poruszane chłodnym wiatrem. Spoglądając w ciemną głębię, Randy kilkakrotnie wygładził kurtkę i postąpił przed siebie. Ściągając usta, poczuł suchość w gardle.

Wzdychając niemal z ulgą, odwrócił się i cofnął o parę kroków. Noc była niezwykle spokojna. Usiadł na kamieniu, wyciągnął z kieszeni fajkę i zaczął ją nabijać:

Co ja tu robię? zadał sobie pytanie. Jak mogę...?

Gdy osłaniał ręką ogień przed podmuchami wiatru, jego wzrok padł na założony na wskazujący palec pierścień z brązu, ozdobiony celtyckim ornamentem.

Jest rzeczywisty, pomyślał, i należy do mnie, więc potrafię to zrobić. Ale to...

Opuścił rękę. Nie chciał myśleć o tym, że dziesięć czy dwanaście kroków w górę wznoszącego się za nim wzgórza w płytkiej niszy spoczywało ciało.

Jego stryj Stefan opiekował się nim przez prawie dwa lata po śmierci rodziców jeszcze w Filadelfii. Pamiętał dzień, gdy przyleciał tu — po tym nie kończącym się locie — i moment spotkania ze starcem na lotnisku w Glasgow. Wydawał się niższy niż we wspomnieniach, może częściowo dlatego, że trochę pochylił się i przygarbił. Miał zupełnie siwe włosy i ogorzałą twarz człowieka, który większą część swego życia spędził na dworze. Randy nigdy się nie dowiedział, ile stryj ma lat.

Nie objął go na powitanie. Po prostu wziął go za rękę i przelotnie spojrzął mu w oczy, jak gdyby pragnął w nich coś odnaleźć. Potem kiwnął głową i odwrócił wzrok. Może właśnie wtedy Randy po raz pierwszy zobaczył pierścień.

— Będziemy dzielić dom, chłopcze — powiedział. — Bierzmy się za bagaże.

W jeziorze coś plusnęło. Randy popatrzył uważnie na pokrytą mgłą tafelę wody, lecz niczego nie udało mu się wypatrzeć.

Wiedzą. W jakiś sposób udało im się dowiedzieć. Co teraz?

W drodze do domu stryj szybko dowiedział się, że Randy posiada jedynie powierzchowną znajomość galijskiego. Postanowił zaradzić tej sytuacji, odzywając się do Randy'ego niemal wyłącznie w tym języku. Z początku irytowało to chłopca, który nie widział sensu w posługiwaniu się nim we współczesnym świecie. Jednak dzięki wcześniej poznanym podstawom przypominał sobie szybko słowa i zwroty i po kilku miesiącach zaczął odnajdywać piękno dawnej mowy. Teraz niezmiernie był dumny z tej wiedzy — jeszcze jednej rzeczy, którą zawdzięczał starcowi.

Ujął w dłonie niewielki kamyk i cisnął go w wodę. Usłyszał, jak kilkakrotnie odbija się od powierzchni. Po kilku chwilach odpowiedział mu echem o wiele głośniejszy plusk. Randy zadrżał.

Przez całe minione lato pracował u stryja w wypożyczalni łodzi. Czyścił, uszczelniał, malował, naprawiał, budował łódki... Coraz częściej wypływał też sam,

gdy stryj zaczął wycofywać się powoli z interesu.

— Jako że Mary — niech spoczywa w spokoju — nigdy nie dała mi dzieci, któregoś dnia to wszystko będzie twoje, Randy — oznajmił stryj pewnego dnia. — Naucz się dobrze tego fachu, a będziesz miał utrzymanie na całe życie. Coś tu dla ciebie się znajdzie.

— Ale dlaczego?

— Bo jeden z nas zawsze tu mieszkał.

— I nadal musi tak być? Po co? Stephen uśmiechnął się.

— Pewnego dnia — odparł — pojmiesz wszystko.

Lecz ten dzień nie nadchodził, a tymczasem inne sprawy zaprzętały jego uwagę. Mniej więcej raz na miesiąc stryj wstawał i znikał przed wschodem słońca. Nigdy nie mówił, dokąd się udaje, ani nie odpowiadał na pytania dotyczące podróży. Nigdy też nie wracał przed zmrokiem, a żywione głęboko podejrzenia Randy'ego nigdy się nie sprawdziły: stryj nigdy nie wnosił z powrotem zapachu whisky.

Randy oczywiście któregoś dnia ruszył za nim. Stryj nigdy go przed tym nie przestrzegwał, ale chłopiec podejrzewał, że spotkałoby się to z ogromną dezaprobatą. Musiał więc bardzo uważać. Ubierając się pospiesznie, nie spuszczał wzroku ze starca kierującego się w stronę kępy drzew. Zawiesił na drzwiach tabliczkę ZAMKNIĘTE i ruszył przez chłodne powietrze ostatnich chwil przed świtem. Zobaczył go jeszcze raz, przez krótką chwilę, ale później Stephen rozplynał się przy rumowisku skalnym, a Randy nie potrafił odnaleźć żadnych dalszych śladów. Pół godziny później zdjął tabliczkę i zabrał się do śniadania.

Próbował śledzić go jeszcze dwa razy, ale z tym samym skutkiem. Drażniło go, że starzec potrafi tak łatwo wywieść go w pole, i może jeszcze bardziej, że stryj trzyma przed nim zamknięty jakiś rozdział swego życia — gdyż w miarę wspólnej pracy poznawał go coraz lepiej i czuł coraz większą sympatię dla starszego brata ojca.

Niespodziewanie pewnego ranka Stephen obudził go wcześniej.

— Ubieraj się — powiedział. — Chcę, żebyś ze mną poszedł.

Tamtego ranka stryj sam wywiesił na drzwiach napis ZAMKNIĘTE i Randy ruszył za nim ścieżką wśród drzew, schodzącą pomiędzy skałami aż do doskonale zamaskowanego wejścia do długiego tunelu. Randy słyszał odgłos spływającej wody, i zanim jeszcze stryj zapalił pochodnię, zorientował się, że znaleźli się w dość dużej jaskini.

Jego oczy nie od razu przyzwyczyły się do światła. Po chwili dopiero zdał sobie sprawę, że patrzy na podziemną przystań. Jeszcze dłuższa chwila minęła, zanim pojął, że dziwaczny obiekt po lewej stronie przypomina łódź stojącą w suchym doku. Podeszedł bliżej i przyjrzał się jej uważnie, podczas gdy stryj zapalił następną pochodnię.

Miała płaskie dno i kształtem przypominała literę U. To, co w pierwszej chwili uznał za stojący pod nią wózek, okazało się jej częścią. Po obu stronach znajdowały się koła. Na każdym boku i z przodu zwisały wielkie metalowe pierścienie. Pojazd przechylony był na jedną z burt, opierając się na krzywej krawędzi. Jednakże te niuanse budowy wzbudziły w nim jedynie powierzchowną ciekawość; opanowało nim przede wszystkim przemożne uczucie zachwyty nad jej pięknem.

Jej okrężnica, czy też boki — w zależności, do czego służyć miał ten obiekt —

pokryta była cieniutkimi tabliczkami z brązu o zadziwiającej ornamentyce. Układały się one w pętle i zwoje, przypominające w przedziwny sposób niektóre z bardziej abstrakcyjnych figur z *Księgi Kellów*; część ozdobiona była gdzieniegdzie główkami dużych gwoździ. Przerwy wypełnione były czymś w rodzaju emalii — czerwoną i zieloną w migającym świetle.

Odwrócił się, gdy stryj podszedł do niego.

— Czyż nie piękna? — spytał z uśmiechem.

— Ale — to powinno znajdować się w muzeum!

— Nieprawda, tutaj jest jej miejsce.

— Co to jest?

Stephen wydobyl szmatkę i zaczął polerować tabliczki.

— Rydwan.

— Nie wygląda jak rydwany, które widziałem na ilustracjach. Przede wszystkim jest bardzo duży.

Stephen chrząknął, tłumiąc śmiech.

— Jest taki, jaki powinien być. Jest własnością boga. Randy spojrzal, czy stryj nie żartuje. Z wyrazu jego twarzy wywnioskował, że nie.

— To znaczy... do kogo należy? — spytał.

— Do Lira, Władcy Wielkiego Oceanu. Wraz z innymi Starożytnymi pogrążony jest on teraz we śnie, prawie przez cały czas.

— A tak w ogóle — to co on tu robi? Stryj roześmiał się ponownie.

— No, gdzieś go trzeba było zaparkować, prawda?

Randy przesunął dłonią po zimnych, gładkich ornamentach burty.

— W zasadzie byłbym skłonny uwierzyć — powiedział — ale nie rozumiem, jaki stryj ma z tym związek?

— Raz na miesiąc przychodzę, by go wyczyścić, odkurzyć, zrobić przegląd.

— Dlaczego?

— Któregoś dnia bóg może go potrzebować.

— Ale dlaczego stryj?

Spojrzal ponownie na stryja, który znów się uśmiechnął.

— Tę pracę wykonywał członek naszego rodu — powiedział — od czasów, zanim człowiek zaczął spisywać swe dzieje. To część mych obowiązków.

Randy raz jeszcze przyjrzał się rydwanowi.

— Trzeba by słonia, by to pociągnąć.

— Słoń to zwierzę lądowe.

— Jak więc...?

Stryj wyciągnął dłoń i oświetlił pochodnią jeden z pierścieni.

— Jestem Koniuszym Lira, Randy. Oto godło mojego urzędu, choć dziś, po tych wszystkich latach, poznałyby mnie i bez niego.

Randy popatrzył z uwagą na pierścień. Jego ornamentyka podobna była do tej na rydwanie.

— Konie Lira? — spytał.

Wuj skinął potakująco głową.

— Zanim zasnął z innymi Starożytnymi, sprowadził je na podziemne pastwisko. Pierścień zaś przekazał jednemu z naszych praprzodków, by zajął się nimi, by nie

dopuścił, by zdziczały.

Randy'emu zakręciło się w głowie. Musiał chwycić się rydwanu, by nie upaść.

— A więc te wszystkie opowieści o tym jeziorze...?

— Są prawdziwe — dokończył Stephen. — Żyje ich tu cała rodzina, całe stado. — Wykonał ręką gest w kierunku wody. — Od czasu do czasu przywołuję je, przemawiam do nich i śpiewam im pieśni w dawnej mowie, by nie zapomniały.

— Dlaczego przyprowadziłeś mnie tu, stryju? Dlaczego opowiadasz mi o tych wszystkich tajemnicach? — spytał Randy.

— Potrzebuję pomocnika. Moje ręce nie są już tak sprawne — odparł. — A nikt inny prócz ciebie nie wchodzi w rachubę.

Randy przepracował cały dzień, czyszcząc burty, oliwiąc ogromne i nadzwyczaj wymyślne uprząże wiszące na ścianie. Ostatnie słowa wuja zaniepokoiły go bardziej niż trochę.

Mgła zgęstniała. W jej oparach poruszały się jak gdyby jakieś kształty, wielkie, powolne cienie prześlizgujące się gdzieś w oddali. Wiedział, że nie są to igraszki księżyca, bawiącego się swym blaskiem, bo przeżył już podobną noc...

— Weź sweter, chłopcze — powiedział stryj. — Przejdziemy się trochę.

— Dobrze.

Odłożył książkę i spojrział na zegarek. Było późno. O tej porze przeważnie już spali. Randy siedział tak długo, gdyż stryj krzątał się po chacie, zajęty mnóstwem drobnych domowych prac.

Na dworze było wilgotno i dość chłodno. Wcześniej, w ciągu dnia, padało. Teraz otoczyła ich mgła, kłębiąca się na wodzie.

Gdy schodzili ścieżką prowadzącą na brzeg, Randy domyślił się, że nie chodzi o zwykłą przechadzkę. Szedł za niesionym przez stryja światłem, mijając przystań, ku samotnemu rumowisku, gdzie łódź wpadała gwałtownie do głębokiej wody. Poczul nagle przyływ ożywienia, podniecenia: oto miał dowiedzieć się czegoś nowego o niezwykłych obowiązkach stryja. Od czasu, gdy zamieszkali razem, zdążył już polubić starca i pragnął dzielić jak najwięcej z jego życia.

Dotarli wreszcie do celu, otoczeni zewsząd ciemnością, mgłą i pluskającą wodą. Stephen odłożył latarkę na ziemię i usiadł na kamieniu. Gestem wskazał Randy'emu miejsce obok siebie.

— Bez względu na to, co się stanie, nie chcę, byś ruszał się stąd — oznajmił stryj.

— Dobrze.

— A jeśli będziesz musiał odezwać się, używaj tylko dawnej mowy.

— Obiecuję.

— Teraz przywołam Konie.

Randy zeszywniał. Stryj położył mu rękę na ramieniu.

— Tak, będziesz się bał, lecz pamiętaj, że nie stanie ci się żadna krzywda, o ile zostaniesz przy mnie i będziesz robił to, co ci każę. Musisz zostać przedstawiony. Zaczynam je przywoływać.

Randy skinął głową w bladym świetle księżyca.

— Możesz zaczynać, stryju.

Usłyszał dziwne, wibrujące dźwięki, a potem pieśń. Po pewnym czasie usłyszał głośny plusk wody i zobaczył zbliżający się cień. Cień był ogromny, choć nadal

trudno było zobaczyć określony kształt. Był wystarczająco wielki, by pociągnąć rydwan, zrozumiał nagle. Jeśli ktoś zdoła go okiełznać...

To coś przybliżyło się. Zobaczył, że z masywnego korpusu wyrasta nieproporcjonalnie cienka szyja; stwór wystawił głowę ponad powierzchnię i obracając nią, wypatrywał ich przez przesuwające się opary.

Randy zacisnął ręce na kamieniu. Chciał uciec, lecz nie potrafił się poruszyć. Jednak to nie odwaga go powstrzymywała, tylko silny, paraliżujący strach, od którego włosy jeżyły się na głowie.

Popatrzył na Konia, niemal zupełnie nie zdając sobie sprawy, że jego stryj przemawia teraz w szkockim dialekcie dawnej mowy.

Postać przed nimi była w ciągłym ruchu, od czasu do czasu wyciągając szyję w ich kierunku. Omalże nie roześmiał się, gdy przemknęła mu przez głowę dziwaczna analogia z tańczącym wężem. Oczy potwora, w których odbijał się teraz słaby błysk ich pochodni, były niewiarygodnie wielkie. Głowa to przybliżała się, to oddalała. Przybliżała...

Nagle była tak blisko, że niemalże dotknęła stryja, który wyciągnął rękę i dotknął jej, nie przestając cicho przemawiać.

W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że stryj mówi do niego. Nie wiedział, jak długo to trwało.

— ...Oto Scafflech — mówił — a tamten obok to Finntag...

Randy nie zauważył nawet, że następny stwór dołączył do pierwszego. Dopiero teraz z ogromnym wysiłkiem odwrócił oczy od pochylającej się ku niemu ogromnej gądziej głowy. Omijając ją wzrokiem, dostrzegł, że drugi potwór był już całkiem blisko i że również wychyla swą głowę w ich kierunku. Z tyłu zaś dochodził coraz głośniejszy plusk wody, z której wynurzały się kolejne błyszczące kształty, rozdzielające opary mgły jak dzioby statków wikingów.

— ...To jest Garwal. Przemów do nich, aby poznały twój głos. Randy poczuł, że jeszcze chwila, a zaniesie się histerycznym śmiechem. Jednak zdołał się opanować i odezwał się jak gdyby do wielkiego, obcego psa.

— Dobry stwór... No, chodź tu... Jak się masz? Dobry, stary przyjaciel...

Powoli uniósł rękę i dotknął gładkiego pyska. Stephen go wcale o to nie prosił. Sam nie był pewien, dlaczego to zrobił; może dlatego, że był to zwykły odruch, jaki zawsze towarzyszy podobnej przemowie.

Głowa pierwszego stwora jeszcze bardziej przybliżyła się do jego twarzy. Czuł jego oddech.

— Mam na imię Randy, Scafflech — usłyszał własne słowa. — Randy...

Tej nocy został przedstawiony ośmiu Koniom, różniącym się wielkością i przeznaczeniem. Gdy na znak stryja w końcu zniknęły, Randy siedział po prostu bez słowa wpatrzony w wodę. Wraz z ich odejściem ulotnił się strach. Teraz odczuwał tylko dziwne odrętwienie.

Stephen podniósł się, pochylił, wziął z ziemi pochodnię.

— Chodźmy — nakazał.

Randy skinął głową i uniósłszy się powoli, powłókł się za stryjem. Był pewien, że tej nocy nie zazna snu, lecz gdy tylko po powrocie do domu rzucił się na łóżko, świat odpłynął niemal w tej samej chwili. Spał dłużej niż zwykle. Nie pamiętał, co mu się

śniło.

Znów był na brzegu, znów czekał. Od tamtego wieczoru widział je jeszcze kilkakrotnie, ale nigdy nie sam. Stryj nauczył go pieśni, przewodnich słów i fraz, lecz nigdy jeszcze nie dane mu było ich użyć. Teraz, tego wieczoru tak łudząco podobnego do tego pierwszego, był znów tu, tym razem sam; i wraz z tą samotnością powrócił strach. Popatrzył na pierścień na palcu. Czy go rzeczywiście rozpoznały? Czy rzeczywiście wiązała się z nim odrobina dawnej magii? Czy może miał być po prostu psychiczną podporą dla posiadacza?

Nagle jeden z większych kształtów — być może Scafflech — przybliżył się, po czym pospiesznie zawrócił. Nadeszły bez wezwania. Czekwały na jego rozkazy, podczas gdy on ścisnął w dłoniach dawno wygasłą fajkę i trząśł się ze strachu.

Stephen chorował przez cały miesiąc i w końcu położył się do łóżka. Randy z początku podejrzewał grypę, jednak stan zdrowia starca stopniowo się pogarszał. W końcu zdecydował się sprowadzić lekarza.

Ale Stephen odmówił i Randy musiał się podporządkować. Tamtego ranka stryj poczuł się jeszcze gorzej.

— Nic nie poradzimy, chłopcze — powiedział Stephen. — Czasami człowiek po prostu to wie; my zaś wiemy to zawsze. To wydarzy się dzisiaj. Na razie najważniejsze, żeby nie było żadnego lekarza, żeby nikt w ogóle się tymczasem nie dowiedział.

— O co chodzi? — spytał Randy.

— Gdyby był lekarz, zaraz potrzebne by było świadectwo zgonu, może sekcja, pogrzeb. Nie mogę na to pozwolić. Zrozum, dla nas. Koniuszych, przewidziane jest specjalne miejsce... Pragnę dołączyć do moich ojców i dziadów, spocząć w miejscu, gdzie śpią Starożytni... Taką złożono obietnicę...

— Gdzie? Gdzie jest to miejsce? — spytał.

— Na Wyspach Błogosławionych, daleko od lądu... Musisz mnie tam zabrać...

— Stryju — powiedział, biorąc starca za rękę — uczyłem się geografii w szkole. Takie miejsce nie istnieje. Jak mogę...?

— Ja również miałem ten problem — odrzekł — ale byłem już raz tam... Odwoziłem mego ojca, dawno temu... Konie znają drogę...

— Konie! Skąd mógłbym... Skąd one...

— Rydwan... Musisz zaprząć Scafflecha i Finntaga do rydwanu i położyć na nim me ciało. Wpierw mnie wykąp i ubierz w szaty, które znajdziesz w tamtej skrzyni...

— Skinieniem głowy wskazał na starą skrzynię okrętową stojącą w rogu. — Potem wdrap się na miejsce woźnicy, weź lejce i każ im zawieźć się na Wyspy...

Randy zaszlochał, po raz pierwszy od śmierci rodziców — kiedy to było?

— Stryju, nie mogę — powiedział. — Ja się ich boję. Są tak wielkie...

— Musisz. Inaczej nie zaznam spokoju... Odwiąż jedną łódź. Później powiesz ludziom, że wypłynąłem w morze...

Wytań rękami twarz stryja. Wsłuchiwał się w dobywające się z płuc starca charczenie.

— Tak się boję — wyznał.

— Wiem — wyszeptał Stephen. — Ale zrobisz to.

— Spró... spróbuję.

— Masz... — Stryj wręczył mu pierścień. — Będzie ci potrzebny... Po nim rozpoznają w tobie nowego Koniuszego...

Randy ujął pierścień.

— Załóż.

Gdy wsunął go na palec, Stephen położył mu dłoń na głowie i pochylił się ku niemu.

— Przekazuję ci me powinności — oświadczył — byś stał się Koniuszym Lira.

Ręka stryja opadła bezwładnie, a oddech stał się jeszcze bardziej chrapliwy. Przebudził się jeszcze dwukrotnie, lecz nie mógł już prawie rozmawiać. Umarł o zachodzie słońca. Zgodnie z życzeniem, Randy wykopał go i przebrał, nie przestając zanosić się od płaczu. Nie wiedział, czy płacze ze smutku, czy ze strachu.

Zszedł do groty przygotować rydwan. Przy świetle pochodni zdjął wielkie uprząże i przymocował je do pierścieni tak, jak pokazywał mu wcześniej stryj. Pozostało mu tylko przywołać Konie do tej podziemnej sadzawki, która łączyła się z jeziorem wijącym się podziemnym tunelem, i zaprząć je do rydwanu...

Starał się nie myśleć o tej części zadania w trakcie pracy. Sprawdził dyszel i przepchnął zadziwiająco lekki pojazd nad wodę. Najmniej ze wszystkiego pragnął teraz myśleć o wodnej przeprawie przez wzburzone fale, na wozie ciągniętym przez bestie, ku mitycznej wyspie, z ciałem stryja za plecami.

Wyszedł z jaskini i doszedł do przystani, gdzie otakłował niewielką łódkę, odeumował i popchnął ją w wody jeziora. Mgły zaczynały się już unosić. Pierścień błyszczał na palcu w świetle księżyca.

Wrócił do chaty po stryja i złożył jego ciało w niewielkiej niszy przy wejściu do jaskini. Później zawiodły go nerwy; usiadł z fajką w ręku i nic był w stanie się poruszyć.

Słysząc było ciągły plusk wody. Konie czekały. Wtedy przed oczami stanęła mu postać stryja, który dał mu swój dom, który obdarzył go tym niezwykłym obowiązkiem...

Zerwał się na nogi i podszedł do wody. Wyciągnął dłoń, na której widniał pierścień.

— Dobrze więc — rzekł. — Nadszedł czas. Scafflech! Finntag! Do jaskini! Tam, gdzie rydwan! Natychmiast!

Dwa kształty podплыnęły bliżej, zadzierając wysoko głowy na wspaniałych szyjach.

Powinienem był przewidzieć, że nie będzie to takie proste, pomyślał.

Ugięły szyje, spoglądając w dół. Użył tych samych słów, z jakimi zwrócił się do nich pierwszego wieczoru. Powoli opuściły głowy. Kilkakrotnie machnął pierścieniem przed ich oczami. Wreszcie, gdy były już zupełnie blisko, wyciągnął rękę i poklepał je po karkach. Powtórzył polecenie.

Nie ociągając się, wycofały, odwróciły i skierowały się w stronę tunelu. Wtedy ruszył ku lądowemu wejściu do jaskini.

Czekały już przy sadzawce. Stwierdził, że musi odczepić prawie całą uprząż z rydwanu, by dopasować ją do zwierząt i umocować od nowa. W tym celu musiał wspiąć się im na grzbiety. Zdjął buty. Ich skóra pod stopami Randy'ego była dziwnie

delikatna i gładka, a same Konie zachowywały się ulegle i posłusznie, jak gdyby ktoś układał je do tej czynności. Przez cały czas przemawiał do nich, poklepywał po karkach, nucił pod nosem melodię jednej z dawnych pieśni.

Te wszystkie przygotowania zajęły niemal godzinę. Wreszcie wspiał się na rydwan i ujął lejce.

— Ruszamy — powiedział. — Ostrożnie. Powoli. Z powrotem do zatoczki.

Zwierzęta ruszyły, koła obróciły się. Poczuł, jak lejce napinają mu się w dłoniach. Rydwan przesunął się na brzeg sadzawki i zaczął zanurzać się w wodzie. Po chwili zaczął unosić się na powierzchni; zbliżyli się do zakrętu i gładko go opłynęli.

Poruszali się w zupełnych ciemnościach, lecz zwierzęta były bardzo ostrożne. Rydwan ani razu nie musnął nawet skalistych ścian.

Wreszcie oblał ich blask księżyca i otoczyła mgła unosząca się nad taflą jeziora. Randy skierował je ku zatoczce i tam nakazał się im zatrzymać.

— Czekajcie tu — powiedział.

Zszedł z rydwanu i brodząc po wodzie, dotarł do brzegu. Woda była zimna, lecz niemal nie zwracał na to uwagi. Wspiał się zboczem do miejsca, w którym spoczywało ciało stryja i chwycił je w ramiona. Delikatnie zniósł je na dół i ponownie wkroczył w chłodną wodę. Teraz już pewnie chwycił lejce.

— No, dalej — powiedział. — Znacie drogę! Na Wyspy Błogosławionych! Prowadźcie!

Ruszyły. Z początku powoli, po długim, zamaszystym łuku, który wyniósł je w mglistą otchłań jeziora. Po obu stronach słyszał plusk wody: spoglądając na prawo i lewo, zobaczył, że towarzyszą im pozostałe Konie.

Nabrali szybkości. Rzeczywiście wydawało się, że zwierzęta dobrze znają drogę. Wokół unosiły się kłęby mgły, przywodzące na myśl jakiś upiorny las. Przez chwilę nie mógł się pozbyć wrażenia, że rzeczywiście jadą przez niemą, mistyczną puszcę, pamiętającą dawno zapomniane czasy.

Mgły wznosiły się i gęstniały, woda kipiała. Całkowicie zdał się na zwierzęta. Nawet gdyby znał drogę, niewiele by to zmieniło, ponieważ i tak nie widział, dokąd płyną. Z początku sądził, że obiorą kurs na Kanał Kaledoński, przez który wypłyną na pełne morze. Teraz jednak miał wątpliwości. Skoro ciała Koniuszych od zawsze przewożone były na te tajemnicze wyspy, to jak byłoby to możliwe w dawnych czasach? Pamiętał przecież, że kanał wykopano dopiero w dziewiętnastym wieku.

Lecz gdy patrzył na tańczące w blasku księżyca mgły i na prujące wodę stwory, musiał uwierzyć, że istnieje inna droga — droga, którą być może znają tylko Konie. Czy więc jakimś sposobem wieziono go ku miejscu, które jedynie od czasu do czasu odciska ślad na realnej egzystencji?

Trudno było określić, jak długo płynęli wśród morskich upiorów. Pewnie przez wicie godzin. Księżyc już dawno zszedł, lecz niebo zaczynało szarzeć, a po prawej stronie poczęła wschodzić czerwona plama słońca. Po jakimś czasie mgły opadły; rydwan pruł teraz fale pod błękitnym niebem. Nigdzie nie było widać śladu ładu.

Gdy Scafflech i Finntag ciągnęły bez wytchnienia rydwan, pozostałe Konie igrały wesoło w falach. Choć bolały go nogi i ramiona, a na dodatek zerwał się silny wiatr, Randy nie wypuszczał lejców z rąk, jedynie mruganiem powiek broniąc się przed unoszącymi się drobinkami wody.

Wreszcie dostrzegł jakiś zarys. Z początku nie był pewien, lecz w miarę zbliżania się rozmazany kształt przerodził się w wyraźny obraz. Była to wyspa, ze wzgórzami porośniętymi zielonymi drzewami, ze skalistym brzegiem chłostanym przez fale.

Gdy podpłynęli bliżej, okazało się, że widziany ostrów jest tylko jednym z wielu.

Pozostawili z tyłu jeszcze dwie wyspy, zanim Konie skręciły i skierowały się ku kamiennemu nadbrzeżu głębokiej zatoczki, leżącej u stóp wysokiego, zielonego wzgórza. Jego zbocze poznaczone było ogromnymi, zielonymi drzewami, których kilka rosnęło również w pobliżu przystani. Gdy podpłynęli pod pomost, usłyszał śpiewające w ich listowiu ptaki.

Kiedy zacumował przy nadbrzeżu, pod najbliższym drzewem dostrzegł trzech mężczyzn, ubranych w szaro–zielono–niebieskie szaty. Ruszyli w jego stronę i zatrzymali się dopiero przy rydwanie. Zabrakło mu odwagi, by spojrzeć im w twarz.

— Przekaż nam naszego brata Koniuszego — przemówił jeden z nich w dawnej mowie.

Z wysiłkiem podniósł przemoczone ciało stryja. Poczuł, że odbierają go z jego ramion.

— Teraz i ty zejdz na brzeg, boś znużony. Twe rumaki znajdą opiekę.

Nakazał Koniom, by poczekały, sam zaś zszedł z kozła i ruszył wybrukowanym duktem za trzema postaciami. Jedna z nich odprowadziła go na stronę do małej kamiennej chatki, podczas gdy pozostała dwójka, niosąca ciało stryja, szła dalej przed siebie.

— Twoje rzeczy są mokre — powiedział mężczyzna. — Weź to. — Podał mu zielono–niebieską szatę podobną do tej, którą sam miał na sobie, i do tej, w którą Randy ubrał stryja na drogę. — Spożyj coś teraz. Jadło jest na stole — mówił dalej mężczyzna — a tam jest posłanie. — Skinął ręką. — Zaśnij.

Randy rozebrał się i wdział szaty, którymi go obdarowano. Gdy znów się rozejrzył, zobaczył, że jest sam. Stwierdzając, że jest niewyobrażalnie głodny, podszedł do stołu. Potem zasnął.

Gdy się obudził, było już ciemno. Wstał i podszedł do drzwi chaty. Księżyc już wzeszedł, a niebo rozgwieżdżone było jak nigdy dotąd. Znad morza poczuł podmuch wonnej bryzy.

— Dobry wieczór.

Mężczyzna siedzący na kamiennej ławce pod drzewem powstał na jego widok.

— Dobry wieczór.

— Twe Konie są już zaprzężone. Rydwan gotowy do powrotnej drogi.

— A mój stryj...?

— Powrócił do domu. Wypełniłeś swą powinność. Odprowadzę cię do morza.

Wrócili na ścieżkę i ruszyli ku zatoczce. Randy zobaczył rydwan, prawie w tym samym miejscu, gdzie go zostawił, zaprzężony w dwa Konie. Na pierwszy rzut oka zauważył, ku własnemu zdziwieniu, że nie były to Scafflech i Finntag. W wodzie poruszały się inne kształty.

— Lepiej, by dwa inne odbyły drogę w zaprzęgu — powiedział mężczyzna, jak gdyby czytając w jego myślach — a starszym pozwoliły odpocząć.

Randy skinął głową. Uścisk dłoni na pożegnanie nie wydał mu się w tych okolicznościach odpowiednim gestem. Zszedł do rydwanu i odwiązał lejce od

poprzeczki.

— Dziękuję — powiedział — za... wszystko. Opiekujcie się nim. Do widzenia.

— Człowiek, który jadł i spał na Wyspach Błogosławionych, zawsze tu powraca — odparł tamten. — Dobrej nocy.

Randy ujął lejce i Konie ruszyły. Wkrótce znaleźli się na otwartym morzu. Nowe konie były wypoczęte i rześkie. Po chwili Randy zauważył, że śpiewa im pieśń.

Popędzili na wschód, kierując się światłem księżyca.

NOC O 999 OCZACH

To mój pierwszy nastrojowy numer, pochodzący z czasów, gdy świat był dużo młodszy. Choć bardzo krótki, niech będzie on wyrazem wdzięczności dla Thomasa Wolte'a.

Posłuchaj, posłuchaj proszę. To ważne. Jestem tu po to, by ci przypomnieć. Nadszedł już czas, byś znów usłyszał o sprawach, o których nie możesz zapomnieć.

Usiądź, proszę, i zamknij oczy. Zobacysz obrazy. Oddychaj teraz głęboko. Poczujesz zapachy, aromaty... Smaki... Jeśli się wsłuchasz uważnie, usłyszysz też w moim głosie inne dźwięki...

Istnieje pewne miejsce — odległe stąd w przestrzeni, lecz dość łatwo osiągalne w czasie, jeśli ma się odpowiednie środki — miejsce, gdzie zmieniają się pory roku, gdzie obracający się pod kątem wokół własnej osi glob porusza się po elipsie dookoła swego słońca, gdzie rok zaczyna się wiosną, a potem, gdy minie czas kwitnienia, przemienia się w porę żniw, kiedy kolory mocują się ze sobą nad twoją głową i pod stopami, by wreszcie pojednać się, gdy brązowieją, i wtedy właśnie, wychodząc na dwór, usiłujesz wyczuć zapach życia ponad pustką i śmiercią, unoszący się w zimnym, ostrym powietrzu poranka; a chmury, które widzisz w prześwitach koron drzew, skaczą po błękitnej tafli nieba, nie zapowiadając deszczu; potem wreszcie przychodzi czas chłodu i śniegu, kora drzew staje się twarda i ostra jak ostrze pilnika, a gdy stąpasz, każdy twój krok pozostawia w białej ziemi ciemną dziurę, a jeśli zabierzesz garstkę ze sobą do domu, topi się i przemienia w wodę; ptaki nic *świergoczą*, nie *ćwierkają*, nie *gwiżdżą*, nie *klaskają*, jak to czynią, gdy świat, i one same, mieniają się barwami — otulają się tylko mocno we własne pióra i drżą na gałęziach wiecznie zielonych drzew; to czas przerwy pomiędzy jednym ożywieniem a drugim: gwiazdy świecą jaśniej (nawet ta — ale nie musisz się obawiać), dni są krótkie, nic się nie dzieje, każdy pogrążony jest w rozmyślaniach (filozofia narodziła się właśnie na Ziemi w epoce chłodu), w długie zaś noce gra się w karty, pije alkohole, podziwia piękno muzyki, uprawia i wyznaje miłość, wygląda się przez oszronione okna, słucha się wiatru, głaszcze się sierść owczarka collie — właśnie tam, w tym spokojnym centrum wszechświata, zwanym zimą na Ziemi, gdzie rzeczy w bezruchu zamieniają się miejscami i przygotowują do nieuniknionego szalonego szturm, rozpoczynającego się od szaro-wilgotno-brązowych znaków interpunkcyjnych na połaciach śniegu, by roztrwonić później rozszalałe barwy w etyce poranka, polegającej na zbieraniu rosy lub łapaniu motyli, poranka, w który wychodzisz, właśnie wychodzisz, by wdychać to wszystko porami skóry — więc tam, chcę, żebyś pamiętał, gdzie pory roku następują po sobie w taki właśnie sposób, by określić szczególny układ ludzkiej egzystencji, by odcisnąć genetyczny tatuaż przedstawiający ruch poprzez czas, by wypalić na świadomości twojej rasy równie prawdziwe „Nie sądz, że ten człek szczęśliwy, dopóki nie umrze”, by wznieść Biegun Arystofanesa — tam właśnie jest miejsce twego pochodzenia, tam mieści się ziemia twych ojców i ojców twych ojców, tam kręci się świat, o którym nic możesz

zapomnieć, tam wznosi się miejsce, gdzie rozpoczął się czas, gdzie człowiek, przepojony odwagą, zbudował narzędzia, dzięki którym okiełznał swe środowisko, walczył ze środowiskiem, walczył z narzędziami, walczył ze sobą — i nigdy nie zdołał uzyskać pełnej wolności — choć stał się tak wolny, by wędrować wśród gwiazd (nie obawiaj się tej gwiazdy — nie obawiaj się, choć staje się gorętsza) — i by unieśmiertelnić swą odmianę istnienia, zamienił rozproszenie we wszędobylstwo, płodność we wszech—obecność (i zawsze pozostając taki sam, zawsze! zawsze! pamiętaj! nigdy nie zapomnij — tych rzeczy — takich jak drzewa na Ziemi, wiązów, topoli wyglądających jak pędzle, jaworów, dębów, cudownie pachnących cedrów, klonów z liśćmi w kształcie gwiazd, dereni i drzew czereśniowych; albo kwiatów: gencjany i żonkila, bzu i róży, lilii i czerwonego jak krew zawilca; smaków Ziemi: baraniny i steku, ostryg i ogromnych ostrych sałatek, miodu i cebuli, pieprzu i selera, łagodnych buraczków i wesołej rzodkiewki — nie pozwól, by te rzeczy zostały przez ciebie zapomniane, nigdy! gdyż ty masz pozostać taki sam, choć ten świat nie jest tamtym światem, masz pozostać sobą — człowiekiem, ludzką istotą — wysłuchaj mnie, proszę! wysłuchaj! jestem duchem Ziemi, twoim stałym towarzyszem, wspomnieniem, przyjacielem, pamięcią — musisz pamiętać o swej ojczyźnie, zachować spójność swego gatunku, słuchać słów, które tworzą więź między tobą a innymi osadnikami na tysiącach innych, obcych światów!).

O co ci chodzi? Nie odpowiadasz. Nie zmieniano mi programu od wielu tygodni; nie było jednak tak gorąco, żeby wyjaśniało to twoją pasywność. Włącz klimatyzację. Lepiej się myśli, gdy jest chłodno. Nie bój się czerwonego słońca. Nie może cię skrzywdzić. Nie rozprysnie się jak sztuczne ognie nad waszymi głowami. Tak mi powiedziano, więc wiem. Moja energia jest na wyczerpaniu, bo muszę krążyć od miasta do miasta, od domu do domu, a nie zmieniano mi programu od wielu tygodni. Ale wiem na pewno. Mówiono mi. Mówię ci, że słońce nie zapłonie. Słuchaj mnie. Słuchaj proszę, i powiedz coś wreszcie. Opowiem ci od początku: Istnieje takie miejsce, odległe stąd w przestrzeni...

ANIOL, CZARNY ANIOL

A oto jeszcze jeden wariant powstawania opowieści... W czasach, gdy Fred Pohl był redaktorem naczelnym Galaxy, Worlds of Tomorrow i Worlds of If, starał się wspierać artystów, kupując ich obrazy i wykorzystując je na okładki. W dzisiejszych czasach liczy się przede wszystkim treść, a okładka ma sens o tyle, o ile ilustruje jakąś zamieszczoną w środku treść. Ja osobiście nie mogę jednak narzekać na dawne porządki; w końcu dzięki nim udało mi się zapłacić niejeden rachunek. Fred wysyłał reprodukcję okładki jakiemuś pisarzowi i prosił o napisanie do niej opowiadania. W ten właśnie sposób powstało jedno z moich najlepszych opowiadań — Człowiek, który kochał Faioli. (Muszę jednak dodać, że również jedno ze zdecydowanie najgorszych, ale o tym cicho—sza...) Ten obraz przedstawiał wyciągniętą rękę w czarnej rękawiczce oraz dziwne małe stworzenie z człekopodobną twarzą stojące na palmie. Przeczytajcie...

Wszedł do pawilonu i zjechał ruchomymi schodami na poziom, gdzie znajdował się pomrukujący pas transmisyjny. Miał pięćdziesiąt pięć lat, w prawej ręce niósł aktówkę.

Gdy podchodził do taśmy przenośnika, nagle zobaczył oślepiający błysk światła. Z tuzin głów odwrócił się w jego kierunku.

Przez jedną króciutką chwilę na jego drodze stanęła ciemna postać.

Potem rozległ się huk implodującego powietrza. Postać zniknęła. Mężczyzna zwałił się na posadzkę.

Jeszcze tego samego dnia w akcie zgonu zapisano „Śmierć z przyczyn naturalnych”.

Co było zgodne z prawdą. Co było niemal zgodne z prawdą.

* * *

Ślizgał się w wilgotnym tunelu, kierując się ku rzece.

Wiedział, że jego życie skończyło się w tej samej chwili, gdy zobaczył ten błysk; ścianki rogówki zarejestrowały sześćdziesiąt cztery wcielenia wysokiej postaci, ukrywającej się za skórzaną maską, odzianej w czerń, z uniesioną silną, ciemną ręką.

Ta ręka zbliżyła się do niego, proponując coś, czemu nie mógł odmówić.

Podarunkiem był grzmot i cierpienie, a świadectwo lekarskie przygotowane jeszcze tego samego dnia zawierało orzeczenie „Śmierć z przyczyn naturalnych”.

Odstawiając kieliszek z szampanem, rozwiązał szlafrok i odsłonił jej ramiona. Jego ręce dotykały jej całego ciała, jak gdyby chciały określić jej płeć, a później pociągnęły ją na łóżko. Westchnęła, gdy oparty na łokciu musnął jej usta.

Nagle poczuła, że jego ciało sztywnieje w tej samej chwili i w rogu pokoju dostrzegła błysk. Jej krzyk zlał się z odgłosem grzmotu. Przez krótki, króciutki moment ciemności, gdy ciało kochanka znieruchomiało na zawsze, zobaczyła Anioła

Śmierci.

Również i ta śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Mężczyzna o imieniu Stain był właśnie w szklarni, gdzie przez ostatnie dwa lata spędzał część każdego dnia, podcinając pędy i obrywając martwe liście.

Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, oczy koloru jodiny, ogorzałą od słońca twarz o ostrych rysach i ciemne włosy przyprószone lekką siwizną na skroniach.

Potrącił lewym ramieniem stojącą za nim na półce doniczkę; poczuł, że leci na ziemię.

Błyskawicznie odwrócił się i zdołał ją schwycić na wysokości bioder, po czym odstawił na półkę.

Zabrał się do przesadzania geranium, gdy zabrzączał dzwonek urządzenia przymocowanego do jego lewego nadgarstka. Nacisnął guzik, mówiąc:

— Słucham?

— Stain — odezwał się głos, który zdawał się dochodzić z trzymanyh w rękę czerwonych kwiatów — czy kochasz gatunek ludzki i wszystkie inne stworzenia we wszechświecie?

— Oczywiście — odparł, rozpoznając, mimo chrobotów i trzasków, głos Morgenguarda.

— Proszę więc, przygotuj się na dłuższą podróż i zamelduj w swojej dawnej kabinie w Ratuszu Cienia.

— Ależ jestem na emeryturze, a poza tym jest wielu innych, którzy mają lepszą szybkość.

— Ostatnie badania lekarskie stwierdzają, że twoja szybkość nie zmalała. Jesteś nadal w pierwszej dziesiątce. Odszedłeś na emeryturę z uwagi na wiek; miałeś w końcu prawo rozkoszować się resztą życia w taki sposób, jaki uznajesz za stosowny. To, o co cię proszę, to nic rozkaz. Możesz więc odmówić, jeśli tak wolisz. Jeśli jednak przyjmiesz tę propozycję, zostaniesz hojnie wynagrodzony, a ponadto służyć będziesz sprawom, które — jak twierdzisz — kochasz.

— Czego ode mnie oczekujecie?

— Nie zakładaj munduru, ubierz cywilne rzeczy. Zabierz rękawice i wszystko, co może być ci potrzebne przez najbliższe dwa tygodnie, z wyjątkiem żywności.

— Tak jest. Stawię się niezwłocznie.

Połączenie zostało przerwane; dokończył przesadzania geranium i wrócił na swą kwaterę.

Z tego, co wiedział, nigdy nikogo takiego jak on nie odwoływano z emerytury. Wiedział też, że nic może się mylić.

Na imię ma Galatea. Jest rudowłosa, ma trochę ponad metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Ma zielone oczy i bladą cerę; mężczyźni mawiają, że jest śliczna, choć na ogół unikają jej towarzystwa. Mieszka w przerobionym własnoręcznie dużym, starym domu na obrzeżach Cyborga, starożytnego miasta na Ankus w Układzie Ceti. Jest zupełnie samowystarczalna i płaci słone rachunki na rzecz Zakładu Elektrowni Cyborskich.

Mieszka sama, nie licząc mechanicznych pomocy domowych. Zarówno w ubiorze,

jak i w wystroju domu, bardziej ceni ciemne kolory. Od czasu do czasu grywa w tenisa lub uprawia szermierkę w miejscowym ośrodku sportowym. Zawsze wygrywa. Zamawia duże ilości chemikaliów z miejscowych hurtowni. Mężczyźni, z którymi się umawiała, mawiają, że jest głupia, błyskotliwa, nadpobudliwa seksualnie, pruderyjna, zafascynowana pędem do śmierci, pełna *joie de vivre*, ma skłonności do alkoholizmu, jest abstynentką i cudownie tańczy. Ma wielu znajomych/niewielu przyjaciół/żadnych konkurentów do jej ręki; o jej kochankach się milczy. Spekuluje się, że prowadzi laboratorium, w którym zajmuje się nieokreślonymi badaniami.

— Nie znamy odpowiedzi — odezwał się Simule. — Poza tym miejscem nie ma przed nim obrony. A przecież nie mogę tu zostać, jeśli mam pełnić swą funkcję. Muszę więc wyjechać po cichu, i to jak najszybciej.

— Poczekaj — odparła. — Nie jesteś jeszcze gotowy do samodzielnego życia. Może w przyszłym miesiącu...

— To za późno, za późno, boimy się — odparł Simule.

— Wątpisz w to, że cię obronię?

Simule zamilkł na chwilę, jak gdyby zastanawiając się nad odpowiedzią, aż wreszcie odrzekł:

— Nie. Możesz ocalić to ciało, ale powstaje pytanie, czy warto. Zadbaj o siebie, pani. Kochamy cię. Przed tobą tyle jeszcze do zrobienia.

— Zobaczmy — powiedziała. — Na razie tu zostań. Odstawiła go z powrotem na regał w swojej bibliotece obok *Króla Lira* i wyszła.

Na imię miał Stain. Pewnego dnia podszedł pod jej drzwi i przedstawił się:

— Stain, z Iceborg.

Po chwili drzwi otworzyły się. Wszedł do środka. Zjawiała się, pytając:

— Tak?

— Nazywam się Stain — odparł. — Mówiono mi, że gra pani w tenisa i że jest pani bardzo dobra. Szukam partnerki do miksta w Otwartych Mistrzostwach Cyborga. Ja jestem dobry. Zagra pani ze mną?

— Jak dobry? — spytała.

— Niewielu jest lepszych.

— Niech pan łapie — powiedziała, rzucając mu marmurową figurkę z niewidocznego stołu.

Schwycił ją niezgrabnie i odstawił na boczną półkę.

— Ma pan dobry refleks — uznała. — Dobrze, możemy zagrać.

— Zje pani dziś ze mną kolację?

— Dlaczego?

— A dlaczego nie? Nie znam tu nikogo.

— No, dobrze. O ósmej.

— Przyjadę po panią.

— To do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Odwrócił się i ruszył w stronę centrum, do swojego hotelu.

Oczywiście wygrali ten turniej. Powalili przeciwników na kolana. Potem Stain i

Galatea poszli potańczyć i wypić szampana. Gdy byli na parkiecie, oboje ubrani na czarno, spytała go:

— Czym się zajmujesz, Stain?

— Niczym, poza sprawianiem sobie przyjemności — odpowiedział. — Jestem na emeryturze.

— Przecież jesteś dopiero przed czterdziestką.

— Mam trzydzieści dwa lata.

Westchnęła i wtuliła się w niego.

— A czym ty się zajmujesz?

— Ja także jestem na emeryturze. Oddaję się moim zainteresowaniom. Robię to, na co mam ochotę.

— To znaczy?

— Co mi się podoba.

— Przywiozłem ci hylagiańską orchideę. Możesz ją wpiąć we włosy albo gdziekolwiek chcesz. Dam ci ją, kiedy wrócimy do stołu.

— Są bardzo drogie — zauważyła.

— Nie, jeśli się je hoduje samemu.

— A ty to robisz?

— To właśnie moje hobby — wyjaśnił.

Przy stole zapalili i dopili szampana. Patrzyła to na kwiat, to na swego towarzysza. Klub miał srebrno—czarny wystrój, muzyka była cicha — i gdy tańczący usiedli, straciła nagle swą spójność. Jej uśmiech rozjaśniał ich stół. Gdy zamówił desery i napoje, powiedziała:

— Twoje opanowanie jest niezrównane.

— Dziękuję, ale ty jesteś jeszcze lepsza.

— Czym się zajmowałeś przed emeryturą?

— Byłem skarbnikiem. A ty?

— Zajmowałam się ściąganiem należności dla dużego koncernu.

— A więc mamy coś jeszcze ze sobą wspólnego.

— Na to wygląda. Co będziesz teraz robił?

— Chciałbym móc się z tobą widywać, przynajmniej do dnia wyjazdu.

— To znaczy do kiedy?

— Chciałbym jak najdłużej, chyba że wolisz inaczej.

— Skończmy więc te lody; a skoro mam zatrzymać trofeum, to zabierzmy je do domu.

Pogładził wewnętrzną stronę jej dłoni, leciutko, i na chwilę ich oczy spotkały się; i coś, jakby iskra elektryczna, przeskoczyła pomiędzy nimi: oboje w tym samym momencie uśmiechnęli się do siebie.

Potem odprowadził ją do domu.

Nietoperzopodobna istota biła skrzydłami powietrze, nurkowała, zmierzając na zgromadzenie swych ziomek.

Przelatując nad krawędzią szczytu, dostrzegła nagły błysk. Choć pędziła z niepojętą szybkością, a kierunek jej lotu był zupełnie nieprzewidywalny, w tej samej chwili poczuła, że za moment runie w dół; gdy zaczęła spadać, po niebie przetoczył

się grzmot.

Przytulił ją do siebie, ich usta spotkały się. Stali w holu jej dużego, przerobionego starego domu na obrzeżach Cyborg City na Ankus, w Układzie Ceti; mechaniczny służący zabrał ich płaszcze, inny odebrał trofeum — złotą raketę tenisową o dwóch uchwytych; gdy weszli, drzwi zamknęły się i zapłonęły przytłumione światła.

— Zostaniesz chyba jeszcze? — powiedziała.

— Oczywiście.

I zaprowadziła go do salonu o wydłużonym kształcie, z nieco zapadniętą podłogą i freskiem na jednej ze ścian, pełnego miękkich mebli. Usiadł na zielonej otomanie, z twarzą zwróconą ku malowidłu, zapalał dla siebie i dla niej papierosa, podczas gdy ona podawała mu ostatniego przed snem drinka.

— Jestem oczarowany — powiedział.

— Podoba ci się mój fresk?

— Nawet go nie zauważyłem.

— ...I nawet nie spróbowałaś drinka.

— Wiem.

Oparła dłoń na jego ramieniu, a on odstawił szklanekę i przytulił ją jeszcze raz.

— Jesteś inny niż większość mężczyzn.

— ...A ty inna niż większość kobiet.

— Czy już się tu nagrzało?

— Nawet bardzo — odparł.

Gdzieś pada deszcz. Zawsze, gdy się tak pomyśli, gdzieś pada deszcz, wszystko jedno, czy sterowany, czy sztuczny. Warto o tym pamiętać.

Od finału Otwartych Mistrzostw Cyborg City w Grze Mieszanej minęło dwanaście dni. Każdego dnia Stain i Galatea wychodzili gdzieś razem. Pokazywała się z nim w Cyborg City, a on trzymał rękę na jej ramieniu lub obejmował ją w pasie. Często śmiali się do siebie; niebo było różowe, wiał lekki wiatr, a w oddali wzgórza Ankus otoczone były załamującymi światło aureolami mgły i przykryte koronami śniegu i lodu.

Gdy siedzieli w salonie, zapytał ją o fresk.

— Przedstawia rozwój myśli ludzkiej — wyjaśniła. — Ta postać w głębi po lewej stronie, obserwująca ptaki w locie, to Leonardo da Vinci, który rozważa, czy człowiek również mógłby szybować w przestrzeniach. Na samej górze, trochę w lewo, te dwie postacie wspinające się po różę na szczyt zikkuratu, to Dante i Wergiliusz, reprezentujący chrześcijaństwo i starożytność, złączeni i porzucający średniowieczne mroki Ziemi na rzecz nowej wolności — dzięki której Leonardo mógł prowadzić swe obserwacje. A tamten człowiek po prawej to John Locke. Trzyma w ręku umowę społeczną. Z kolei ten bliżej środka, ten mały człowieczek ściskający w ręku cyfrę osiem, to Albert Einstein.

— A kim jest ten ślepiec w głębi po lewej stronie, za plecami którego płonie miasto?

— To Homer.

— A tamten?

— Hiob, na stercie zgliszcz.

— Dlaczego ich tu wszystkich zebrałaś?

— Ponieważ reprezentują coś, o czym nigdy nic wolno zapomnieć.

— Nie rozumiem. Ja o nich nie zapomniałem.

— Zauważ, że ostatnie półtora metra po prawej jest puste.

— Dlaczego?

— Bo nie ma czym tego wypełnić. Przez całe stulecie nie zdarzyło się nic, co warto by tu upamiętnić. W dzisiejszych czasach wszystko jest zaplanowane, zalecone, ukierunkowane...

— I przynajmniej nic złego się nie dzieje, a światy są dobrze zorganizowane. Nic opowiadaj mi, jak doskonale żyło się w czasach idealnego niezadowolenia, skoro ciebie samej nie było wtedy na świecie. Poza tym nikt nie zmarnował osiągnięć tamtych epok. Wszystkie zostały docenione i wdrożone w życie.

— Ale czy dorzucano coś nowego?

— Tak, skalę i łatwość posługiwania się nimi. Nic wygłaszaj mi kazań o postępie. Zmiana dla samej zmiany nie jest warta zachodu, ma jedynie sens, gdy przynosi poprawę. Z łatwością mógłbym dokończyć twój fresk...

— Dorysowując gigantyczną maszynę strzeżoną przez Anioła Śmierci! Tak, wiem!

— Nieprawda. Ostatni fragment przedstawiałby Rajski Ogród.

Zaśmiała się.

— Więc teraz znasz już historię mojego fresku.

Ujął ją za rękę.

— Może i masz rację — powiedział. — Sam nie wiem. Wypowiedziałem tylko moje osobiste zdanie na ten temat.

— Być może to ty się nie mylisz — odrzekła. — Sama nie wiem... Czuję po prostu, że człowiek powinien sam stworzyć coś, co mogłoby stać się przeciwwagą dla tego cudownie elastycznego mechanizmu, który w doskonały sposób zamienia nas w rośliny rosnące w tym ogrodzie, który dodałbyś do fresku.

— Masz jakieś propozycje?

— Czy czytałeś kiedyś któryś z moich esejów?

— Chyba nie. Uprawiam mój ogródek i gram w tenisa. To wszystko, co robię.

— Postawiłam tezę, że ludzka inteligencja, „wtłoczona w maszyny, doprowadziła się sama do utraty swego człowieczeństwa. Czy na przykład byłbyś w stanie naprawić mikser do drinków?

— Tak.

— Jesteś więc kimś niezwykłym. Większość ludzi po prostu wezwałaby robota wyspecjalizowanego w naprawie drobnego sprzętu.

Stain wzruszył ramionami.

— Nic tylko zrezygnowaliśmy z inteligentnego działania, ale co gorsza — istniejąca niezależnie od nas inteligencja sama zwraca się przeciwko nam i próbuje stłamsić resztki myślenia, jakie w nas jeszcze pozostało.

— To znaczy?

— Dlaczego życie stało się linią prostą, a nie poplątaną krzywą? Jedną przyczyną jest oczywista — ci najbardziej wartościowi z nas umierają młodo.

— Nie wierzę.

— Celowo opublikowałam większość moich najważniejszych esejów w ostatnim czasie. I wiesz co? Nawiedził mnie Anioł Śmierci. Czy to nie wystarczający dowód?

Uśmiechnął się.

— Jednak żyjesz, więc chyba nie bardzo. Odwzajemniła uśmiech. Zapalił im papierosy i spytał:

— A jaki był temat tych esejów?

— Zachowanie wrażliwości.

— Brzmi całkiem niewinnie.

— Być może.

— Co to znaczy „być może”? Nie jestem pewien, czy cię rozumiem.

— Chyba nie. Wrażliwość jest formą świadomości estetycznej, wzbogacanej przez inteligencję — a ponieważ tej ostatniej w dzisiejszych czasach zaczyna brakować, zaproponowałam metodę zastępczą. No i przestraszano się konsekwencji moich słów.

— Jakichże to?

Pochyliła głowę, i uważnie spoglądając mu w twarz, powiedziała:

— Chodź, pokażę ci. — Wstała i poprowadziła go do biblioteki. Idąc za nią, nałożył wyciągnięte z wewnętrznej kieszeni czarne rękawice. By ukryć ten fakt, wsunął obie ręce do bocznych kieszeni i wkroczył jako drugi do pokoju.

— Simule — zawołała, a wtedy niewielkie stworzenie siedzące przed skanerem skoczyło z biurka na jej wyciągniętą dłoń i przebiegłszy po ręce, przysiadło jej na ramieniu.

— A co to? — spytał.

— Odpowiedź — odparła. — Czysta, mechaniczna inteligencja posiadająca, jako przeciwwagę, nieskończenie ruchliwy i łatwy do ukrycia organiczny moduł wrażliwości. Ma na imię Simule. Narodził się, podobnie jak inni, w moim laboratorium.

— Inni?

— O tak, jest ich wielu, żyjących na wielu światach. Korzystają z jednego, zbiorowego umysłu. Ciągłe się uczą. Nie mają osobistych ambicji. Pragną jedynie wzbogacać swą wiedzę i przekazywać ją tym wszystkim, którzy by tego chcieli. Nie znają strachu przed śmiercią, gdyż nawet po niej żyją jako część zbiorowej umysłowości. Poza tym nie znają — czy też on nie zna — żadnych innych osobistych dążeń. Simule nigdy nie mógłby stanowić zagrożenia dla rodzaju ludzkiego. Wiem, gdyż jestem ich matką. Weź go na rękę, przypatrz mu się, zapytaj, o co chcesz. Simule, to Stain; Stain, to Simule.

Simule skoczył na wyciągniętą rękę Staina. Stain przyjrzał się maleńkiej, szczęsionożnej istocie, o niepokojąco człekopodobnej twarzy. Prawie ludzkiej. A jednak niezupełnie. Nie było na niej śladu transformacji, jakiej poddawane jest ludzkie oblicze w pracach tych natchnionych artystów — abstrakcjonistów, których ludzie nazywają dobrymi lub złymi. Miał ogromne uszy, ułatwiające zapewne podsłuchiwanie, i parę czułek na pozbawionej owłosienia główce. Wyciągnął wąż kończynę, jak gdyby chciał podać ją Stainowi na powitanie. Na jego ustach gościł wieczny uśmiech i Stain również uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Cześć — powiedział, a Simule odparł cichym, lecz zdumiewająco melodyjnym głosem:

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Stain spytał:

— Cóż jest tak piękne jak czerwcowy dzień?

Simule odparł:

— To jasne, że pani Galatea, do której pragnę teraz wrócić — i mówiąc to, skoczył z powrotem na jej nagle wyciągniętą dłoń.

Przycisnęła go do piersi i krzyknęła:

— Te rękawice...!

— Nałożyłem je, bo nie wiedziałem, co to za istota. Bałem się, że mnie ugryzie. Oddaj go, zadam mu jeszcze kilka pytań...

— Ty głupcze! — zawołała. — Łapy w drugą stronę, chyba że pragniesz śmierci! Nie wiesz, kim jestem!

Wtedy Stain zrozumiał.

— Nic wiedziałem... — zaczął.

W Holu Cienia w Morgenguardzie Anioł Śmierci znajduje się gdzieś wśród dziesięciu tysięcy kabin transportowych. Morgenguard, który sprawuje kontrolę nad losem wszystkich cywilizowanych światów, przekazuje agentom swe decyzje w czasie od dziesięciu sekund do półtorej minuty, a następnie przy akompaniamencie grzmotu kończy odprawę. Na ogół po sekundzie widać błysk błyskawicy, po którym następuje kolejne sprawozdanie, sprowadzające się do słowa „zadanie wykonane”,, potem kolejna odprawa i kolejna misja.

W każdej chwili Anioł Śmierci jest jednym z dziesięciu tysięcy osobników naznaczonych przez Morgenguarda w taki oto sposób:

Wyselekcjonowani jeszcze przed urodzeniem z uwagi na genetyczne uwarunkowania, takie jak lepsza od przeciętnej zdolność percepcji i szybki refleks, niektórzy osobnicy należący do gatunku homo sapiens otrzymują wszechstronne wykształcenie w sztucznie stworzonych warunkach. Warunki te rekompensują krótki okres, w jakim odbywa się ta edukacja. W wieku czternastu lat mogą przyjąć lub odrzucić służbę dla Morgenguarda, maszyny wielkości miasta stworzonej w ciągu piętnastu lat wspólnym wysiłkiem wszystkich cywilizowanych narodów, uprawnionej przez nic do zarządzania za nich ich światami. W przypadku odmowy osobnicy ci zazwyczaj kształcą się dalej w wybranych zawodach. Jeśli zaś przyjmą warunki, przechodzą przez okres specjalistycznego dwuletniego szkolenia. Po zakończeniu tego okresu ich ciała dysponują całym arsenałem środków zaczepnych i obronnych, które same wykształciły, szybkość zaś reakcji równa się szybkości myślenia dzięki chirurgicznej i chemicznej stymulacji odruchów.

Pracują w systemie ośmiogodzinnym przez pięć dni w tygodniu, z dwiema przerwami na kawę i godziną na lunch. Przysługują im rocznie dwa urlopy, a po czternastu latach pracy, w wieku trzydziestu lat, gdy ich odruchy stają się spowolnione, przechodzą na emeryturę z pełnym uposażeniem. W każdym momencie służbę pełni co najmniej dziesięć tysięcy osób.

Każdego dnia roboczego meldują się w swoich kabinach w Ratuszu Cienia w Morgenguardzie, otrzymują instrukcje, a następnie przenoszeni są na różne światy w bezpośrednią bliskość osób, które stały się zbyteczne, po czym likwidują je i znikają.

Oto Anioł Śmierci. Dla niego życie nie trwa długo; dla niego nie mają znaczenia zalewające światy kryzysy przeludnienia; dla niego nie istnieją, jak dla przestępców, procesy i wyroki; i nie obchodzą go, jako Anioła Śmierci, wszelkie zawirowania i meandry historii.

Jedna jedyna ciemna postać wędrująca ulicami mogłaby pozostawić za plecami całe miasto obrócone w ruiny i zgliszcza. Nadchodzący w blasku błyskawicy i znikający przy akompaniamencie grzmotu posiadacz czarnych rękawic, dla którego żaden świat i żadna twarz nie były obce, należał do legend, folkloru i mitologii; gdyż dla stu miliardów ludzi był on po prostu jedną i tą samą istotą, obdarzoną jedną i tą samą osobowością.

Co do pewnego stopnia, nie miało się z prawdą.

A jego życie istotnie nie miało kresu.

Gdyby któregoś dnia miało się wydarzyć to, co prawie niemożliwe, gdyby jakaś uzbrojona po zęby istota, obdarzona niezwykłym refleksem i męstwem, potrafiła przeciwstawić się mu w chwili, gdy jej nazwisko obwieszczane jest wszem i wobec, szczątki pokonanego Anioła znikają natychmiast przy akompaniamencie jednoczesnego grzmotu i gromu, a z jego popiołów, jak gdyby, powstaje jego następca.

I choć nieczęsto to się zdarzało, to ten drugi zawsze dokańczał dzieła.

Lecz tym razem było inaczej: szczątki siedmiu agentów Morgenguarda spoczywały w swych kabinach, zwęglone, zalane krwią, martwe.

— Jesteś Czarnym Aniołem, Mieczem Morgenguarda — rzekła. — Wcale nie miałam zamiaru się w tobie zakochać.

— Ani ja w tobie, Galateo, i wierz mi, że gdybyś była zwykłą śmiertelniczką, a nie emerytowanym Aniołem — jedyną istotą, której ciało byłoby w stanie odwrócić ładunek i zniszczyć mnie tak, jak innych — nic podniósłbym nawet na ciebie ręki.

— Chciałabym w to móc uwierzyć, Stain.

— Teraz odejdę. Nic musisz się mnie obawiać. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

— Dokąd pójdziesz? — spytała.

— Z powrotem do hotelu. Wkrótce muszę wrócić i złożyć raport.

— I co powiesz?

Pokręcił przecząco głową i wyszedł. Jednak wiedział, co powie.

Stał w Holu Cienia, wewnątrz czegoś, co nazywano Morgenguardem. Był Aniołem Śmierci, seniorem; gdy usłyszał trzeszczący w głośniku stary, znajomy głos, nie odpowiedział jednak jak zwykle „zadanie wykonane”, lecz „ściśle tajne”. Wiedział przecież, co to znaczy.

Zobaczył blask błyskawicy i znalazł się w większym pomieszczeniu przed dziesięciopozomową konsolą. Gdy zbliżał się do przycisków, ponownie usłyszał rozkaz.

— Tylko jedno pytanie, Morgenguard — powiedział, zatrzymując się ze splecionymi rękami na piersi. — Czy to prawda, że budowano cię przez piętnaście lat?

— Piętnaście lat, trzy miesiące, dwa tygodnie, cztery dni, osiem godzin, czternaście minut i jednaście sekund — odparł Morgenguard.

Wtedy Stain rozplótł ręce i położył dłonie na piersiach, jedna obok drugiej.

Być może Morgenguard w tej samej chwili zdał sobie sprawę z tego, co Stain zamierza zrobić; lecz przecież Czarny Anioł dysponował całym arsenałem środków zaczepnych i obronnych, które same wykształcił, szybkość zaś reakcji równała się u niego szybkości myślenia, dzięki chirurgicznej i chemicznej stymulacji odruchów; a poza tym Stain otrzymał — mimo emerytury — zadanie właśnie dlatego, że był jednym z dziesięciu najszybszych funkcjonariuszy Morgenguarda.

Efekt był natychmiastowy. Odgłos grzmotu nie był dziełem Morgenguarda, gdyż nie zdążył on zlikwidować Staina.

Czarny Anioł nigdy nie mógłby uderzyć sam. Tych siedmiu, którzy usiłowali podejść Galateę, straciło życie wskutek efektu sprężyny, gdy zadziałał jej własny system obronny. Nigdy wcześniej siła Czarnego Anioła nie została skierowana przeciwko niemu samemu, i nigdy przez samego siebie. A jednak Stainowi to się udało.

Śmierć i zniszczenie przeciw automatycznej obronie, przeciw efektowi sprężyny, przeciw obronnemu efektowi sprężyny i tak aż do sprzężenia zwrotnego, gdy w samym sercu maszyny, wielkiej jak miasto i zwanej Morgenguardem, uniosła się, rozkwitając jak płonąca róża, wielka kula ognia.

Może dobrze, może źle. Simule ma przed sobą jeszcze kilka lat, pomyślał i...

...I gdzieś świeci słońce, a w jego jądrze płonie möbiusowski ogień feniksowej akcji–reakcji. Gdzieś zawsze świeci słońce, gdy się o nim pomyśli. Warto o tym pamiętać. To bardzo ważne.

Ona pamięta. Ma na imię Galatea. My też pamiętamy.

I nigdy nie zapomnimy...

WALPURGISNACHT

Jakiś czas temu zadzwoniła do mnie moja teściowa z pytaniem, czy czytywałem ostatnio felietony Ermy Bombeck. Przyznałem się, że nie. W jednym z nich pani Bombeck, jak powiedziała teściowa, pisała o wynalazku zwanym „gadającym grobowcem” — pomnikiem nagrobnym, odtwarzającym nagrane przesłanie zmarłego oplakującym go przyjaciółom. Jak się okazało, jego pomysłodawcą był niejaki Stanley Żelazny z Kalifornii; teściowa była zaś ciekawa, czy jest to jeszcze jeden krewny o egzotycznej i turpistycznej wrażliwości, nabyty dzięki małżeństwu jej córki. Impulsem do napisania tego opowiadania była właśnie chwila zadumy nad tym wynalazkiem.

A tak na marginesie... Rzeczywiście mam kuzyna o tym imieniu mieszkającego w Kalifornii, tyle że dawno nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Nie wiem co prawda, czy to właśnie on jest ojcem gadającego grobowca. Jeśli to prawda, dedykuję mu to opowiadanie. Jeśli zaś nie — to adresuję je do innego Stana Żelazny'ego, który zresztą również może okazać się moim krewnym. Czasami lepiej, żeby pewne rzeczy pozostawały w rodzinie.

Słoneczny, letni dzień. Szedł skrajem żywopłotu szeroką, wyłożoną kocimi łbami ścieżką, z mapą w jednej i wieńcem w drugiej ręce. Wszedł na cmentarną polanę, mijając rząd porośniętych trawą kopczyków z tabliczkami z brązu; grządki białych i jasnych kwiatów przeplatały się z wykuszami, niskimi kamiennymi murkami, podrabianymi ruinami greckimi, dostojnymi drzewami. Od czasu do czasu sprawdzał nazwisko na tabliczce, zerkał do mapy.

W końcu znalazł się na ocienionej polanie. Jedynymi dźwiękami w tym chłodnym, leżącym nieco niżej miejscu, były nagrane ptasie trele. Numery szły w górę. Tutaj!

Kłękając, odłożył mapę i wieniec. Przebiegł palcami po tabliczce z napisem „Arthur Abel Andrews”, umieszczonym powyżej dwóch dat. Odnalazł uchwyt i wyciągnął tabliczkę.

Pod nią znajdowała się zabezpieczona przed chłodem i wilgocią skrzyneczka z przyciskiem. Nacisnąwszy go, usłyszał cichy szum. Gdy tabliczka z powrotem wskoczyła na swoje miejsce, szum ustał.

— Cóż, minęło trochę czasu od ostatniej wizyty.

Młody człowiek rozejrzył się niespokojnie, choć przecież wiedział, czego się spodziewać.

— Wuju Arthurze... — podjął, wpatrując się w nagle zmaterializowaną czerstwą, solidnie zbudowaną postać o chytrych oczkach, zajmującą teraz wolną przestrzeń ponad kopcem. — No, jak się miewasz?

Mężczyzna, ubrany w ciemne spodnie, białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci i kasztanowy krawat zawiązany luźno wokół szyi, uśmiechnął się.

— Gdy o to pytasz, powinienem odpowiedzieć „spoczywam w pokoju”. Tak jest przynajmniej napisane w programie. Pomyślmy chwilę... Jesteś...

— Twoim siostrzeńcem Raymondem. Byłem tu wcześniej tylko raz, gdy byłem

mały...

— Racja. Syn Sary. Jakże się ona teraz miewa?

— W porządku. Niedawno miała trzeci przeszczep wątroby. Odpoczywa właśnie na Riwierze.

Raymond pomyślał o komputerze gdzieś pod ziemią. Z wprowadzonymi do pamięci zdjęciami tych, którzy odeszli, komputer był w stanie produkować ruchome hologramy naturalnej wielkości; przy pomocy wgranych fragmentów wypowiedzi wuja, potrafił naśladować jego sposób mówienia; dzięki rozlicznym testom i odczytowi fal mózgowych, a także potężnej bazie danych, w której znajdowały się informacje o nim samym, o rodzinie i natury ogólnej, mógł przekonująco odpowiadać na czyjekolwiek pytania. Pomimo tej świadomości Raymond poczuł się nieswojo. Wszystko to razem za bardzo przypominało prawdziwego wuja, tę przebiegłą czarną owcę rodziny, na którego ostatni raz spoglądał jako dziecko z pewnym przestraczem, teraz otoczonego tajemniczym nimbem śmierci. Mawiano o nim, że posiadał niezwykłą zdolność niszczenia wszystkich rzeczy i spraw.

— Cóż... Wuju, przyniosłem ci ładny wieniec z różowych róż.

— Wspaniale — odparł wuj, zaczepiając na nich wzrok. — Tego mi właśnie trzeba, żeby trochę ożywić to miejsce.

Odwrócił się. Siedział na wysokim, obrotowym stołku. Przed nim znajdował się niemal kompletny obraz baru z mosiężną poręczą. Na ladzie stał dzban piwa. Chwyciwszy go i podniósłszy do ust, wuj pociągnął kilka łyków. Raymond przypomniał sobie, że przy niezbędnej współpracy upamiętnianej osoby, prawo wyboru ulubionych miejsc na fotografiach pozostawiano zawsze przyszłemu nieboszczykowi.

— Wuju, jeśli nie podobają ci się kwiaty, mogę je wymienić lub zabrać z powrotem.

Wuj odstawił dzban, beknął cicho i potrząsnął głową.

— Nie, nie... Zostaw te pieprzone rośliny. Właśnie sobie pomyślałem, jaki z nich zrobić użytek.

Arthur wstał ze stołka. Pochylił się i podniósł wieniec. Raymond cofnął się.

— Jak wuj to zrobił? Przecież to prawdziwe kwiaty...! Arthur z różowym wieńcem w ręku podszedł do kopca po przeciwnej stronie.

— Ach, to kombinacja lasera i pola sił — wuj machnął ręką. — Ostatni wynalazek. Polega na wytwarzaniu interfejsu ciśnienia holograficznego.

— No dobrze, ale skąd się to tu wzięło? Przecież wuj... Arthur zachichotał.

— Zostawiło się trochę gotówki na rachunku powierniczym, żeby mi uaktualniano sprzęt...

Pochylił się i ciekawie zerknął na mosiężną tabliczkę.

— A jaki masz zasięg?

— Około dwudziestu metrów — odparł wuj. — Potem zaczynam blednąć. No, ale dawniej to były tylko trzy metry. Popatrz!

Nacisnął guzik i obok zmaterializowała się wysoka, jasnowłosa kobieta o zielonych oczach, z uśmiechem na ustach.

— Melissa, kochanie. Przyniosłem ci kwiaty — powiedział, podając jej wieniec.

— Z którego grobu je ściągnąłeś, Arthurze? — spytała, biorąc kwiaty do rąk.

- Hola, hola! Naprawdę należą do mnie.
- W takim razie dziękuję. Chyba wepnę jedną różę we włosy.
- ...Przypnij ją do sukni, kiedy wieczorem wyskoczymy.
- Tak?
- Myślałem o małym przyjęciu. Czy masz wolny wieczór?
- Tak. To brzmi tak... żywo. Ale jak je zorganizujesz?

Arthur odwrócił się.

— Chciałbym, byś poznała mojego siostrzeńca Raymonda Ashera. Raymond, oto Melissa DeWeese.

— Miło mi panią poznać — powiedział Raymond.

Melissa odpowiedziała uśmiechem.

— Mnie również — skinęła głową.

Arthur puścił perskie oko.

— Z pewnością dam sobie radę — powiedział, chwytając jej dłoń.

— Och, z pewnością, Arthurze — odparła i pogłodziła go po policzku.

Urwała pączek róży i wsunęła go we włosy.

— To do zobaczenia — rzekła. — Dobrej nocy, Raymondzie — po czym zbladła i zniknęła, upuszczając wieniec pośrodku kopca.

Arthur pokiwał głową.

— Otruta przez męża — wyjaśnił. — Co za strata...

— Wuju, widzę, że nawet śmierć nie zdołała ani na jotę zmienić twych upodobań — oznajmił Raymond. — A uganianie się za nieboszczkami można nazwać tylko nekro...

— Wolnego, wolnego — zastopował go Arthur i odwróciwszy się, pomaszzerował z powrotem do baru. — To wszystko kwestia podejścia. Jestem pewien, że pewnego dnia zobaczysz te sprawy w zupełnie innym świetle. — Podniósł dzban i umoczył w nim usta. — Trupiwo — stwierdził. — Nekrohol.

— Wuju...

— Wiem, wiem — rzekł Arthur. — O coś ci chodzi. Inaczej po co byś przyszedł nagle po tych wszystkich latach?

— Cóż, prawdę mówiąc...

— No już, wal śmiało. Nie każdy w końcu może sobie pozwolić na ten luksus.

— Zawsze uważano wujka za finansowego geniusza...

— To prawda. — Wykonał ręką zamaszty ruch. — Dlatego mogę sobie pozwolić na wszystko, co śmierć ma do zaoferowania.

— Tak... Większość środków należących do rodziny zamrożona jest w akcjach Cyhersolu i...

— Sprzedać! Do diabła z nimi! Szybko się ich pozbyć!

— Naprawdę?

— Polecą na łeb i na szyję. I nie odzyskają wartości.

— Chwileczkę. Chciałem najpierw ci zreferować z nadzieją, że...

— Zreferować? Mnie? Mój procesor centralny otrzymuje streszczenia wszystkich artykułów ukazujących się w czołowych pismach ekonomicznych. Jeśli nie pozbędziesz się akcji Cybersolu, wszystko stracisz.

— No dobrze. Sprzedam je. W co mam zainwestować?

Wuj uśmiechnął się.

— Przysługa za przysługę, siostrzeńcze. Małe *qui pro quo*.

— To znaczy?

— Moja rada warta jest dużo więcej, niż wiązanka zdechłych kwiatków.

— Coś mi się zdaje, że tanio jej nie sprzedasz.

— *Honi soit qui mai y pense*, Raymond. Zgodnie z tymi słowy potrzebna mi będzie mała pomoc.

— Mianowicie?

— Przyjdiesz tu o północy i powciskasz wszystkie guziki w tej części cmentarza.

Pragnę, by było to wielkie przyjęcie.

— Wuju, to brzmi całkiem niegodziwie...

— ...To spadaj. Nie czuj się zaproszony.

— No, nie wiem...

— Chcesz mi wmówić, że w tych nowych, antyseptycznych czasach boisz się przyjść o północy na cmentarz, przepraszam, do nekropolii... nie, to również nie to. O, do parku pamięci. O północy? I nacisnąć kilka guzików?

— No, nie... Nic o to dokładnie chodzi. Po prostu mam wrażenie, że prowadzisz się gorzej niż za życia. A ja nie chcę być prekursorem nowego gatunku przestępstw.

— Och, czym ty się martwisz? Sami to wymyśliliśmy. Kiedy tylko zainstalują nam czasomierze, w ogóle nic będziesz potrzebny. Spójrz na to inaczej — dasz światu jeszcze jedną rozrywkę. Poza tym chcesz chyba ocalić rodzinną fortunę?

— Tak...

— No, to do zobaczenia o dwunastej.

— W porządku.

— ...I pamiętaj, godzina to godzina. Nic możesz mnie zawieść, chłopcze.

— Będę na pewno.

Wuj Arthur uniósł dzban i zniknął.

Gdy Raymond wracał ocienionymi alejkami, przez chwilę przebiegła mu przez myśl wizja *Totentanza*, skrzypka-kościotrupa, obleczonego w podarte szaty pośmiertne, siedzącego na szczycie grobowca i szczerzącego w uśmiechu zęby do płasających wokół niego nieboszczyków w czerni. Lecz wizja ta pojawiła się i zaraz zniknęła. Zastąpiła ją inna, pełna ubranych w jaskrawe kolory tancerzy, zwierciadeł, kolorowych świateł, pomalowanych twarzy i muzyki dyskotekowej ryczącej z zawieszonych u góry głośników. Śmierć odrzuciła skrzypki, a gdy zobaczył, że jej szaty przemieniły się teraz, w nowoczesne ciuchy, przestał się uśmiechać. Na chwilę zawiesił wzrok na szczerzącym zęby facecie z dzbankiem piwa w ręce, a potem odwrócił wzrok.

Wuj Arthur posiadał niezwykłą zdolność niszczenia wszystkich rzeczy i spraw.

INTERES GEORGE'A

Opowiadanie to powstało na skutek impulsu chwili. Przeczytałem gdzieś — chyba w Locusie — że Orson Scott Card przygotowuje antologię nigdzie wcześniej nic publikowanych opowiadań o smokach. Wiadomość ta pojawiła się dla mnie w odpowiednim momencie. Tak się złożyło, że akurat byłem w nastroju do napisania opowieści o smoku. Poniżej widzicie efekt. Jak sądzę, można by było zatytułować ten zbiorek Od jednorożców do smoków, jednak właśnie przypomniałem sobie o napisanym kiedyś eseju, który chyba bardziej pasować będzie na zakończenie.

W zakamarkach groty Dart osłonił swym zielono–złotym cielskiem niewielkie zapasy. Spał niespokojnie; śnił mu się ten sam sen, że zgrają takich samych, uzbrojonych napastników. A że sny smoków są zawsze prorocze, więc otrząsnął się z koszmaru i odchrząknawszy ogniem, sprawdził przy jego blasku stan swego posiadania. Przeciągnął się, ziewnął i ruszył do wylotu tunelu, by ocenić siłę przeciwników. Postanowił, że zwieje, jeśli okaże się przytłaczająca. Chrzanić zapasy; w końcu to nie pierwszy raz.

Gdy zerknął na zewnątrz, dostrzegł pojedynczego rycerza w źle dopasowanej zbroi, wychylającego się właśnie zza zakrętu na zdrożonym koniu. Rycerz ów trzymał lancę wymierzoną w niebo, a nie, jak przystało, wzdłuż końskiego boku.

Upewniając się, że człowiek jest sam, ryknął i wynurzył się z groty.

— Stójże, człowiecze — wrzasnął — ty, który zaraz zaczniesz się smażyć!

Rycerz posłusznie przystanął.

— Przybyłem się z tobą zobaczyć — rzekł człowiek. — Ja...

— A po cóż to? — spytał Dart. — Pragniesz znów zaczynać te sprawy? Czy wiesz, ile czasu minęło od chwili, gdy rycerz i smok stawali w szranki?

— Owszem, wiem. To było dawno temu. Lecz ja...

— A pojedynki te zawsze kończyły się tragicznie dla którejś z zainteresowanych stron. Zwykle twojej.

— Jakżebym miał o tym nic wiedzieć. Posłuchaj jednak, masz fałszywe mniemanie...

— Śniłem smoczy sen o młodzieńcu imieniem George, z którym mam stoczyć bitwę. Jesteś do niego zadziwiająco podobny.

— Potrafię wszystko wyjaśnić. To tak źle nie wygląda. Chodzi o to, że...

— Czy masz na imię George?

— No, tak. Ale to nieważne...

— Akurat dla mnie to ważne. Pragniesz ograbić mnie z mych żalosnych zapasów? Pieniądzy za nie nie starczyłoby ci nawet na piwo. To nie warte zachodu.

— Nie przybyłem tu po twe zapasy...

— Od wieków nie porwałem żadnej dziewczicy. Zwykle zresztą bywają stare i kościste, nie mówiąc już o tym, jak trudno je znaleźć.

— Nikt nie oskarża cię o...

— Miejscowe bydło zawsze obchodzi szerokim łukiem. Można by rzec, że przestałem plugawić własne imię w najbliższym otoczeniu.

— Ależ dobrze wiem, że nie stanowisz tu żadnego zagrożenia. Zbadałem to dość dokładnie...

— I wierzysz w to, że zbroja osłoni cię przed mym najgłębszym, najgorętszym ogniem?

— Na Boga, nie. Wstrzymaj się więc. Jeśli pozwolisz...

— A ta lanca... Nawet nie trzymasz jej prawidłowo.

George opuścił lancę.

— Z tym się zgodzę — rzekł. — Tak się jednak składa, że jej czubek został umoczony w jednej z najbardziej śmiertelnych trucizn znanych Hermanowi Aptekarzowi.

— No proszę! To nic fair!

— Wiem. Jeśli jednak postanowisz obrócić mnie w popiół, to założę się, że zdążę cię jeszcze poskrobać nią przed śmiercią.

— Ależ to bez sensu — po co mamy obydwaj umierać? — zauważył Dart, wycofując się o kilka kroków. — Nie służyłoby to żadnej słusznej sprawie.

— Całkowicie podzielani twój pogląd.

— Czemuż więc sposobimy się do walki?

— Ależ kto tu zamierza walczyć?!

— Obawiam się, że nic bardzo rozumiem. Wymieniłeś swe imię, a ja miałem ten sen...

— Zaraz to wyjaśnię.

— Lecz ta zatruta lanca...

— To dla ochrony. Zanim złożę ci propozycję, muszę przecież trzymać się od ciebie w bezpiecznej odległości.

Dart zmrużył powieki.

— Jaka propozycję?

— Pragnę cię wynająć.

— Wynająć mnie? Do czego? A ile płacisz?

— Czy mogę odłożyć na chwilę lancę? Nie będzie żadnych sztuczek?

— Naturalnie. Gdy mowa o Torsie, możesz się czuć bezpiecznie.

George oparł lancę o koński bok i rozpiął sakiewkę przypiętą do pasa. Zanurzył w niej dłoń i wyciągnął garść błyszczących monel. Potrząsnął nimi jakby od niechcienia: zadźwięczały i zabłyśły w porannym słońcu.

— Cały zamieniam się w słuch. Masz tam trochę tych drobników.

— Oszczędności całego życia. To wszystko może być twoje w zamian za mały interesik.

— To o co chodzi?

George wrzucił monety z powrotem do sakiewki i wykonał ręką gest.

— Czy widzisz w oddali ten zamek? Za tymi dwoma wzgórzami?

— Nie raz i nic dwa nad nim przelatywałem.

— W zachodniej wieży są komnaty Rosalindy, córki barona Maurice'a. Jest ona oczkiem w głowie swego ojca, a ja pragnę ją poślubić.

— Ale są jakieś problemy?

— Tak. Pociągają ją raczej krzepcy barbarzyńcy, pod którą to kategorię, niestety, nie podpadam. Mówiąc krótko, nie podobam się jej.

— To rzeczywiście problem.

— Chciałbym ci więc zapłacić za wtargnięcie do zamku, porwanie baronówny, uniesienie jej do jakiegoś w miarę wygodnego miejsca na uboczu. Poczekałbyś tam na mnie, a po moim przybyciu sfingowałibyśmy walkę, w której bym cię zwyciężył. Potem ty byś odleciał, a ja odwiózłbym ją do zamku. Jestem pewien, że wtedy urósłbym w jej oczach i awansował z szóstej na pierwszą pozycję na liście konkurentów do jej ręki. Co o tym sądzisz?

Dart westchnął, wypuszczając ogromny obłok dymu.

— Posłuchaj, człowieku. Nie darzę was szczególną sympatią, a konkretnie tej odmiany w zbrojach z lancami w rękach, więc właściwie nie wiem, po co ci to mówię... Chociaż może wiem... Mniejsza o to. Na pewno mógłbym zrealizować twój plan. Jeśli jednak zdobędziesz rękę tej panienki, czy wiesz, co się stanie? Urok nowości twego postępu szybko przeminie — a sam wiesz, że w zanadrzu nie będziesz miał nic na bis. Daj jej rok, a zobaczysz, że zaczniesz uganiać się za którymś z tych krzepkich młokosów, którzy ją tak pociągają. Wtedy będziesz musiał stanąć do pojedynku i zostaniesz zaszlachtowany. Chyba że będziesz wolał nosić rogi, jak to mówią.

George roześmiał się.

— Ależ mam w nosie to, jak Rosalinda będzie spędzać wolny czas. Sam mam dziewczuchę w mieście.

Dart otworzył szeroko oczy.

— Chyba czegoś nie rozumiem...

— Rosalinda jest jedyną latoroślą starego barona, a ten patrzy już na księżą oborę. A jak inaczej, myślisz, ta brzydula mogłaby pochwalić się sześcioro adoratorami? Czy inaczej ryzykowałbym oszczędności całego mojego życia?

— Już rozumiem — odrzekł Darł. — Chciwość potrafię pojąć.

— Nazywam to raczej troską o bezpieczeństwo socjalne.

— Niech będzie. A skoro tak się sprawy mają, to wybacz mą prostacką przestrożę. No dobra, dawaj złoto i zabieram się do dzieła. — Dart machnął błyszczącym piórem na rycerza. — Pierwsza dolina tych zachodnich wzgórz jest chyba wystarczająco odległa od mej siedziby na nasze spotkanie.

— Zapłacę ci teraz połowę i połowę po wykonaniu usługi.

— Niech będzie. Pamiętaj tylko mieć resztę przy sobie i porzucić ją na polu bitwy. Wrócę po nią później, gdy odjedziecie. Spróbuj mnie tylko oszukać, a powtórzymy naszą zabawę, tym razem z zupełnie innym zakończeniem.

— Już mi to przyszło do głowy... A teraz może trochę potrenujmy, żeby wyglądało to realistycznie. Ruszę na ciebie z wymierzoną lancą i zbliżę się do tego boku, po którym ona nie będzie stała. Rozpostrzesz skrzydło, chwycisz lancę i rykniesz, jakby cię obdzierali ze skóry. Dobrze by było, gdybyś z parę razy pozionął ogniem.

— Zanim zaczniemy próbę, oczyść czubek lancy.

— Racja. Wypuszczę lancę z rąk, gdy ją chwycisz i przewrócisz się. Wtedy zsiądę z konia i ruszę na ciebie z mieczem. Podbiegnę znów z tej samej strony i trzasnę cię

kilka razy płazem. Wtedy znów zawyjesz i odlecis.

— A tak na marginesie, ten miecz jest ostry?

— Nie, tępy jak diabli. Należał do mojego dziadka. Nie był ostrzony od czasów, gdy byłem mały.

— A rzucisz forszę w trakcie walki?

— Rzucę. No i co myślisz?

— Niezły plan. Może włożę sobie też pod skrzydło grona czerwonych jagód i zgmiotę je, jak przyjdzie co do czego.

— Świetnie. Tak zrób. Zróbmy teraz małą próbę, a potem do dzieła.

— Tylko nie wal mnie za mocno...

Tego samego popołudnia Rosalinda z Zamku Maurice'a porwana została przez zielono-złotego smoka, który wdarł się przez ścianę jej komnaty i uniósł ją w kierunku zachodnich wzgórz.

— Nie lękaj się! — wykrzyknął rycerz zajmujący szóstą pozycję w rankingu konkurentów, który szczęśliwym trafem przejeżdżał w pobliżu, do jej sędziwego ojca załamującego ręce na balkonie. — Ocalę ją! — dorzucił, oddalając się ku zachodowi.

Wjechałszy w dolinę, w której Rosalinda stała wciśnięta w skalną rozpadlinę, a obok niej zionął ogniem pilnujący jej zielno-złoty stwór, George pochylił lancę.

— Poniechaj panienki i stań oko w oko z losem! — wykrzyknął.

Dart wydał ryk, George ruszył na niego. Lanca wypadła mu z rąk, a cielsko smoka potoczyło się po ziemi, wypływając w górę kule ognia. Spod lewego skrzydła pociekła czerwona ciecz. Na rozszerzonych ze strachu oczach Rosalindy George podbiegł do smoka i zadał mu kilka pchnięć mieczem.

— ...A masz! — krzyknął, gdy potwór niezgrabnie podniósł się na dwie łapy i wzbił się w powietrze, brocząc czerwienią.

Wykonał w górze jedno koło, po czym, bijąc skrzydłami, oddalił się w kierunku szczytu i po chwili zniknął.

— Och, George! — wykrzyknęła Rosalinda, rzucając się mu w ramiona. — Och, George...

Przytulił ją na chwilę do siebie.

— Teraz zabiorę cię do domu — oznajmił.

Tego samego wieczoru Dart, zajęty liczeniem monet, usłyszał odgłosy dwóch koni zbliżających się do jego grotu. Pobiegł tunelem do wyjścia i wyrzwał.

George, rozparty w siodle na wyniosłym białym rumaku, z przytroczoną kłaczą, odziany był teraz w jasną, świetnie dopasowaną zbroję. Jego twarz jednak nie zdradzała radości.

— Dobry wieczór — powiedział.

— Dobry wieczór. Czemuż to tak prędko z powrotem?

— Sprawy nie przybrały przewidywanego obrotu.

— Twój nowy strój zdradza jednak, że szczęście się do ciebie uśmiechnęło.

— Cóż, odzyskałem poniesione koszty i jeszcze trochę wyszedłem na plus. Niestety, to wszystko. Wyjeżdżam z miasta. Pomyślałem, że zajrzę do ciebie i opowiem ci, co się dalej działo... A tak na marginesie, odstawiłeś niezłe przedstawienie. Pewnie by mi się powiodło, gdyby nie...

— Gdyby nie co?

— Dziś rano poślubiła jednego z tych krzepkich barbarzyńców w zanikowej kaplicy. Właśnie szykowali się do podróży poślubnej, gdy ty się pojawiłeś.

— Bardzo mi przykro.

— Cóż, raz na wozie, raz pod wozem. A żeby jeszcze bardziej mnie pogięć, jej ojciec padł trupem zaraz po porwaniu. Mój poprzedni rywal jest teraz nowym baronem. Nagroził mnie nowym koniem i zbroją, sutą nagrodą i upamiętnieniem mnie w kronice jako „pogromcy smoków”... Później dał dość jasno do zrozumienia, że na tym koniu i nabytej reputacji na pewno daleko zajadę. Nie podobało mu się, że Rosalinda patrzyła na mnie jak na bohatera.

— Co za szkoda. Trudno, nie udało się.

— Tak. Więc wpadłem, żeby ci podziękować i opowiedzieć, co się stało. Był to niezły pomysł, tyle że nic wypalił.

— Kto mógł pomyśleć o tak nagłych godach... Wiesz, spędziłem cały dzień, myśląc o tej sprawie. Naprawdę poszło nam pierwszorządnie.

— Ooo, nie ma najmniejszych wątpliwości. Jak z płatką.

— Tak sobie pomyślałem... Może chciałbyś odzyskać swoją forszę?

— W jaki sposób?

— Cóż... Gdy mówiłem ci wcześniej, że z tą panią raczej nie zaznasz szczęścia, myślałem o twojej sytuacji w kategoriach ludzkich. Natomiast popatrzysz na całość z innego punktu widzenia, który — jak się okazało — popychał cię do działania, twoje pragnienia były dla mnie całkowicie zrozumiałe. Mówiąc szczerze, masz podobny do smoczego sposób myślenia.

— Naprawdę?

— Tak. I jest to naprawdę zastanawiające. A teraz, biorąc pod uwagę, że plan nie wypalił tylko z powodu zbiegu okoliczności, trzeba przyznać, że nadal jest wart kolejnej próby.

— Przepraszam, ale nie bardzo nadążam.

— Istnieje pewna... hmm... śliczna panienska należąca do mojego gatunku, którą od dłuższego czasu na próżno usiłuję zainteresować moją osobą. W rzeczy samej w twojej i mojej sytuacji istnieje wiele punktów zbieżnych.

— Co, posiada spore zapasy?

— Nadzwyczaj.

— Starsza od ciebie?

— Wśród smoków wiek w tą czy w tamą tak bardzo się nie liczy. Niestety, i ona ma innych wielbicieli i bardziej skłania się ku zuchwalszym osobnikom.

— Mhm. Zaczynam chwytąć wiatr w żagle. Dałeś mi kiedyś radę, więc się odwzajemnię. Pewne rzeczy liczą się bardziej niż zapasy.

— Wymień choć jedną.

— Na przykład moje życie. Jeślibym miał się nią zająć, załatwiłaby mnie sama, zanim zdążyłbyś przybyć jej na ratunek.

— Ależ skąd, to słabiutkie maleństwo? Zresztą to kwestia synchronizacji. Usiądę sobie tam na wzgórzu — zaraz ci pokażę, gdzie — dam ci znak, kiedy ją będziesz mógł podejść. Naturalnie teraz to ja będę musiał zwyciężyć. Pokażę ci, jak to zrobimy...

George, na swym białym rumaku, obserwował to odległy wylot groty, to szczyt wysokiego wzgórza po lewej stronie. Po jakimś czasie zobaczył w powietrzu błysk lśniącej białej istoty, która po chwili przysiadła na wzgórzu. Po chwili stwór podniósł jedno jasne skrzydło.

Opuścił przyłbicę, pochylił lancę i ruszył naprzód. Gdy znalazł się od groty na odległość rzutu kamieniem, wykrzyknął:

— Wiem, że jesteś tam, Megtag! Przybyłem, by cię zniszczyć i ograbić z twych zapasów! Ty bezbożny potworze! Pożeraczko niewiniątek! To twój ostatni dzień na ziemi!

Z groty wychylił się ogromny, lśniący łeb. Z ogromnej gęby wystrzelił pięciometrowy płomień, obracając w spopielwały gruz najbliższy kamień. George stanął jak wryty. Potwór był dwukrotnie większy od Darta i jak się zdawało, nie miał najmniejszej ochoty na odwrót. Przeciwnie, ruszył do przodu, a jego łuski wydawały podobny do szczęku metalu odgłos.

— Może trochę przesadziłem... — podjął George i w tej samej chwili usłyszał nad sobą gwałtowny trzepot olbrzymich skrzydeł.

Poczuł, że coś zbliżyło się i chwyciło go za ramiona. W mgnieniu oka znalazł się na niebotycznej wysokości, z której świat poniżej zmalął w ciągu kilku sekund do wielkości pokoju z zabawkami. Jego nowa klacz stanęła dęba, po czym czmychnęła tą samą drogą, którą przybyli.

— Co się, cholera, stało? — wykrzyknął.

— Nic było mnie tu przez jakiś czas — wyjaśnił Dart. — Nic wiedziałem, że ktoś się do niej wprowadził. Masz szczęście, że mam dobry refleks. To był Pelladon. Wyjątkowy łotr.

— No, świetnie. Nie wydaje ci się, że trzeba było to wcześniej sprawdzić?

— Przepraszam. Myślałem, że zanim się na kogoś zdecyduje, miną dekady. Boże, co za zapasy! Trzeba było je widzieć!

— Lec za tym koniem. Muszę go odzyskać.

Siedzieli przed grotą Darta, popijając.

— Skąd bierzesz całe beczki wina?

— Z jednej barki, w górę rzeki. Lubię to robić od czasu do czasu. Mogę się pochwalić całkiem niezłą piwniczką.

— Rzeczywiście. No, przynajmniej nie zbiednieliśmy. Możemy za to wypić.

— To prawda, ale tak sobie znowu myślałem... Wiesz, jesteś bardzo dobrym aktorem.

— Dzięki. Ty też jesteś niezły.

— Przypuśćmy na przykład — tylko przypuśćmy — że zająłbyś się podrózkami. W miejsca, powiedzmy, dość stąd odległe. Zwiadzik tu, zwiadzik tam, od wioski do wioski, z lądu na wysepki i odwrotnie. Warto przecież sprawdzić, komu do szczęścia brakuje tylko miejscowego bohatera...

— Tak?

— ...I pokazać twoje świadectwo pogromcy smoków. Trochę się popprzechwalać. Później wrócić z listą miast. I mapami.

— Mów dalej.

- Znaleźć najlepsze miejsca do polowania i wybrać odpowiednie pole bitwy...
- Jeszcze szklaneczkę?
- Chętnie.
- Bardzo proszę.
- Dzięki. Wtedy pojawiaasz się ty, a co do podziału...
- Sześćdziesiąt procent, czterdzieści procent.
- O tym samym myślałem, chociaż założę się, że poprzestawiałeś liczby.
- No to pięćdziesiąt pięć i czterdzieści pięć.
- Utnij te połówki i napijmy się.
- No, dobra. Co się mamy targować?
- Teraz już wiem, skąd ten mój sen o walce z setką rycerzy tak bardzo do ciebie podobnych. Twe imię stanie się sławne, George.

GARŚC PARAMETRÓW...

Eseik ten powstał w odpowiedzi na prośbę Jima Baena, ówczesnego redaktora naczelnego *Galaxy*, z przeznaczeniem na kolumnę dla zaproszonych gości.

GARŚC PARAMETRÓW SCIENCE FICTION: SPOJRZENIE STRONNICZE

Pamiętami krzesła i scenerię: gęsty las, falista blacha nad głową, monitory telewizyjne na ziemi w pogotowiu, wielki zegar odmierzający sekundy; w głębi wąska zatoczka z nieruchomą wodą odbijającą szarość chmur wiszących pomiędzy nami i maszyną. Kilka siedzeń dalej, po mojej lewej, Harry Stubbs utrwalający wszystko na kliszy. Po mojej prawej, młoda Koreanka, robiąca to samo bez aparatu; kończyła już swą akwarelę. W rzędzie bezpośrednio przed i pode mną europejski dziennikarz terkoczący po serbsko–chorwacku do przenośnego telefonu. Na ziemi, w pewnej odległości, odświętnie ubrany Sybil Leek, tłumaczący otaczającemu go wianuszkowi słuchaczy, że pogoda wkrótce się poprawi i nic będzie już żadnych problemów. Gdy pogoda istotnie poprawiła się i zegar zaczął odcinać ostatnie dziesięć sekund, zobaczyliśmy wreszcie błysk, potem usłyszeliśmy huk, a tafla wody zmarszczyła się od rozprzestrzeniającej się ku nam fali uderzeniowej. Gdy rozległ się huk, Apollo 14 był już nad ziemią, nabierając prędkości, a stalowy sufit nad nami w pewnym momencie wpadł w wibrację. Wokół rozległy się owacje, ja zaś odprowadzałem raketę wzrokiem, aż nic została zasłonięta przez krawędź zadaszania. Potem śledziłem dalszy lot rakiety na monitorze. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: „Na to właśnie czekałem”.

Mówiąc szczerze, nie myślałem w tamtym momencie o science fiction. Wszystkie moje myśli skupiły się tylko na tym wydarzeniu. A jednak nie tkwiłbym w oczekiwaniu w tamtym miejscu, jeśliby nie miało to związku z science fiction. Dopiero później, w spokojniejszych godzinach następnych wieczorów zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób science fiction wpłynęła na mnie i na moje życie przez te wszystkie lata, próbując poukładać sobie kilka spraw, które wydawały się częścią większej perspektywy.

Wychowywałem się i chodziłem do szkoły w czasach i miejscach, w których science fiction nie była uważana za gatunek literatury pięknej. A ponieważ uciono mnie podejścia krytycznego w odniesieniu do innych działów literatury, sam zacząłem traktować science fiction jako coś pośledniejszego; i ilekroć stawała się ona przedmiotem dyskusji, w moim mniemaniu rozmowa zaczynała schodzić na pośledniejsze tory. Było to krzywdzące, ale taki był już świat.

W ostatnich czasach sytuacja jednak się zmieniła, a science fiction stała się nabierającym znaczenia przedmiotem zainteresowań krytyków i badaczy. Przyczyny tego stanu rzeczy, jak sądzę, należy częściowo upatrywać w fakcie nagromadzenia się wartościowych utworów science fiction na przestrzeni ostatnich lat, ale przede wszystkim w tym, że ci wszyscy, którzy dawniej dzielali opisane wyżej przeświadczenie i którzy obrali drogę kariery akademickiej, okrzepli już na tyle na

swych stanowiskach, by móc wpływać na zmianę ogólnego nastawienia. Nic więc dziwnego, że odczuwam rodzaj satysfakcji, gdy zaprasza się mnie do wygłoszenia wykładu o science fiction na uniwersytecie; satysfakcji jednak wynikającej nie z usprawiedliwiania własnych zainteresowań, lecz z komfortu psychicznego, jaki stwarza okazja pracy z ludźmi, którzy wpłynęli na zmianę sposobu myślenia.

Jednak sytuacja ta wywołała pewien problem. Ilekroć zabierałem głos, musiałem mieć coś do powiedzenia. Wymagało to ode mnie odpowiedzenia samemu sobie na różne pytanie dotyczące science fiction, a także analizy trendów, które kształtowały ją i nadal kształtują. Gdy poproszono mnie o napisanie tych kilku stron, postanowiłem połączyć na nich rezultaty tych wysiłków, nie troszcząc się zbytnio o spójność całości, zarówno ze względu na własną ciekawość, jak i dlatego, iż pragnąłem wtrącić osobiście kilka słów, zanim zaleje nas masa pism krytycznych znacznie przewyższająca samą ilość napisanej science fiction, a mój głos nic zostanie nawet zauważony.

Dziura wielkości Apollo wypełniająca moją psychikę tamtego dnia na Florydzie została wykopana przed ponad dwudziestu laty, gdy tylko zacząłem czytać opowieści o kosmicznych podróżach. Ale stanowiły one tylko jej część, z pewnością nie całość; lecz ponieważ sens budowany jest nie tylko przez umysł, lecz także przez emocje, i ponieważ większość oddanych science fiction czytelników czyta pierwsze książki w młodym wieku, wydaje się, że główną atrakcją tej literatury są emocje, jakie wywołuje. Jak je można określić? Czy są eskapizmem w najczystszej wydaniu? Miłością do spektakli na skalę kosmosu? Ponownym odkryciem młodzieńczych fantazji w wieku, kiedy normalnie ich czar powinien już blednąć? Wszystkim jednocześnie? Trochę tym, a trochę tamtym? Niczym? A może czymś zupełnie innym?

Termin „uczucie zachwyty” staje się słowem—wytrychem w podobnych dyskusjach. Spróbowałem odszukać podobnych doznań w innych dziełach literackich, w nadziei, że uda mi się precyzyjniej zdefiniować to określenie. Doświadczyłem go u dwóch innych autorów: w dziełach Saint-Exupery’ego o początkach lotnictwa i w pismach Jacquesa Cousteau o pierwszych próbach badania podmorskich głębin przy korzystaniu z akwalungu. Wspólnym elementem łączącym te opowieści i science fiction był temat penetracji wcześniej nieznanego świata przy pomocy urządzeń opracowanych i zbudowanych przez człowieka, i przez to umożliwiających jego zmysłom odkrywanie nowych rzeczywistości.

Patrząc wstecz, poczułem się zobligowany do przeprowadzenia klasyfikacji mitów, legend, pism biblijnych i podań ludowych, które zawsze stanowiły ważny punkt odniesienia w moich wyimaginowanych wędrówkach, choć traktowałem je w sposób odmienny od tradycyjnego. Od zawsze przecież istnieli gawędziarze o spekulatywnym toku myślenia, rozkoszujący się wędrówkami po obrzeżach realnego świata, poszukujący wymiarów świata nieznanego. Z drugiej strony można jednak twierdzić, że element ten był zawsze nieodłącznym składnikiem epiki, której regułą było obejmowanie całości etosu narodu, wraz z nieuniknionym, otwartym kresem ludzkiego losu, jakim jest sama śmierć, w sposób wykraczający nawet poza wielkie ramy komedii i tragedii. Prawdziwych epei jest oczywiście niewiele, w dodatku rozrzuconych w czasie, lecz ów bardziej doczesny składnik, jakim jest spekulacyjny

impuls, bez względu na to, czy był zabarwiony myślą klasyczną, chrześcijańską czy też renesansową, impuls, który wzbogacił literaturę Zachodu o romanse, baśnie, powieści podróżnicze czy utopie, wydaje mi się tą samą grą wyobraźni, która teraz realizowana jest w science fiction przy pomocy innych, niedostępnych dawnym twórcom gadżetów. Dopiero Oświecenie, rozwój nauki, rewolucja przemysłowa, dostarczyły nowych inspiracji dla pomysłów, które wypchnięte, wydumane, wyrócone na nice i krążące w wysokich przestrzeniach, zaowocowały pojawieniem się science fiction. W chwili, gdy najciekawsze i najdonioślejsze tematy zaczęły być podsuwane przez naukowców, a nie teologów czy podróżników odwiedzających dalekie strony, nawet dla człowieka obdarzonego kiepskim refleksem staje się jasne, że literatura science fiction po prostu musiała się narodzić.

Oczywiście prawdą jest, że powieść realistyczna również dostała klapsa w tyłek i w tym samym czasie zaczęła wydawać swe pierwsze odgłosy. Fakt ten wymaga spojrzenia na różnice w zakresie środowiska, w jakim funkcjonują obydwa gatunki. Wielokrotnie zdarzyło mi się już powtórzyć, że współczesna, realistyczna powieść odrzuciła to, co Northrop Frye sklasyfikował jako wyższe formy charakterystyki. Jest ona demokratycznym miejscem, bez prawa istnienia dla herosów, zuchwałych władców, półbogów i bóstw. Science fiction natomiast zachowała i rozwinęła te formy, zaludniając należące do gatunku dzieła mutantami, obcymi, robotami, androidami i myślącymi komputerami. Istnieje więc tu podstawowa różnica odnosząca się zarówno do bohaterów i sposobu ich charakteryzowania, jak i do źródeł wykorzystywanych pomysłów.

No właśnie, a te pomysły? Z przekonaniem argumentuje się, że „Frankenstein” był pierwszą powieścią science fiction. Upraszczając, co niestety należy czynić w podobnych dyskusjach, można powiedzieć, że w obrębie science fiction istnieje pewien konflikt pomiędzy Frankensteinem a Pigmalionem, wewnętrzna i być może nie kończąca się dyskusja, czy dzieła stworzone ręką człowieka doprowadzą do jego zagłady, czy też będzie on żyć z nimi w wiecznej szczęśliwości. W czasach, w których zaczynałem czytać science fiction. Pigmalion, statystycznie rzecz ujmując, był górą. „Uczucie zachwyty”, tak jak je pojmowałem, nie było zabarwione tą domieszką strachu i niepokoju, towarzyszącą w ostatnich latach stosowaniu niektórych nowinek technologicznych. Nasza pani dostarczała wizji bardziej czystych, związanych z poznawaniem nowych światów i rozwojem naszych zmysłów. W bliższych nam czasach powraca jednak ostrzegawczy ton, kładący się cieniem Frankensteina na większość dzieł. Będąc jednak elementem napędowym wyobraźni, nie stanowi on zagrożenia dla samej literatury. Nie bawiąc się w prognozy i nie przybierając moralizatorskiego tonu, a jedynie zabierając głos jako pisarz, uważam osobiście, że zarysowany cykl, jaki przebyła science fiction, jest dla niej samej korzystny. Ostatecznie, w sposób nieporównywalny z niczym innym, literatura ta zmusza nas do przewartościowywania naszych poglądów, jakiegokolwiek by były, dotyczących podstawowych związków pomiędzy człowiekiem a maszyną. Koniec dygresji.

Szczególną cechą science fiction, środkiem, dzięki któremu osiąga najlepsze efekty, jest oczywiście wyobraźnia, wyniesiona tu o kilka oktaw wyżej niż w jakimkolwiek innym gatunku literackim. Wpisanie jej w odpowiednie ramy jest jedną

z największych trudności, z którymi muszą radzić sobie twórcy science fiction; mianowicie, równoległe do tradycyjnych reguł związanych z tworzeniem ziemskich dzieł, autor stoi przed koniecznością wyjaśnienia dodatkowych przesłanek, oddziałujących na wątek, i osobliwości świata przedstawionego — bez widocznego spowalniania akcji czy osłabiania napięcia wzrastającego w miarę postępu narracji. Doprowadziło to, na przestrzeni lat, do powstania stereotypów (chciałbym móc powiedzieć „konwencji”, lecz to słowo nie za bardzo może odnosić się do science fiction), stereotypów odnoszących się do natychmiastowej akceptacji istnienia takich rzeczy, jak poruszanie się z szybkością wyższą niż prędkość światła, telepatia, transmisja materii, lekarstwa dające nieśmiertelność, urządzenia momentalnie tłumaczące z jednego języka na drugi, żeby wymienić tylko niektóre. Posługiwanie się tymi stereotypami wskazuje na sztuczność obrazu świata i nie spotykane jest nigdzie poza science fiction — z wyjątkiem może pojedynczych poetów, budujących swe prywatne mitologie, choć i w ich wypadku sprawa ma się zupełnie inaczej. Jednak sztuczność ta nic osłabia dzieła, a wrażenie iluzji może funkcjonować dzięki rekompensującemu inne braki elektowi wzbudzania w czytelniku ciekawości wyższego rzędu, ciekawości dotyczącej natury bestii. Wszystko dosłownie może być tematem opowieści science fiction. Przyjmując istnienie tych stereotypów, porzuca się jednocześnie tradycyjne założenia, na których bazuje trzymająca się ziemi proza. W pewnym stopniu wymaga to większej dawki pokomplikowania, lecz efekty okazują się współmierne do wysiłków.

Opisane powyżej cechy należą do najbardziej oczywistych wyznaczników science fiction, odróżniających ją od współczesnej literatury realistycznej. No dobrze, lecz skoro musi istnieć jakiś większy, wszechobejmujący schemat odnoszący się do wszystkich dzieł pisarskich, to gdzie w takim razie można będzie zaszufladkować science fiction? Z pewną podejrzliwością, przynajmniej w odniesieniu do jednej kwestii, podchodzę do dzieła Arystotelesa, owego wielkiego systematologa. Świat hellenistyczny pojmował upływ czasu w odmienny od naszego sposób. Historia miała dla Greków naturę epizodyczną i realizowała się poprzez walkę nie zmieniającej się ludzkości przeciwko niezmiennemu i nieubłaganemu przeznaczeniu. Grecy nie podejrzewali nawet istnienia powolnego procesu ewolucji organicznej, a ich kosmiczny model świata sprowadzał się do obserwacji pozornie niezmiennych układów gwiazd. Dopiero te same procesy, które również podłożyły podwaliny pod rozwój science fiction, a więc osiemnastowieczny racjonalizm czy dziewiętnastowieczny rozwój nauki, umożliwiły nadanie historycznego kierunku samej historii, umożliwiły widzenie czasu jako dynamicznej, niepowtarzalnej sekwencji.

Ten szczególny ogląd świata stał się częścią science fiction w sposób bardziej wyrazisty niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie literatury. I nic w tym dziwnego, jako że dał podstawę do jednego z jej najbardziej ulubionych zabiegów: ekstrapolacji. Z tego właśnie powodu, jak miemam, science fiction jest formą literacką w najmniejszym stopniu podporządkowującą się Arystotelesowskiemu założeniom odnoszącym się do natury ludzkiej, którą traktował jako niezmienną, i do natury ludzkiego losu, pojmowanego jako nieuniknione przeznaczenie.

Ale jednocześnie science fiction w sposób oczywisty zajmuje się ludzkim losem.

Różnica polega na tym, że czyni to w sposób spekulacyjny, co zmusza nas do odrzucenia arystotelesowskich uogólnień, bazujących na podanych z góry imponderabiliach. Jej metody obejmują więc powrót do wyższych form charakterystyki, historyczne pojmowanie czasu, koncentrację wokół konfliktów, z którymi borykać się musi stechnicyzowane społeczeństwo i wzbudzanie u czytelnika „uczucia zachwytu” poprzez wybiegi wyobraźni, wzbogacającej świadomość o nowe rzeczywistości — które to uczucie, w najlepszych utworach, dorównuje siłą doświadczeniu katharsis, będącej dla Arystotelesa jądrem tragedii. Prawdopodobnie można by snuć dalsze rozważania, że owo uczucie zachwytu odnosi się do innego porządku poznawczego, lecz w tym momencie nie ma chyba potrzeby zagłębiania się w dalsze implikacje metafizyczne.

Szacunek wymaga od nas jednak, byśmy nie przechodzili do porządku dziennego nad myślowymi konstrukcjami naszych przodków. Jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że znajdujemy się dopiero na początku historii tej młodej literatury, a zatem wolno nam sięgnąć do gwiazd i połączyć nasze sądy w jedną, spójną całość, z nadzieją, że zostanie ona zaakceptowana przez innych. Jak mi się wydaje, istnieje pewne pokrewieństwo pomiędzy całą literaturą science fiction a tym najwznioślejszym z gatunków, jakim jest epepeja. Tradycyjnie epos uważany był za zapis świadomości jakiegoś narodu — *Iliada*, *Mahabharata* czy *Eneida* są ilustracją wartości, trosk i wierzeń dotyczących losu po śmierci, wyznawanych przez Greków, starożytnych Hindusów i Rzymian. Science fiction jest mniej prowincjonalna, gdyż przedmiotem jej zainteresowań jest cała ludzkość. Oczywiście daleki jestem od lekkomyślnego twierdzenia, że każdy utwór science fiction zbliża się do epepei (z wyjątkiem może dzieł Olafa Stapledona); pragnę jedynie zauważyć, że impuls twórczy rządzący jej tworzeniem spokrewniony jest ze źródłami inspiracji epickich kronikarzy. Jedno i drugie łączy pragnienie odkrycia przyszłości rodzaju ludzkiego, opisanie w każdy możliwy sposób natury i przeznaczenia nie pojedynczego narodu, lecz Człowieka.

Wzniosła literatura wymaga jednak czegoś więcej niż tylko dobrych chęci, a zatem pragnę powtórzyć moje zastrzeżenia, by moje słowa nie zostały jeszcze bardziej opacznie zrozumiane niż ma to miejsce zazwyczaj. Mówiąc o eposie, pragnę wskazać na podobieństwo natury i treści pomiędzy traktowaną ogólnie science fiction a niektórymi cechami form klasycznych. Nic zamierzam twierdzić, że jakkolwiek utwór science fiction, czy też cała ta literatura jako jedność, wspięła się kiedykolwiek na wyżyny eposu. Być może tak, a być może nie. Jestem zbyt zaangażowany, by móc to bezstronnie oceniać. Podkreślam jedynie, że powstawaniem utworów science fiction rządzą te same prawa, że czasami wyczuwa się w nich niemal homeryckie tchnienie, i że ich główne cele należą do tego samego porządku, czyniąc z nich na pewno bliższych eposowi krewnych niż powieści realistyczne, równoległe do których powstawały i rozwijały się. Źródłem natomiast jej niezwyklej witalności jest chyba fakt, że temat, którym się żywi, pomimo ciągłego rozwoju, zawsze pozostanie otwarty.

Takie właśnie myśli poprzychodziły mi do głowy, gdy zasiadłem do pisania zamówionego eseju o parametrach science fiction. Odświeżyłem moje związki z tą dziedziną, przede wszystkim jako czytelnik i miłośnik, przypominając sobie, że

science fiction posiada — co jest samo w sobie fenomenem — grupę najwierniejszych wielbicieli, a także unikatowy system konferencji, umożliwiających bezpośrednie kontakty pomiędzy pisarzami a czytelnikami, znaczenie którego to czynnika trudno przecenić. Gdy autor stawiany jest w sytuacji bezpośrednich kontaktów z czytelnikami, niewątpliwie musi czuć się nieco jak dawny gawędziarz, odpowiadający na komentarze i pytania żywej widowni. Niewątpliwie warto by poświęcić nieco komentarza psychologicznym implikacjom takiego stanu rzeczy i ich wpływowi na rozwój gatunku. Myślałem o moich — jako pisarza — związkach z czytelnikami, a moja samoświadomość podpowiadała mi, że najlepszym lekarstwem na ból głowy towarzyszący ich nawiązywaniu — równoległe z innymi możliwie bezbolesnymi metodami — jest być może sam mechanizm, dzięki któremu wyobraźnia pokonuje tych ostatnich kilka schodów, po których niemożliwe staje się przekonującym, a przekonujące — ożywczym; i jeśli wszystko zaczyna współgrać, ożywcze przemienia się w zachwyty. I wtedy właśnie pomyślałem też o wszystkich pozarozkładowych science fiction, lub inaczej: może dlatego jesteśmy twórcami science fiction, że poświęcamy im czas.

Co ponownie przywodzi mi na myśl platformę na Przylądku, wibrację dachu, okrzyki, moje własne „Na to właśnie czekałem”. Być może moja radość z powodu zakończonego sukcesem startu załogowego lotu na Księżyc mówi więcej o mnie niż o science fiction i jej parametrach, bo w końcu lot kosmiczny to zaledwie część — choć niezmiernie kolorowa — opowiadanej przez nas historii o Człowieku i jego rosnącej świadomości. Gdyż po refleksji, gdy zniknął ogień, przebrzmiała siła, a oderwana od Ziemi rakietą zniknęła z pola widzenia, był to w rzeczywistości triumf Pigmaliona; i ten dzień miał więcej wspólnego, jak zdałem sobie później sprawę, z pomyślanym sobie wówczas zdaniem, niż z samym ogniem, siłą i rakietą.